

PHILIP K. DICK

**CZŁOWIEK O  
JEDNAKOWYCH ZĘBACH**

(PRZEŁOŻYL TOMASZ HORNOWSKI)

SCAN-DAL



Dla Vincenta R Evansa

Człowieka o jednakowych zębach Philip K. Dick napisał zimą i wiosną 1960 roku w Point Reyes Station na zamówienie wydawnictwa Harcourt, Brace and Company w Nowym Jorku. Podobnie jednak jak dziesięć innych należących do głównego nurtu (nie fantastyczno-naukowych) powieści Dicka z lat pięćdziesiątych, i ta nie doczekała się wydania bezpośrednio po ukończeniu.

W chronologii twórczości Dicka Człowiek o jednakowych zębach zajmuje miejsce między Wyznaniami łga-rza a Człowiekiem z Wysokiego Zamku - powieścią uhonorowaną nagrodą Hugo, która rozpoczęła nowy etap w karierze pisarza.

Paul Williams wykonawca testamentu literackiego Philipa K. Dicka

## Rozdział pierwszy

Technik z West Marin Water Company rozrzucił nogą kamienie i liście, odsłaniając pękniętą rurę, która załamała się pod ciężarem należącej do hrabstwa furgonetki, gdy ta najechała na nią podczas cofania. Samochód przywiózł ekipę robotników komunalnych, którzy mieli przyciąć drzewa rosnące przy drodze; od tygodnia wspinali się na cyprysy i piłowali gałęzie. To właśnie ci robotnicy zatelefonowali z pobliskiej pożarniczej wieży obserwacyjnej do Carquinez, gdzie mieściło się przedsiębiorstwo wodociągowe.

Technik nie miał pretensji do kierowcy furgonetki, choć z powodu awarii musiał przejechać dwadzieścia mil. Rury były stare i kruche. Co najmniej raz w tygodniu któraś z nich pękała - czasem nastąpiła na nią krowa, innym razem kruszyła się pod naporem korzeni drzew.

Technik wielokrotnie powtarzał klientom firmy, że rury należy wymienić. Nie robił z tego tajemnicy. Mówił też, że latem, kiedy ciśnienie wody spada, właściciel przedsiębiorstwa wodociągowego powinien uruchamiać pompę wspomagającą. Mówił o tym także właścicielowi. Ponieważ jednak firma nie przynosiła żadnego zysku i każdego roku trzeba było do niej dopłacać, właściciel postanowił ją sprzedać i do minimum ograniczył koszty eksploatacyjne.

Technik wspiął się na wzgórze i znalazł pęknięcie:

między dwoma cyprysami widać było ciemną plamę wody. Nie miał jednak zamiaru się spieszyć.

Spomiędzy drzew dobiegły go dziecięce głosy i zobaczył idącego na czele grupki młodzieży mężczyznę, który mówił do swych podopiecznych i pokazywał na coś palcem. Technik rozpoznał w nim nauczyciela czwartej klasy, pana Whartona, który wybrał się z uczniami na szkolną wycieczkę. Na poboczu, nieopodal furgonetki przedsiębiorstwa wodociągowego, stał zaparkowany samochód kombi. Pan Wharton i jego gromadka przyszli tą samą ścieżką co technik i obaj mężczyźni stanęli twarzą w twarz.

- Znowu pękła rura - odezwał się technik.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział pan Wharton.

- Idzie pan do kamieniołomów? - Wapienne kamieniołomy znajdowały się kilometr od drogi, przy ścieżce. Technik wiedział, że co roku pan Wharton pokazuje je uczniom.

- Tak, znowu- odparł z uśmiechem pan Wharton. Twarz miał zaczerwienioną od marszu,

a czoło zroszone potem.

- Niech pan nie pozwala dzieciakom łązić po rurze -zażartował mechanik.

Obaj roześmieli się na myśl, że stara, skorodowana rura mogłaby pęknąć pod ciężarem dzieci. Nie było to jednak nazbyt śmieszne i obaj spoważnieli. Dzieci rzucały w siebie sosnowymi szyszkami, krzyczały i paplały.

- Myśli pan, że Bob Morse ma rację, mówiąc o zanieczyszczeniu wody? - zapytał pan Wharton.

- Tak - odparł technik. - Bez wątpienia.

Widząc, że nie rozzłościł go swoim pytaniem, Wharton dodał:

- Czasami jest tak mętna, że nie widać dna miski. I zostawia plamy na ustępie.

- To przez rdzę z rur - poinformował go technik. -Nie ma powodu do niepokoju. - Stopą rozgarnął ziemię i obaj mężczyźni spojrzeli w dół. - Bardziej martwią mnie

ścieki z szamb, która przesączają się do rur. W okolicy nie ma ani jednej studni, w której byłaby czysta woda. I niech pan nie wierzy, gdy ktoś twierdzi, że jest inaczej. Pan Wharton skinął głową.

- W tym rejonie w ogóle nie powinno się korzystać ze studni - ciągnął technik. - Wielu ludzi, którym nie podobała się nasza mulista woda, wykopało sobie studnie, w których mieli ładną, na pozór czystą wodę. Ale ta ich woda jest dziesięć razy bardziej zanieczyszczona niż dostarczana przez naszą firmę. Jedyne szkodliwe substancje, jakie mogą się dostać do naszej wody... Nie mówię o tym, jak wygląda, liczy się nie to, co widać... Krótko mówiąc, chodzi o zanieczyszczenia przesączające się do rur. A do tego potrzeba wiele czasu, nawet w wypadku tak starych i skorodowanych rur jak te. - Wyraźnie się rozkręcił i zaczął mówić podniesionym głosem.

- Rozumiem- rzekł Wharton.

Szli jakiś czas obok siebie; dzieci podążały za nimi.

- Ładny dzień, w ogóle nie ma wiatru - zauważył pan Wharton.

- Tutaj, bliżej oceanu, jest chłodniej. Ja pochodzę z San Rafael. Tam są naprawdę piekielne upały.

- Uff, nie znoszę tej spiekoty w dolinie.

Obaj mężczyźni toczyli podobne rozmowy z niemal każdą napotkaną osobą. Czasem rozmawiali o lekarstwach, jakie doktor Terance, lekarz rejonowy, przepisywał pacjentom, a także

o medykamentach sprzedawanych przez aptekarza z Carquinez ludziom, których nie było stać na wizytę u doktora Terance'a. Lekarz był młodym, wiecznie zajęтым człowiekiem. Jeździł nowym chry-slerem, a w weekendy nigdy nie było go w swoim rejonie. Gdyby w sobotę lub niedzielę wydarzył się wypadek samochodowy, ranni mieliby pecha. Musiano by ich zawieźć na drugą stronę góry Tamalpais, aż do Mill Valley.

- No jesteśmy przy cmentarzu - stwierdził pan Wharton.

- Proszę?

- Naszym następnym przystankiem jest cmentarz. Nie wiedział pan, że tu obok jest mały cmentarzyk? Co roku prowadzę tam swoich uczniów. Niektóre nagrobki mają nawet sto pięćdziesiąt lat.

Wharton zamieszkał w tej okolicy ze względu na jej historię. Każdy tutejszy farmer miał kolekcję grotów strzał, igieł i toporów zrobionych przez Indian. On także miał piękny zbiór strzał i grotów do włóczni z obsydianu - połyskliwie czarnych i bardzo twardych. Umieścił go w szklanych gablotach ustawionych w holu szkoły podstawowej, by mogli je podziwiać rodzice uczniów.

Pod wieloma względami Wharton był lokalnym autorytetem w dziedzinie indiańskich wyrobów. Prenumerował „Scientific American” i trzymał w domu węże - w pracowni razem z minerałami, skamielinami, muszlami olbrzymich ślimaków, odcisniętymi w skale śladami robaków i jajami rekina. Ze wszystkich swoich skarbów najwyżej cenił skamieniałe trylobity, lecz podczas pokazów- czy to urządzanych w klasie, czy w domu- publiczność najbardziej entuzjastycznie przyjmowała promieniotwórcze skały, które w świetle ultrafioletowym (miał lampę z żarówką dającą takie światło) mieniły się wieloma kolorami. Każdy, kto znalazł jakiś dziwny minerał, roślinę, ptasie jajo lub coś, co wyglądało na skamielinę albo wyrób indiański, szedł z tym do niego. Prawie zawsze Wharton potrafił orzec, czy znalezisko jest cenne, czy nie.

Niewielki, stary, bardzo zaniedbany cmentarz, o którym wiedziało tylko paru dorosłych z tej okolicy, na pewno miał wartość historyczną: leżeli tu pochowani pierwsi osadnicy. Na nagrobkach, z których część była przewrócona, widniały stare szwajcarskie i włoskie nazwiska. Susły rozkopały ziemię, toteż większość roślin obumarła, z wyjątkiem krzaków dzikich róż, które rozrosły się na wyżej położonym terenie. Najstarsze groby miały

drewniane krzyże z wyciętymi po amatorsku literami. Niektóre całkowicie zakrywała wysoka trawa i owies.

Cmentarz stale jednak odwiedzali ludzie - najwyraźniej z dalekich stron - i zostawiali na mogiłach kwiaty. Co roku, kiedy przychodził tu ze swoją klasą, znajdował słoiki po majonezie, z których sterczały zeschnięte kwiaty lub, zwiędnięte, zwieszały się na boki.

Wharton i jego klasa szli ścieżką w stronę cmentarza, gdy do nauczyciela podbiegła jedna z uczennic i zaczęła z nim rozmawiać. Wyrzuciwszy z siebie kilkanaście zdań na różne tematy, zapytała go z wahaniem, czy wierzy w duchy. Co najmniej jedno z dzieci na każdej takiej wycieczce przychodziło do niego z podobnymi obawami, toteż nauczyciel był do tego przyzwyczajony i miał gotową odpowiedź.

Zwracając się do całej klasy, przypomniał uczniom, jak to w szkółce niedzielnej - każde dziecko z tej okolicy chodziło do szkółki niedzielnej - pastor opowiada im

0 niebie. Skoro dusze umarłych idą do nieba, mówił Wharton, to jakim cudem duchy mogą się błąkać po ziemi? Zwrócił im uwagę, że skoro Bóg daje człowiekowi duszę - w każdym razie tak uczono dzieci - to musi ją też zabrać z powrotem. Strach przed duszami umarłych jest równie niemądry, co strach przed duszami ludzi jeszcze nie narodzonych, duszami przyszłych pokoleń.

Urwał, a po chwili, bardziej z nauczycielskiego obowiązku, zwrócił im uwagę na jeszcze jeden fakt.

Spójrzcie, powiedział do nich, wskazując na otaczające ich drzewa, krzewy i ziemię. Nie myślcie tylko o ludziach, którzy odeszli. Pomyślcie o wszystkich formach życia, które od milionów lat pojawiały się na tym świecie

1 odchodziły. Dokąd odchodziły? Z powrotem do ziemi. Oto, czym w istocie jest ziemia: gęstą i żyzną warstwą, z której wyrasta nowe życie, istnieje na świecie przez jakiś czas, po czym z powrotem do niej trafia. To cykliczny, naturalny proces. Wszystko, co umarło, ciągnął nauczyciel, połączyło się ze sobą - od bakterii, poprzez rośliny i małe zwierzęta, aż po ludzi - i teraz spoczywa pod naszymi stopami. Jest przeszłością. To sprawiedliwy i doskonały system. Przerwał i wskazał na usypany obok drzewa man-droń stos gnijących liści i kredowobiałych grzybów przeznaczonych na kompost. Wziął do ręki garść nawozu, mieszanki ziemi i zgniłych roślin, by pokazać uczniom, jaka to żyzna i wilgotna substancja. Kazał im ją powąchać i dotknąć. To samo dzieje się z człowiekiem, rzekł. Nasi przodkowie również podlegali temu procesowi.

Tak jak w poprzednich latach, jego wykład uspokoił dzieci. Przestały się bać, ucichły rozmowy i nerwowe chichoty. Dlatego je tutaj przyprowadził. Chciał, by uświadomiły sobie tę

sytuację, by wiedziały, że cykl rozwoju dotyczy również ich. Nie bójcie się natury, powiedział im. I pamiętajcie, że wszystko, co się dzieje na ziemi, podlega jej prawom. Nic nie jest spod nich wyjęte. I tak, na swój sposób, uśmierzył ich zabobonny lęk, a przy tym jego wyjaśnienie nie zaprzeczało temu, co mówił katechizm i co słyszały w szkółce niedzielnej.

Nauczanie w wiejskiej szkole podstawowej wymagało taktu. Rodzice jego uczniów byli rolnikami o konserwatywnych poglądach w sprawach religii, polityki i obyczajowości. Dużą część klasy stanowili ociężały umysłowo dwunastolatki, niemal debile, których ledwie można było nauczyć czytać i pisać. W końcu i tak wracali na swoje farmy i zajmowali się produkcją mleka. Ich życie było z góry zaplanowane. Miał również w klasie parę bystrych dzieciaków, których rodzice przenieśli się z miasta, oraz ambitnych synów i córki miejscowych notabli: właścicieli sklepów, dentystów i przedstawicieli wolnych zawodów. Miał nawet kilkoro uczniów z bardzo bogatych rodzin, które mieszkały w wielkich domach z frontonami wychodzącymi na plażę.

W oddali widać było czubki granitowych pomników -największych i najbardziej okazałych.

Pana Whartona i jego uczniów nie obchodziły jednak wysokie grobowce i pomniki znajdujące się na środku cmentarza. Przyszli, by zobaczyć najstarsze mogiły. Te, które znajdowały się na obrzeżach cmentarza, a nawet za otaczającym go płotem. Czyżby zsunęły się po zboczu na pastwisko McRaego? A może, kiedy kilkanaście lat temu stawiano płot, nie zauważono tych niepozornych grobów?

Wharton otwierał bramę obserwowany przez kilka pasących się krów, którym nie wolno było wchodzić na teren cmentarza.

Jakiś chłopiec szybko dopadł pierwszego grobu i przeczytawszy napis na kamieniu, zakrzyknął:

- Proszę pana, niech pan spojrzy! 1884!

Leo Runcible, miejscowy pośrednik handlu nieruchomościami, wiózł swoim samochodem starsze małżeństwo, które przez całą drogę narzekało na wiatr i wilgoć. Małżonkowie uważali, że tutaj, bliżej wybrzeża, klimat jest mniej zdrowy niż w głębi lądu. Wchodząc do domu, który mieli obejrzeć, mężczyzna stwierdził, że dookoła rośnie za wiele paproci. Na chwilę przerwał starcze narzekania, by zrobić celną uwagę: tam, gdzie rosną paprocie, panuje duża wilgotność.

- Cóż - powiedział Runcible - nie ma sprawy. Mogę panu pokazać kilka domów w suchej



wiejskiej okolicy. Są w doskonałym stanie i kosztują tyle, ile jest pan skłonny zapłacić.

Jechali właśnie, by je zobaczyć. Lecz były to tylko wiejskie zagrody, nie tak stylowe jak właśnie obejrzone przez nich domy znajdujące się na wschód od wzgórz w Bolinas. Poza tym wcale nie były w dobrym stanie. Runcible wiedział o tym i zdawał sobie sprawę, że dla starszego małżeństwa taki wiejski dom to po prostu chałupa - zaniedbana i brudna. Domy te zbudowali prości ludzie, młynarze i robotnicy drogowi. Na dodatek postawili je na bagnistym terenie. Nie lubił ich pokazywać, starał się też nie brać ich w ofertę. Na miłość boską, pomyślał, czy chcecie do zmroku pętać się po dworze, na wietrze i we mgle, czy też wolicie spędzić wieczór w salonie przy kominku? Przez całą drogę powtarzał sobie w duchu tę uwagę, bo wiedział, że ta para nie kupi od niego żadnej wiejskiej chałupy. Jeśli miałby im coś sprzedać, to jakiś dom na wzgórzach, ze stiukami i kryty dachówką, a nie chatę z białym deskowaniem.

- Czy tam, dokąd nas pan wiezie, domy stoją na dużych działkach? - zapytał mężczyzna.

- Nie- odparł Runcible, po czym dodał:- Lepiej mieć mało ziemi. - Małżonkowie nadstawili uszu, bo zaciekał ich nacisk, z jakim pośrednik wypowiedział tę uwagę. - W pewnym wieku człowiek powinien się wreszcie zacząć cieszyć życiem, a nie być niewolnikiem kilku akrów chwastów, które lokalne władze każą mu co roku pielć ze względu na zagrożenie pożarem. Powiem panu coś: hrabstwo opublikowało listę ponad czterdziestu roślin, które nie mogą rosnąć na pańskiej ziemi. Musi pan wiedzieć, jak każda z nich wygląda, i biada, jeśli zauważą je na pańskim polu, bo zapłaci pan słony mandat.

- A co ich to obchodzi? - zapytała kobieta.

- Idzie o bezpieczeństwo bydła - odparł Runcible. -Może się pani zapoznać z tą listą w każdym urzędzie pocztowym. Same trudne do wyplenienia chwasty, za to łatwo się rozprzestrzeniające.

Domy, które wkrótce miał im pokazać, stały przy gminnych drogach. Z każdego widać było wszystkie pozostałe. Na niektórych podwórkach leżały wraki samochodów. Zawsze go to denerwowało, ilekroć tamtędy przejeżdżał. Istniało teraz prawo stanowe... Przyszło mu do głowy, że może powinien napisać do policji drogowej albo kogoś w San Rafael i podać nazwiska winowajców. Oskarżyć ich o obniżanie wartości nieruchomości, pomyślał. Ale co takich jak oni obchodzi sąsiedzi?

- Czym się pan zajmuje, panie Diters? - zapytał mężczyznę.

- Jestem na emeryturze. Pracowałem w bankowości. Przez wiele lat dla American Trust

Company, a przedtem dla Crockera.

Starsi państwo zaznaczyli, że dom nie może kosztować więcej niż dziewięć tysięcy dolarów, lecz Runcible ocenił, że da się ich naciągnąć na dziesięć, a nawet dziesięć tysięcy pięćset. Cieszył się, ponieważ miał kilka domów w tej cenie. Pogoda dopisywała, a latem łatwiej się pokazywało nieruchomości niż zimą, kiedy jest mokro i chłodno.

Po prawej stronie widać było brązowe pola i mostek nad zarośniętą trzcinami wodą.

- A jak tu jest z prądem i innymi mediami? - spytała pani Diters. - Nie ma gazu ziemnego, prawda?

- Nie, ludzie korzystają z butanu w butlach - odparł Runcible. - Prąd dostarcza firma PG&E, a wodę West Marin Water Company, która mieści się w Carquinez.

- A śmieci? - zapytał mężczyzna.

- Są wywożone raz na tydzień. Jest również firma, która opróżnia szamba.

- Prawda, nie ma tu kanalizacji - odezwała się kobieta.

- To wiejska okolica - stwierdził Runcible. - Ale proszę pamiętać: nie trzeba płacić podatku miejskiego. Poza tym jest straż pożarna w Carquinez, zastępca szeryfa, lekarz, dentysta, sklep spożywczy, apteka, poczta- słowem wszystko, co trzeba. Chcecie państwo chodzić piechotą do miasta czy też wolicie jeździć samochodem? -Do biura Runcible'a przyjechali starym, ale bardzo dobrze utrzymanym czarnym packardem.

- Raz w tygodniu możemy jechać na zakupy do San Rafael - odpowiedział Diters. - Myślę, że tak wypadnie taniej niż gdybyśmy kupowali w tutejszych sklepach.

- Chwileczkę - odezwał się Runcible. - Taniej? - Nie

lubił takiego nastawienia... Odbierania pracy lokalnym przedsiębiorcom i kupcom. Tb są przecież wasi sąsiedzi, pomyślał. Albo nimi będą. Poza tym trzeba także wziąć pod uwagę koszt benzyny plus czas potrzebny na pokonanie góry Tamalpais. To całodzienna wyprawa. - Wszystko możecie państwo kupić na miejscu, i to po bardzo przystępnych cenach. I powiem państwu jeszcze jedno: jeśli nigdy w życiu nie mieszkaliście w małej miejscowości, czeka was miła niespodzianka. Tutejsi kupcy odpowiadają za towar, który sprzedają. Muszą, bo wiedzą, że znowu was spotkają. Wasze dzieci razem się bawią, a jeśli nie macie dzieci, i tak znacie wszystkich w okolicy. Wieść, że w jakimś sklepie zostaliście źle potraktowani, szybko się rozniesie. Przemyślcie to. Spotkacie się państwo z obsługą jak za dawnych dobrych czasów. Wszystko tu się opiera na osobistych kontaktach.

Kiedy to mówił, zjechał z gminnej szosy na piaszczystą drogę prowadzącą do posesji. W oddali, za bambusowym gajem, widać było chatę Petersona. Między przepełnionymi kubłami na śmieci bawiło się kilkoro brudnych dzieci.

- To nie jest, rzecz jasna, lepsza część tutejszej społeczności - mruknął pod nosem. - Większość z tych, którzy tu mieszkają, nie ma stałej pracy. Ale to dobrzy i uczciwi ludzie. - Zatrzymał samochód i otworzył drzwi.

Pani Peterson wyszła na werandę parterowego, czte-ropokojowego domu i pokiwała do nich. Runcible odwzajemnił pozdrowienie. Ujadając, nadbiegł pies.

Nie wysiadając z samochodu, pan Diters oświadczył:

- Nie sądzę, żeby to nas interesowało.

- Też tak myślę - zgodziła się jego żona. Widać było, że nie mają ochoty nawet obejrzeć domu. Chcieli od razu jechać dalej.

- Cena jest bardzo umiarkowana - rzekł Runcible, zadowolony z rozwoju sytuacji. Chcieliście tu przyjechać, to macie, powiedział sobie. Gdy obejrzyście cały Zakątek Biedoty, z radością kupicie dom na wzgórzu w Bolinas.

- Takie tu pustkowie - zauważyła pani Diters.

- Owszem, człowiek czuje się tu trochę samotny, ale tylko z początku - odparł Runcible ze współczuciem w głosie. - Ludzie są bardzo przyjaźni, skorzy do pomocy. Nikt nie zamyka drzwi na klucz.

Zapalił silnik i ruszył. Małżonkowie kiwnęli głowami z wdzięcznością.

Runcible nie pochodził z tych stron. Przed wojną mieszkał w Los Angeles. W 1940 roku wstąpił do marynarki i cztery lata później dowodził kutrem torpedowym operującym u wybrzeży Australii. Tego roku odniósł swój największy w życiu sukces. Jak sam zwykł mawiać, był Jedynym Żydem, który zatopił japońską łódź podwodną w święto Jom Kipur". Po wojnie zajął się handlem nieruchomościami w San Francisco. W 1955 roku kupił letni domek w Carquinez; chciał mieszkać blisko wody. Od razu też zorganizował jachtklub, a właściwie wskrzesił jego działalność. Trzy lata temu, w 1957 roku, przeniósł do Carquinez swoje biuro. Jedynym jego konkurentem był niezbyt rzutki, podstarzały jegomość nazwiskiem Thomas, który przez trzydzieści pięć lat miał monopol w Carquinez na sprzedaż nieruchomości i polis ubezpieczeniowych. Thomas wciąż pośredniczył w kupnie i sprzedaży domów między starymi mieszkańcami, lecz wszystkich nowych klientów, którzy przyjechali w te strony - zarówno

młodych, jak i starych- przejęło biuro Runci-ble'a.

Ogłoszenia, które zamieszczał w gazetach wychodzących w San Rafael, zwabiły wielu nabywców, którzy w innym razie nigdy by się nie dowiedzieli o istnieniu Carquinez. Miasto leżało nad brzegiem oceanu, nieco na północ od Bolinas, odcięte od reszty hrabstwa Marin górą Tamalpais. Kiedyś było nie do pomyślenia, żeby mieszkać na zachód od gór, a pracować w San Francisco lub w płaskiej części hrabstwa. Lecz teraz drogi i samochody były lepsze, toteż z miesiąca na miesiąc coraz więcej

ludzi przyjeżdżało, by się osiedlić w hrabstwie Marin. Większe miasta stawały się zatłoczone, a ceny nieruchomości szły w górę.

- Jakie ładne drzewa - zachwycała się pani Diters. Znowu jechali przez las. - Po tej spiekocie w cieniu jest bardzo przyjemnie.

Skrajem drogi maszerowała grupka dzieci. Na przedzie szedł mężczyzna. Runcible poznał go. Wśród dzieci był jego dziewięcioletni syn, Jerome. Nauczyciel, pan Wharton, pokazał dzieciom, żeby zeszły z drogi i przepuściły samochód; uczniowie stanęli na porośniętym trawą poboczu. Niektórzy rozpoznali studebakera Runci-ble'a i pomachali im ręką. Pośrednik zobaczył, jak na twarz syna występuje uśmiech, i chwilę później ręka Jerome'a kilkakrotnie uniosła się i opadła.

- Piesza wycieczka-powiedział do Ditersów.-Czwartoklasiści z naszej szkoły podstawowej. - Machanie rękami, uśmiech na twarzy syna i pozdrowienie pana Whar-tona, który go rozpoznał, sprawiło, że rozpierała go radość i duma.

Gdybyście tu pomieszkali przez jakiś czas, do was też by pomachali, pomyślał Runcible. Dobrze by wam tu było - samotnym, starym ludziom z miasta marzącym

o miejscu, w którym u schyłku życia czuliby się bezpieczni

i potrzebni.

Oddam wam przysługę, pomyślał, i osiedlę w tej okolicy. Tu, gdzie wszyscy się znają. Powoli i statecznie pomachał do uczniów szkoły podstawowej w Carquinez, ukradkiem dostrzegając, że Ditersowie nie spuszczają z niego wzroku. W ich oczach widać było tęsknotę i zazdrość.

W tym momencie wiedział już, że sprzeda im dom. Kto wie, może jeszcze podczas tego dnia? Miał to jak w banku.

## Rozdział drugi

Walter Dombrosio postawił dwie puszkę farby olejnej przy drzwiach mieszczącego się na parterze warsztatu.

- Słuchacie meczu?- zagadnął mężczyźni stojących przy tokarkach. - Willy właśnie zepsuł zagranie.

Chłopak zamiatający podłogę przystanął z szufelką pełną wiórów i stwierdził:

- Tak czy owak, Giganci zdobyli punkt.

- Ten nowy na drugiej bazie jest naprawdę dobry -odezwał się jeden z pracowników, po czym wszyscy włączyli tokarki. Ich ryk przerwał rozmowę. Dombrosio i chłopak umilkli.

- Chłopaki, mówię wam- rzekł Dombrosio, odczekawszy, aż hałas ucichnie. - Chyba bym się zabił, gdybym zepsuł zagranie na oczach czterdziestu tysięcy ludzi. - W zasadzie nie interesował się baseball, ale uważał, że kiedy zachodzi na dół do warsztatu, powinien zapytać pracowników, co sądzą o meczu; w ten sposób pokazywał im, że on również interesuje się tym, co się dzieje na boisku, i że choć pracuje na górze i nosi krawat, jest takim samym człowiekiem jak oni. - Za bardzo się starał - dodał. - To dowodzi, że nigdy nie należy się za bardzo starać.

Jeden z pracowników skinął głową i znowu włączył tokarkę. Nie obchodzi ich moje zdanie, pomyślał Dombrosio. Czując, że oblewa się rumieńcem, podniósł puszkę

z farbą i ruszył w kierunku schodów. Przyspieszając lekko kroku, wszedł na górę. •Na piętrze, gdzie sufit ginął wśród krokwi, sprawę oświetlenia załatwiały jarzeniówki na nóżkach. W przeciwieństwie do warsztatu, światło słoneczne tutaj nie docierało. W kątach było zimno i ciemno... Płyty z cello-teksu pochłaniały dźwięk i nadawały biurowi nowoczesny i wystudiowany wygląd. Pomieszczenia, w których projektowano nowe opakowania do ryżu i piwa, też powinny się odpowiednio prezentować, choćby mieściły się tylko w magazynie w portowej dzielnicy San Francisco. Belki z surowego drewna - wszystko było do siebie dopasowane. Przy schodach recepcja i półki z próbkami: ich opakowaniami.

Dombrosio sam tu wszystko wymalował i położył cel-lotex. Materiał ten w jakiś dziwny sposób tłumił stukot elektrycznej maszyny do pisania sekretarki, tak że trudno było zgadnąć, jakiej wielkości są pomieszczenia. Dźwięki ginęły w ich zakamarkach. W rzeczywistości biuro Lausch Company było małe. Drzwi, które udawały, że prowadzą do pracowni, tak naprawdę były

drzwiami do szaf. Niosąc farby, Dombrosio wszedł do odgradzonej części biura, gdzie projektowano nowe opakowania. Jednak nawet ta najważniejsza część firmy była niewielka. Wypełniały ją biurka i deski kreślarskie trzech projektantów.

Mężczyzna siedzący przy pierwszym biurku sprawiał wrażenie, jakby zrobił sobie przerwę w pracy. Zaslaniały go puszki piwa Lucky Lager. Stały pionowo i wyglądały na pełne. Błyszczący metal nie nosił śladów otwierania.

- Cześć, Walt - przywitał go z uśmiechem Bob Fox. Wziął jedną z puszek i podał Dombrosiowi. - Przyłącz się do mnie.

Puszki były oczywiście z gipsu. Gdy się je wzięło do ręki, czuło się, że jak na aluminiowe pojemniki są zbyt

ciężkie i masywne. Jedyne wyglądały na prawdziwe puszki z piwem, ale to w zupełności wystarczało. Na zdjęciu lub na półkach zaaranżowanego przez nich sklepu spożywczego będą sprawiały wrażenie prawdziwych. We właściwym czasie przedstawiciel firmy Lucky Lager dzięki nim zdecyduje o przyjęciu bądź odrzuceniu nowego wzoru opakowania.

Udając, że piją piwo, Dombrosio i Fox odprawili swój prywatny rytuał: wymagowaną konsumpcję nie istniejącej zawartości pojemnika. Czasem pili piwo, innym razem jedli niewidzialne płatki owsiane, lody, mrożone warzywa lub palili sztuczne papierosy. Raz pokazali nawet sekretarce parę niewidocznych nylonowych pończoch. Świat pozorów...

- Nie za ciepłe? - spytał Fox, wskazując na atrapy. - Jeśli wolisz chłodniejsze, weź sobie z lodówki.

- Nie, dziękuję, jest w sam raz.

Wciąż trzymając puszkę piwa w ręku, Dombrosio podszedł do swojego stołu.

- Moje opakowanie - upomniał go Fox i ruszył za nim, by odebrać swoją własność.

Dombrosio oddał mu puszkę i usiadł przy biurku, by podjąć pracę w miejscu, w którym ją przerwał.

- Nad czym pracujesz? - zapytał go Fox. Wziął leżący na stole odlew gipsowy i obejrzał go okiem eksperta. - Nie znam tego projektu. Czyżby to była osłona na zderzak dla tego francuskiego samochodu?

- Nie - zaprzeczył Dombrosio, odbierając mu odlew. - To coś, nad czym pracuję w wolnym czasie - wyjaśnił. - Taki żart.

- Ach, rozumiem. - Fox kiwnął głową. - Jeden z twoich niewinnych dowcipów. - Inny z

projektantów, Pete Quinn, przerwał pracę i Fox zwrócił się do niego: - Pamiętasz jego żart o Henrym Fordzie? - Nie czekając na odpowiedź, zaczął powtarzać opowieść Dombrosia o jednym z jego szalonych uniwersyteckich wybryków.

W owych czasach, a było to w latach czterdziestych, Walt Dombrosio miał mnóstwo trochę starszych od siebie kolegów, którzy wyjechali do Dearborn, by pracować dla Forda. Miał wtedy domowy warsztat, który urządził sobie w garażu, i postanowił zrobić sobie przebranie. Zaczął od maski z gumy w zielonym odcieniu skóry nieboszczyka, z wystającymi zębami, zapadniętymi policzkami i włosami porastającymi czoło niczym kępki mchu. Potem uszył sobie workowaty płaszcz i czarne bufiaste spodnie. Do tego kamasze i trzciniowa laska. Błądząc po omacku, odwiedził w tym stroju kilku projektantów pracujących dla Forda. Zrobił na nich wrażenie: wyglądali, jakby zobaczyli samego Starego, który wstał z grobu.

To, co kiedyś było hobby, stało się teraz jego zawodem.

- Chciałbym zobaczyć miny tych facetów, kiedy Walt zastukał do drzwi i wszedł do środka, mamrocząc coś pod nosem i macając powietrze przed sobą jak ślepiec -dokończył Fox i roześmiał się.

Quinn także się uśmiechnął.

- Wyciąłeś inne podobne numery? - zapytał. Pracował w firmie najkrócej, dopiero od miesiąca.

- Che, che, było ich tyle, że nie potrafię zliczyć - zaśmiał się Dombrosio. - Ten kawał, który zrobiłem chłopakom od Forda, to pestka. Opowiem wam o czymś naprawdę godnym uwagi.

Dombrosio zdawał sobie sprawę, że był to okrutny dowcip, toteż gdy o nim opowiadał, zmienił trochę przebieg zdarzeń, tak by wszystko wyglądało oryginalniej i śmieszniej. Udało mu się. Uznanie malujące się na twarzach słuchających go mężczyzn zachęciło go do dalszego ubarwiania opowieści. Stwierdził, że pod koniec opowiadania wymachuje rękami, plastycznie odmalowując wydarzenie w trzech wymiarach.

Gdy skończył, Fox i Quinn odeszli, a on usiadł samotnie przy biurku. Ogarnęły go lekkie wyrzuty sumienia.

Przede wszystkim było mu wstyd z powodu upiększenia opowieści. Kiedy mówił, zapomniał o bożym świecie, lecz później, gdy został sam i emocje opadły, nie miał nic, co by mu służyło za tarczę. Z jednej strony - z praktycznego punktu widzenia - groziło mu, że okrzykną go

łgarzem. Kto wie, może już cieszył się taką opinią u niektórych pracowników Lausch Company. Ludzie śmiali się z jego opowieści, lecz za jego plecami mrugali do siebie porozumiewawczo i mówili o nim to, co -jak słyszał - mówili też o innych: że nie można mieć do nich zaufania. A zaufanie u ludzi, zwłaszcza w kwestii prawdomówności, to jedna z najważniejszych spraw.

Przyszło mu do głowy, że człowiek, który nie mówi prawdy, przypuszczalnie nie potrafi jej odróżnić od kłamstwa. Do podobnego wniosku mogą dojść jego współpracownicy, a w jego pracy umiejętność odróżnienia faktów od fikcji ma poważne następstwa ekonomiczne. W każdym razie pośrednio.

Siedząc przy biurku, próbował - jak to często robił - postawić się w ich położeniu. Spróbował sobie wyobrazić, jak wygląda w ich oczach. Wysoki, co do tego nie ma wątpliwości, o wypukłym czole i przeredzonych włosach. Okulary zbyt ciemne i ciężkie, nadające mu wygląd intelektualisty, jak to określiła jego żona. Typ naukowca z badawczym, zatroskanym spojrzeniem.

Odsunął się z krzesłem od biurka i rozejrzał, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Nie obserwował. Ostrożnie opuścił więc rękę i wsunął ją w spodnie. Robił to wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zawsze, ilekroć zabolalo go w pachwinie. Kiedy niósł puszki z farbą, znów poczuł ukłucie bólu i musiał dotknąć bolącego miejsca. Nie mógł się powstrzymać.

Nie, pachwina jest w porządku. Nie ma miękkiej, ciastowatej opuchlizny. Pomasował znajome miejsce, czując niechęć do swojego ciała. Nie lubił tego robić, ale musiał. Przypuśćmy, że pewnego dnia, kiedy go zaboli, znowu, jak przed kilku laty, wyczuje opuchliznę? Co wtedy? Jednak operacja?

Przepuklina przypuszczalnie była zaleczona, choć nie wyleczona całkowicie. A nawet jeśli się wyleczył, możliwy jest przecież nawrót choroby. Wystarczy podnieść zbyt ciężki karton albo wyciągnąć rękę przy zmienianiu żarówki... I znów poczuje ten okropny rozdzierający ból i albo przez kolejne lata będzie musiał nosić pas, albo czeka go długo odkładana operacja.

A na dodatek to ryzyko - ryzyko, że po operacji może być bezpłodny. On, który jeszcze nie ma dzieci, miałby się stać bezpłodny.

Masując niezdecydowanie pachwinę, ujrzał nagle kątem oka jakiś ruch. Ktoś szedł w jego stronę. Wyrwał rękę ze spodni w tym samym momencie, kiedy przybysz stanął przed jego biurkiem. Poczuł okropne zażenowanie, coś w rodzaju dziecięcego wstydu z powodu przyłapania na... Podobnie musiała się czuć kobieta, która przed nim stanęła. Zarumienił się i uciekł



spojrzeniem w bok, przelotnie dostrzegając damski płaszcz, torebkę i gustownie ubraną postać z krótko obciętymi włosami. I wtem uświadomił sobie, że kobieta, która przed nim stoi, jest jego żoną. Sherry zdobyła się na przyjscie do jego biura. Proszę, proszę. Podniósł wzrok i stwierdził, że bacznie go obserwuje. Jego poczucie winy wzrosło. Wiedział, że uwidoczniło się to na jego twarzy.

- Co robiłeś? - zapytała.

- Nic - odparł.

- Czy tym zajmujecie się przez cały dzień? Dombrosio siedział ze spuszczoną głową, splatając i rozplatając dłonie.

- Przyszłam, żebyś mi zrealizował czek - zaszczębio-tała Sherry. - Chcę pójść do fryzjera, a potem na lunch.

- Jak dostałaś się do miasta? - Samochód rzecz jasna wziął on, żeby pojechać do pracy. A teraz auto znajdowało się w warsztacie i w ogóle nie było na chodzie.

- Dolly Fergesson mnie podwiozła. - Usiadła, otworzyła torebkę, wyciągnęła pióro i książeczkę czekową i zaczęła wypisywać blankiet.

- Przejechałaś taki kawał drogi tylko po to, by pójść do fryzjera?

- Owszem. - Podała mu czek i zaczęła chować pióro i książeczkę czekową do torebki.

- Czemu mi go dajesz? Sama idź z nim do księgowości. Mam dużo pracy.

- Kiedy przyszłam, nie pracowałeś - odparła jego żona. - Posłuchaj, spieszę się. - Patrzyła na niego chłodno i wyzywająco, aż w końcu Dombrosio złamał się i wziął czek. - Dzięki - rzuciła.

Kilka minut później stał w biurze, czekając, aż księgowy przyniesie pieniądze. Z miejsca, w którym się znajdował, widział Sherry. Chodziła od biurka do biurka, rozmawiając z projektantami. Wszyscy ją oczywiście znali i witali z uśmiechem. Przyglądała się, kto nad czym pracuje.

Gdybyście ją lepiej znali, nie chwalilibyście się tym, co robicie, pomyślał Dombrosio, Zawsze się obawialiście przeniknięcia szpiegów do biura. A teraz ona ukradnie wam pomysły. Rozpowie o nich na mieście.

Jego żona czuła się tu jak ryba w wodzie. Łatwo znajdowała wspólny język z projektantami. Siedząc na krawędzi biurka, wyglądała bardzo sztywnie w swojej brązowej

wielnianej sukience, sandałach i ręcznie robionych kolczykach.

Wróciwszy najszybciej, jak mógł, Dombrosio stanął obok żony i Quinna, który pokazywał jej swoje rysunki. Byli tak zajęci, że go nie zauważyli. Wyglądało na to, że Sherry wytknęła mu jakiś błąd, bo Quinn marszczył czoło. Zaraz ci powie, co źle zrobiłeś, pomyślał Dombrosio.

- Zobaczysz, że ci dobrze doradzi- rzucił na głos. Powiedział to żartobliwym tonem, toteż zarówno Sherry, jak i Quinn uśmiechnęli się. Ten ostatni jednak wciąż przyglądał się rysunkowi.

- Sherry przez rok studiowała w akademii sztuk plastycznych - rzekł Dombrosio.

- Trzy lata - poprawiła cicho.

- Och, wybacz - rzucił lekceważąco.

- I zapominasz o moich pracach.

- Jakich pracach?

- Mobilach.

- Pływających kawałkach drewna- poinformował Quinna.

- A także o wyrobach ze skóry i o mojej biżuterii, którą, wciąż robię, mimo wielu zajęć- odpowiedziała Sherry.

- Zajęć polegających na siedzeniu w domu i zbijaniu bąków, czy tak?

- Poczekajcie, aż będziecie mieli dzieci - mruknął Quinn.

- To dopiero będzie dzień - powiedziała Sherry.

- Chciałbym ją zobaczyć przy wiertarce - rzucił Dombrosio, starając się pochwycić spojrzenie Quinna, by mrugnąć do niego okiem. - Wiesz, czym by się to skończyło. Przewierciłaby sobie dłoń na wylot. - Chwycił prawą rękę żony, ale mu ją wyrwała. Zobaczył jednak smukłe palce z pomalowanymi na zielono paznokciami. -Zielone - zauważył, a do Quinna powiedział: - Pamiętasz, jak zrobiliśmy kiedyś manekin kobiety z zielonymi paznokciami i... co to było?... metalicznie srebrnymi włosami. - Roześmiał się. - Wyglądała, jakby miała osiemdziesiąt lat.

- To teraz modne kolory - oświadczyła Sherry. Wstając, wzięła od niego pieniądze. - Dzięki za zrealizowanie czeku. Do zobaczenia wieczorem. - Ruszyła w kierunku drzwi. Dombrosio poszedł za nią. - Przy okazji - zaczęła i urwała, jakby się namysławiając. - Chcę cię o coś zapytać. Pamiętasz tę łąkę za domem, gdzie znajduje się szambo? Tę za patio. Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zbiera się tam woda? Dziś rano zauważyłam kałużę wielkości... - Zrobiła

niezdecydowany ruch ręką.- Niedużą. Trawa zdążyła się zazielenić, więc chyba stoi tam co najmniej od tygodnia. Biegną tamtędy dreny rozsącza-jące, prawda? To chyba z nich cieknie?

- Owszem, nie są w stanie odebrać całej wody - zgodził się Dombrosio.

- Czy mamy powód do zmartwienia?

- Nie, to normalne.

- Jesteś pewny?

- Tak.

- No cóż - rzekła i utkwiała w nim wzrok. Szaronie-bieskie oczy spoglądały czujnie. - Czasem zbytnia pewność siebie nie popłaca.

- Kiedy ciecz odpływa rurami, jak na przykład wtedy, gdy bierzesz kąpiel lub robisz pranie... - zaczął tłumaczyć poirytowany.

- Myślałam, że pralka powtórnie wykorzystuje tę samą wodę.

- Owszem, lecz w końcu musi ona spłynąć. Woda, która wydostaje się na powierzchnię... cóż, w tym miejscu jest najwyraźniej jakieś zagłębienie terenu. Pewnie od początku się tam gromadziła, lecz dopiero teraz to zauważyłaś.

- Zimą będzie gorzej.

- Z pewnością- potwierdził, starając się zachować cierpliwość. - Ponieważ ziemia będzie wchłaniać mniej wody.

- Może powinnam zadzwonić do Johna Floresa? Flores zajmował się w okolicy naprawą szamb.

- Nie - odparł Dombrosio.

- A więc nikomu nie mam o tym mówić?

- Nikomu. - Ze stojącego obok biurka wziął notatnik, chwycił pióro i zaczął rysować. - Czy rozumiesz, jak działają dreny rozsącza-jące? Z tego, co wpływa do szamba, zanieczyszczenia stałe opadają na dno, gdzie rozkładają je bakterie, natomiast woda przesącza się przez ten osad i drenami jest odprowadzona na zewnątrz do gruntu.

Sherry przyjrzała się rysunkowi i powiedziała:

- Bardzo pouczające, ale mimo to zadzwoniłam do Arbartha, Jego firma zbudowała nasz dom.

Dombrosio zagapił się na żonę, zaskoczony. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Co takiego? - odezwał się w końcu. - Kiedy do niego zadzwoniłaś? Czemu wcześniej nie porozumiałaś się ze mną?

Wzruszyła ramionami.

- Pojechałeś do pracy.

- Co powiedział?

- Powiedział, że o tej porze roku to nienormalne i że to bardzo zły znak. Przyjedzie jutro, najwcześniej, jak będzie mógł, żeby zrobić oględziny. Być może będziemy musieli założyć dodatkowe czterdzieści metrów drenów. -Na twarzy Sherry pojawił się lekki, kpiący uśmiech.

- Skoro do niego zadzwoniłaś - wydusił w końcu - to dlaczego mnie pytałaś, czy sprawa jest poważna? Przecież wiedziałaś, że jest. A poza tym powiedz mi, ile sobie zażyczyłaś? A może nie byłaś łaskawa go zapytać?

- Pięć dolarów za metr - odparła Sherry. Dombrosio przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- A zatem dwieście dolarów.

- To sporo, ale chyba trzeba to zrobić. Tak w każdym razie twierdzi Arbarth. - Sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej.

- Nie... mamy dwustu dolarów na rury- wycedził najwolniej, jak potrafił.

- Porozmawiałam szczerze z Arbarthem. Możemy mu zapłacić w czterech ratach. Jeśli, oczywiście, zdecydujemy się skorzystać z jego usług. Ale zadzwoniłam także do Floresa. Trzeba zebrać jak najwięcej ofert.

- Powinnaś to była najpierw omówić ze mną - rzucił ochryple. - Powinnaś mi była powiedzieć; sam zadzwoniłbym do Arbartha. To należy do mnie, a nie do ciebie. Nie mam zamiaru wybulić tyle forsy... Zatrudnię kilku licealistów z okolicy, kupię dreny u Grandiego, a żwir przywiozę z Tocalomy wynajętą ciężarówką!

- Arbarth powiedział, że kłopoty wzięły się stąd, że instalacja od początku była źle wykonana. Trzeba to zrobić dobrze. - Spojrzała na zegarek, odwróciła się na pięcie i szybko wyszła. Kątem oka Dombrosio dostrzegł Dolly Fergesson stojącą w holu; ona również była sztywnie ubrana. Obie panie przygotowane były na całodzienne zakupy i wypad do restauracji.

Gdy odprowadzał żonę wzrokiem, podszedł do niego Quinn. W rękę trzymał rysunek.

- Nie wiem, o co jej chodziło - powiedział, podnosząc rysunek i marszcząc czoło.

- Wkurzyła cię. Nie martw się z jej powodu. To tylko sfrustrowana malarka amatorka.

Wiesz, jakie one są. Gospodynie domowe, które całymi dniami nic nie robią i nudzą się jak mopsy. - Nagle jednak ogarnęły go wyrzuty sumienia, że obgaduje własną żonę. - Ale zdolna z niej bestia - dodał półgłosem. - Powinieneś zobaczyć niektóre jej prace. Kiedyś miała wystawę w restauracji w Sausalito. - Naprawdę mogła zrobić karierę, pomyślał. - Ale postanowiła wyjść za mąż, jak inne kobiety - powiedział na głos.

Wciąż lekko oszołomiony, wrócił do swojego biurka i usiadł, by zabrać się do pracy. Dwieście dolarów... Przez jakiś czas nie był w stanie niczego zrobić.

Tego samego dnia o piątej trzydzieści stał w chłodnym warsztacie samochodowym, spoglądając na swoją alfę romeo stojącą na podnośniku.

Co zrobię, jeśli naprawa będzie droga? - zadał sobie pytanie. Zwłaszcza teraz, gdy trzeba kupić nowe dreny. Mechanik wyszedł; nie miał okazji powiedzieć Dombro-siowi, co zostało zrobione przy samochodzie albo co jeszcze należy przy nim zrobić.

A jeśli Charley nie zdąży naprawić go przed ósmą? - zastanawiał się, chodząc z rękami w kieszeniach po drewnianej podłodze warsztatu. O Boże, a jeśli trzeba sprowadzić jakąś część? Co wtedy? Jak w ogóle dostanę się do domu?

Nie po raz pierwszy stał po pracy w tym pustym, chłodnym baraku, trzęsąc się z zimna, patrząc na swój samochód i zastanawiając się, ile będzie kosztowała naprawa... a potem modląc się, by tylko dostać go z powrotem. Mniejsza o koszty, byle tylko ruszył.

W drzwiach łazienki pojawił się mechanik: wysoki, chudy Murzyn, który od wielu lat naprawiał mu wóz. Dombrosio spojrzał na niego pytająco.

- Jest gotowy - uspokoił go Chuck Halpin. Kamień spadł mu z serca.

- To wspaniale! - wykrzyknął. - Co było?

- Nic takiego. Zatarte zwrotnice - odparł Chuck, wycierając ręce szmatą. Uklęknął przy podnośniku i zaczął opuszczać samochód na ziemię.

- Można polegać na twoim słowie - stwierdził Dombrosio.

- Kiedyś podaruję ci zestaw kluczy i sam będziesz mógł otworzyć warsztat - zażartował Chuck, ale widać było, że uwaga Dombrosia zrobiła mu przyjemność. - Przecież zawsze twój samochód jest gotowy na czas - dodał. - No, prawie zawsze.

Podszedł drugi mechanik i powiedział:

- Charley musiał pojechać aż do San Francisco po twoje zwrotnice. - Wskazał na cadillaca rocznik '49, który należał do Chucka Halpina; auto stało na podjeździe, na biegu. - Dopiero

niedawno wrócił.

- Mogliśmy kazać je dostarczyć autobusem, ale prawdopodobnie dotarłyby dopiero jutro - wtrącił Chuck. Widząc, że Dombrosio chce coś powiedzieć, dodał: -Wszystko jest na rachunku, nie martw się. - Sięgnął po ołówek i zaczął go podliczać.

- Posłuchaj, zrób mi przyjemność- odezwał się po chwili Dombrosio.

Chuck Halpin spojrzał na niego badawczo.

- Może przyszedłbyś do mnie na obiad? - zaproponował Dombrosio. Pod wpływem emocji dodał: - Zawiozę cię i przywiozę z powrotem. Jeśli chcesz, możesz sam poprowadzić alfę. Pamiętasz, jak byłem u ciebie ostatnim razem? Wspomniałeś, że chętnie byś się nią kiedyś przejechał.

- Już ją prowadziłem- powiedział powoli Halpin.

- Tylko dookoła warsztatu.

Halpin bezmyślnie bazgrał ołówkiem.

- Co powie na to twoja żona? Jesteś żonaty, prawda?

- Zadzwońię do niej - odparł. Przeszedł obok Halpi-na i otworzył drzwi do jego biura. - Co ty na to? Umowa stoi?

- W porządku... skoro nalegasz - powiedział cicho mechanik.

- Świetnie - ucieszył się Dombrosio. Zamknął za sobą drzwi, usiadł przy telefonie, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Sherry, oczywiście, nie było w domu: jeszcze nie wróciła z wypadu do miasta. Ale to nie miało znaczenia. W każdym razie w tej chwili. Rozkoszował się już tym, jaką robi jej niespodziankę. Jeśli jej się nie spodoba, tym gorzej dla niej, pomyślał. Może się zachować niezręcznie. Ale w sumie dobrze jej to zrobi. Powinna się nauczyć, jak postępować w takich sytuacjach. Prawdziwa pani domu powinna umieć przyjąć każdego gościa.

Gdy wyszedł z biura, zobaczył, że Halpin głęboko się nad czymś zastanawia. Na jego widok podniósł głowę i powiedział:

- Słuchaj, Walt, czy w twoim mieście mieszkają jacyś Murzyni?

- Nie wiem - odparł Dombrosio, ale to nie była prawda. Wiedział, że nie mieszka tam ani jeden Murzyn.

- Nie chcę obniżyć wartości twojej nieruchomości -zażartował i Dombrosio również się uśmiechnął. - Ale przecież będzie ciemno, gdy tam zajdziemy.

Dombrosio klepnął go w szczupłe plecy i poczuł, jak zginają się pod uderzeniem.

- Nie bądź przewrażliwiony - powiedział. - Takie rzeczy należą już do przeszłości. Popatrz na drużyny sportowe: na Gigantów z Willym Maysem i tym nowym gościem na pierwszej bazie, Samem Jonesem.

Mechanik nie spytał, czy Dombrosio skontaktował się z żoną. Najwyraźniej uznał, że tak. Zaczął się przebierać. Jego ruchy były powolne i niezgrabne: rozpięcie wszystkich guzików kombinezonu zajęło mu sporo czasu. Dombrosio wyszedł z warsztatu i usiadł w samochodzie, cierpliwie czekając.

## Rozdział trzeci

Z kuchni dobiegł Leo Runcible'a znajomy dźwięk. Odgłos przypalanej patelni, o której ktoś zapomniał. Wkrótce jej zawartość wyparuje i droga stalowa patelnia z miedzianym dnem, stanowiąca część kompletu, będzie się nadawała do wyrzucenia. Janet już zdążyła zniszczyć nowy czajnik. Miała zwyczaj nalewać wodę, nastawiać palnik na maksimum, a potem iść do łazienki, by wziąć długą kąpiel, czytając książkę. Czasami wyjeżdżała do miasta na zakupy, zostawiając na kuchence patelnię z jajecznicą, a raz nawet zapomniała wyłączyć wiszący na ścianie piekarnik elektryczny. Kiedy wróciła do domu, poczuła swąd spalonego drewna: ściana zaczęła się tlić.

Odłożył gazetę. Dokąd poszła jego żona? Brzęk szkła: robiła sobie drinka. Wstał, przeszedł przez salon i zajrzał do jadalni. Stała przy kredensie, bez reszty pochłonięta mieszanym cukru, wody i gorzkiej wódki. Z miejsca, w którym stał, ocenił, że drink będzie za słodki -kryształki cukru osiadały na ściankach szklanki. Nie mówiąc ani słowa, ruszył dalej do kuchni.

Na małej patelni bulgotała jakaś papka: tworzyły się w niej bąble jak w lawie, odsłaniając szerniałe stalowe dno. Tak, pokrętko kuchenki było nastawione na maksimum. Runcible zdjął naczynie i wyłączył palnik, który niebezpiecznie rozgrzał się do czerwoności. Pozostałe

garnki i patelnie stały z boku pod pokrywkami; stół był nakryty i wszystko wskazywało na to, że obiad jest gotowy. Jak zwykle Janet zapragnęła wypić drinka przed jedzeniem. Nic mu nie mówiąc, postanowiła opóźnić obiad, byle tylko wypić jeszcze jedną szklaneczkę. A gdyby coś jej powiedział, na przykład, że jest głodny, przyniosłaby drinka, jak gdyby nigdy nic postawiłaby go na stole i popijała do obiadu. Zamiast kawy albo wody.

- Co to za sos?- zapytał, wchodząc z powrotem do jadalni.

- Do kalafiora - odparła Janet. Tym razem nalewała sobie taniego bourbona, Cyrus Nobel, którego kupiła na rynku. Uśmiechnęła się do niego. - Zrobiłam sos serowy, który tak lubisz. - Na kredensie, w kałużę wody z roztopionych kostek lodu, leżała otwarta książka kucharska.

Wiele rzeczy w domu było zrobionych źle lub nie zrobionych wcale. Na przykład z dworu dobiegał go szum wody ciekącej z węża; zostawiła odkręcony kurek i zapomniała o nim. Przez tydzień nie opróżniała stojącego w salonie kosza na śmieci, tak że koperty po rachunkach



wysypywały się na podłogę. Co robiła przez cały dzień? Na pewno grała w scrabble z przyjaciółkami. Kiedy wrócił do domu o piątej, znalazł planszę do gry rozłożoną na stoliczku.

- Mogę ci w czymś pomóc? - zapytał.

- Czy mógłbyś... - Wyglądało, jakby nie mogła zebrać myśli. - Może pokroiłbyś ser. - Przeszła obok niego i wróciła do kuchni. Widok patelni zdjętej z palnika nie wzbudził jej zainteresowania. Jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że zdjął ją za nią. - Zależy ci, żebyśmy od razu siedli do stołu? - zapytała.

- Wieczorem przychodzą Wilby.

- Pierwsze słyszę.

Nie odpowiedział. Stał i rozglądał się po kuchni, zastanawiając się, co ma zrobić, żeby przyspieszyć przygotowania do obiadu. Nie chciał jednak wywierać na nią presji.

Gdyby to zrobił, gdyby stała się spięta, zupełnie by się pogubiła. Naczynia zaczęłyby jej lecieć z rąk, a kiedy próbowałaby posprzątać, pozbierać szkło i wytrzeć podłogę, zdenerwowałaby się jeszcze bardziej. Znienacka jej zdenerwowanie przerodziłoby się w złość. Oskarżyłaby go, że się czepia. A potem w ogóle przestałaby cokolwiek robić. Mogłaby nawet rzucić miotłę lub szmatę - cokolwiek by trzymała w ręku - pójść do szafy, wyciągnąć płaszcz i wyjść z domu. Gdyby się to wydarzyło po zmroku, wyjechałaby gdzieś samochodem. Znalazłby się sam z bałaganem w kuchni, nie dokończonym obiadem, bez żony, z całą domową robotą na swojej głowie. Wszystko musiałby zrobić sam.

Tylko co dla niej stanowiło presję? Po kilku drinkach obniżał się jej poziom percepcji, a wtedy wszystko mogłaby nazwać presją. Mogła przekreślić sens jego słów lub nadać im całkowicie fałszywe znaczenie. Mogło ją zdenerwować nawet to, że on stoi teraz w kuchni. Może powinien przykręcić ten palnik albo nastawić tamten. Zdjął sos z ognia - to też mogło wytrącić ją z równowagi. Nie wiedział, ile wypila, a było to bardzo ważne.

Snując takie rozważania, sam się zezłościł. Wiedział, że żona źle go traktuje. Dlaczego we własnym domu ma chodzić na paluszkach? Zwłaszcza wtedy, kiedy oczekuje ważnych gości? Na dobrą sprawę powinien myśleć o swoich starych dobrych przyjaciółkach, Wilbach. Problem wiecznej nadwrażliwości żony po wypiciu kilku drinków nie powinien zaprzętać jego uwagi.

- Czemu nic nie mówisz? - odezwała się Janet za jego plecami.

- Chciałbym, żebyśmy spędzili miły wieczór - odpowiedział. - Posiedzieli i pogadali bez żadnych tarć. Nie chcę, żebyś znowu zaczęła długo i chaotycznie opowiadać o tym, co ci akurat

przyjdzie do głowy.

- Kochanie, nie rozumiesz - rzekła, o dziwo nie wpa~ dając w zły humor. - Kiedy sobie trochę wypiję... - Stała w progu i uśmiechała się do niego, lecz odniósł wrażenie, że lekko się chwieje. - Wszystko mam przygotowane, tylko trudno mi się zorganizować.

- Dobrze by było, gdyby dziś wieczór ci się to udało -stwierdził. - Jestem skonany, a Paul również będzie zmęczony po długiej podróży. - Po czym dodał: - Wiesz, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, być może się tutaj sprowadzą. W każdym razie mam taką nadzieję.

Janet otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Przecież ci mówiłem, że są zainteresowani domem McGuffeyów. - Umilkł i odwrócił się w stronę kuchenki, koncentrując całą uwagę na pokrętlach palników.

Żona powoli podeszła do niego.

- Nie zawiodę cię- powiedziała zarazem łagodnie i poważnie. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy.

Zobaczył, że ma mokre oczy, a ręka, którą dotknęła jego ramienia, drży. Nie ma nic gorszego niż życie z sentymentalną pijaczką, pomyślał.

- Siądźmy wreszcie do obiadu, dobrze? - zaproponował.

Później, kiedy sprząтали ze stołu po obiedzie, Janet zapytała, czy się nie obrazi, jeśli nie dotrzyma mu towarzystwa, gdy przyjdą Wilby. Chciałaby się położyć do łóżka i poczytać albo pooglądać telewizję. Wszystko przygotowała. Nastawiła wodę na kawę, wzięła szlafrok, okulary, papierosy, zapalniczkę, popielniczkę, włączyła ogrzewanie w sypialni, przyniosła sobie chusteczki do nosa, no i oczywiście książkę. Tę, którą wczoraj otrzymała z klubu.

- Nasi znajomi przyjeżdżają aż z Tiberonu, a ty chcesz pójść do łóżka i poczytać? Czy nie widzisz, że nie mam w tobie żadnego oparcia? Jak mam wykonywać swoją pracę?

Słyszac to, pobladła. Kiedyś, przez pół roku, pracowała u niego w biurze, przepisując pisma na maszynie,

odbierając telefony i wydając klucze klientom. Dzięki temu nie musiał zatrudniać sekretarki. Okazało się jednak, że ta praca jest dla niej zbyt dużym obciążeniem. W nocy nie mogła spać i wtedy po raz pierwszy zaczęła nadużywać alkoholu. Przedtem piła tak jak on, tylko do towarzystwa: jedno lub dwa martini przed obiadem i old fashioned po obiedzie, no i oczywiście trochę więcej podczas przyjęć. Jednak w zeszłym roku zaczęła popijać sama, kiedy

był w pracy. Gdy o szóstej wracał do domu, była już niezłe wstawiona. Pomaganie mu w pracy i związana z tym odpowiedzialność okazały się zadaniem ponad jej siły. Runcible nie mógł tego zrozumieć. Nie żądał od niej niczego nadzwyczajnego, jedynie niewielkiej pomocy przy prowadzeniu biura, załatwiania papierkowej roboty i odbierania telefonów. Właściwie to jej praca nie wiązała się z żadną odpowiedzialnością. Lecz nawet wydawanie kluczy wzbudzało w niej lęk. Jakby była przekonana, że zrobi coś złe.

Zresztą być może wcale nie chciała mu pomagać. Od samego początku o to podejrzewał. Twierdziła, że chce to robić, zapewne jednak podświadomie oburzała ją, że musi na to poświęcać swój czas. Na zdrowy rozum, jeśli naprawdę chciała u niego pracować, to co jej w tym przeszkadzało? Nic nie dzieje się bez przyczyny. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego jego inteligentna żona wykazała się taką niekompetencją. Sądził, że wie, co to za powód. Pragnęła mu zaszkodzić. Najprawdopodobniej dlatego, że mu zazdrościła. Zazdrościła energii i zdolności. Albo, jak w wypadku większości kobiet, zazdrościła mu, że jest mężczyzną - że należy do męskiego świata, z którego ona jest wykluczona.

Ale czyja to była wina? Kto przeszkadzał jej dojść do czegoś? Zgoda, jest tylko gospodynią domową i matką, ale kiedy otrzymała szansę na aktywniejsze życie, wycofała się, zaprzepaściła ją. Najlepszy dowód, pomyślał, że nie potrafi nawet zachować form towarzyskich i powitać gości: Paula i Phyllis- starych przyjaciół, a kto wie, może i klientów.

- Do diabła... wiesz, jak bardzo mi zależy na tym, by tu zamieszkali - wybuchnął.
- Wiem - rzuciła szybko. - Miałbyś wreszcie kogoś, z kim mógłbyś pogadać. Nie czułbyś się taki samotny.
- Nie czuję się samotny.
- Mógłbyś rozmawiać z Paulem o łodziach.

Paul przez wiele lat uprawiał żeglarstwo. Był właścicielem łodzi klasy Star i brał udział w regatach. Runcible poznał go właśnie w jachtklubie w Carquinez. Janet nie miała jednak racji. Nie musiał nikogo sprowadzać, żeby móc porozmawiać o łodziach; w okolicy roiło się od właścicieli słupów, skiffów i Joli. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się rzędy letnich domków i altan. W sklepie spożywczym sprzedawano pozwolenia na łowienie ryb, przynęty i sprzęt wędkarski. W urzędzie pocztowym wywieszano informacje o gatunkach małż będących pod ochroną. Nawet większość tutejszych samochodów miała haki do holowania wózków z łodziami.

- Do diabła z łodziami - warknął.

Od wielu lat Paul Wiłby z powodzeniem prowadził firmę budowlaną w hrabstwie Southern Marin. Pracował z najlepszymi architektami w okolicy, budował piękne domy na wzgórzach warte czterdzieści tysięcy dolarów, a na dodatek związał się z ludźmi zajmującymi się parcelacją ziemi. Jego firma skupiła sporo gruntów wzdłuż autostrady numer 101.

- Chciałbym wejść w spółkę z Paulem - oznajmił Run-cible. - W okolicy jest mnóstwo tanich, lecz dużych działek. Dwustu-, trzystuakrowych. - Wszystkie mniejsze zostały już wykupione. Lecz jak dotąd nie pojawili się spekulanci. Żaden z nich na razie nie zawędrował na drugą stronę góry. Jednak prędzej czy później to nastąpi. Zamożni ran-czerzy, którzy mają ziemię na sprzedaż, zrobią dobry interes. Wiedział, że na przykład stary Bob Hanson rozgląda

się za kupcem na swoje rancho Bear Mesa. Aby przyciągnąć nabywców, wyrównywał właśnie buldożerem kilkanaście akrów względnie płaskiego terenu rozciągającego się po obu stronach drogi należącej do hrabstwa. W ciągu dnia w miasteczku słychać było ten hałas i każdy, kto chciał, już zdążył się zorientować, o co tu chodzi.

Ziemia Hansona nie była jednak tania. Stary żądał około sześciuset dolarów za akr. Oznaczało to, że potencjalny kupiec musiałby wyłożyć ze dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce. Spory pieniądz, a pokrywał tylko wydatki związane z zakupem ziemi. Aby ją rozparcelować, nabywca musiał - zgodnie z miejscowym prawem - pobudować drogi. A to kosztuje fortunę, którą trzeba by było wydać, zanim jeszcze cokolwiek się wybuduje; drogi miały po prostu dzielić ziemię na działki, powiedzmy sto na sześćdziesiąt metrów. Do każdej działki musiał być dojazd, a tymczasem spora część terenu była pagórkowata. Nabywca, aby coś zdziałać, musiał mieć własne maszyny; gdyby wynajął firmę, prawdopodobnie straciłby na całym interesie. Sprzedaż rozparcelowanych setek akrów ziemi mogła się ciągnąć latami. A poza tym, żeby przyciągnąć ludzi, trzeba było wybudować modelowy dom i sporządzić zestawienie kosztów jego budowy. Ale z taką przykład ziemią Jancuzziego...

- Słyszałam... - zaczęła Janet i zawahała się - że nie powinno się robić interesów z przyjaciółmi.

- Dlaczego?

- Ponieważ interesy zabijają przyjaźń.

- Dlaczego?

- Ponieważ... prowadzi to do konfliktów- odparła, jękając się. - To samo dotyczy męża i żony, którzy próbują wspólnie prowadzić firmę. Spójrz, co się stało z nami w pięćdziesiątym

siódmym. - Był to rok, w którym próbowała podjąć pracę w jego biurze. - Tak samo jest, kiedy mąż próbuje nauczyć żonę prowadzenia samochodu. - Umilkła i uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

- Dlaczego naprawdę chcesz się położyć do łóżka? - zapytał tonem, który oznaczał, że domaga się szczerej i wyczerpującej odpowiedzi.

- Wiesz, że od tamtego zdarzenia zawsze okropnie czuję się w towarzystwie Paula i Phyllis. - Mówiła tak cicho, że z trudem ją słyszał. Musiał się nachylić, żeby zrozumieć, co mówi. Jak jakiś przygłuchy stary farmer, pomyślał. - Chodzi mi o tę okropną grę w zagadki - wyszeptała.

Takie rozpamiętywanie starego zdarzenia było typowe dla jego żony. Przed kilkoma miesiącami spotkali się we czwórkę na przyjęciu w domu pewnego klienta w San Anselmo. Janet za dużo wypiła i kiedy przyszła jej kolej, by pokazać na migi tytuł książki, stała bezradna z głupią miną, bezsensownie wymachując rękami do swojej skołowanej drużyny, aż w końcu upłynął czas i klapnęła na krzesło.

- Wszyscy, oprócz ciebie, o tym zapomnieli.

- Wciąż się zastanawiam i myślę, że nawet gdybym była trzeźwa i miała tydzień na przygotowanie... Ciekawe, jak ty byś pokazał tytuł Słownik wyrazów blisko-znaczących. - Spojrzała na niego bezradnie.

- Pokazałbym słonia, małego - odparł. - A potem bym pokazał, że w środku trzeba dodać literę „w”.

- A co dalej?

- Nie wiem. Ale powiem ci jedno: jeśli pójdziesz do łóżka i nie przywitasz się z Wilbymi, pożałujesz tego do końca życia.

Zapadła cisza.

- Zostanę chwilę z wami - wyszeptała ze zwieszoną głową. - Ale przysięgam, na Boga, że naprawdę źle się czuję. Chyba znowu mam grypę. Boli mnie tak samo jak kiedyś. - Przejechała ręką wzdłuż talii.

Po wyrazie jej twarzy i zatroskanym spojrzeniu Run-cible wiedział, że zostanie z nimi. Bała się go opuścić. Równie mocno, jak pragnęła się położyć do łóżka, przykryć ciepłą kołdrą, poczytać książkę, jedząc karczochy w sosie cytrynowym, chciała zostać z nimi w salonie, porozmawiać i pokazać, że jest dobrą żoną i gospodynią.

- Możesz pogadać z Phyllis o książkach - zaproponował.

- Phyllis Wilby przegląda tylko kolorowe magazyny u kosmetyczki - powiedziała i wyprostowała się. - Jestem ostatnią osobą, która czyta dobre książki. - Przez chwilę miała ochotę się zbuntować, lecz dała za wygraną i zabrała się do sprzątanania ze stołu.

Żalozne, pomyślał. Te pornograficzne śmieci, które otrzymuje z klubu, nazywa dobrymi książkami. Ohyda -leżeć w łóżku, zajadając się gotowanymi karczochemi i czytać o starych facetach pieprzących małe dziewczynki. Tylko dzięki takim babom jak ona, które czerpią przeżycia z drugiej ręki, te kluby książkowe jeszcze nie zbankrutowały.

Przechodząc przez salon, zatrzymał się na chwilę przy oknie i z rękami w kieszeniach spojrzął w dół na drogę. Rozrzucone tu i ówdzie światła pozwoliły mu zlokalizować w ciemności inne domy. Kiedy Wilby zjadą z szosy, reflektory ich samochodu oświetlą salon, gdyż droga pnie się dość stromo pod górę. Zaparkowanie auta zawsze zajmuje Paulowi sporo czasu, gdyż chce być pewny, że bez kłopotu będzie mógł wyjechać. Czasami wychodzi z przyjęcia zbyt wstawiony, żeby wykonywać skomplikowane manewry.

- Czy Wilbych stać na dom McGuffeyów? - zawołała z kuchni Janet.

- Posłuchaj, Paula stać na wszystko.

- Ale ten dom jest dla nich za duży. Jest ich tylko dwoje, nie mają dzieci... Tyle tam sypialni. Dwa piętra!

- Dom McGuffeyów jest najładniejszym domem w całej okolicy. Za żadne pieniądze nie kupisz niczego lepszego.

- Tak? A dom Marstonów?

- Powiesz to Paulowi i Phyllis?

- Myślę, że powinienesz poczekać na to, co powiedzą, gdy obejrzą dom - powiedziała Janet. - Jestem pewna, że uznają go za zbyt duży dla siebie.

- Już go widzieli. I wcale nie uznali go za zbyt duży. Potrzebują wielu pokoiów dla gości.

Janet wyszła z kuchni.

- Kiedy im go pokazałeś?

- W zeszłym miesiącu.

- Jaką cenę im podałeś?

- Trzydzieści dwa tysiące.

- Ale przecież powiedziałaś, że McGuffey żąda czterdziestu dwóch.

- Mało mnie obchodzi, czego chce ten stary piernik.

- Jesteś jego pośrednikiem. Obiecałeś...

- Obiecałem, że znajdę kupca na jego dom, który zaoferuje najwyższą możliwą cenę - przerwał jej. - Nie dostanie za niego czterdziestu dwóch tysięcy. Jest zbyt chciwy. Nie ma pojęcia, jak wygląda sytuacja na rynku. To jest moja działka.

- Od jak dawna masz go w ofercie?

- Od miesiąca - przyznał.

- I już zdążyłeś zejść z ceną o dziesięć tysięcy? - Podeszła do niego, by mu spojrzeć w oczy. - Czy taką samą cenę podałybyś komuś, kto nie jest twoim przyjacielem? Pierwszemu lepszemu klientowi, który przyszedłby do twojego biura i chciałby obejrzeć posiadłość?

Runcible wzruszył ramionami.

- Nieładnie - ciągnęła Janet. - Przez trzy miesiące masz wyłączność na sprzedaż tego domu.

- Cztery.

- McGuffey może go sprzedać tylko za twoim pośrednictwem, a ty chcesz go opchnąć swojemu kumpłowi sporo poniżej wartości...

- Czy ja ci mówię, jak się przyrządza sos? - wycedził. - Albo jaki proszek kupić?

- Ty gnoju - warknęła. - Ty podły gnoju.

- O co ci chodzi? - bąknął zaskoczony.

Janet odwróciła się i nie mówiąc ani słowa, wróciła do kuchni. Dobiegł go stamtąd brzęk talerzy. Usłyszał, jak krzyczy do Jerome'a oglądającego w swoim pokoju telewizję.

Dziesięć minut później omiotły go światła reflektorów. Przyjechali Wiłby. Zapalił lampę na werandzie i poszedł otworzyć drzwi.

Gdy prowadzący pod rękę żonę Paul Wiłby podszedł do schodów, Runcible zauważył, że jego gość ma zmarszczone czoło. Oboje małżonkowie sprawiali wrażenie nieobecnych duchem, jakby w ogóle go nie zauważyli. Rozmawiali półgłosem.

- Witam - rzekł Runcible.

- A, cześć Leo - odrzekł Paul, wyciągając rękę. Gdy ściskali sobie dłonie, Phyllis weszła do domu i przywitała się z Janet.

- Co się stało, Paul? - zapytał Runcible.

Wiłby zamknął za sobą drzwi. Podszedł do żony, wziął jej płaszcz i zaniósł go do szafy. -

Nic - odparł. A potem, odwracając głowę, zapytał: - Leo, czy w tej okolicy mieszkają jacyś kolorowi?

- Nie - zaprzeczył Runcible. - Ani jeden.

- Jesteś pewny?

- Może ostatnio jacyś się sprowadzili, a ty jeszcze o tym nie wiesz, Leo? - odezwała się zza jego pleców Phyllis.

- Wykluczone. Czemu pytasz?

Paul usiadł na kanapie i położył ręce na kolanach.

- Gdy się jedzie do ciebie tą drogą pod górę, po prawej stronie jest taki dom z drewnianymi kratami i drzewami. Wiesz, o który chodzi?

- To dom Dombrosia - odpowiedziała Janet.

- Wiem - rzekł Runcible. - Wiem, który to dom. No i co?

- Gdy go mijaliśmy, światło na werandzie było zapalone i przy drzwiach zobaczyliśmy Murzyna - ciągnął Paul.

- Nie ma mowy o pomyłce - dodała Phyllis. - Spe-qjalnie zwolniliśmy, żeby się upewnić.

- I co się stało? - zapytał Runcible.

- Facet wszedł do środka- odparła Phyllis.- A my pojechaliśmy dalej.

- Jeden z tych okrągłoliczych chłopców - rzekł Paul. - Wiesz, o czym mówię: czarnych jak smoła, o połyskliwej twarzy.

- Niemożliwe, żeby Dombrosiowie sprzedali dom - odezwała się Janet, po czym zwróciła się do męża. - Wiedziałbyś o tym, prawda? Leo wie o takich rzeczach -dodała, odwracając się do Paula i Phyllis.

Runcible chciał się odezwać, ale coś złego zaczęło się dziać z jego językiem. Stał się gruby i miał wrażenie, że wypełnia mu całe usta. Zamiast więc mówić, odchrząknął i zatarł ręce. Cała trójka, jego żona i Wilby'owie, spojrzęła na niego.

- Daję wam słowo honoru- wykrztusił wreszcie schrypniętym głosem - że w tej okolicy nie mieszka żaden Murzyn.

- Czyżby przyszedł w odwiedziny do Dombrosiów? - zapytała Janet.

- Możliwe. - Runcible skinął głową. - Możliwe, że był to jakiś mechanik czy ktoś w tym rodzaju. Możliwe, że był to ich przyjaciel, który przyszedł do nich w odwiedziny.

- Wątpię, żeby zaprosili do domu Murzyna - oświadczyła Janet.



Runcible widział tylko ją. Nie dostrzegał ani Wilbów, ani pokoju, ani sprzętów znajdujących się w ich salonie.

- Wątpisz? - powtórzył. - Chcę wiedzieć dlaczego. Nie mów. - Wyciągnął rękę w jej kierunku. - Nie chcę wiedzieć. Paul - zwrócił się do Wilbów - z obiecuję ci, że to naprawdę doskonale miejsce do osiedlenia się i wychowywania dzieci. Żaden Murzyn nie będzie ci się tu szwendał, a gdyby ktoś sprzedał swój dom Murzynowi... - Urwał, ciężko

oddychając. Serce mu łomotało. - To samo dotyczy Żydów - wykrztusił. - Nie znajdziesz tu żadnych Żydów zaśmiecających twoją ulicę. Dobrze ci radzę: Przeprowadź się tutaj. Cała trójka oniemiała.

- Jesteś nazistą? - zapytał Runcible. - Chciałbyś zbudować nowe Dachau czy co?

Popatrzyli na niego, jakby oszalał, jakby piana wystąpiła mu na usta. Mimowolnie podniósł rękę i wierzchem dłoni potarł dolną wargę.

- Zaraz - odezwał się Paul Wilby. Na twarz wystąpiły mu rumieńce. - Przestań się mnie czepiać, dobrze? Przejechałem czterdzieści mil, żeby was odwiedzić, ale jak chcesz, z przyjemnością pojedę z powrotem.

- I tak nie mógłbyś zostać w tym... w tym żydowskim domu- oświadczył Runcible.

- Żydowskim, szmydowskim. Skończ z tym, Leo-wtrącała się Phyllis.

- Kochanie... - zaczęła Janet.

- Przypuszczam, że po tym, jak zobaczyliście czarną twarz w okolicy, nie jesteście zainteresowani domem McGuffeyów - powiedział do Wilbów Runcible.

- Do cholery! - krzyknął Paul. - Zapytałem tylko, czy w mieście mieszkają jacyś kolorowi. Czyż nie tak? Czy to takie straszne pytanie? A ty, jak zawsze, jesteś lepszy od innych...

- Nie jestem lepszy od innych - zaprzeczył Runcible.

- Masz cholerną rację.

- Nie sprzedałbym wam domu McGuffeyów i powiem wam dlaczego - rzekł Runcible. - Z radością wam to powiem. Wiele wycierpiałem przez faszyzm; walczyłem z nim i praktycznie poświęciłem życie, by go zetrzeć z powierzchni ziemi. - Czuł, że uszy mu płoną. Phyllis parsknęła histerycznym śmiechem. Zaczął mówić podniesionym głosem: - Kiedy wy zbijaliście majątek, ja poświęcałem życie dla kraju. Tak, powiem wam, co możecie sobie zrobić ze swoimi pieniędzmi. Powiem wam.

- Jak śmiesz tak mówić do mojego męża! - krzyknęła Phyllis Wilby.

- Walczyłem we Francji podczas pierwszej wojny światowej- oświadczył Wilby. Twarz mu poszarzała, wargi się trzęsły.

- Idziemy - rzuciła Phyllis, kierując się ku drzwiom.

- Nie zapomnijcie płaszców! - krzyknął za nimi Runcible, podchodząc do szafy. - Macie.  
- Wręczył im zwinięte w kłębek okrycia.

- Czy Leo coś pił? - zapytała Phyllis Janet.

- Nie - odparła Janet. Wzięła płaszcze od męża i jeden podała Paulowi, a drugi Phyllis. -  
Chyba lepiej będzie, jak już pójdziecie - dodała.

- Ty... też? - zapytał Wilby, cedząc w osłupieniu słowa. - Nie tylko on, ale oboje nas wyrzucacie. - Potrząsnął głową. - Jechaliśmy taki kawał drogi, żeby obraziła nas dwójka świrów.

Phyllis Wilby zdążyła już otworzyć drzwi i wyjść na werandę. Stała odwrócona plecami do domu i czekała na męża, wołając:

- No chodź...! Daj spokój! Szkoda naszego czasu!

- Dobranoc - powiedziała Janet oficjalnym, zimnym głosem. Poprowadziła Paula Wilby'ego do drzwi. Przez chwilę protestował, chcąc zostać w środku, ale wypchnęła go na werandę i stanęła w drzwiach, blokując przejście. -Dobranoc - powtórzyła niemal wesoło i śmiejąc się, zatrzasnęła drzwi. Potem odwróciła się do Runcible'a. Zobaczył, że twarz ma surową i zdecydowaną, - A to niespodzianka. To ci dopiero- powiedziała tym samym wesołym tonem.

- Owszem. - Skinął głową.

Przez chwilę stali w milczeniu. Usłyszeli, jak Paul Wilby schodzi po schodach, po czym dobiegł ich trzask zamykanych drzwiczek do samochodu, a na końcu hałas uruchamianego silnika. Auto odjechało i zapadła cisza. Słysząc było tylko pomruk pracującej lodówki.

- Uff- sapnął Runcible. - Człowiek nigdy nie wie, jaką niespodziankę przyniesie mu najbliższy dzień.

Twarz jego żony na powrót przybrała tępy i obojętny wyraz. Po niedawnym zdecydowaniu nie pozostało ani śladu. Pojawiało się tylko wtedy, gdy sytuacja tego wymagała. Teraz zastąpił je lęk i świadomość konsekwencji: utraty klienta i długoletniego przyjaciela.

- Ja ci suszę głowę, żebyś była grzeczna dla gości, a sam jak się zachowuję?

- Czy myślisz, że naprawdę widzieli tego Murzyna? -zapytała.

- Jasne, że tak. To podobne do tego dupka Dombro-siego, żeby urządzić w swoim domu międzyrasowe przyjęcie.

- Ale ja znam dobrze Sherry - powiedziała Janet. -Sporo rozmawialiśmy o Murzynach, o tym, jak ściągają do hrabstwa Marin. Wiem, co ona o tym sądzi. Nie dopuściłaby do czegoś takiego. Zdaje sobie sprawę, jak głęboko w tutejszych ludziach zakorzenione są pewne uczucia.

- Zadzwoń do niego - oznajmił Runcible. Poszedł do sypialni, usiadł na łóżku i wyciągnął książkę telefoniczną hrabstwa.

- Co mu powiesz? - zapytała Janet, stając w drzwiach.

- Powiem mu, co zrobił, przyprowadzając tutaj Murzyna - odparł Runcible. - Powiem mu, że przez niego straciłem nie tylko kupca na dom, ale także poróżniłem się z długoletnim przyjacielem. Niech wie, co zrobił.

Zaczął wykręcać numer.

## Rozdział czwarty

Sherry Dombrosio szła wczesnym rankiem drogą, trzymając ręce w kieszeniach niebieskiej zamszowej kurtki. Na nogach miała sandały, toteż uważała na kamyki. Chłodny wiatr marszczył jej długą ciemną spódnicę z ręcznie nadrukowanym wzorem, którą uszyła dla niej przyjaciółka artystka z Sausalito. Sandały również były ręcznej roboty; wykonała je sama kilka lat temu. Wciąż miała narzędzia do obróbki skóry i na Boże Narodzenie wykonywała paski, torebki i portfele na prezenty dla najbliższych przyjaciół.

Po prawej stronie drogi rozciągało się pastwisko, które przechodziło w porośnięty drzewami kanion. Na łączce pasła się tłuściutka ciemnobrązowa owieczka. Gdy unosiła łebek, widać było błyszczący, różowy i mokry nosek. Wysoko na niebie latał duży ptak. Sherry nie była pewna, czy to jastrząb, czy myszołów; dopiero gdy słońce oświetliło mu pióra, zobaczyła czerwień charakterystyczną dla jastrzębia. Często podczas swych porannych wędrówek widywała też błękitną czaplę, ale nie dziś: gniazdo na dębie było puste. Ptak poleciał zapewne spędzić dzień na lagunie w Bolinas.

Na zakręcie zesza z drogi na zwirowe pobocze, by przepuścić furgonetkę zmierzającą do miasta.

Zorientowała się, że gdyby pomachała ręką, mogła się nią zabrać. Za kierownicą siedział pan Grimaldi,

emerytowany inżynier górnictwa, który mieszkał na końcu drogi. Miał rozeznanie, kiedy zaproponować jej podwiezienie. W deszczowe dni, kiedy w żółtej pelerynie i kaloszach brnęła do miasta, zawsze się przy niej zatrzymywał, niezależnie od tego, czy machała ręką, czy nie, wiedział jednak, że w taki dzień jak ten, kiedy na niebie świeci słońce, Sherry lubi się przejść. W drodze powrotnej jednak, kiedy szła obciążona zakupami, cieszyła się, gdy ktoś ją podwoził, niezależnie od pogody.

Żwir zachrząścił jej pod sandałami, gdy wracała na drogę. Po prawej miała dom pani Patolesi, przed którym rosła kołysząca się na wietrze wysoka trawa, taka jak na pampasach. Jeszcze tylko stromy kawałek drogi i znajdzie się przy stacji benzynowej Chevron, gdzie lokalna droga łączyła się ze stanową.

Spowodowany przez nią podmuch powietrza sprawił, że trawa rosnąca przy chodniku

zadrzała w dziwny sposób. Schyliła się i urwała jedno źdźbło. Gdy je podnosiła, wciąż drżało. Jak drucik, pomyślała. Zabawka z Hongkongu udająca trawę, niezbyt jednak dopracowana pod względem kolorystycznym. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zasuszyć trochę źdźbeł, zanurzyć je w słoiku z farbami i wykorzystać do ozdobienia podwórza przy domu... Eksperymentowała już z barwieniem różnych lokalnych roślin. Niektóre wyglądały ciekawie, a nawet zachwycająco - z zawiłą i delikatną fakturą, której nie da się stworzyć sztucznie. Kolor wydobywał wzór, który normalnie był niewidoczny.

Gdybym miała trochę malarskiego zacięcia, stanęłabym przy drodze ze sztalugami i namalowałabym stację benzynową, rozciągające się za nią wzgórza i brzeg laguny. Ale efekt nie różniłby się od obrazów namalowanych przez innych niedzielnych artystów. Winston Churchill, w dodatku nawet nie oryginał.

Ten, kto zachwyca się przyrodą, nie jest artystą, ale człowiekiem sentymentalnym, pomyślała. Ruszyła więc dalej, wyciągając nogi.

W dole zobaczyła Carquinez w całej jego krasie: jednaście sklepów z rzędu, pięć po lewej stronie drogi, sześć po prawej. Najbardziej okazały był sklep z karmą dla zwierząt. Do niego właśnie zmierzała; trzymała dla przyjemności kilka karłowatych kurcząt.

Warkot silnika samochodu zmusił ją do ponownego zejścia z drogi. Minął ją szary sedan, w którym rozpoznała auto należące do Runcible'ow; za kierownicą dostrzegła Janet. Siedziała sztywno jak zwykle, patrząc prosto przed siebie i zachowując się niczym stara dama. Szary człowiek w szarym samochodzie, pomyślała Sherry. Runcible'om nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby kogoś podwieźć. Leo z reguły objeżdżał piechurów szerokim łukiem, sztywny niczym posąg, ledwie im kiwał głową na powitanie.

Tym razem jednak szary sedan zwolnił i zatrzymał się.

Z mojego powodu? - zdumiała się Sherry. Szła dalej w tym samym tempie, nie dając po sobie poznać, że zauważyła manewr samochodu, aż zrównała się z kierowcą. Szyba była opuszczona i z okna wychylała się głowa Janet Runcible. Drzwiczki były jednak zamknięte.

- Zobaczyłam, że wyszłaś - powiedziała Janet. Wyglądała tego ranka bardzo mizernie i Sherry doszła do wniosku, że to efekt wczorajszego przepicia. - No wiesz, jako jedyny pośrednik w okolicy, Leo musi patrzeć na wszystko z dwóch stron. Z punktu widzenia osobistego i z punktu widzenia dobra miasta. Musi być rzecznikiem interesów jego mieszkańców.

- A kim był wczoraj, kiedy do nas zadzwonił? - zapytała Sherry.

- Miał prawo być zdziwiony i zły, że nie zważając na niczyje uczucia - nieważne czy je podzielam, czy nie - zaprosiliście na wieczór do siebie kolorowego, nie pytając sąsiadów, co o tym sądzą. Nie mógł tego zrozumieć. Przecież się znamy, mieszkamy przy tej samej drodze, nasze dzieci chodzą do tej samej szkoły... - Machnęła

ręką. - Jak powiedział wczoraj twojemu mężowi, stracił przez to bardzo ważnego klienta. Nie możecie mieć do niego pretensji. W końcu was to nic nie kosztowało. Wasze zarobki nie zależą od stosunków z lokalną społecznością: twój mąż nie pracuje wśród niej. Łatwo wam się nie przejmować takimi sprawami. Widzę, że ani trochę cię to nie obeszło. Szkoda mojego gadania. - Wrzuciła bieg i szybko odjechała, zostawiając Sherry na drodze.

Oni naprawdę są szurnięci, pomyślała Sherry i poszła dalej.

Mankamenty mieszkania w małej miejscinie szybko dały o sobie znać. Gdy weszła do sklepu z karmą dla zwierząt Carletona, stwierdziła, że znowu spotyka się z Janet Runcible. Stała przy ladzie, czekając, aż sprzedawca odważy jej trochę suchej karmy dla psa. Widząc Sherry, odwróciła się do niej plecami.

Nie można tak tego zostawić, pomyślała Sherry i podeszła do lady.

- Nie pozwolę się tak traktować ani przez ciebie, ani przez nikogo innego - powiedziała do Janet, kiedy sprzedawca poszedł rozmiąć pieniądze. - Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze i skończmy z tym.

Wrócił sprzedawca, wydał pani Runcible resztę i poszedł, by rozładować ciężarówkę. Najwyraźniej uznał, że kobiety są razem.

- Nie ma co wyjaśniać - rzekła Janet. - Pozbawiliście nas znacznej sumy pieniędzy, sami nie ponosząc żadnych strat, i w ogóle się tym nie przejmujecie. Czemu niby mielibyście się przejmować? Nie jesteście częścią tej społeczności, to dla was jedynie przedmieście, w którym mieszkacie. Ale myślę, że wam również zależy, by wasz dom nie stracił na wartości, dlatego...

- Jesteś nienormalna! - krzyknęła Sherry. - W pełni popieram to, co Walter powiedział wczoraj twojemu mężowi. Nie mamy za co przepraszać. Gdybyśmy mieli zrobić to drugi raz, zrobilibyśmy. Zgadza się z Waltera

w stu procentach: nikt nie ma prawa nam mówić, kogo możemy zapraszać do własnego domu. - Leo mówi... - zaczęła Janet.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi Leo - przerwała jej Sherry. - Posłuchaj, w tym mieście jest wielu ludzi, którzy uważają, że twój mąż jest człowiekiem, dla którego liczy się tylko

pieniądz. Wiesz, o co mi chodzi.

- Robisz aluzję do jego pochodzenia, czy tak? Oboje jesteśmy dumni z naszej rasy.

- Cóż, twój mąż nie jest jednak Baruchem Spinozą. To śmieszne, żeby przypisywał sobie zasługi Mendelssohna czy Einsteina tylko dlatego, że należy do tej samej rasy co oni. Równie dobrze mogłabym się podpisywać pod osiągnięciami Franklina Roosevelta lub Alberta Schweitzera. - Zniżając głos, dodała: - Mój mąż i ja cieszymy się w tym mieście większym szacunkiem niż spekulant nieruchomości, który chce się szybko wzbogacić na podejrzanych interesach, o których nikt nic nie wie.

Na to Janet nie znalazła odpowiedzi. Otworzyła usta, odchrząknęła i wzięła torbę z jedzeniem dla psa. Krew odpłynęła jej z nalanej, nieatrakcyjnej twarzy. Już od dłuższego czasu się nie uśmiechała. W końcu wzruszyła ramionami, wyminęła Sherry i opuściła sklep.

Ta podeszła do sprzedawcy i spokojnym głosem powiedziała:

- Poproszę karmę dla kurcząt. Jakies pięć funtów. - Cieszyła się, że w jej głosie nie było słyhać zdenerwowania. Janet z pewnością nie jest teraz w stanie normalnie funkcjonować. Założę się, że wraca do domu, pomyślała Sherry. Jak na jeden dzień dosyć się narozkazywała; nie odważy się znowu mnie zaczepić, nie po tym, co się dziś stało.

Zachowuje się jak żalosna stara panna, pomyślała, płacąc za karmę. Ten nerwowy tik, widoczne napięcie, no i oczywiście worki pod oczami - wszystko to nieomyślne znaki, że codziennie pije jednego głębszego do poduszki. Nie musiałam się zbytnio wysilać, żeby zamknąć jej usta. Wystarczyło kilka celnych ripost.

Poza tym są w błędzie. Ktoś musiał im to uświadomić. To całe gardłowanie wczoraj wieczorem przez telefon... Tyle cudowania, byle tylko znaleźć usprawiedliwienie dla swojego zachowania. Atakują nas, bo sami mają nieczyste sumienie.

Ale potem zastanowiła się, czy sama zachowała się lepiej. Co sama wygadywała. Teraz, gdy o tym pomyślała, ogarnęło ją poczucie winy. Po co zrobiła tę uwagę o żydowskim pochodzeniu Runcible'a?

To było nieładne z mojej strony, uznała.

Ale zasłużyli sobie na to. Postąpiła sprawiedliwe. W ich świętej księdze, Starym Testamencie, jest napisane: oko za oko. Oni nie przestrzegają chrześcijańskiej zasady o nadstawianiu drugiego policzka, dlatego więc ja miałabym się powstrzymać. Zastosowałam się tylko do przykazań ich wiary.

Wyszła ze sklepu na rampę, a potem zeszła po schodach na wysypany żwirem parking. Stał tam sedan Run-cible'ow; obok auta czekała na nią Janet, trzymając w ręku torbę z karmą dla psa.

- Co znowu?- zapytała Sherry, podskakując na jej widok.

- Chcę coś wyjaśnić- odparła Janet, podchodząc. -Nie jesteśmy bigotami, za jakich pochopnie nas uznaliście. Wczoraj wieczorem z powodu tego waszego Murzyna mój mąż wyrzucił z domu Paula Wilby'ego, z którym od dziesięciu lat byli przyjaciółmi, bo ten, zauważywszy na waszej werandzie kolorowego, zapytał, czy dużo ich mieszka w mieście.

- No i co z tego?

- Mój mąż z własnej woli poświęcił ważną transakcję, na której mógł zarobić bardzo dużo pieniędzy, z tego tylko powodu, że nie scierpi w swoim domu nikogo, kto

wygłaszałby rasistowskie uwagi. Leo jest idealistą. - Jej podkrążone oczy rozbłyły, zacisnęła usta. Sherry postanowiła, że zostanie i nie będzie jej przerywać. - Narazał życie w walce o równość i prawa człowieka. Poszedł na wojnę z faszystami nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że wierzył, iż postępuje słusznie. Jest szlachetnym, inteligentnym i wrażliwym człowiekiem. Pokaż mi drugiego takiego, który zrobił więcej dobrego dla tutejszej społeczności niż mój mąż. No, pokaż!

Sherry nie odpowiedziała. Uzmysłowała sobie, że to jeszcze nie wszystko. Jęknęła w duchu i przycisnęła do piersi paczkę z karmą dla kurczaków.

- Gdybyś wczoraj była razem z nami - ciągnęła Janet - widziałabyś, że...

- Skoro twój mąż wyznaje takie poglądy, to czemu do nas zadzwonił? - wtrąciła Sherry. - Czemu powiedział to, co powiedział? Jeśli jest takim idealistą, to czemu krzyczał w słuchawkę, że naszym egoistycznym postępkim doprowadzamy do upadku lokalną społeczność, i tym podobne brednie? Jak to wytłumaczysz?

- Leo chciał warn unaocznic następstwa tego, co zrobiliście - rzuciła Janet, wsiadając do samochodu. - Pokazać wszystkie konsekwencje. Zapamiętaj... - Usadowiła się za kierownicą i zatrzasnęła drzwi. - Wasze mię-dzyrasowe przyjęcie nic was nie kosztowało - oświadczyła cicho, ale dobitnie, zapuszczając silnik. - To my ponieśliśmy jego koszty.

Sedan Runcible'ow i jego szara właścicielka odjechali.

Sherry pomyślała, że może rzeczywiście coś w tym jest. Ci Żydzi są zawsze tacy wrażliwi w kwestiach rasowych. Może Runcible uznał atak na Murzyna za osobisty afront. To by do niego



pasowało.

Co właściwie wiemy o Runcible'u? - zadała sobie pytanie. Widujemy go w samochodzie, słyszymy o jego transakcjach, widzimy szyld nad jego biurem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że kupując lub sprzedając

dom, zrobimy to za jego pośrednictwem. Jest zadbanym, a nawet przystojnym mężczyzną. Z pewnością jest także człowiekiem długo chowającym urazę. Jest, bądź był, skłócony z niemal połową miasteczka. Z byle powodu unosi się gniewem. Ale interesuje go każda sprawa społeczna, czy to będą obligacje szkolne, drogi, czy sprawa pierwszeństwa przejazdu.

To musiał być niezły pokaz donkiszoterii, jeśli to zrobił. Jeśli kazał klientowi iść do diabła, gdy ten napomknął o Murzynie w mieście. Kto by się tego spodziewał po Leo Runcible'u?

Wczorajszego wieczoru wszystko wydawało się proste i oczywiste. Mąż przywiózł samochodem Murzyna -mechanika, którego znał od wielu lat i szanował - do miasta zamieszkane wyłącznie przez białą społeczność, „biała jak lilia”, jak mówiono. W pierwszym odruchu pomyślała: Co powiedzą o tym sąsiedzi? Nawet sam Charley zażartował podczas obiadu, że siedząc tu, obniża wartość ich domu. I jak można się było spodziewać, jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do nich bardzo zdenerwowany i zły lokalny pośrednik handlu nieruchomościami i zaczął się na nich wydzierać. Walt słusznie mu odpowiedział, żeby zajął się własnymi sprawami i nie mówił mu, kogo ma przyjmować u siebie w domu. Jeśli zechce, może zaprosić Murzyna, Żyda albo Marsjanina. Czy Walter wymienił Żyda? Nie była pewna. Tak czy owak, podzielała jego punkt widzenia. Bez wątpienia doszło do starcia między wartościami humanistycznymi a materialnymi, w którym Leo Runcible, przedsiębiorczy biznesmen cieszący się opinią człowieka dorabiającego się na ciemnych interesach, reprezentował te drugie.

Ale teraz... Oczyma wyobraźni widziała Runcible'a, jak wyrzuca z domu przyjaciela i zaraz potem biegnie do telefonu, dzwoni do nich i zajmuje w rozmowie przeciwne stanowisko. Świrusy, powiedziała do siebie. Oboje.

Dziwacy. Kompletne szajbusy. I naprawdę mają do nas pretensje. Jeśli rzeczywiście stracili dużo pieniędzy - albo myślą, że stracili - szybko o tym nie zapomną. Wiem, że gdyby to o mnie chodziło, gdybym to ja straciła przez nich pieniądze, musiałyby upłynąć wiele czasu, nim przestałabym czuć do nich urazę.

Doszła do wniosku, że gdyby myślał rozsądnie, nie zwałałby winy na nich. Sam był odpowiedzialny za to, co się stało. Czyja lub Walt namawialiśmy go, by nagadał swojemu

klientowi? Czy zmusiliśmy go do tego? Ludzie jednak nie kierują się rozumem, ale emocjami.

Tak czy owak, jedyne, co mogą nam zrobić, to nie ukłonić się albo nie podwieźć samochodem w deszczowy dzień. Runcible nie jest w okolicy zbyt wpływową osobą. Z towarzyskiego punktu widzenia uchodzi za p arias a. Właściwie to oni mogą więcej stracić niż my, jeśli zaczną robić nam afronty.

Śmiechu warte: Runcible'owie robiący nam afronty!

## Rozdział piąty

Dojeżdżając do Stinson Beach, Walt Dombrosio zobaczył przed sobą czerwony neon przydrożnego baru. Czy dam radę jechać dalej? - zadał sobie pytanie. Chyba nic się nie stanie, jeśli wstąpię na łyka? Czuję się naprawdę fatalnie.

Zjechał alfą na zwirowe pobocze i zaparkował naprzeciwko baru. Zgasił światła i wyłączył silnik. Wsiadłszy z auta, z rękami w kieszeniach ruszył w stronę knajpy.

Stara śpiewka, pomyślał, kiedy pchnął drzwi i wszedł do środka. Kłopoty małżeńskie - barman musiał wysłuchać tego miliony razy. Te czerwone neony wzdłuż autostrady zapraszają człowieka, żeby zatrzymał się na chwilę, przysłał się do cycka i wypłakał barmanowi przy kieliszku swoje zmartwienia. Owszem, za kontuarem zobaczył barmana, jednak ów krzepki, owłosiony mężczyzna palił cygaro i czytał gazetę. Siedział pochylony, nie zwracając uwagi na trzech czy czterech klientów. Jego to nic nie obchodzi, pomyślał Dombrosio. Nie będzie chciał słuchać o moich kłopotach. Jest zajęty.

Żydzi, pomyślał. Mógłbym zacząć narzekać na Żydów. Standardowa barowa gadka. Napada na mnie taki i jednocześnie, bijąc się w piersi, szlocha, jak źle traktuje się ludzi jego rasy. Kto mi powie, czy dobrze zrobiłem? -zastanowił się. Czy zareagowałem właściwie na to jego kazanie?

Do kogo by tu pójść? - zadał sobie pytanie, siadając na stołku. Do pastora? Psychoanalityka? Sherry bez przerwy jeździła do psychiatrii w San Francisco. Ale to dobre dla kobiet, a poza tym zbyt dużo kosztuje. Czyli zostaje pastor? Wolne żarty. Jest taki jeden w Carquinez. Co bym mu powiedział, gdybym do niego poszedł? Jakież to duchowy problem mnie gnębi?

Barman odłożył gazetę, potem cygaro i powoli podszedł do Dombrosia. Oparł wielkie ręce na ladzie i spojrzał na niego pytająco.

- Jaką szkocką podajecie? - zapytał Dombrosio.

- Crawford's - odparł barman, wpatrując się w przestrzeń.

Nie znał tej marki, ale powiedział:

- W porządku. Jedną szkocką proszę. Z wodą, bez lodu.

- Mam też teacher'sa - dodał barman.

- Nie, niech będzie Crawford's - odpowiedział Dombrosio. Ale ze mnie bufon, pomyślał. Udaję, że wiem, o czym mówię, i przez to zapłacę dziesięć centów więcej za drinka. Płacę za to, że jestem bufonem, który prosi o szkocką, której nigdy w życiu nie próbował.

- A pana zdaniem, Crawford's to dobra marka? -zapytał, gdy barman przyniósł mu drinka.

- Nie piję szkockiej.

- Według mnie najlepsza jest Cutty Sark. - Nigdy jej nie pił, ale widział jej reklamy w magazynach, które kupowała jego żona.

- Powiem panu coś - oświadczył barman, wybijając sumę na kasie. - Przychodzą tu różni faceci i proszą

o określoną markę szkockiej: o Ballantine, o tą, co pan powiedział, Cutty Sark, albo o Old Grouse. A po trzecim drinku daję im to, co akurat mam pod ręką: Teacher'sa albo coś podobnego. I co? Nic. Nie czują żadnej różnicy. Jest im zupełnie obojętne, co piją. - Wyszczrzył zęby

1 rzucił resztę na ladę.

- Założę się, że nie zorientowaliby się nawet przy pierwszym drinku, gdyby nalał im pan coś innego - odparł Dombrosio, również się uśmiechając.

Barman znów wsadził nos w gazetę. Parę minut później Dombrosio usłyszał ściszone głosy i zobaczył, że barman nachyla się do dwóch mężczyzn siedzących przy barze i coś do nich mówi. Roześmieli się. Czyżby śmiali się ze mnie? - zastanowił się. Sączył drinka, starając się patrzeć prosto przed siebie, ale czuł, że uszy robią mu się najpierw gorące, a potem zimne. Pewnie dlatego, że zapłaciłem za droższą whisky, barman podał mi tańszą, ja zaś tego nie zauważyłem... Czekał, czy się zorientuję i coś powiem. Może powinienem coś powiedzieć, na przykład, że drink jest niedobry.

Starł się wymyślić jakiś dobry sposób wybrnięcia z tej sytuacji; który by załatwił sprawę, jeśli rzeczywiście to, co pił, nie było Crawford'sem, a równocześnie pozwolił mu wyjść z twarzą, jeśli barman nie zamienił drinków. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

- A pan co pije? - zapytał, zwracając się do siedzącego po lewej stronie mężczyzny, który się nie śmiał.

W pierwszej chwili wydawało się, że mężczyzna nie ma zamiaru odpowiedzieć; nie dał po sobie poznać, że usłyszał pytanie i Dombrosio wpadł w jeszcze większy popłoch. Lecz w końcu mężczyzna powoli uniósł głowę i odparł:

- Burgie.

- Proszę się napić na mój rachunek - zaproponował Dombrosio.

Mężczyzna podniósł rękę.

- Dzięki- rzekł, kiwając głową.

Barman, nie proszony, przyszedł z butelką piwa i nalał go mężczyźnie do szklanki. Dombrosio zapłacił. Nikt nic nie powiedział. Mężczyzna zaczął pić piwo, a Dombrosio wrócił do swojej szkockiej.

Co jest ze mną nie w porządku? - zadał sobie pytanie. Co powinienem mu powiedzieć, gdyby chciał mnie wysłuchać?

Nikt mi nie dokucza. Nie jestem chory ani splukany. Mam dobrą pracę, żonę, która ładnie się ubiera i jest bardzo zgrabna. Gdyby jednak wszystko było w porządku, nie siedziałbym z tymi facetami w knajpie, pomyślał. Byłbym już w domu i zasiadał do obiadu.

Czyżby ten pośrednik jednym telefonem pozbawił mnie domu? Nie, już wcześniej tak się czułem. Runcible nie jest przyczyną moich problemów, choć nikt wcześniej nie rozwścieczył mnie tak jak on. Przyczyną moich kłopotów, jeśli w ogóle mam jakieś kłopoty, jest ktoś...

Ktoś, kto mnie osacza, pomyślał. Kto wchodzi mi na głowę. Ale nigdy jej na tym nie przyłapałem; wygląda na to, że wciąż jeszcze czeka, że się powstrzyma. Może jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora.

Czego ode mnie chce?

Dla gości jest oczywiście bardzo grzeczna. Liberałka; kształciła się na dobrym uniwersytecie i obracała w dobrych kręgach. Prędzej zaczęłaby latać niż obraziła Chuc-ka Halpina. Wiem jednak, że jest skryta. Ludzie z jej sfery nie mówią tego, co myślą. Muszą pokazywać, że chcą się bratać z Murzynami, że pogardzają Faubusem i w ogóle Południem.

Boże, cała ta sytuacja pewnie zezłościła Chucka i nie będzie już chciał naprawiać mojego samochodu, pomyślał.

Nie mógłbym mieć o to do niego pretensji. Zorientował się, czego dotyczył ów telefon. Widać to było po jego twarzy. Nie musiał pytać, co lub kto- wiedział. Przypuszczalnie nie było to dla niego nowe doświadczenie. Od tej chwili do końca wizyty już się nie odzywał, kiwał tylko głową, przytakiwał, jadł, pił, ale myślami był gdzieś indziej. Starał się zapomnieć. Zapomnieć o wstydzie.

Będę musiał zawozić samochód do kogoś innego. Znaleźć inny warsztat. Prędzej czy później by się to stało.

Zawsze tak się dzieje, gdy człowiek myśli, że znalazł faceta, na którym może polegać.

A ona się teraz do mnie weźmie, pomyślał. Skorzysta z pierwszej okazji. Każe mi zapłacić za to, że przyprowadziłem do domu Murzyna. Tak naprawdę to zgadza się z Runciblem, ale jest zbyt inteligentna, żeby powiedzieć to wprost. Dowiem się o tym pośrednio. Gdy tylko wrócę do domu, już ona mi da do zrozumienia, jaka jest niezadowolona, i to nie raz. Zeszłego wieczoru przy Chucku nic nie powiedziała. Ani dziś rano. Ale teraz... Dowiem się, ledwie przestąpię próg. Lepiej poczekać, zostać tu jak najdłużej.

Ja wiem, pomyślał, że zrobiłem to w dobrej wierze: jestem szczery. Zaprosiłem go, ponieważ go lubię. Nie kierowałem się żadnymi ukrytymi motywami. Potraktowałem go jak każdego innego człowieka, białego czy czarnego, bo wydawało mi się to naturalne. Tym ja i ona się różnimy.

Jego szklanka była pusta, toteż zamówił następną szkoocką. Tym razem nie zażądał niczego konkretnego i nie patrzył, ile barman policzył mu za drinka. Po prostu wziął go i wypił.

Nie jestem taki jak ona. Boję się wrócić do domu. Dlaczego? Do diabła z tym: czasami mam ochotę się napić. Dlaczego?- zastanowił się. Dlaczego...?

Dla Janet Runcible jedna chwila szczęścia była największym szczęściem.

W takiej chwili potrafiła przewidzieć, co ludzie powiedzą.

Wystarczyło, by otworzyli usta. Od razu знаła dalszy ciąg. Uwielbiała to. W mgnieniu oka poznawała ich myśli!

Zresztą nie tylko same myśli. Rozumiała także sens intelektualnych dyskusji. Gdy rozmowa na przyjęciu zbaczała na Davida Reimana, Niemcy Zachodnie czy problemy naukowe, mogła brać w niej udział; dorzucała do nich także strzępy własnych myśli, czasami nie musiała ich nawet do końca formułować. Inni ludzie także wnet je podchwytywali.

Z drinkiem w ręku usiadła w głębokim żółtym fotelu stojącym w salonie. Stół był nakryty; mięso piekło się w piekarniku. Nie miała nic do roboty.

W sąsiednim pokoju Leo siedział za biurkiem, przeglądając papiery i załatwiając telefony. Wciąż miał na sobie garnitur i krawat. Przed chwilą wrócił do domu. Teraz coś pisał. Jego lekko kręcone włosy przywodziły jej na myśl stal. Jaki on twardy, pomyślała. Szczupły, silny w nadgarstkach. Elegancki, szczupły, twardy mężczyzna.

- Ten garnitur chyba cię trochę wyszczupła, nie sądzisz? - zapytała. - A może rzeczywiście zeszczupłałeś. Ten krawat. - Roześmiała się. Nawet prążki stały się jakby węższe.

Wszystko się zmniejszało, zwłaszcza klapy Przede wszystkim modelki występujące w reklamach... takie szczupłe, o smolistych oczach. Jakby właśnie pobrano im krew. Bezkrwiste.

Leo mruknął coś w odpowiedzi, szeleszcząc odwracanymi kartkami papieru.

- Zgadnij, kogo dzisiaj spotkałam - oznajmiła. Zanim się odezwał, wiedziała, że odwróci się i zapyta kogo. Dlatego mówiła dalej. - Ucięłam sobie pogawędkę z tym dziewczęciem, co nosi sandały i ma włosy krótsze nawet od moich. Kiedyś powiedziałaś, że ci się podoba, myślę jednak, że ją bardziej interesują inne kobiety. Tak trzyma papierosa. - Sięgnęła do popielniczki stojącej na stoliczku, wzięła długi niedopałek i wsunęła go w kącik ust. Lecz papieros wypadł jej spomiędzy warg. Schylając się, żeby go podnieść, wylała drinka. Zapomniała o papierosie i ukradkiem zaczęła wycierać kałużę papierową chusteczką, którą wyjęła z torebki. Miała nadzieję, że Leo nic nie zauważył.

Myliła się. Gdy szła wyrzucić mokrą chusteczkę do kosza, zauważyła, że przestał pracować i patrzy na nią z twarzą bez wyrazu.

- Papieros był zgaszony - wyjaśniła. - Nic się nie spaliło. - Podniosła niedopałek z podłogi, przez chwilę trzymała go w ręku, a potem włożyła z powrotem do popielniczki.

Raptem zorientowała się, że Leo powie, iż go nie obchodzi, czy spotkała Sherry Dombrosio i o czym z nią rozmawiała. I tak się stało. Sekundę później właśnie coś takiego powiedział.

- Nie obchodzą mnie babskie plotki. Zachowajcie je dla siebie.

- Kiedyś lubieś, gdy ci o niej opowiadałam. Słyszałam, jak mówiłeś o niej klientom. Jacy interesujący i artystycznie uzdolnieni ludzie tu mieszkają. Kobieta, która sama robi sobie buty.

Odwracając się do niej, rzucił:

- Pewnie ona zaczęła rozmowę, mówiąc coś w stylu: „Jak ten twój żydowski mąż śmie dzwonić do mojego męża i go pouczać?” - Wpatrywał się w nią z kamienną twarzą, nie mrugnawszy okiem.

- Posłuchaj, szkoda, że cię ze mną nie było, skoro tak myślisz. Dobrze, powiem ci, jak było. To ja ją zaczepiłam. Myślisz, że stałam beczynną, słuchając, jak obrzuca cię inwektywami? - Łzy napłynęły jej do oczu. - Czy coś dobrego by z tego wynikło? - zapytała. - Nie masz do mnie ani krzty zaufania. Jesteś beznadziejny.

- Dlaczego?

- Masz żonę, która poświęca się dla ciebie, nie oczekując żadnej nagrody. Chcesz

wiedzieć, co powiedziałam Sherry Dombrosio?

- Ta sprawa jest już zamknięta. Zadzwoiłem do niego. Wyraziłem swoją opinię. On powiedział, żebym się odczepił.

- I rzucił słuchawkę. Taki mały, nic nie znaczący gnojek. Co on takiego wielkiego robi? Kartony na mleko. Nie zasługuje na to, by lizać ci ziemię pod stopami. - Wstała i zachwiała się, lecz złapała równowagę, oparłszy

się o stół, po czym z pustą szklaneczką ruszyła w stronę kuchni. Łzy spływały jej po policzkach, gdy szła. Pokój pływał jej przed oczami. Siedzący przy biurku Leo wyglądał jakby się rozciągał, rozmywał i puchł. Nie słyszała też stukania butów o podłogę. Spojrzała w dół i zobaczyła, że nie ma ich na nogach: szła bosą w samych tylko pończochach. Buty zostały przy kanapie wraz z zapalniczką i paczką koolsów.

- Zjedzmy obiad- zaproponował Leo, wstając od biurka.

- Wiedziałam, że to powiesz. Chcesz tylko, żebym ci usługiwała. Czy choć raz nie możesz mnie potraktować jak człowieka? Masz o mnie takie złe mniemanie... To działa na mnie destrukcyjnie. Te moje dolegliwości i kłopoty... Ty je spowodowałeś bezustannym wywieraniem na mnie presji, bezustannymi pretensjami. Nigdy mnie nie pochwaliłeś. Wiecznie jesteś niezadowolony. Sam sobie zrób ten cholerny obiad. - Weszła do kuchni, złapała dzbanek z kawą i wrzuciła go do zlewu. Wieczko spadło i wszystko dookoła zostało oblane kawą z fusami; widziała suszarkę, zaplamioną ścianę i czarną strużkę spływającą na podłogę. Kopnęła fragment dzbanka, który upadł w pobliżu jej nogi.

W drzwiach stał Leo, obserwując ją w milczeniu.

- Zostaw mnie - powiedziała, odwracając się do niego plecami.

- Czy mogę sobie wziąć coś do jedzenia? Mogłabyś się przesunąć?

- Proszę bardzo. - Wzięła z kuchenki patelnię z groszkiem, zdjęła pokrywkę i wysypała jej zawartość na podłogę. Ziarenka groszku rozsypały się po całej podłodze, odbijając się od jej bosych stóp. - Masz, poczęstuj się.

- Zostawiam cię - powiedział.

- Tak. Idź sobie. Zabiję się i będziesz się cieszył. - Słyszała, jak jej głos staje się coraz bardziej piskliwy, wręcz trudny do zniesienia. - Wynoś się! - krzyknęła za nim.

- Będę w salonie - oświadczył.

Przez chwilę stała nieruchomo, głęboko i powoli oddychając. A potem wzięła szufelkę i



miotłę i zaczęła zamiatać podłogę. Rozboliła ją głowa. Co zrobię z warzywami? - zastanawiała się. Co podam do obiadu? Pozbierała z podłogi części dzbanka i zaczęła go składać. Rączka była wygięta.

- Patrz' - zawołał z salonu Leo.

- Co?! - odskrzyknęła, stojąc z dzbankiem w ręku.

- Przyjdź i zobacz.

Weszła do salonu. Leo stał przy oknie. Gdy podeszła do niego, wyciągnął rękę.

- Co się dzieje? - zapytała. Niczego nie widziała.

- Facet jedzie zygzakiem po szosie.

- Leo, powiedziałam im, jakim jesteś wspaniałym i wyjątkowym człowiekiem. Tak bardzo cię kocham. I tak często o tobie myślę.

Spojrzał na nią, a potem odsunął się, pocierając czoło.

- Facet naprawdę nieźle się wstawił - mruknął.

- Jesteś najwspanialszym człowiekiem na świecie - powiedziała Janet. - Chciałabym, żeby wszyscy byli tacy idealni jak ty. Zaslugujesz na życie w lepszym świecie. Powinni cię otaczać lepsi ludzie. Ja się staram poprawić, ale nie bardzo mi to wychodzi. Potrafię tylko robić ci wyrzuty.

Skinął głową albo jej się wydawało, że to zrobił; było to tak nieznaczne skiniecie, że nie była pewna.

- Obiad jest naprawdę bardzo dobry. Z groszkiem lub bez. Przygotowałam udziec jagnięcy. Nic dziwnego, że masz ochotę coś schrupać. Czujesz ten zapach? Myślę, że już się upiekł.

- Weź nową paczkę warzyw - podsunął jej.

- Tak - zgodziła się. - Zrobię to. - Ruszając w stronę kuchni, rzuciła: - Dotrzymasz mi towarzystwa?

- Dobrze - odparł, idąc w jej ślady. W kuchni zwrócił się do niej z pytaniem: - Czy naprawdę wywierani na ciebie taką presję?

Usiadła przy stole kuchennym i rozdarła paczkę mrożonego groszku w strąkach.

- To dlatego, że masz tak wysokie wymagania. Nikt, oprócz ciebie, im nie sprosta. Nie możesz tego od nas oczekiwać, Leo.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Jakie wymagania?

- Tak ciężko pracujesz. Z takim poświęceniem. Bez reszty angażujesz się w to, co robisz; praca całkowicie cię pochłania. Wszystko jest dla ciebie wyzwaniem. - Uśmiechnęła się do niego, lecz on nie odpowiedział jej tym samym. Twarz miał chmurną i poważną, czoło zmarszczone.

Wtem dobiegł ich z zewnątrz ryk silnika samochodu. Oboje podskoczyli.

Leo wstał i podszedł do drzwi frontowych. Janet patrzyła, jak wychodzi na zewnątrz i zamyka je za sobą. Hałas powodowany przez samochód nieco się zmniejszył, lecz wciąż był dobrze słyszalny. Wrzuciła groszek do gotującej się wody i wyszła za mężem na werandę.

- To ten sam facet - dobiegł ją z ciemności głos Leo. W dole na drodze widać było światła reflektorów. Samochód zawył.

- Jesteś pewien? - zapytała.

- Owszem. Przy stacji benzynowej zjechał z szosy. - Nasłuchiwał dźwięków dobiegających z ciemności. Słyszała, jak zaklął. Zdecydowanie, stanowczo, tak jak tylko on potrafił.

- Co on robi? - zastanawiała się na głos Janet, - Czyżby wypadł z drogi? Może podczas cofania wjechał do rowu melioracyjnego? - Hałas zdawał się dobiegać wciąż z tego samego miejsca. Również reflektory nie zmieniały położenia: świeciły niezmiennie do góry.

- Myślę, że ten sukinsyn uderzył w jakiś zaparkowany samochód - stwierdził Leo.

- Zamierzasz coś zrobić? - zapytała.

- Owszem - odparł. Odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do domu.

Kiedy weszła tam za nim, zauważyła, że stoi przy telefonie. Przez chwilę trzymał słuchawkę w ręku.

- Zawiadomię drogówkę - powiedział w końcu. - Doniosę na tego sukinsyna.

- Och - chrząknęła nerwowo - może poczekamy? Powinniśmy zejść na dół i zobaczyć, co się stało. Może wcale nie uderzył w inny samochód. Może wpadł do rowu i próbuje wyjechać na drogę.

- Pijak - burknął Leo, patrząc na żonę. - Cholerny, pijany świr. Widziałas, jak zygzakiem zapieprzał środkiem szosy... - Urwał, po czym zaczął mówić ciszej ponurym i opanowanym głosem, swoim telefonicznym głosem, którego używał w nagłych wypadkach, a rozmowa telefoniczna zawsze była dla niego takim wypadkiem. - Chcę zawiadomić o pijanym kierowcy - rzucił do słuchawki. - Mówi Leo Runcible z Carquinez. Przy drodze White Star. - Zawiesił głos.

O Boże, pomyślała, to musi być jeden z naszych sąsiadów. To na pewno ktoś, kogo znamy. Nie mogła tego słuchać; odwróciła się i wybiegła z powrotem na werandę. W ciemności wciąż rozlegał się ryk silnika i wizg opon. Raptem ucichł i miała wrażenie, że słyszy jakieś głosy - męskie głosy dobiegające z dołu i... czyżby to było światło latarki?

Zrozumiała, że auto wpadło do przydrożnego rowu. Droga była wąska i kręta i nawet ludzie, którzy tu mieszkali, musieli w ciemności bardzo uważać, by z niej nie wypaść. Wystarczyło jechać tylko trochę za szybko, by wylądować w rowie.

Jej samej raz się to przytrafiło. Było to okropne przeżycie. Współczuła temu mężczyźnie, albo kobiecie, nawet jeśli był pijany. A skąd Leo wiedział, że facet jest pijany? Aha, zrozumiała, przecież to jasne: widzieli, jak jechał po szosie zygzakiem. Ale może to był ktoś inny?

Zapaliła się inna para reflektorów. W ich świetle ujrzała zarysy drzew, a potem błysk metalu. Bok samochodu. To musi być auto, które ugrzęzło, pomyślała.

- Leo!- zawołała.- Chodź tu, on naprawdę ugrzązł. I teraz go wyciągają.

Silnik zawył i samochód cały się zatrzęsł. Zobaczyła wtedy, że nie ma dachu. Czyżby się rozbił? - zastanowiła się, obejmując ciało rękami, by się rozgrzać. Nie, to był sportowy kabriolet. A zatem to najpewniej samochód Walta Dombrosiego, pomyślała.

- Leo! - pisnęła, biegnąc z powrotem do domu. Jej mąż wciąż stał przy telefonie; machnął ręką, by się uciszyła, a potem zamknął się w sypialni. - To samochód Walta! - zawołała, otwierając drzwi. Zobaczyła, że Leo z kamienną twarzą rozmawia przez telefon, kiwając głową.

Czyżby o tym wiedział? Czyżby go rozpoznał? Pewnie po odgłosie silnika? Ma takie czułe ucho... Runcible odwiesił słuchawkę.

- Powiadomiłem ich - oświadczył.

- Wiesz, czyj to jest samochód? - wykrztusiła.

- Owszem - odparł.

- Wiedziałaś, zanim zadzwoniłaś?

- To bez znaczenia - odpowiedział z kamienną twarzą.

- Założę się, że poznałaś odgłos silnika - rzekła. - Pamiętam, jak kiedyś, gdy obudził cię w nocy samochód, powiedziałaś, że potrafisz rozpoznać, czy to jedzie wóz sportowy.

- Obok biura przez cały dzień przejeżdżają samochody.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czemu o tym mówisz?

- Widziałem wiele wypadków. Większość z nich spowodowali pijani kierowcy.

- Nie - zaprzeczyła. - Chciałaś powiedzieć coś innego. - Że nauczyłeś się rozpoznawać tutejsze samochody po pracy silnika, dokończyła w duchu. Nie wychodząc z biura. Taka dziecinna zabawa.

- Należało zawiadomić policję - utrzymywał Leo. On w tym swoim czerwonym, cholernym aucie bierze zakręty jak wariat. - Wrócił do jadalni i usiadł do stołu. Zmęczonym, chrapliwym głosem dodał: - Zaczniemy jeść, czy zejdziemy na dół i powiemy Dombrosiemu, że doniosłem na niego na policję?

Nie ruszyła się z miejsca.

- No chodź - ponaglił ją.

W końcu podeszła do stołu.

## **Rozdział szósty**

Wielki, stary budynek z białym deskowaniem, wieżyczkami oraz schodkami przeciwpożarowymi był własnością Klubu Baseballowego dla Dorosłych i Młodzieży w Carquinez. Dom, zwany Donkey Hall, stał w samym centrum miasta. Przed wejściem, po obu stronach werandy, nad którą znajdował się balkon, rosły dwie palmy. Z tyłu wybito kilka szyb. Zimą w piwnicy gromadziła się woda. Zardzewiały, czerwony automat z coca-colą leżał porzucony wśród chwastów. Ze środka dachu sterczał kikut masztu, który złamał się podczas burzy. Budynek miał dziewięćdziesiąt dwa lata i nie był wiele wart. KBDMC od czasu do czasu wynajmował go na tańce, przyjęcia z grillem i loterie fantowe. Raz udostępnił go nauczycielowi muzyki, który dał recital pieśni amerykańskich.

Sporadycznie z budynku korzystał również klub. Raz w roku, w lipcu, sponsorował wystawę zwierząt hodowlanych, po której w piwnicy grano w bingo, sprzedawano hot dogi i popcorn. W grudniu członkowie KBDMC zapraszali żony na obiad: około dwudziestu mężczyzn w kucharskich czapach i białych fartuchach wносиło na salę srebrne tace. Z sufitu zwisały ozdoby z krepy, a wypożyczone ze szkoły stoły były udekorowane zabawnymi rysunkami. Najważniejszy był jednak Dzień Projektów, który przypadał dziesiątego maja. Debatowano wówczas

nad przedsięwzięciami, które można było zrealizować stosunkowo tanim kosztem. Któregoś roku kupiono farbę i w czynie społecznym odmalowano urząd pocztowy oraz inne

miejskie budynki użyteczności publicznej.

Przez kilka lat stanowisko prezesa klubu piastował rzeźnik ze sklepu spożywczego w Carquinez, Jack E. Vepp, którego pasją było polowanie na jelenie. W 1958 roku w Dniu Projektów Vepp zgłosił propozycję masowego odstrzału tych zwierząt. Od pewnego czasu stada wygłodniałych jeleni schodziły z gór w poszukiwaniu jedzenia i wody. Zżerały cenne siano, roznosiły pchły, wchodziły na drogę i powodowały wypadki. Właściciele sadów narzekali, że jelenie zjadają im jabłka z drzew. Projekt polowania na jelenie zyskał duże poparcie i Jack E. Vepp został wybrany na prezesa na następną kadencję.

Prędzej czy później każdy mężczyzna otrzymywał propozycję wstąpienia do klubu. Wyjątek stanowił pewien mężczyzna mieszkający przy Bass Pool Road, którego podejrzewano o sympatyzowanie z komunistami. Drugim wyjątkiem był Leo Runcible.

Zmierzchało, gdy Runcible zapalił fajkę, czekając na stacji benzynowej Chevron, aż pracownik naprawi mu samochód. Pierwszy raz od wielu miesięcy zauważył światła w oknach Donkey Hall i kolorowe obwódki wokół latarni ulicznych. Przed budynek zajeżdżały samochody. Dochodziła siódma trzydzieści. Spoglądając na zegarek, Leo Runcible stwierdził, że spotkanie zaraz się zacznie.

- Wielki dzień - powiedział do pracownika stacji. Nie znał jego nazwiska, choć wiedział, że mieszka gdzieś w okolicy i chodzi na kursy z zarządzania.

- Tak jest, proszę pana - odparł chłopak. Leżał pod należącym do Runcible'a studebakerem rocznik '55 i zakładał nowy wąż do chłodnicy.

- Nie wiesz przypadkiem, co planują? - zapytał Runcible.

- Zdaje się, że mają zrobić zbiórkę makulatury - odpowiedział pracownik stacji.

- To było w zeszłym miesiącu - stwierdził Runcible. - A zresztą robią to po południu.

Pod budynek podjechały dwa następne samochody. Pośrednik wodził za nimi wzrokiem. Pierwszy jechał Bili Conley, miejscowa złota rączka, a następnie, w fordzie, Keith Asmason, właściciel farmy mlecznej położonej kilka mil na północ od miasta.

- Za chwilę założę ten wąż, panie Runcible - odezwał się chłopak. - Przepraszani, że musi pan czekać.

Nic nie szkodzi, pomyślał Runcible. Nigdzie się nie spieszę. Nie spuszczał wzroku z samochodów parkujących przed Donkey Hall. Najważniejsze spotkanie towarzyskie w okolicy, pomyślał. Czy poszedłbym, gdyby mnie zaproszono? Czy wstąpiłbym do klubu? Nigdy,

pomyślał, nawet za milion dolarów.

Następnym autem był mały czerwony samochód sportowy. Zgadza się, powiedział do siebie, Dombrosio jest członkiem klubu; mało tego -jest w zarządzie. Udowodnij, że jesteś mężczyzną i wstąp do męskiego klubu... Pokaż, że jesteś normalnym facetem. Sportowy samochód skręcił na rogu ulicy i wtedy Runcible zauważył, że w środku siedzą dwie osoby. Prowadziła Sherry Dombrosio, a Walt siedział obok niej.

- Czyżby zaczęli przyjmować do klubu kobiety? -zapytał pracownika stacji.

Sportowy samochód zatrzymał się przy budynku. Otworzyły się drzwiczki i wysiadł z niego Walt. Zatrzasnął drzwi, Sherry zawróciła i odjechała. Chwilę później minęła stację benzynową i z powrotem wjechała na drogę prowadzącą pod górę do domu Dombrosiów.

Runcible uklęknął.

- Dlaczego pani Dombrosio odwozi męża? - spytał.

- Nie czytał pan w gazecie, co go spotkało? - zdziwił się pracownik stacji.

- Nie - odparł Runcible. Rzadko rozmawiał z małżeństwem, które wydawało „Carquinez News”, a ich cztero-stronicową gazetę przestał czytać dawno temu. Dla niego było to tylko miejsce do zamieszczania reklam.

Chłopak wyczołgał się spod samochodu i usiadł na ziemi.

- Nie słyszał pan, że dwa miesiące temu pan Dombrosio został przyłapany na prowadzeniu samochodu po pijanemu? Tu, w mieście?

- Owszem - przytaknął Runcible. - Słyszałem o tym.

- Wydział komunikacji odebrał mu prawo jazdy.

- Nie może być! Chłopak skinął głową.

- Mogą coś takiego zrobić?

- Jasne - potwierdził chłopak. - To część ich programu walki z pijanymi kierowcami. Odebrali mu prawo jazdy na sześć miesięcy i teraz żona musi go wozić.

- Przecież on pracuje w San Francisco - zdziwił się Runcible.

- Dla wydziału komunikacji nie ma to żadnego znaczenia. Są naprawdę twardzi.

- Jak się dostaje do pracy?

- Żona go zawozi.

- Jeździ codziennie dwa razy w tę i z powrotem? - Nie mieściło mu się to w głowie.

- Nie - zaprzeczył chłopak, gramoląc się na nogi. -Zostaje w mieście. Pana samochód jest

naprawiony, wymieniłem wąż.

- Trzeba mieć pecha, żeby stracić prawo jazdy, kiedy się dojeżdża do pracy w San Francisco - stwierdził Runcible, gdy chłopak wypisywał rachunek.

- Ciężka sprawa - zgodził się chłopak. - Ale głównie dla jego żony. Jemu w pewnym sensie jest wygodniej: ma szofera.

- Ale zawsze, gdy chce gdzieś pojechać, musi ją prosić, by go zawiozła.

- Owszem... chyba że chciałby złamać prawo. Ale gdyby go złapano, odebrano by mu prawo jazdy do końca życia.

- Nie warto ryzykować - stwierdził Runcible. - Chyba nie - zgodził się chłopak.

Założę się, że mnie o to obwinia, myślał Runcible, jadąc pod górę do domu. Może się nie dowiedział, kto zawiadomił policję, z pewnością wie jednak, że poza sobotą i niedzielą samochody drogówki nigdy nie pojawiają się w tej okolicy.

Mam się czuć winny? - zadał sobie pytanie. Mam się wstydzić z powodu tego gbur, któremu przyszło do głowy, żeby prowadzić samochód po pijanemu? Mój Boże, przecież w radiu bez przerwy krzyczą: Piłeś - nie jedź, jedziesz- nie pij. Może mieć pretensje tylko do siebie: każdy jest kowalem swego losu.

Im dłużej jednak się nad tym zastanawiał, tym bardziej czuł się niepewny. To najgorsze, co może spotkać mężczyznę, pomyślał. Stracić prawo jazdy i być wozonym przez żonę, jak jakiś inwalida. Nie wiedziałem, że te gnojki to robią. Myślałem, że wlepią mu tylko mandat.

To przecież wyjątkowy przypadek, pomyślał. Facet dojeżdżający do pracy. Tam w Sacramento musi siedzieć banda sadystów. Co się z nimi dzieje? Faszyści jacyś czy co? Całe życie faceta od tego zależy. Jego dom. Jego rodzina.

To wstrętne, pomyślał. Wstrętne, nieczyste zagranie poniżej pasa, lekceważenie człowieka i jego potrzeb. Facet popełnił wykroczenie... I co z tego? Czy to takie straszne? Czy ktoś został przez niego ranny? Jedynym jego przewinieniem było to, że wpadł dupą do rowu, porysował lakier i zrobił z siebie cholernego głupka. Może powinienem zatelefonować albo napisać do kogoś w Sacramento i zobaczyć, czy można mu jakoś pomóc. Nacisnąć kogo trzeba. Zrobić trochę szumu wokół tej sprawy.

Czy jednak jestem coś winien Waltowi Dombrosio? - zadał sobie pytanie. Facetowi, który z przyjemnością naplułby mi w twarz? Czy kupił ode mnie dom? Nie, poszedł do tego zgrzybiałego starucha Thomasa. Od samego początku narażał mnie na straty finansowe. Jak do-

ąd straciłem przez niego około trzech tysięcy dolarów, nie mówiąc o stratach pośrednich związanych z tym, że wrogo nastawia do mnie ludzi. Ludzi z miasta, którzy chętnie by się tu przeprowadzili... W końcu siedzi tam przez cały dzień. A teraz ta jego żona artystka również spędza tam cały dzień, nie mając nic do roboty. Mogą rozpowiadać same najgorsze rzeczy o Runcible Realty.

Nie warto zrażać do siebie ludzi, pomyślał. Ale taka jest cena mówienia prawdy. Bycia bezceremonialnym, szczerym. Akurat musiałem podpaść takiemu uzalającemu się nad światem, naiwnemu idealście jak Walt Dombrosio, który zaprasza kolorowego do swojego domu, ale nie musi ponosić tego konsekwencji.

Dotarł wreszcie do domu i zaparkował samochód, po czym szybko wbiegł po schodach do salonu. Janet była w sypialni i oglądała telewizję z Jerome'em.

- Chodź na chwilkę - zażądał, wyprowadzając ją z pokoju. - Czy wiedziałaś, że Dombrosio stracił prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu?

Zawahała się. Od kilku dni chodziła trzeźwa: po raz kolejny postanowiła, że nie będzie piła. Na jej ściągniętej, bladej twarzy mignął niepokój.

- Owszem- odezwała się w końcu.- Usłyszałam o tym jakiś czas temu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał.

- No, bo powiedziałaś... że nie chcesz słuchać miejskich plotek. - Spojrzała na niego przekornie. - A poza tym nie chciałam cię martwić.

- Dlaczego miałyby mnie to zmartwić? Co mnie obchodzi Walt Dombrosio? Od dwóch miesięcy z nami nie rozmawiają. I co z tego? Czy jest nam gorzej z tego powodu? I tak bym się do nich nie odezwał. Co miałem do powiedzenia, powiedziałem tamtej nocy przez telefon.

- Czy kiedy dzwoniłeś na policję, wiedziałeś, że za prowadzenie po pijanemu odbierają prawo jazdy? Dużo się o tym mówiło przez radio. Niektórzy prawnicy uważają, że to bezprawne.

- Ruszyła za nim, gdy poszedł powiesić płaszcz w szafie. - To część kalifornijskiego programu poprawy bezpieczeństwa na drogach. Popiera go sam gubernator.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem zadzwonić do Dombrosia - oświadczył Runcible.

- Po co? - rzuciła z niepokojeni w głosie.

- By mu powiedzieć, że jest mi przykro.

- Wtedy dowie się, że to ty na niego doniosłeś - powiedziała bardzo stanowczo, jakby miała od dawna przygotowaną odpowiedź.



- Nie - zaprzeczył Runcible. - Powiedziałbym, że właśnie się dowiedziałem i że przykro mi z tego powodu. To ciężki cios dla człowieka, który musi codziennie dojeżdżać do pracy. Być wszędzie wożonym przez żonę. A ta dziewczyna to harpia. Prawdziwa despotka. Nie chciałbym być zdany na jej łaskę.

- Nie dzwoń do niego - rzekła Janet. - Proszę, nie rób tego. Nikomu nie powiedziałam, że to ty zawiadomiłeś wtedy policję.

- Jesteś pewna? - Jakoś nie mógł w to uwierzyć: nie ufał jej. Pewnie jej się wydawało, że nikomu nie powiedziała. Może nie chciała tego zrobić, nie miała takiego zamiaru. Wiedział jednak, że czasem umawia się po południu na drinka z przyjaciółkami -jeździ do nich, przyjmuje je u siebie albo spotyka się z nimi w którymś z barów w Carquinez - a kiedy sobie popije, chłapie jęzorem na prawo i lewo.

- Gdyby wiedział, że to ty, już by ci to dawno dał do zrozumienia - zaproponowała Janet.

Runcible jej nie słuchał. Niespokojnie chodził po domu.

\_ Co ludzie o tym mówią? Co się mówi w mieście o Dombrosiu? - zapytał.

- Chodzi ci o to, czy uważają, że został sprawiedliwie potraktowany?

- Nie, o to, czy mu współczują. Mój Boże, przecież mógł przejechać któreś z naszych dzieci... Sami ich nie mają, więc co ich to obchodzi? To jeszcze jeden kamyczek do ich ogródka. Nie mają dzieci, więc nie interesują się szkolnymi problemami: obligacjami i wysokością podatku. Wielu tutejszych ludzi oburzyło to, że Dombrosio kupił sobie zagraniczny samochód. I że zamiast naprawiać go w którymś z tutejszych warsztatów, wozi go do San Francisco. Pewnie benzyny też tutaj nie kupuje. A gdzie robią zakupy: w spożywczym w Carquinez czy w San Francisco? - Mówiąc to, oddalił się od żony na taką odległość, że nie usłyszał, co mu odpowiedziała.

W salonie spojrział przez okno na światła Donkey Hall

i zaparkowane przed nim samochody. Pracują. Dumają nad nowymi formami działalności społecznej, pomyślał. Urządzają konkurs dla dzieci na najlepsze przebranie z okazji Halloween, aby nie psociły. Co sam bym zaproponował? - zadał sobie pytanie. Jego propozycje były powszechnie znane. Dawno temu, kiedy przeprowadził się do Carquinez, opublikował je w „News” i na swój koszt rozesłał mieszkańcom ulotki. Utworzenie dwóch lub trzech nowych klas w szkole podstawowej - z roku na rok klasy były coraz liczniejsze. Nowa aula dla szkoły i ciepłe posiłki

dla uczniów. Przedszkole. Więcej latarni ulicznych. Biblioteka miejska otwarta dłużej niż cztery godziny w tygodniu, z większą liczbą czasopism niż tylko „National Geographic”. Poprawę stanu dróg prowadzących do miasta, które miałyby być utrzymywane do spółki przez hrabstwo i stan. Przyjęcie jego propozycji wymagałoby podniesienia podatków, ale nie miał nic przeciwko temu. Bank również musiałby więcej pożyczyć.

Najważniejszy postulat dotyczył jednak jakości wody i tańszej elektryczności. Dopóki jakaś mała firma nie zbuduje tu fabryki, nigdy nie znajdzie się dość kapitału, dość pieniędzy, żeby zmodernizować okolicę. Farmerzy za to nie zapłacą. Składają grosz do grosza i biorą do roboty w polu synów i córki. Jedynie młyn w Olema, stacja przekaźnikowa RCA na wzgórzu i sklepiki zatrudniają pracowników... no i oczywiście władze hrabstwa, które najmują zimą ludzi do prac przy utrzymaniu dróg: ścinania gałęzi i usuwania odłamanych konarów. Prędzej czy później modernizacja, której pragnie, nastąpi. Chciał jednak, żeby stało się to za jego życia.

A jeśli my tego nie zrobimy, pomyślał, to zrobią to za nas ludzie z zewnątrz. Obcy kapitał, spekulanci ziemią, o których nic nie wiemy. Okolica przestanie być mlecznym zagłębieniem.

W ciemnościach na dole mrugnęły światła Donkey Hall. Mam nadzieję, że zbierzecie pięć dolarów na nagrodę, pomyślał. To dopiero nadweręży wasz budżet, wy antysemitki osły, miejscy planiści o właściwych nazwiskach. A potem na doroczny grill. Gdybym był z nimi, myślał, mógłbym dostać koncesję na sprzedaż musztardy lub strzelnicę z rzutkami. Moglibyśmy zarobić dwadzieścia dolarów, aby podnieść stawkę za sędziowanie podczas wystawy zwierząt hodowlanych.

Zrobił obsceniczny gest ręką w kierunku Donkey Hall na dole. Każdy mieszkaniec Carquinez, który akurat by spojrzał w tę stronę, musiałby go zauważyć. Przy odsuniętych zasłonach jego sylwetka była doskonale widoczna na tle oświetlonego salonu. Mało go to jednak obchodziło. Powinienem to wydrukować na swojej urzędowej papeterii, pomyślał. Leo Runcible Realty, a poniżej wyprostowany, zwrócony do góry środkowy palec. Pies was drapał.

Na drugim piętrze Donkey Hall, w pokoju ogrzewanym przenośnym piecykiem elektrycznym, siedzieli pogrążeni w rozmowie czterej członkowie prezydium klubu. Reszta klubowiczów zebrała się w głównym holu na parterze i oglądała slajdy na temat zapobiegania chorobom wenerycznym, o które emerytowany major postarał się w jednostce wojskowej.

Prezydium składało się z Jacka E. Veppa, prezesa klubu; Earla Timmonsa, wiceprezesa i kierowcy ciężarówki; Walta Dombrosio, sekretarza, specjalisty od wzornictwa przemysłowego; oraz Michaela Whartona, skarbnika i nauczyciela ze szkoły podstawowej. W ostatnich kilku latach osobą, która najwięcej napracowała się przy Halloween, był Walt Dombrosio. To on dostarczył materiały na kostiumy, pomógł dzieciom je zrobić i pokazał sędziom, na co mają zwracać uwagę przy ocenie oryginalności pomysłów. Tego roku nie chciał jednak brać w tym udziału.

- Niech same sobie zrobią przebranie - powiedział. - Już się powinny były nauczyć, jak to się robi.

- Bez naszej pomocy większość z nich po prostu włoży plastikowe kostiumy kupione w sklepie. Będziemy wybierać między kupnymi strojami, a więc ci rodzice, którzy przeznaczą na to najwięcej pieniędzy, zapewnią swojemu dziecku główną nagrodę.

- Niektóre żony farmerów mają zamiar uszyć swoim dzieciom kostiumy, znajdzie się więc parę oryginalnych strojów- zauważył Vepp.

- Dlaczego w tym roku nie chcesz się w to włączyć? - zapytał Wharton Dombrosia.

- Bo jestem mało mobilny. Wiesz, że odebrano mi prawo jazdy.

Wszyscy trzej kiwnęli głowami.

- To naprawdę okropne - stwierdził Timmons.

- Owszem - poparł go Vepp. - Też mi wielkie przewinienie, jazda po pijanemu. Wydział komunikacji nie ma prawa odbierać ludziom prawa jazdy.

- Odwołałeś się, prawda, Walt? - zapytał Wharton.

- Odwołałem - odparł krótko Dombrosio.

- Ktoś mógłby cię wozić - zauważył Vepp.

- Może twoja żona? - odpowiedział Timmons.

- Założę się, że ona ma już tego po dziurki w nosie - rzekł Vepp. - Widziałem, jak wszędzie go wozi.

- Nie, to nie to - odrzekł Dombrosio. - Po prostu -wzruszył ramionami - nie jestem tak swobodny, by przychodzić i wychodzić, kiedy chcę.

- Liczymy na ciebie - powiedział Vepp.

- Pamiętasz ten kapitalny kawał, który wycieliśmy na prima aprilis? - odezwał się Timmons. - Ty go wymyśliłeś.

Dombrosio pamiętał go.

- Ty zrobiłeś te krowie przebrania - rzekł Vepp. -Z tego nowego plastiku... Jak on się nazywa?

- Polietylen - odparł Dombrosio. - To właściwie rodzaj utwardzonego wosku. Ogromnie długa cząsteczka węgla.

- Nigdy nie zapomnę tego numeru - roześmiał się Vepp. - To był najśmieszniejszy kawał, o jakim w życiu słyszałem. Nabraliśmy ich, nie ma co. Wszyscy w mieście dali się nabrać.

- Owszem, to było niezłe - zgodził się Wharton.

W krowich przebraniach, które Dombrosio zrobił w warsztacie Lausch Company, sześciu członków zarządu klubu wmieszało się w stado krów na farmie Fair-childa. Dali się zagonić do mleczarni, gdzie chciano ich wydoić. A wtedy oni zaczęli się sprzeczać i obrażać dojarzy. Był to świetny i nieszkodliwy dowcip, toteż poszli na następną farmę. Potem udali się do miasta i weszli nawet na szosę, by zatrzymywać samochody. Stroje były zrobione z niesamowitą dbałością o szczegóły. Były chyba najlepszym dziełem Dombrosia. Jeden z kostiumów wciąż znajdował się w piwnicy Donkey Hall jako część stałej ekspozycji.

- Wiesz co, Walter? - powiedział Vepp. - Przyszedł mi do głowy pewien pomysł; nic wspólnego z klubem, ale powinien cię zainteresować. Słyszałeś, że przepiórki latają w stadach liczących dwadzieścia do trzydziestu sztuk? Wiesz, że jeśli nawet trafisz ładunkiem śrutu w środek stada, zabijesz kilka ptaków, a reszta spokojnie odleci?

- W tym roku przepiórki są naprawdę tłuste - wtrącił się Timmons.

- Tak więc- ciągnął Vepp- pomyślałem, że może mógłbyś zмайstrować dla mnie jakąś elektryczną pułapkę. Jakies druty, przez które popłynąłby prąd, gdy ptaki na nich usiądą, ale nie na tyle silny, żeby je spalić i zniszczyć mięso. Rodzaj drutu oporowego czy coś w tym rodzaju. Taki zdolny gość jak ty na pewno coś wymyśli.

- To nieładnie podsuwać Walterowi takie pomysły. Mało ma kłopotów? Poza tym nie wolno stosować takich sideł - odezwał się nauczyciel.

- Nieprawda - zaproponował Vepp. - Co rozumiesz przez „taki pomysł”? Walt z pewnością nie ma nic przeciwko tłustej przepiórcie na obiad. - Koześmiał się, ukazując koronę złotych zębów.

- Mam dość kłopotów z prawem - powiedział Dombrosio. - Tego mi tylko brakuje, żeby

dostać mandat za robienie nielegalnych sideł. A poza tym, o ile wiem, sezon polowań na przepiórki jeszcze się nie zaczął,

- Na własnej posiadłości możesz strzelać do przepiórek o każdej porze roku. Zawsze możesz powiedzieć, że chroniłeś swoje uprawy, że ptaki zjadały ci zboże albo warzywa w ogrodzie. Jak wrony i sójki.

- Potrafiłbym coś takiego zrobić, ale nie chcę - odrzekł Dombrosio. - Nie interesuje mnie to.

Cała czwórka przez jakiś czas siedziała w milczeniu.

- Trudno coś wymyślić - odezwał się w końcu Vepp.

- Moglibyśmy się wybrać poobserwować ptaki - zaproponował Timmons. -I wziąć ze sobą uczniów z czwartej klasy. - Skinął głową w kierunku nauczyciela.

- Albo pozbierać minerały - dodał Vepp. - Może znaleźlibyśmy jakieś rzadkie skamieliny. Albo grotty do strzał czy inne indiańskie przedmioty. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, lecz Wharton się nie odezwał. Nauczyciel wpatrywał się w przestrzeń, jakby w ogóle go nie usłyszał.

- Jak tam twoja kolekcja grotów?- nie ustępował Vepp.

- W porządku - odrzekł Wharton.

- A zbiór minerałów? Wharton skinął chłodno głową.

- A kolekcja zakrętek do butelek od mleka? - pytał Vepp.

- O ile wiem, przestał je zbierać - odpowiedział mu Timmons.

- Czemu? - zdziwił się Vepp, - Te zakrętki to kawał prawdziwej historii Kalifornii. Spójrzcie, ile tu w okolicy jest starych mleczeni.

- Starych indiańskich mleczeni- rzekł Timmons, a potem zachichotał. - Starych indiańskich podwójnych mleczeni. - Zrobił ruch, który nie pozostawiał wątpliwości, że ma na myśli kobiece piersi. - A może zrobić kolekcję czegoś takiego? Wypchać i umieścić w gablocie? Czwartoklasiści nie będą mogli się od niej oderwać. -On i Vepp roześmiali się i Dombrosio również nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Słuchaj - rzekł. - No, posłuchaj, Wharton. Te granitowe szydła, które masz... no, te indiańskie... czy to na pewno narzędzia? Bo wiesz, co one mi przypominają? - Vepp i Timmons zrozumieli dowcip i roześmiali się. - Założę się, że to raczej kamienne narzędzia.

- Skamieniałe narzędzia - parsknął zduszonym śmiechem Timmons. - Kapitalna kolekcja. Dłgie na dziesięć cali. Ci Indianie to dopiero byli męscy faceci. Jakim cudem wymarli, skoro

mieli takie instrumenty?

Wharton milczał. Po chwili Timmonsowi i Veppowi znudziło się drażnienie nauczyciela. Posiedzenie prezydium zarządu zakończyło się niczym: nie udało im się przekonać Dombrosia, by się włączył do tegorocznych prac przy Halloween, i nie było sensu przeciągać spotkania.

- Idę na dół obejrzeć film- oświadczył Timmons, wstając. - Idziesz ze mną, Jack?

Obaj wyszli, zostawiając Dombrosia i nauczyciela samych.

- Nieładnie - odezwał się Wharton.

- O co ci chodzi? - zapytał Dombrosio, czując lekkie wyrzuty sumienia, że stroił sobie z niego żarty. Po odejściu Veppa i Timmonsa nie wydawały mu się takie zabawne.

- Masz wielki talent. Uważam, że możesz go lepiej spożytkować, niż majstrując sidła po to, by Jack Vepp mógł urządzić rzeź przepiórek.

- Cóż, jesteś miłośnikiem przyrody - rzekł Dombrosio. - Obserwatorem, naukowcem. Musisz spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Polowanie to nic złego; przecież jesz baraninę czy tam wołowinę, prawda? I nie przeszkadza ci to.

- Nie o to mi chodzi - odparł Wharton.

Od samego początku Wharton nie miał serca do klubu. Wstąpił do KBDMC, aby pomagać w czynach społecznych, które klub organizował w celach reklamowych, lecz nie pochwalał tych wyrafinowanych żartów, które inni tak lubili. Jego odwzajemniana niechęć do Veppa była powszechnie znana. Lecz jeśli w klubie zabraknie ludzi myślących prospołecznie, to -jak utrzymywał - tacy jak Vepp przekształcą organizację w... jak brzmiało to określenie, które Dombrosio kiedyś usłyszał z jego ust? ...w pretekst do urządzania imprez w męskim gronie. Pokazywania filmów pornograficznych. Organizowania wieczorków kawalerskich. Męskich bibek. Wharton nie chciał się wypisać z klubu, ponieważ obawiał się, że bez niego przeistoczy się on w coś o wiele gorszego. Wiedząc

o tym, nie mógłby spokojnie spać w swoim domu przy State Farm Road, w swojej norze pełnej zasuszonych traszek i węży.

- Ile zarabiasz jako nauczyciel? - zapytał go nagle Dombrosio.

- Pięć tysięcy dwieście na rok - odparł Wharton.

- Na czysto?

- Nie, przed opodatkowaniem.

- Jak ci się udaje z tego wyżyć?

- Czasem myślę, żeby zacząć wyplatać kosze z trzciny, lepić garnki i żywić się korzonkami. Tak jak Indianie.

- Oni również polowali i łowili ryby.

- Nie mam nic przeciwko polowaniu dla zdobycia pożywienia - rzekł Wharton. - Wtedy jest to uzasadnione i naturalne. Nie lubię Veppa, gdyż on się rozkoszuje zabijaniem zwierząt.

- Innymi słowy, polowanie jest czymś złym, jeśli czerpie się z tego przyjemność, natomiast jest w porządku, jeśli robi się to z zimną krwią.

Raptem Wharton odwrócił się w jego stronę i powiedział:

- Wiesz, mam do ciebie prośbę. Chciałbym, żebyś zdobył dla szkoły nadajnik wysokiej częstotliwości. I może także odbiornik na zakres UKF. Zdaje się, że w zeszłym roku prosiłem cię o zbudowanie dla nas czegoś takiego. Czy coś z tego wyszło?

- Zacząłem nad tym pracować- odparł Dombrosio ze skrucłą w głosie. - Mam go w moim domowym warsztacie, rozgrzebany w połowie.

- Powiem ci o czymś innym, co mógłbyś zrobić.

- Wiesz, że zawsze chętnie pomagam szkole. Wharton zmierzył go bacnym spojrzeniem.

- Chciałbym, żebyś przyszedł na lekcję i pokazał moim uczniom, jak używać pewnych materiałów.

- Znaczy się miałbym poprowadzić lekcję? Jak nauczyciel? - Niezbyt mu się spodobał ten pomysł: poczuł się zdenerwowany i skrępowany. - Jakich materiałów?

- Chodzi mi o te nowe rodzaje plastiku. Chłopcy kupują modele samolotów i statków... Niby do samodzielnego zrobienia, ale w zasadzie otrzymują zestaw gotowych części. Muszą je tylko skleić. Dawniej w takich zestawach była balsa, bibułka... Należało samemu wszystko wyciąć i uformować. Właściwie robiliśmy cały drewniany model własnoręcznie. Dziś robi się go za nich, muszą go tylko złożyć.

- Racja - przyznał Dombrosio. - Ale spójrz na to od innej strony, popatrz na bogactwo szczegółów, jakie można uzyskać dzięki plastikowi. Na przykład tłoki w silniku czy rury wydechowe.

- Wiem, że tu w klubie też masz jakieś odlewy - rzekł Wharton. - Widziałem je w magazynie, w którym urządziłeś sobie pracownię.

- One są z gipsu, a nie z plastiku.

- Powiedz mi, nad czym pracujesz. Te odlewy wyglądają interesująco.

- Tak się bawię - odparł Dombrosio. Zawsze pracował nad kilkoma własnymi projektami. A teraz, odkąd stracił prawo jazdy, poświęcał im jeszcze więcej czasu.

- Czy to jakieś maski? Takie na całą głowę, jak te maski marsjańskich najeźdźców, które zrobiłeś? Zawsze uważałem, że są rewelacyjne. Udowodniłeś nimi, że jesteś istnym geniuszem.

- Dzięki - powiedział Dombrosio. Miło mu się zrobiło na tamto wspomnienie.

W okolicy Drake's Landing działała grupa ufologów, składająca się głównie z kobiet w średnim wieku i emerytów. W zeszłym roku, przygotowując klubowy kawał, Dombrosio zrobił maski i kostiumy najeźdźców z kosmosu, a nawet atrapę latającego spodka, którą Timmons przywiózł na platformie do Drake's Landing. W środku nocy wylądowali plastikowo-błaznany spodek w środku pola. Potem wszyscy czterej włożyli kostiumy oraz maski i z kupionymi w sklepie z zabawkami plastikowymi

pistoletami wmaszerowali do domu, w którym spotykali się ufologowie. Tego wieczoru nie było żadnego spotkania, ale w łóżku zastali kobietę, która kierowała grupą. Zbudzili ją przenikliwym dźwiękiem, jaki wydawał kamer-ton znaleziony przez Dombrosia na śmietniku w Lausch Company.

- Podobało ci się to? - zapytał Whartona. Zawsze mu się wydawało, że nauczyciel nie lubi ich żartów, bo uważa je za okrutne i mało śmieszne. - Pamiętam, że mi powiedziałeś, iż większość naszych kawałów jest infantylna i... jak to nazwałeś? sadystyczna?...

- Owszem, ale ufologowie są godni pogardy. Zasłużyli sobie na to, co ich spotkało.

- Ach, więc dopuszczasz wyjątki. - Odniósł wrażenie, że po raz pierwszy nauczyciel pokazał ciemną stronę swojej natury. - Czyli płatanie figli osobom, których się nie lubi, jest dozwolone, tak?

Wharton przez chwilę namyślał się nad odpowiedzią.

- Ich wiarygodność... Nie daliby się nabrać na wasz kawał, gdyby myśleli racjonalnie. Poddaliście próbie ich zdolność trzeźwej oceny rzeczywistości. Ich naukową orientację albo raczej całkowity jej brak.

Dombrosio przerwał mu, zanim nauczyciel zdążył się rozgadać na swój ulubiony temat, czyli zalet myślenia w sposób naukowy.

- Powiedz mi coś. Czy w nauce nie płątano kawałów?

- Cóż, myślę, że całą geocentryczną kosmologię można uznać za rodzaj kawału. Ale tobie



chodzi o rozmyślne działanie? Umyślne głoszenie nieprawdy?- Wharton zmarszczył czoło. - Słyszałem, że pewien radziecki uczony spreparował dane, aby uwiarygodnić swoją teorię genetyczną. Woskowe jabłka...

- A co powiesz o człowieku z Piltdown? Wharton skrzywił się.

- Fakt.

- Z tym człowiekiem to ciekawa historia - rzekł Dom-brosio. - Nie wiadomo nawet, kto dopuścił się oszustwa, prawda?

- W Britannice wyczytasz, że większość autorytetów powątpiewała w autentyczność czaszki człowieka z Pilt-down. Po pierwsze, nie pasowała do żadnej teorii. Była anomalią nawet wtedy, gdy jeszcze nie wiadano, że jest mistyfikacją. Mózg normalnego człowieka, a zuchwa jak u szympansa.

- Tym w istocie się okazała, prawda?

- Tak. Ten, kto ją sfabrykował, złożył oba fragmenty, wiedząc, że nie ma między nimi żadnego związku. Chciał świadomie wprowadzić w błąd specjalistów, a to wymagało nie byle jakich umiejętności i znajomości tematu. Jak zapewne wiesz, dopiero gdy zastosowano nową metodę datowania za pomocą węgla, zorientowano się w oszustwie.

- A więc sprawcą musiał być jakiś naukowiec. Może ten, kto znalazł czaszkę.

- Może.

- Ale po co to zrobił? - zapytał Dombrosio.

- Nie mam pojęcia.

- Ciekawe, czy zamierzał w końcu ogłosić, że to oszustwo? Jaką by miał z tego satysfakcję, gdyby nikt się o tym nie dowiedział? Może chciał to zrobić, ale nie zdążył, bo umarł?

- Może zmęczyło go szukanie prawdziwych pozostałości z epoki kamienia. Według mojej teorii... - Wharton machnął ręką. - Wszyscy oczywiście wiedzą o moim uprzedzeniu do religii, nie zdziwiłbym się jednak, gdyby się okazało, że czaszka człowieka z Piltdown została sfabrykowana przez jakiegoś duchownego, który chciał w ten sposób udowodnić, że wszystkie takie szczątki są mało wiarygodne. Liczył, że wybitne autorytety naukowe uwierzą w jej autentyczność, a wtedy on zaszokuje świat wiadomością, że zrobił tę czaszkę w domu na poddaszu.

- Ale dlaczego w takim razie nie wyjawiał prawdy?

- Nie wiem - odparł Wharton. - Przypuszczalnie czekał, aż skapituluje ostatni sceptyk i wśród uczonych żar panuje powszechna zgoda, ale się nie doczekał. Zbyt długo zwlekał.

- Czy to możliwe, by wszystkie czaszki wczesnych ludzi również były sfalszowane? Na przykład neandertalczyków czy innych istot uważanych za brakujące ogniwa?

- Zbyt dużo ich znaleziono od czasu wojny - wyjaśnił Wharton. - Całe setki: w Afryce, Izraelu i Azji. Olbrzymią różnorodność gatunków. Mieszkańców. Nowe gatunki. Podgatunki. Czaszki małp pod pewnym względem bardziej rozwiniętych niż człowiek. Jeśli cię to interesuje, mam kilka artykułów na ten temat w „Scientific American”. Z przyjemnością ci je podrzucę.

- Przypominam sobie, że kiedyś czytałem o jakimś Lake'u, który odkrył w Afryce szczątki prawdziwego człowieka pierwotnego.

- Chodzi ci o Leakeya, który znalazł czaszkę najstarszej istoty używającej narzędzi - poinformował go Wharton. - Jej wiek oceniono na sześćset tysięcy do miliona lat. Albo była to wysoce rozwinięta małpa, albo prymitywny człowiek. - Podeszedł do Dombrosia i wycelował w niego palec wskazujący. - To bardzo interesująca sprawa. Uważa się, że najbliższe człowiekowi istoty, jak neandertalczyk czy człowiek z Heidelbergu, żyły przed pojawieniem się Homo sapiens.

- A nie było tak? - zapytał Dombrosio.

- Ostatnio znaleziono czaszki prawdziwych ludzi, którzy żyli mniej więcej w tym samym czasie co tak zwani przedludzie.

- A zatem istoty te żyły niejako obok siebie.

- Homo sapiens nie był wynikiem ewolucji przedczłowieka. Były to różne gatunki, z którymi nasi przodkowie się krzyżowali.

- Czyli że w żyłach niektórych dziś żyjących ludzi może płynąć neandertalska krew.

- Całkiem możliwe.

- Neandertalczycy nie byli zatem odrębnym gatunkiem, lecz jakby gałęzią... zdegenerowanych ludzi. Nie wiem, czy tak można powiedzieć?

- To niewiele, a właściwie nic nie znaczy. W każdym razie wyginęli dość gwałtownie. Wszystko wskazuje na to, że zamieszkiwali duży obszar Afryki, Europy i Azji. Ale nie było ich w Nowym Świecie. Nie znaleziono żadnych ich szczątków ani w Ameryce Północnej, ani Południowej.

- Interesujące - mruknął Dombrosio.

Piętro niżej rozległy się głosy i szuranie krzesłami. Wszystkie slajdy o zapobieganiu chorobom wenerycznym zostały pokazane. Spotkanie dobiegało końca. Dombrosio usłyszał

warkot samochodów odjeżdżających sprzed budynku.

- Podwieźć cię do domu? - zapytał Wharton.

- Nie, dziękuję. Sherry po mnie przyjedzie.

- Nie jest to dla niej zbyt duże obciążenie? Pięć dni w tygodniu musi spędzać w San Francisco, prawda? Co tam robi?

- Odwiedza znajomych - odparł Dombrosio, wkładając płaszcz. - Radzi sobie, nie narzeka. Właściwie to dobrze na tym wychodzi. Robi zakupy, chodzi do kina i na wykłady ze sztuki użytkowej. Kiedyś miała ambicję zostać profesjonalną artystką.

- Może ona mogłaby pomóc przy kostiumach na Halloween? - rzucił Wharton z nadzieją w głosie.

## Rozdział siódmy

Na pierwszym długim podejździe pod górę Tamalpais Sherry zmieniła bieg, nie spuszczać wzroku z prędkościomierza. Za nimi, u podnóża urwistej, skalnej ściany, widać było ocean. Dombrosio objął wzrokiem rosnący wyżej gęsty las: sekwoje i jodły, wśród których na szczycie stała wieża do wypatrywania pożarów. W świetle mglistego, wczesnego poranka stanowisko obserwacyjne wyglądało jak niewielkie, mokre, metalowe działo umieszczone na wieżycze. Na pewno mają tu gdzieś bazę pocisków raketowych, pomyślał. Może to wcale nie jest wieża obserwacyjna, tylko instalacja radarowa.

Ponieważ nie prowadził, mógł podziwiać krajobraz. Odprężył się nieco, popatrzył w lewo i w prawo, a nawet za siebie na schodzącą serpentynami w dół drogę. W głowie mu się zakręciło od tego widoku.

- Zwalniaj na zakrętach - upomniał żonę.

- Przecież opony nie piszczą - odparła.

- Nigdy nie wiadomo, co na ciebie wyjedzie zza skały. Masz ograniczoną widoczność. - Powtarzał to codziennie podczas jazdy do San Francisco i z powrotem. Wciąż się denerwował, że to nie on siedzi za kierownicą. Nie lubił stylu jazdy swojej żony, lecz nie potrafił określić, co mu się w nim nie podoba: obserwowała prędkościomierz, utrzymywała właściwe obroty silnika i- jak słusznie zauważyła -jechała tak, że nie było słychać pisku opon.

Do zmniejszenia prędkości na zjazdach używała silnika zamiast hamulców. Po prostu nie lubię jechać jako pasażer, pomyślał. Poza tym, nie mając kierownicy w garści, nie miał się czego uchwycić na zakrętach. Odkąd Sherry zaczęła go wozić, miał kłopoty z żołądkiem.

Powinienem być jej wdzięczny, pomyślał, że w ogóle mnie podwozi. Od samego początku, od pierwszej rozprawy sądowej, robiła to bez szemrania. Uznała to za swoją pracę i wywiązywała się z niej bez zarzutu.

- Co zamierzasz dzisiaj robić? - zapytał.

- Czemu pytasz?

- Jesteś dziś bardziej elegancka niż zwykle. - Zauważył, że włożyła swą najlepszą, ciemnoniebieską garsonkę. Utrwaliło mu się w pamięci, że nosi ją tylko na specjalne okazje. Ostatnim razem miała ją na sobie podczas spotkania z ich adwokatem.

- Będę szukać pracy - stwierdziła krótko. Zrobiło mu się zimno. Zimno i słabo.

- Co przez to rozumiesz?

- Szukanie pracy. Przemyślałam to i doszłam do wniosku, że skoro codziennie muszę jeździć do miasta i siedzieć tam cały dzień, równie dobrze mogę pracować. - Powiedziała to spokojnym tonem, nie spuszczać wzroku z drogi.

- Jakiej pracy zamierzasz szukać?

- Zobaczę.

- Zostały ci tylko cztery miesiące tego cholernego wożenia mnie. Miną dwa miesiące, zanim coś sobie znajdziesz. Nikt cię nie zatrudni na tak krótko.

- Myślę, że znajdę coś w krótszym czasie niż dwa miesiące - powiedziała.

- Już szukałaś, tak? - Nagle wszystko stało się dla niego jasne: oczywiście, że szukała. I dopiero teraz mu o tym mówi. Wie już, jaka sytuacja panuje na rynku pracy. A może nawet ma coś upatrzonego. Naturalnie, chciała poczekać z poinformowaniem go do ostatniej chwili. Po co miałaby mu o tym mówić? Nie liczyła się z jego zdaniem.

- Owszem, szukałam - potwierdziła.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? - Zmusił się do zachowania spokoju. Postarał się, by jego głos był wyprany z emocji, tak by jego argumenty brzmiały równie rozsądnie co jej. - Nie sądzisz, że powinniśmy wspólnie się nad tym zastanowić?

Nie odpowiedziała.

- Przypuśćmy, że nie spodoba mi się ten pomysł-rzucił podniesionym głosem.

- Przydadzą się nam dodatkowe pieniądze - odparła. - Podatki rosną, a poza tym musimy zapłacić za drenaż. Nie zapłaciliśmy też całego honorarium adwokatowi... Wstrzymałam ten czek. Nie mówiłam ci?

- Zrezygnujesz, gdy dostanę z powrotem prawo jazdy?

- To zależy od tego, jak będę sobie radzić - odparła.

- Nie chcę, by moja żona pracowała.

- Trudno. Tak czy owak, mam zamiar znaleźć sobie jakieś zajęcie. Zachowujesz się arogancko i despotycznie i nie podoba mi się twój ton.

- Nie pozwolę ci.

Odwróciła głowę w jego stronę i obrzuciła go baczny, chłodny spojrzeniem. Po chwili wyprostowała się i znów zaczęła patrzeć na drogę.

- To przestanę cię wozić - rzuciła beznamiętnie. Ogarnęły go tak silne emocje, że miał kłopot z ich

wyrażeniem. Wlepił wzrok w drzewa, w olbrzymie sekwoje. Z naprzeciwka nadjechał samochód. Minał ich, piszcząc oponami na zakręcie. Jego kierowca odwrócił głowę, by zobaczyć, jakim samochodem jadą.

- To cud, że amerykańskie auta mieszczą się w tych zakrętach - stwierdził.

- Zostawiłam mu mnóstwo miejsca - odparła.

- Czemu się tak uparłaś? Czego właściwie chcesz?

Nie potrafię tego zrozumieć. Po co ci praca? Chcesz być taka jak mężczyzna, tak? Nic nie powiedziała.

- Zależy ci, by nosić spodnie - rzekł.

- Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego aferę. Czym się tak niepokoisz? Musisz być strasznie niepewny swojej męskości, jeśli tak bardzo przeraża cię to, że chcę pracować. Musisz się obawiać, że nie sprawdzasz się jako mężczyzna.

- Czy gdybym umarł, zaczęłabyś pracować? - spytał. Zaskoczyło ją to.

- Co za dziwne pytanie?

- Nie - sam sobie odpowiedział. - Ponieważ gdybym nie żył, nie zależałoby ci, by mnie pognać i zniszczyć.

Wybuchnęła głośnym śmiechem, poczerwieniała jej twarz.

- Mój Boże - jęknęła. - Ty naprawdę nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Ta cała historia z prawem jazdy odebrała ci rozum.

- Co byś zrobiła, gdybym nie był twoim mężem? - pytał. - Nie poszłabyś szukać pracy. Nic by cię to nie obchodziło. Byłaby to ostatnia sprawa, którą byś się zainteresowała. Siedziałabyś w domu, w pracowni, i malowała obrazy. Znakomite obrazy, jak Picasso.

- Dzięki - mruknęła.

- Wróciłabyś do rodziców i żyła na ich koszt - ciągnął. - Na pewno nie poszłabyś szukać pracy. Nigdy w życiu nie pracowałaś. Kiedy cię poznałem, utrzymywali cię rodzice. Skoro tak bardzo chcesz pracować, to czemu wtedy nie pracowałaś?

- Jak miałam pracować? Przecież chodziłam do szkoły... - odparła.

- Wielu ludzi uczy się i pracuje - wpadł jej w słowo. Zabił jej ćwieka i rozkoszował się tym uczuciem. - Ja pracowałem, kiedy się poznaliśmy. Chodziłem do szkoły i pracowałem. Nie

miałem bogatych rodziców, którzy by mnie

utrzymywali! - Ostatnie słowa wykrzyczał, ale nie zwrócił na to uwagi. - Wiem, dlaczego mnie nie szanujesz!

- Dlaczego?

- Ponieważ nigdy, nawet za milion lat, nie zdołam zarobić tyle pieniędzy, żeby sprostać twoim oczekiwaniom. Nie będę tak bogaty jak twój ojczym. Porównujesz mnie z finansowym czarodziejem.

Roześmiała się gorzko.

- Willis miałby być finansowym czarodziejem?

- Owszem - potwierdził. - Właśnie tak. Dla ciebie facet prowadzący interesy, które każdego roku przynoszą mu pięćdziesięcioprocentowy zysk, to nic nadzwyczajnego... Mój Boże, jak ma się tyle pieniędzy, to nie uważa się ich za środek do kupowania rzeczy, tak jak my to robimy, ale za środek do zdobycia władzy. Mam z kimś takim konkurować? Pamiętaj... on startował z innego punktu niż ja. Cała jego rodzina, ojciec, dziadek, inwestowała na giełdzie. Mnie jeszcze nie było na świecie, kiedy oni zarabiali swoje pierwsze pieniądze.

- Nie znudziło cię powtarzanie tego? - mruknęła. Nie zwracając na nią uwagi, mówił dalej:

- Gdy się jest tak bogatym jak Willis, każdy interes jest legalny. Prawo to on. Może kupić każdego małomiasteczkowego prawnika i sędziego. Oprócz kombinowania z podatkami, kiedy to musiałyby zdrzeć z rządem... oprócz tego może zrobić wszystko, co chce. I ja mam mu dorównać. A skoro nie potrafię, jestem nieudacznikiem. Mój Boże, kiedy chcą nas odwiedzić, wskakują do samolotu i przylatują tu z Nowego Jorku. Ilekroć przyjdzie im na to ochota. I wynajmują apartament w Mark Hopkins. Mają do dyspozycji wszystkich adwokatów w kraju.

- Gdybyś skorzystał z usług adwokata Willisa - powiedziała Sherry - nie straciłbyś prawa jazdy.

- I masz mi to za złe.

- Mam ci za złe, że kiedy zadzwonił i zaproponował ci, byś skorzystał z usług Adamsona i Rogersa, ty po

dziecinnemu odmówiłeś, twierdząc, że nie potrzebujesz pomocy. I zaraz potem wynajęłeś jakiegoś chłystka, który dopiero zaczyna praktykę i nie zna nikogo ważnego.

- O, właśnie. Takie masz wyobrażenie o świecie.

- W każdym razie prawniczym.

- Okropne.

- Musisz się przystosować - rzekła Sherry. - Żyć w realnym świecie. Pielęgnujesz swoją dzieciinną dumę... Jeśli coś cię zżera, to właśnie ta duma. Nie możesz znieść, że inni osiągnęli więcej niż ty. Zazdrościsz im. Nie lubisz Willisa, ponieważ jemu się powodzi, a tobie nie - stwierdziła. - W każdym razie nie tak dobrze jak jemu - dodała, po czym spojrzała na niego, by zobaczyć jego reakcję.

Tak, pomyślał. Dotarło do mnie, ale do ciebie nie. Głośno zaś powiedział:

- Mój infantylny obłęd jest tak wielki, że zmusił cię, byś powiedziała na głos, że istotnie uważasz mnie za nieudacznika.

- Mówiąc, że jesteś nieudacznikiem, miałam na myśli to, że nie masz predyspozycji do działania w świecie biznesu - powiedziała ostrożnie.

- Tak wygląda nasze społeczeństwo - rzekł. - To męczyzna jest myśliwym, męczyzna przynosi do domu pożywienie, co w naszych realiach oznacza wypłatę.

- Czyli że kiedy zacznę pracować- podsumowała Sherry - będzie to oznaczało, że konkuruję z tobą jako męczyzną, że chcę się stać męczyzną.

- Właśnie.

- I ty myślisz, że tego chcę, że o to mi chodzi.

- Tak.

- A nie przyszło ci do głowy - rzekła cicho, lecz z naciskiem - że to wszystko jest twoim wymysłem? Projekcją twojego umysłu?

Był jednak głuchy na ten argument: słyszał go zbyt wiele razy w ciągu ich małżeństwa.

Potrafi tylko powtarzać, że wszystko jest moim wymysłem, pomyślał. Twierdzi, że się mylę, ale nie poda żadnego dowodu, który byłby do przyjęcia dla racjonalnie myślącego człowieka, dla naukowca. Co mówi do mnie moja żona? Twierdzi, że nie potrafię odkryć innej rzeczywistości poza swoją własną. Jak mam odpowiedzieć na taki zarzut?

Ze strachem uświadomił sobie, że nie potrafi. Zawsze będzie się obawiał, czy ona nie ma czasem racji.

Co to za wstrętny, niegodziwy i typowo kobiecy argument, pomyślał. Jakie to podłe z jej strony, że używa go wobec mnie. Chyba że ma rację. Mój Boże, pomyślał. Wystarczy, że po niego sięgnie i od razu zbija mnie z tropu, kończąc całą dyskusję. Jak mam sobie poradzić w ta-



kiej sytuacji? Im więcej mówię, im bardziej się złościę, tym mocniej udowadniam, że racja leży po jej stronie. Czy pracująca żona to coś tak okropnego? Wiele żon pracuje, a mężowie siedzą w domu. Niektórzy karmią dzieci i zmywają naczynia. Jeśli cierpię z tego powodu, to tylko dlatego, że wmówiłem sobie, iż tak to na mnie działa.

Niby drobiazg, pomyślał. Chce po prostu zacząć pracować; i tak musi jeździć do San Francisco, a pieniądze się przydadzą.

Wiedziałem, że tak będzie, powiedział do siebie. Przewidziałem to. Moje obawy nie były więc całkowicie bezpodstawne. Miały jakieś uzasadnienie w rzeczywistości.

Wiem, pomyślał w panice, jaki będzie jej następny krok. Ona będzie pracować, a ja siedzieć w domu. Wiem, że tak będzie, i nic na to nie mogę poradzić. Wszystko ku temu zmierza. Od dawna, od samego początku, ona do tego dąży; utrata prawa jazdy sprawiła, że jestem zdany na jej łaskę.

- Naprawdę byś to zrobiła? - odezwał się.

- Co?

- Przestałaś wozić mnie do pracy, gdybym ci nie pozwolił pracować?

- Może w ten sposób uświadomisz sobie, że na tym świecie trzeba także dawać, a nie tylko brać - odparła po chwili namysłu.

- Co to, na miłość boską, ma znaczyć?! - wybuchnął.

- Nie możesz oczekiwać, Walt, że tylko ja będę stroną dającą - odparła, siląc się na spokój. - Wciąż daję i daję. Straciłam już rachubę. Nie mam czarnego zeszytu do zapisywania swoich dobrych uczynków. Nigdy

palców, ramion - cała powierzchnia jego ciała tęskniła za kontaktem z nią. Ta reakcja jego organizmu była skutkiem intensywnego i trwałego przeżycia. Pod pewnymi względami była to najbardziej przekonująca ze wszystkich znanych mu rzeczywistości.

- Kochanie wzbronione - powiedziała, kiedy przysunął się ku niej, na tyle blisko, na ile pozwalały pasy. - Proszę zapiąć pas. To był ich żart - nieprzyzwoity dowcip, który sami wymyślili i nikomu nie powtarzali.

- Później? - zapytał, pochylając się, by ją pocałować w policzek.

- Cóż - chrząknęła - jeśli chcesz się kochać z kobietą, której jedynym celem jest zajęcie twojego miejsca jako mężczyzny...

Usłyszałszy jej odpowiedź, znów się zezłościł, lecz udało mu się nie stracić panowania

nad sobą. Miał dla niej w zanadrzu niespodziankę.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy, powiedział do siebie, abyś została tam, gdzie twoje miejsce: w domu jako moja żona. Będę o to walczył z całych sił, do samego końca. I we wszystkich miejscach, dodał w myśli, spojrzawszy w dół na jej zgrabne nogi i łydki. Wszędzie tam, gdzie będę widział szansę na zwycięstwo.

- Jedźmy dalej - powiedział i musnął tył jej nogi na wysokości kolana - wrażliwy fragment kobiecej anatomii; zadrżała i mimowolnie cofnęła nogę.

- Masz taki zadowolony głos - stwierdziła. - Szybko przychodzisz do siebie. - Uśmiechając się, wrzuciła bieg i po chwili znów ruszyli w drogę.

Tego wieczoru, w domu, usłyszał, że poszła do sypialni zatelefonować. Choć zamknęła za sobą drzwi, nieomylnie rozpoznał głos, którego używała, mówiąc przez telefon: był on bardziej stanowczy, bardziej nieugięty. Nie mówiła ani głośniejsze, ani wolniej, lecz bardziej władczo, jak gdyby jej rozmówca - kimkolwiek był - należał do

kategorii hydraulików i dentystów, ludzi, do których się dzwoni, gdy się czegoś potrzebuje. To ona do kogoś dzwoni, a nie ktoś do niej, uświadomił sobie.

Cokolwiek zamierza, pomyślał, robi coś, co na dobrą sprawę należy do moich obowiązków. Jak ten telefon do Arbartha, właściciela firmy budowlanej. Sam powinienem być do niego zadzwonić. Znów mnie w czymś ubiegła.

Kiedy zjawiała się w salonie, zapytał:

- Z kim rozmawiałaś?

- Z ojczymem - odparła. W rękę trzymała ołówek i notes; usiadła na poręczy fotela, założyła nogę na nogę, wygładziła spódnice i zaczęła przeglądać notatki.

- Co u nich słychać? - przerwał w końcu milczenie. - Mam nadzieję, że z okiem twojej mamy, z tą jej odklejo-ną siatkówką, jest już wszystko w porządku?

- Prawie w porządku - powiedziała Sherry. - Takie przypadłości wymagają długiego leczenia.

- A co u twojego brata?

- Wszystko dobrze. Dzieci są zdrowe. Zastanawiają się, dlaczego nie piszemy.

- Dobrze.

- Willis o ciebie pytał. Powiedziałam, że wyszedłeś. Wiedziałam, że nie będziesz chciał z nim rozmawiać.

- Słusznie. Choć z drugiej strony trudno by mi było to zrobić... skoro nie powiedziałaś mi, że będziesz do niego dzwonić. Nie wiesz przypadkiem, ile zapłacimy za tę rozmowę?

- Nie - rzuciła krótko.

- Po co do niego dzwoniłaś?

- Chciałam się dowiedzieć, czy nie zna kogoś w okolicy San Francisco, kto miałby pracę, jaka mnie interesuje.

- I co na to Willis?

- Powiedział, że zna kilka firm. Sprawdzi i zadzwoni do mnie jutro albo pojutrze.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby samej pójść do biura pośrednictwa pracy i nie załatwiać wszystkiego przez ojczyma?

- Nie - odparła. - Poza tym to był twój pomysł.

- Mój?

- Słusznie zauważyłaś, że powinnam zdobyć pracę jak najszybciej, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Zadzwoniłam więc do niego. - Wstała, przeszła przez salon i wróciła do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Wkrótce usłyszał jej głos: znów telefonowała.

Tym razem wstał i podszedł do drzwi, żeby posłuchać. Przez długi czas nie mógł powiązać oderwanych zdań. Wyteżył słuch i wreszcie z goryczą uzmysłowił sobie, że rozmawia z kimś z okolicy. Słyszał jak wykręca numer, a ze swojego telefonu bezpośrednio mogli dzwonić tylko do Carquinez i Stinson Beach. Chciała się dowiedzieć, kiedy odbędzie się następne spotkanie Stowarzyszenia Miłośników Ogrodów w Carquinez, podczas którego ona i kilka innych kobiet z okolicy kupowały krzewy i kwiaty.

Zakłopotany i przygnębiony wrócił do salonu z hałasującym, migającym i przeszkadzającym w skupieniu telewizorem.

Oglądając program, mógł na chwilę zapomnieć o swoich kłopotach. Nie było to ani odkrywcze, ani kształcące, ani nawet zabawne zajęcie, ale odprężało niczym gorąca kąpiel. Niczego więcej nie potrzebował. Było to właściwe zakończenie dnia. Będąc czymś między snem a jawą, dobrze nastrojało przed snem.

Pod koniec tygodnia wezwał go do siebie Norm Lausch, jego szef.

Dombrosio stał przy biurku i powoli - najwolniej, jak potrafił - zdejmował fartuch. W ciągu kilku lat pracy w Lausch Company tylko parę razy spotkał się z Nor-mem osobiście. Lausch posiadał kilka przedsiębiorstw i dzielił między nie swój czas. Jego oczkiem w głowie

była fabryka produkująca przyczepy kempingowe. Wiele lat

temu Lausch opracował nowy, rewelacyjny projekt wnętrza takiej przyczepy i jeden z największych wytwórców sprzętu kempingowego postanowił wdrożyć go do produkcji. Jego firma produkowała elementy wyposażenia: odpowiednie stoły, półki i szafki - właściwie wszystko oprócz samej przyczepy. Na tym Lausch zarobił swoje pierwsze większe pieniądze.

Szef mówił cichym głosem, ani niskim, ani wysokim, którego jednak trudno się słuchało. Palił szczególny rodzaj czarnych papierosów, długich jak cygara, które przywoził z Filipin. Ilekroć się spotkali, Lausch był ubrany w garnitur koloru indiańskiej ceramiki z rudawo-brązowej gliny, uszyty z materiału, który wydawał się ciężki i był ciężki. Miał piękne, białe i wypielęgnowane dłonie, nosił dużą złotą obrączkę. Opalona pod kwarcówką twarz i miłe, łagodne spojrzenie dopełniały obrazu.

Dombrosio kilkakrotnie wdał się z szefem w dyskusję i ani razu nie potrafił zmusić go do zajęcia jednoznacznego stanowiska. Lausch był człowiekiem miłym, ale niezdecydowanym: niby się zgadzał, dawał się przekonać, ale w istocie robił unik. Mimo to zarządzał dużą firmą. Robił to jednak za pośrednictwem innych ludzi, którzy załatwiali wszystkie sprawy z Dombrosiem, innymi projektantami i robotnikami. Lausch wpadał jak po ogień i znikał. Był trudno uchwytny i najwyraźniej chciał, żeby tak pozostało.

Czego ode mnie chce? - zastanawiał się Dombrosio, idąc wyłożonym celloteksem korytarzem i mijając drzwi z napisami WSTĘP WZBRONIONY. Szedł z ociąganiem; nie było to spowodowane jakąś konkretną przyczyną czy uzasadnionymi obawami. To sama sytuacja wzbudzała w nim lęk. Uzmysłowił sobie, że pracownik, którego jedyne źródło utrzymania zależy od dobrej woli innej osoby, szefa, musi się czuć nieswojo, gdy zostaje przez niego wezwany.

Przed drzwiami przystanął, by się wewnętrznie przygotować. Chciał wejść do środka z maksymalnie chłodnym umysłem. W końcu otworzył drzwi, przeszedł obok biurka sekretarki i zastukał do wewnętrznych, szklanych drzwi.

- Proszę - rozległ się głos Norma Lauscha. Dombrosio wszedł do gabinetu.

Szef siedział zjedną nogą na biurku i małym grzebieniem czesał włosy na łydce. Kiedy zobaczył Dombrosia, schował grzebień do skórzanego etui i włożył do kieszeni.

- Cześć, Walt - powiedział. - Siadaj, chłopcze. Dombrosio usiadł na krześle naprzeciwko biurka. Nie

był w nastroju do żartów, toteż nie odpowiedział.

- Jak się miewa nasz Juan Fangio? - zapytał Lausch, śmiejąc się serdecznie.

- Ostatnio rzadko się ścigam - odparł Dombrosio.

- Mógłbyś przyплыwać do pracy łodzią. Wyruszyłbyś z tego twojego miasta... jak ono się nazywa? Carquinez? ...a potem popłynął w dół zatoki, pod mostem Golden Gate i przycumował do nabrzeża San Francisco, największego portu na świecie. Stamtąd mógłbyś wziąć taksówkę. Ile by ci to zajęło?

- Cały dzień - odparł.

- Tak, ale mógłbyś płynąć żaglówką i zaoszczędzić na benzynie.

To musiało rozśmieszyć Dombrosia. Przez chwilę dwaj mężczyźni siedzący naprzeciw siebie w biurze Lauscha śmiali się. Pomysł był naprawdę zabawny. Dombrosio docenił dobry kawał, a także intencję swego szefa. Norm Lausch współczuł mu. Niewinnym żartem dał mu do zrozumienia, że wie, iż odebrano mu prawo jazdy, ale nie potępia go i życzy mu jak najlepiej. Zrobił to delikatnie, nie wprawiając go w zakłopotanie, a jednocześnie rozwiewając jego obawy.

- Podczas burzy - rzekł Dombrosio - mogłoby mnie znieść w przeciwnym kierunku. Do Japonii.

- Cóż, pozyskaliśmy jednego z ich projektantów. Byłby to zwrot pożyczki. - Norm Lausch nie spieszył się

i przejściem do interesów. Wyglądało, jakby nie liczył się z czasem.

- Wiesz co, zastanawiam się, czy widziałeś to opakowanie, które razem z Quinnem robimy dla tego producenta kuwet na kocie odchody.

- Ach tak, Koci Ustęp. Ale musicie uważać, żeby nie kojarzyło się z produktem Ex-M-Co.

Przez chwilę Dombrosio nie mógł sobie przypomnieć, o jaki produkt chodzi. W końcu przypomniał sobie. Chodziło o Jonny Cat- pochłaniacz używany do wypełnienia pojemników na kocie odchody. Ich opakowanie było niezwykle pomysłowe. Zarówno samo pudełko, jak i napisy na nim nie wywoływały nieprzyjemnych skojarzeń, a mimo to jasno dawały do zrozumienia, co jest w środku. Jak to wyraził Bob Fox, gdy po raz pierwszy obejrzał ich opakowanie: „Ten ich kot wygląda, jakby nigdy nie srał”. Twórcą opakowania była inna firma, a projektanci Lausch Company musieli teraz wymyślić coś równie dobrego dla swojego klienta, producenta Kociego Ustępu.

- Oczywiście - zgodził się Dombrosio. - Ale Koci Ustęp produkuje wyłącznie pudełko na odchody, a nie wypełniacz. A zatem obie firmy nie konkurują ze sobą. Właściwie niektórzy

klienci mogą kupować Jonny'ego Cata i wsypywać go do Kocięgo Ustępu.

- Albo W. C. Kota - zauważył Lausch. - Moja żona to kupuje.

- Wiesz dlaczego?

- Uważa, że nazwa Jonny Cat jest trochę wulgarna. Wie, że to gra słów wykorzystująca slangowe określenie na toaletę, „John”.

- Dlaczego brzmi to dla niej wulgarnie? - Aby uniknąć oskarżeń, firma Ex-M-Co specjalnie usunęła ze słowa „Johnny” literę „h” i dodała drugie „n”.

- Ma brata imieniem John i zawsze była czuła na punkcie używania imion do takich celów.

- Azatemniej upodobania nic nam nie mówią - stwierdził Dombrosio.

- Jeśli chodzi o ten pochłaniacz - powiedział Lausch -to można go używać nie tylko do wypełniania pojemników na kocie odchody. Firma specjalnie podkreśla to na opakowaniu. Można nim zebrać olej z posadzki w garażu. Do czego można go jeszcze użyć? Do obłożenia roślin na zimę. Do wyłożenia koszy na śmieci. A do czego można zastosować sam pojemnik? Nasze opakowanie musi podkreślać tę jego cechę.

- O ile pamiętam, jest zrobiony z gumy - rzekł Dombrosio, usiłując sobie przypomnieć treść firmowych ulotek - a więc może być używany przez fotografów jako kuweta do wywoływania filmów i odbitek.

- To za mało - stwierdził Lausch.

- Duży, płaski, gumowy pojemnik na pewno może znaleźć wiele zastosowań. Jest sztywny, więc można go przenosić bez obawy, że jego zawartość się wyleje. Nie tłucze się i nie wygina.

- Twoim zdaniem będzie świetną kuwetą dla fotografa, któremu zachce się łązić z nią po pokoju. - Lausch splótł ręce i ścisnął je z olbrzymią siłą. - Posłuchaj, chłopie. Zgadnij, kto poprosił mnie dziś o pracę.

- Moja żona - powiedział Dombrosio i na chwilę serce w nim zamarło.

- Tak, twoja własna małżonka. - Wziął z biurka tekturową fiszkę i rzucił ją Dombrosiowi.

Karta była wypełniona dobrze mu znanym ładnym i czytelnym pismem. U góry było napisane:

DOMBROSIO, SHERRY R., PANI

płeć k wiek 31 stan cywilny zameężna

rasa b wyznanie p

Wziąwszy kartę, Dombrosio stwierdził, że potrafi prze-czytać tylko kilka pierwszych linijek, reszta była zamazana. Mimo to trzymał kartę przed oczami, udając, że czyta wszystko od początku do końca. Potem położył ją z powrotem na biurko.

- Kiedy zwróciła się z tym do ciebie po raz pierwszy? - zapytał.

- W zeszłym tygodniu. - Lausch wskazał kciukiem datę wypełnienia karty.

- Byłem wtedy u siebie?

- Nie - zaprzeczył Lausch. - Szukała cię pod koniec pracy. Tak się złożyło, że wpadliśmy na siebie przed moim gabinetem i zaczęliśmy rozmawiać.

- Czyj to był pomysł, żeby ją zaangażować?

- Nasz wspólny. Czekala tutaj na ciebie... Nie wiem, gdzie wtedy byłeś. Chyba po coś wyszedłeś. To było we czwartek.

- W tej chwili nie pamiętam - odpowiedział Dombrosio.

- Zaczęła oglądać próbki opakowań w sklepie. Rozmawiałem z nią wcześniej raz czy dwa razy. Kilka miesięcy temu. Ma dyplom ze wzornictwa przemysłowego, prawda? Robiła różne rzeczy ze skóry i metalu... pokazała mi kilka pasków i kolczyków.

- Pracowała z różnymi tworzywami - stwierdził Dombrosio.

- Całkiem dobrze sobie radzi.

- Bardzo dobrze.

- Chcesz wiedzieć, o jakiej pracy dla niej myślę? -zapytał Lausch.

Wstrzymując oddech, Dombrosio rzucił najubożniej, jak potrafił:

- No pewnie.

- To również był nasz wspólny pomysł. Po pierwsze, twoja żona nie ma żadnego doświadczenia zawodowego. Z pewnością nie może się pochwalić niczym, co pozwalałoby jej zajmować się tym samym co ty. Nawet te jej rękodzieła nie są niczym oryginalnym w swoim gatunku. Przepraszam, że tak z tobą mówię. Całkiem szczerze.

- Nie szkodzi.

- Poza tym nie ma pojęcia, czym się zajmujemy. Większości z tego, co wie, dowiedziała się pewnie od ciebie. Oświadczyłem jej, że nie ma prawdziwego talentu, w każdym razie w dziedzinie, która byłaby nam przydatna. Przyjęła to spokojnie: wyglądało na to, że nie ma żadnych złudzeń. W przeciwieństwie do naiwniaków po szkole plastycznej, którzy przychodzą i chcą się zatrudnić jako projektanci przemysłowi. Mówiąc szczerze, stary, jeśli ją zatrudnimy, to

nie ze względu na jej artystyczny talent, ale ze względu na osobowość.

Dombrosio przyjrzał mu się uważnie.

- Pozwól, że ci to wyjaśnię - rzucił przyjaźnie Lausch. -Twoja żona niezwykle łatwo znajduje wspólny język z innymi. - Założył ręce za głowę i wyciągnął się w fotelu. -Ma klasę. Widać to po jej ubiorze i sposobie mówienia. Willis Sherman to jej ojczym, prawda?

- Znasz go?

- Nie - odparł Lausch. - Mówiąc szczerze, nigdy o nim nie słyszałem, dopóki o nim nie wspomniała. Pokazała mi artykuł o nim w jakimś czasopiśmie. Podobno jego dom jest dobrze znanym miejscem w okolicy... Jak się nazywa ta miejscowość?

- Tenafly - odpowiedział Dombrosio. - W New Jersey. To bogaty facet. Pochodzi z majątnej rodziny.

- Artykuł w magazynie na trzy strony ze zdjęciami wnętrza domu i mebli to nie byle co.

- To właściwie nie był magazyn - zauważył Dombrosio - ale rotograwiura dołączona do gazety. Widziałem ją. Ukazała się w 1953 roku.

- Twoim zdaniem to nic wielkiego, gdy gazeta poświęca trzy strony, żeby opisać dom jakiegoś faceta?

- Ta wkładka ukazuje się co niedziela i pokazuje wnętrza różnych domów z okolic Nowego Jorku.

- Ale nie pierwszego lepszego domu.

- Nie - przyznał Dombrosio. - Jedynie wyjątkowych.

Zamyślony Lausch bazgrał coś na kalendarzu leżącym na biurku.

- Słuchaj, twoja żona zna się na sztuce. Potrafi rozmawiać z projektantami, czyli z nami. Poza tym pochodzi z zamożnej i szanowanej rodziny. Do licha, sam wiesz najlepiej. Każdy to zauważy. Nie chodzi o to, że jest jakoś nadzwyczaj atrakcyjna. Mamy recepcjonistkę, która - wybac mi określenie - ma na czym siedzieć i czym oddychać. Weźmy teraz nasz sklep. Produujemy opakowania i stawiamy je na półkach. Sprowadzamy klientów, żeby ocenić reakcję konsumentów. Ale musimy z nimi porozmawiać, nakłonić ich do kupienia naszego opakowania. To robota dla specjalisty od marketingu. Dotąd próbowaliśmy ją wykonywać sami, ale nie mamy do tego odpowiednich kwalifikacji. Z drugiej strony, nie możemy zatrudnić zwykłego sprzedawcy, bo nie o to nam chodzi.

- Ile będziesz jej płacił? - zapytał Dombrosio.



- Niewiele. To będzie rodzaj eksperymentu. Chcesz wiedzieć, jak wpadłem na ten pomysł? Pamiętasz te teleturnieje, które kiedyś puszczano w telewizji? Te z wysokimi nagrodami pieniężnymi, jak Odpowiedz i wygraj sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów? Czytałem artykuł o dziewczynach, które w nich pracowały. Wiesz, tych, które wprowadzały uczestników na scenę. W każdym razie artykuł był o tym, co się teraz z nimi dzieje. Przyszło mi do głowy, że ktoś taki przydałby się w naszej firmie. Ktoś, kto wprowadzałby klientów na scenę, że się tak wyrażę. Rozumiesz mnie? - Podkreślił gestem swoje słowa. - No wiesz, chodzi mi o kogoś takiego jak stewardesy w samolotach. Kogoś, kto potrafiłby rozmawiać na tematy techniczne, jak barwniki i koszty. Nie jakaś laleczka z dużymi cyckami, ale ktoś, kto potrafi mówić z sensem. - Dombrosio musiał wyęczać słuch, żeby zrozumieć jego cichy, miękki głos. - Czy wyraziłem się jasno? - zapytał. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozmawiałeś z nią o tym? Powiedziałeś jej, co będzie robić?

- Oczywiście - przytaknął Lausch. - Pewnie, że tak. Jasne, że ona wolałaby projektować. Włożyć fartuch i opracować wzór kartonu do mleka dla Golden State. Ale na tym świecie nie zawsze można mieć to, co się chce. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by potrafiła wymyślić coś oryginalnego, ale może się myłę. Ty na pewno znasz ją lepiej niż ja. Znasz jej prace. Jakie jest twoje zdanie?

Dombrosio wzruszył ramionami.

- Ciężko mówić o własnej żonie - zgodził się Lausch. - Nie będę na ciebie naciskał. Tak czy owak, nie mogę jej zatrudnić jako projektanta. Jedyne, co jej mogę zaproponować, to praca, jaką ci przed chwilą opisałem. Zgoda, wiem, że to nie to, czego pragnie, ale będzie się obracała wśród projektantów i utalentowanych rzemieślników. Sama też będzie mogła popробować swoich sił, Zrobić kilka szkiców, jeśli zechce.

- Powiedziała ci, co myśłę o podjęciu przez nią pracy? O przyści do naszej firmy?

- Mówiła, że przedyskutowaliście to razem w domu i że popierasz jej chęć podjęcia pracy. Pokazała mi kilka rysunków, które zrobiliście razem w wolnej chwili. Karoserii z włókna szklanego. Wiem, że oboje macie hyzia na punkcie sportowych aut. Jeździsz tym włoskim samochodem... Jaka to marka? Mniejsza z tym. Albo raczej jeździłeś.

Przez chwilę Dombrosio nie mógł sobie przypomnieć, o jakim projekcie karoserii mówi Lausch. Potem przypomniał sobie, że kilka lat temu, kiedy na rynku pojawił się Chevrolet Corvette, razem z Sherry zrobili kilka rysunków corvettopodobnych samochodów sportowych.

Tak dla rozrywki. Nie miał nawet zamiaru zachować tych rysunków. Było to coś w rodzaju „samochodu marzeń”... coś, co rysuje każdy licealista na lekcjach wychowania plastycznego.

Czasopisma motoryzacyjne co miesiąc

publikują kilkanaście takich projektów, a autorzy najlepszych prac dostają w nagrodę darmową prenumeratę.

- I nic więcej ci nie pokazała? - zapytał. - Żadnych innych rysunków?

- Nic, oprócz pasków i sandałów.

Nie pokazała mu swoich mobil, pomyślał Dombro-sio. Dziwne, że się nimi nie pochwaliła.

Co to za absurdalny świat, pomyślał, w którym kobieta potrafi wcisnąć wyrachowanemu biznesmenowi taki kit. Sprzedać mu jako sztukę... kilka prezentów świątecznych, kolczyków i innych bibelotów. Podbić go wielkopańskim sposobem wystawiania się, zdającym się mówić „patrzcie i podziwiajcie”. Wytwornym strojem i trzystronicowym, starym artykułem przedstawiającym dom bogacza z Tenafly w New Jersey, który zajmuje się zupełnie czymś innym niż Lausch, o którym ten nigdy nie słyszał, którego z pewnością nigdy nie spotkał i z którym nigdy nie robił żadnych interesów. Naprawdę zna hasło, pomyślał. Ma to coś, cokolwiek to jest, co sprawia, że ludzie widzą w niej babkę z klasą.

Sherry naprawdę mu zaimponowała. Wyobraził sobie, jak wchodzi do gabinetu Lauscha, wita się z nim, z projektantami... robi trafne uwagi na temat pomysłów, nad którymi pracują. Kręci się po pokoju z płaszczem na ramieniu, budząc u wszystkich respekt. A przede wszystkim u Norma Lauscha, który pali filipińskie papierosy i dorobił się majątku na przyczepach kempingowych.

Wyróżnia się jakością, pomyślał. Wygrywa jakością.

- Ma nienaganne maniery - powiedział.

Norm Lausch uśmiechnął się z zadowoleniem i kiwnął głową.

- Podobno chcesz tu pracować- powiedział, kiedy późnym popołudniem Sherry przyjechała, by zabrać go do domu. Byli sami w biurze; reszta projektantów poszła już do domu. Oprócz dozorecy w budynku nie było żywej duszy. Stali naprzeciw siebie przedzieleni stołem.

;T

- Nie wiem jeszcze - odparła. - Myślałam o tym. Skoro szukam pracy, doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę się zatrudnić tutaj. - Nie wyglądała na zakłopotaną czy

zdeenerwowaną. Odwzajemniła jego spojrzenie z doskonałym opanowaniem.

Przynajmniej nie wpada w popłoch, pomyślał.

- Czemu mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał.

- Powiedziałam - odparła. - W drodze do domu.

- Kiedy?

- W dniu, w którym wypełniłam podanie.

- Wcale nie.

- A właśnie, że tak. Dobrze pamiętam. Rozmawialiśmy o tym, kiedy przechodziliśmy przez Van Ness, idąc do miejsca, gdzie zaparkowałam samochód.

- I co powiedziałem? Wzruszyła ramionami.

- Mruknąłeś coś wymijająco. Byłeś pochłonięty projektem, nad którym pracowałeś. Część drogi szedł z nami Bob Fox. Rozmawialiście o puszcze ze sprayem na mole. Dobrze to pamiętam. A ty nie? Masz jeszcze gorszą pamięć niż kiedyś. A może pamiętasz tylko to, o czym chcesz pamiętać.

Przystąpiła do ataku, pomyślał.

Uświadomił sobie, że nigdy się nie dowie, co naprawdę powiedziała. Być może powiedziała, ale równie dobrze może kłamać. Tak czy owak, zrobiła to bardzo skutecznie. Cokolwiek powiedziała, nie zwróciłem na to uwagi. Nie wpadło mi to w ucho. Przechodziliśmy przez ruchliwą ulicę, umysł miałem pochłonięty innymi sprawami, ktoś szedł z nami, byłem zmęczony. Prawdopodobnie na ulicy panował spory hałas.

Ale co to ma za znaczenie?

- Pewnie postąpiłaś zgodnie z literą prawa - powiedział z trudem - ale nie z duchem.

- Jakiego prawa?

- Prawa, które obowiązuje w związku dwojga przyzwoitych ludzi.

Uniosła kpiąco brwi. Teraz z jej twarzy biła niechęć.

- A niby jacy to ludzie?

- Ludzie, którzy działają w dobrej wierze. Jej opanowanie prysło.

- Nie rozśmieszaj mnie - rzuciła zjadliwie. - Naprawdę... nie rozśmieszaj mnie. -

Odwróciła się i odeszła, biorąc paczki, które na chwilę położyła na stole.

Pobiegł za nią i szarpnął ją za ramię tak, że się zachwiała. Jeden z pakunków upadł na podłogę; rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Niech cię cholera - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Zmrużyła oczy. - Przez ciebie upuściłam butelkę channel numer pięć za piętnaście dolarów.

Jednym ruchem wytrącił jej z rąk pozostałe paczki. Poleciały we wszystkich kierunkach, stukając i grzecho-cząc po podłodze. Otworzyła szeroko oczy, a potem znowu je zmrużyła. Jeszcze bardziej niż przedtem. Ciemnoró-żowe rumieńce wystąpiły jej na policzki. Wypieki nienawiści. Tylko raz widział ją w takim stanie. Błyskawicznym ruchem, tak szybkim, że nie zdążył zareagować, uderzyła go w policzek. Złapał ją za nadgarstki, wbijając paznokcie w jej ciało. Wtedy kopnęła go, z całych sił, swoim twardym wytwornym butem. Zabolało go i musiał ją puścić. Mimowolnie rozluźnił chwyt. Natychmiast odskoczyła i momentalnie się opanowała. Zmierzyła go nieufnym spojrzeniem, trzymając jednak emocje na wodzy. Wyraz nienawiści zniknął z jej twarzy.

- Wszystko potłukłeś - stwierdziła ze spokojem. -Wszystkie moje paczki. Możesz sobie iść na piechotę do Carquinez. Ze mną na pewno nie pojedziesz, masz to jak w banku. - Odwróciła się bez słowa i wymaszerowała z pokoju. Trzasnęły drzwi. Ciężko dysząc, nasłuchiwał odgłosu jej kroków dochodzących z korytarza. Doszła do schodów i zeszła na dół, a wtedy dźwięk ucichł.

Mógłbym ją jeszcze dogonić, pomyślał.

Wybiegł za nią. Dopadł ją u podnóża schodów, przy

\*Ę

drzwiach na ulicę. Stała obok dozorca, który szukał w pęku właściwego klucza. Ujrzawszy Dombrosia, zapytał:

- pan też chce wyjść?

- Nie - odparł Dombrosio. Sherry nie zaszczyciła go spojrzeniem. Stała odwrócona plecami do niego, póki dozorca nie otworzył drzwi i nie wypuścił jej w uliczny, wieczorny mrok. Skręciła w prawo i zniknęła. Dozorca wrócił do mycia podłogi.

Przez jakiś czas nie ruszał się z miejsca. Obserwował przejeżdżające samochody, aż w końcu zobaczył czerwoną alfę romeo, która przemknęła obok niego i zniknęła. Jechała do domu, z powrotem do hrabstwa Marin i Car-quinez.

Zrobi to, uświadomił sobie. Naprawdę zostawi mnie na lodzie.

Wrócił do pracowni i spojrzął na pakunki walające się po podłodze. Z niektórych wyciekł płyn. i czuć było zapach perfum. Ciężką, ostrą woń.

Wziął szmatę, wiadro z wodą, szufelkę i miotłę i zaczął sprzątać. Gdy kończył, pojawił

się dozorca i zobaczywszy, co robi, przyszedł mu z pomocą.

Kiedy bałagan został uprzątnięty, a dozorca wyszedł, Dombrosio usiadł samotnie przy stole. Przed nim leżał nie dokończony model opakowania do dezodorantu, który wyglądał jak ruiny zamku z krzywym dachem i chylącymi się ku upadkowi murami. Zabawiał się bezmyślnie skrawaniem metalu.

Skoro postanowiła tutaj pracować, pomyślał, dopnie swego. Chyba nigdy nie zrozumie, co nią kieruje. Czasem mam rację, a czasem niewątpliwie się mylę. W każdym razie nie była ze mną szczerą. W głębi duszy ona też to wie. Dlatego się tak wściekła. Oboje o tym wiemy. A co się stanie, kiedy już trochę popracuje tutaj razem ze mną? Czy nie zaczniesz się też zajmować projektowaniem?

Czy będzie zadowolona, pracując przy identycznym stole jak mój, wykonując dokładnie taką samą pracę co ja? A może postanowi zająć moje biurko, a ja będę musiał odejść?

A jeśli tak, to czy stanie się przez to szczęśliwsza? zastanowił się.

W knajpce położonej niedaleko firmy przy tej samej ulicy Dombrosio wrzucił monetę do automatu i wykręcił numer. Czekając na połączenie, przyglądał się kieliszkom ustawionym na szafce za ladą.

- Halo - odezwał się w słuchawce nieznajomy głos.

- Czy zastałem Charleya Halpina?- zapytał. Nie mógł sobie przypomnieć, czy Charley wspominał, że jest żonaty. Kiedyś, dawno temu, o tym rozmawiali. Opowiadali sobie kawały na temat problemów małżeńskich.

- Chwileczkę, zaraz go zawołam - powiedziała kobieta cichym głosem.

- Dzięki.

Po chwili telefon szczyknął i Dombrosio usłyszał Charleya, powoli i podejrzliwie wymawiającego powitalne halo.

- Mówi Walt Dombrosio - przedstawił się.

W jednej chwili głos w słuchawce stał się przyjazny.

- Cześć. Wiesz, że kilka dni temu twoja żona przyprowadziła do mnie alfę? Ustawiłem zapłon.

- Posłuchaj - rzekł Dombrosio. - Utknąłem w mieście i nie mogę dziś wrócić do domu. - Umilkł na chwilę. - Mógłbym wpaść na chwilę do ciebie. - Nie miał nic specjalnego na myśli,

chciał po prostu gdzieś pójść i побыć z kimś. - Mogę przynieść coś do jedzenia. Chyba że już jadłeś.

Długa, bardzo długa cisza.

- Słuchaj - odezwał się w końcu Charley - nie wiem, czy dobrze byś się u nas czuł. - Głos wciąż brzmiał przyjaźnie, ale trochę bardziej oficjalnie. Charley stał się jakby ostrożniejszy. - Przepraszam, ale mamy niewielkie

mieszkanie. No wiesz, nie takie duże jak twoje. Tylko dwa pokoje, na Hays.

- Nie szkodzi - odrzekł Dombrosio. Wiedział, że został odprawiony; nie było co do tego wątpliwości. I co teraz? - zastanowił się. - Wpadnę tylko na kilka minut. Na drinka.

- Jeszcze nie jedliśmy i naturalnie możesz zjeść z nami - powiedział Charley, jakby go nie usłyszał, a raczej, jakby każdy z nich myślał o czymś innym. - Ale nie mamy cię gdzie położyć: jesteśmy w trakcie malowania większego pokoju. - Zaczął dokładnie o tym opowiadać.

Dombrosio słuchał go jednym uchem. Znów zaczął się wpatrywać w kieliszki poustawiane za ladą. Przy automacie stanęła kobieta w płóciennym płaszczu - czekała, aż skończy rozmawiać.

- W każdym razie kupię po drodze jakąś butelczynę. Może być jim beam?

- Przyjadę po ciebie - zaproponował Charley. - Powiedz mi tylko, gdzie jesteś. I nic nie kupuj. Wszystko mamy. - Umilkł na chwilę. - Jest u nas paru przyjaciół, jeśli ci to nie przeszkadza. Urządzamy małe przyjęcie. Nic wielkiego, zwykłe spotkanie.

- Świetnie - odparł Dombrosio. Wyjaśnił, gdzie jest i odłożył słuchawkę.

Kiedy wyszedł z knajpki na ulicę, ujrzał czerwoną alfę romeo zaparkowaną przy krawężniku. Stanął jak osłupiały i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Dopiero kiedy Sherry odezwała się, dotarło do niego, co się stało.

- Przemyślałam to - rzuciła opanowanym, obojętnym tonem. - Postąpiłabym nie w porządku, gdybym cię tu zostawiła, mimo że tak mnie potraktowałeś. Kilka razy objechałam sąsiednie ulice i wróciłam pod firmę. - Wyciągnęła rękę i otworzyła drzwiczki od strony pasażera. - Już cię nie było, ale dozorca zauważył, że poszedłeś w tę stronę.

- Zadzwoń do Charleya Halpina - odpowiedział Dombrosio. - Ma mnie stąd zabrać do siebie.

- W porządku - rzuciła Sherry. - Poczekamy razem, a gdy przyjedzie, wytłumaczę mu, że pomyślałeś, iż się rozminęliśmy. Jednak zaraz po twoim telefonie się zjawiłam. Chyba nic mu nie

powiedziałeś, co zaszło między nami? O naszej kłótni?

- Nie- odrzekł. Wyłączyła silnik i światła.

- Mam nadzieję, że zaraz się zjawi - powiedziała. -Zmarznę bez włączonego ogrzewania. - Zaciągnęła dach i przypięła boczne klapki. - Muszę kupić rzeczy, które potłukłeś - oznajmiła. - Sprawdziłeś może, czy coś nie ocalało?

- Nie.

- Wrzuciłeś wszystko do kosza, tak? Skinął głową.

- No to wiedz, że wyrzuciłeś około sześćdziesięciu pięciu dolarów, bo nie potrafisz nad sobą zapanować, bo zachowujesz się jak dziecko, które co jakiś czas miewa napady złości. - Siedząc w ciemności obok niego w samochodzie, kontynuowała tyradę racjonalnym, niemal beznamiętnym głosem. Dombrosio nie odzywał się. Słuchał.

- Naprawdę nie wiem, czy chcę pracować razem z tobą - podsumowała. - Nie mam pojęcia, jak się będziesz zachowywał. Podobno mąż i żona nie powinni razem pracować. Pewnie będziesz krytykował każdą moją propozycję. Tylko dlatego, że będzie moja.

Nie poddam się, powiedział sobie. Będę walczył, choć wiem, że to beznadziejne.

W tym momencie oświetliły ich reflektory starego cadillaca Charleya podjeżdżającego do krawężnika.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiała?- zapytała Sherry. - Załatwię to, biedaku. Wyglądasz na zmęczonego. - Poklepała go po plecach i nie zdejmując płaszcza z ramion, zdecydowanie wysiadła z samochodu. Bez słowa, nie oglądając się za siebie, przeszła przez ulicę. Dombrosio nie słyszał, co mówią: ich głosy utonęły w ulicznym hałasie.

Po chwili cadillac odjechał. Mignęła mu twarz mężczyzny za kierownicą i twarze dwóch pasażerów na tylnym siedzeniu- Murzynów, spoglądających na niego z przyjaznym zainteresowaniem. Pokiwali do niego, a Charley nacisnął na klakson.

Czekając, aż żona zajmie obok niego miejsce w samochodzie, poczuł klucie w sercu.

## Rozdział ósmy

O świcie w domu Leo Runcible'a zadzwonił telefon. Dzwoniono z jego firmy w San Rafael z informacją, że państwo Ditersowie zdecydowali się wpłacić zadatek. Wiadomość ta sprawiła, że zadrżał z radości, ciesząc się z sukcesu, który -jak każda udana transakcja - zwiększał prestiż jego firmy. Sprzedał nieruchomość. A wpłata, jak go poinformowano, została dokonana na większy z dwóch domów, których kupno rozważali Ditersowie.

Wczoraj dwa! - pomyślał, odkładając słuchawkę. A razem z tym to daje... trzy domy sprzedane w jeden dzień. Trzy transakcje doprowadzone do końca. Trą ta ta ta. Ot tak.

Jego pięcioprocentowy zysk brutto... Zaczął liczyć, delektując się każdą dodawaną liczbą. Znakomicie, ucieszył się. Wyszło mu dwa tysiące dolarów. Nieźle, pomyślał, naprawdę nieźle. Wróciwszy do sypialni, obudził żonę.

- Hej, Janet - powiedział. - Mam dobrą wiadomość. Później, gdy się ubrali i przygotowywali śniadanie,

Janet spytała, co zamierza zrobić z pieniędzmi. Mogliby je wydać na dom, zaproponowała. Na pomalowanie elewacji, nowe rynny i... miała mnóstwo pomysłów.

- Posłuchaj - przerwał jej. - Te pieniądze są już wydane.

- Niemożliwe - zdziwiła się. - Przecież przed chwilą powiedziałeś, że nie spodziewałeś się, iż tyle zarobisz.

- No pewnie - rzucił poirytowany. - Zrobić remont domu... Wszystko wydać i nabić kabzę jakiemuś rzemieślnikowi. Może jeszcze powinniśmy wezwać jednego z tych obwoźnych handlarzy i zapłacić mu cztery tysiące dolarów za aluminiowy siding? Za robociznę i materiały? - Spiorunował ją wzrokiem, że aż się skuliła. Bawiła się paskiem od szlafroka, unikając jego spojrzenia. - Czy to chcesz zrobić? - zapytał. - Wy dać j e? A może kupimy sobie sportowy samochód? Taki sam, jaki ma Dombro-sio? Zaszalejemy, co?

- Co w takim razie chcesz zrobić z tymi pieniędzmi? - wyjąkała.

- Nie, co chcę, ale co muszę. Kiedy dostajesz pieniądze... Słuchaj, naucz się czegoś. - Usiadł przy stole i włożył chleb do tosterka. - Inwestujesz je. Rozumiesz? Mądry człowiek zaprzęga pieniądze do pracy. Już ci to mówiłem. Powiem ci, w co chcę je zainwestować. Mając dwa tysiące, będę w stanie wyłożyć tyle, ile trzeba, aby położyć rękę na tym ugorze na



wzgórzach.

- Ziemi Jacuzziego - domyśliła się.

- Owszem.

- Zrobisz to bez Paula?

- A na co mi on? - odpowiedział pytaniem. - Nie muszę od razu dzielić jej na działki.

Ważne, żeby zdobyć tę cholerną ziemię, zanim wkroczy jakiś dupek z zewnątrz i przebije moją ofertę.

- Ile musisz wyłożyć? - zapytała z napięciem w głosie. Wzruszył ramionami.

- Jakies sześć i pół. Ale mogę podnieść ofertę. Nie śmieję się, jestem w stanie wyłożyć tyle pieniędzy. Nawet jeśli transakcja z Dittersami nie dojdzie do skutku. -W końcu facet mógłby się wycofać, tracąc zadatek. Ale nie on, uznał Runcible. Nie ten facet.

Przeżywał chwilę triumfu. Wreszcie mógł zainwestować w duży interes. I to bez pomocy Paula Wilby'ego, pomyślał. Bez niczyjej pomocy.

Walt Dombrosio golił się, stojąc w samych majtkach przed lustrem w łazience. Metodycznie przejeżdżał maszynką po policzkach, ale robił to bez przyjemności. Drzwi były otwarte i z kuchni dobiegał hałas, jaki robiła Sherry, sprzątając talerze ze stołu.

- Skończyłeś?- zapytała, stając w progu w szlafroku i papciach. Na głowie miała wałki, które ciasno przylegały do czaszki, co nadawało jej mnisi, ascetyczny wygląd. Bez makijażu jej twarz wydawała się blada.

- Prawie - odparł. - Chcesz posłuchać, co mi się dzisiaj śniło? - Myślał o tym podczas golenia.

- No pewnie. - Odkąd zaczęła chodzić do psychoanalityka, lubiła wypytywać ludzi o ich sny. Wydawało się jej, że wyczyta z nich rzeczy, których psychiatrzy nie potrafią zinterpretować.

- Poszedłem na giełdę, żeby kupić samochód - zaczął opowieść. - Przyjechał tam starszy, dobrze ubrany mężczyzna w różowym willysie rocznik '46.

- Różowy willys - powtórzyła, siadając przy toalecie i zabierając się do zdejmowania wałków.

- Miał doskonałej jakości tapicerkę - ciągnął. - Zupełnie jak w tych starych wypieszczonych cadillacach.

- Willys, jak imię mojego ojczyma - zauważyła Sherry. - Ciekawe, czemu różowy. Willys z czterdziestego szóstego to musi być okropny stary grat, prawda? Szesnaste- albo

siedemnastoletni.

- Na liczniku miał czterysta tysięcy mil - powiedział Dombrosio. - We śnie wydawał mi się jednak fantastycznym autem wysokiej klasy. - Bardzo chciał go kupić. Kilka razy namawiał właściciela, by pozwolił mu się przejechać po najbliższych ulicach.

- Kupiłeś go?

- Nie - odparł. - Facet zaśpiewał sobie za niego sto dolarów. - We śnie wydawało mu się to zbyt wygórowaną ceną.

- Na pewno ci się to śniło? - zapytała. Przyjrzała mu

się uważnie. W zaparowanym lustrze widział jej odbicie, \_ Ciekawe, jak zinterpretować to, że go nie kupiłeś. Moim zdaniem ten sen jest spełnieniem twoich ukrytych pragnień. Podświadomie pragniesz rzeczy wysokiej jakości, ale nie masz ochoty za nie płacić. Różowy. Ciekawe, czemu różowy.

- Jak różowy cukierek - dodał.

- Dzieciństwo - orzekła. - Dlatego samochód był taki stary i miał tyle mil na liczniku. Pragniesz wrócić do bezpieczniejszego, prostszego życia, kiedy byłeś chłopcem. Kiedy cukierek był dla ciebie najważniejszą rzeczą. Faza oralna. - Zdjęła wszystkie wałki i zaczęła szczotkować włosy. - Ten stary dżentelmen miał symbolizować ojca.

- Czterysta tysięcy mil to spory przebieg - mruknął Dorabrosio, zmywając pianę z twarzy.

Tego samego ranka, o dziewiątej trzydzieści, Dombrosio z żoną siedzieli w gabinecie Norma Lauscha. Szef jeszcze się nie zjawił. Oboje czekali w milczeniu i napięciu.

- Teraz zaczynani mieć wątpliwości, czy to dobry pomysł- odezwała się Sherry. Zgasila niedopałek w popielniczce leżącej na biurku Lauscha, po czym sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę papierosów i zapaliła następnego. - Wczoraj wieczorem myślałam, że to dobry pomysł... oczyszczający atmosferę. - Wypuszczała nosem dym, siedząc sztywno wyprostowana na krześle, z nogą założoną na nogę.

- Ładnie wyglądasz - powiedział do niej. I nie mówił tego ironicznie ani złośliwie. Naprawdę wyglądała ładnie; jeszcze ładniej niż zwykle.

- Dziękuję - rzekła, posyłając mu uśmiech. Wyglądało, jakby się trochę odprężyła. Wyciągnęła rękę, chwyciła jego dłoń i uściśnęła. - Przez kilka ostatnich tygodni tak bardzo się od siebie oddaliliśmy.

- Dłużej niż kilka tygodni - odparł.

- Okropnie mnie rozzłościłeś, gdy potłukłeś te rzeczy. Czasem mnie nienawidzisz, prawda? Wtedy wychodzi z ciebie cała wrogość do mnie.

Cała? - zastanowił się. Czy na pewno cała?

- Może nie cała- stwierdził.

- Nie cała? - zapytała, nachylając się ku niemu. Poczł zapach jej włosów. Nikły, znajomy i miły.

Raptem w drzwiach stanął Norm Lausch w swoim rudawobrazowym garniturze, uśmiechając się do nich promiennie i życzliwie.

- Cześć, dzieciaki - rzucił na powitanie.

- Właśnie się godziliśmy- odpowiedziała Sherry, odwracając się twarzą do przybysza.

- Widzę - odparł Lausch. - A więc wszystko w po-rządeczku? - Przestał się uśmiechać i spoważniał. - Posłuchajcie, dzieciaki. Wiem, że długo czekaliście, żeby się ze mną zobaczyć... - Podciągnął rękaw, żeby spojrzeć na zegarek. - Niestety, mam mnóstwo spraw do załatwienia. Zaraz muszę wyjść i pojechać do Menlo Park -oznajmił, po czym znów przybrał życzliwy wyraz twarzy. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę. Otworzył ją i Dombrosio ujrzał małe kolorowe karteczki. Z szerokim, przebiegłym i szelmowskim uśmiechem Lausch kiwnął palcem do Dombrosia. - Bilety - powiedział.

- Jakie bilety? - chciała wiedzieć Sherry. Wyraźnie nie rozumiała, co się dzieje.

Dombrosio wstał.

- Na dziś wieczór? - zapytał, wyciągając rękę. Lausch klepnął go biletami w rękę, ale potem pozwolił mu na nie spojrzeć. Zgadzało się, były na dziś wieczór. I do tego na miejsca przy bandzie.

- Giganci kontra Chicago - oznajmił Lausch. - Przy świetle jupiterów. Zapraszam was. Trzy miejsca przy pierwszej bazie. W drodze na mecz i podczas powrotu będziemy mogli porozmawiać. W porządku? - Zostawiwszy

bilety w ręku Dombrosia, podszedł do drzwi. - W porządku, dzieciaki?

- W porządku - odparł Dombrosio, ucieszony i zdziwiony.

Zanim Sherry zdążyła otworzyć usta, Norm Lausch wyszedł. Znów byli sami, tak jak przedtem. Od pojawienia się Lauscha do jego zniknięcia upłynęło zaledwie kilka chwil.

- To znaczy, że w domu wylądujemy po trzeciej rano -stwierdziła Sherry z lekkim niezadowoleniem w głosie. -Ale skoro się zgodziłeś, to kłamka zapadła. Ciekawa jestem tylko,

jak zamierzasz wstać jutro rano. Ja też będę musiała się zwlec z łóżka, by cię odwiedzić.

- Jakoś to przeżyjemy - rzucił i zadowolony schował bilety w bezpieczne miejsce, do portfela.

Chwila wytchnienia, pomyślał. Szczęśliwy omen. Jakby jakaś niebiańska siła zstąpiła na chwilę na ziemię, żeby ulżyć moim cierpieniom.

Może Norm Lausch widzi, co przeżywam, powiedział sobie.

- Dać mężczyźnie bilet na mecz baseballowy i od razu cieszy się jak dziecko - stwierdziła Sherry. - Ciekawe, że ilekroć pojawia się jakaś ważna sprawa, jakiś trudny problem, ty zamiast go rozwiązać, szukasz ucieczki w piłce. - Sądząc po głosie, była rozdrażniona i zdenerwowana. - Teraz nie wiem, co mam ze sobą zrobić do obiadu, bo zakładam, że obiad zjemy gdzieś w mieście. O której zaczyna się mecz?

Odpowiedział na jej pytanie, a także poinformował, o której będą musieli się spotkać z Lauschem, żeby mieć czas na zaparkowanie samochodu. A potem zszedł na dół do pracowni, zostawiając ją samą. Nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć jej do widzenia; po prostu ją zostawił i zajął się własnymi sprawami.

- Nie powiesz mi nawet do widzenia?! - zawołała za nim. - Jesteś naprawdę w paskudnym nastroju, A może

wręcz przeciwnie, jesteś zadowolony i dlatego zachowujesz się wobec mnie grubiańsko?

Trzymając w ręku torebkę i płaszcz, Sherry Dombro-sio spacerowała samotnie po głównym korytarzu Lausch Company. Czula się jak dziewczynka w sklepie z zabawkami. Warsztat Świętego Mikołaja, pomyślała z rozbawieniem. Nawet w powietrzu czuło się atmosferę intensywnej pracy. Wzięła głęboki oddech. Delektowała się każdym widokiem, każdym zapachem i dźwiękiem.

Jej wzrok przyciągnął wysoki sufit z masywnymi belkami stropowymi. W kątach wciąż leżały poskręcane strużyny, a stoły pokrywał pył. Pomieszczenie wypełniały stłumione hałasy - świadectwo zdarzeń, które były ukryte przed jej wzrokiem. Mogła je sobie tylko wyobrazić. Co oni tutaj robią? - zadała sobie pytanie. Tworzą rzeczy. Różne rzeczy. Za pomocą farb, gipsu, drzewa, metalu, plastiku i kleju. Używają różnych materiałów.

Zebrała się na odwagę i zerknęła przez uchylone drzwi z napisem: WSTĘP TYLKO ZA OKAZANIEM PRZEPUSTKI. Przy stołach stali projektanci... pochłonięci pracą. Warsztat Celliniego, pomyślała. Święty Mikołaj i Cellini. Srebrne solniczki i lizaki.

- Dzień dobry pani - powiedział do niej jeden z projektantów.

Spojrzała na sztalugi, przy których pracował. Czy mogę wejść? Oczywiście, być może niedługo będę tu pracować, pomyślała. Tak jak oni.

- Mogę spojrzeć? - zapytała, wchodząc do pomieszczenia.

Projektant w białym fartuchu ani na chwilę nie oderwał wzroku od kartki papieru przypiętej do sztalug. Obok niego leżały ułożone w rządki kredki, pędzle, butelka z terpentyną, szmatki... Zauważyła najrozmaitsze farby- niektóre w butelkach, a niektóre w tubkach. Zapach barwnika uderzył ją w nozdrza.

- Chyba nie powinnam patrzeć- powiedziała, ale ciekawość wzięła górę. Wstrzymując oddech, ostrożnie spojrzała mu przez ramię. Projektant rysował pistolet natryskowy. Wygląda jak rozpylacz na owady, pomyślała. Mężczyzna szybko poruszał palcami, rozcierając kreskę i nadając rysunkowi głębię. Była pełna podziwu dla jego umiejętności.

Oczywiście Lausch widzi mnie w dziale sprzedaży, pomyślała. Nie miała złudzeń, że nie postawią jej za sztalugami. Na razie na pewno nie.

Ponieważ projektant nie zwracał na nią uwagi, uznała, że może się rozejrzeć po pokoju. Była to mała klitka, której nigdy wcześniej nie widziała. Skorzystała z okazji, żeby obejrzyć szkice przypięte do płyty pilśniowej. Odkryła, że nie są to oryginały, lecz czarno-białe fotokopie. Poniżej zauważyła skórzany segregator ze zdjęciami modeli. Puszki i pudełka... Przerzucała je najszybciej, jak potrafiła. Paczki papierosów... Jedna z nich wydała się jej znajoma. Czyżby zaprojektowano ją w Lausch Company? Na to wyglądało. Dotarła do fotografii, która była nie wpięta, lecz jedynie luźno wsunięta między inne zdjęcia. Przedstawiała płaskie pudełko, na którym widniał duży napis KOCI USTĘP.

Na marginesie ołówkiem ktoś napisał Dombrosio. A więc miała przed sobą pracę męża. Przez chwilę myślała, że to jej dzieło. Tak samo podpisywała swoje prace na zajęciach w szkole plastycznej.

- Wie pan co, mam pomysł- powiedziała na głos. Projektant milczał.

- Ciekawe, czemu nie nazwali go Koci Kącik, zamiast Koci Ustęp? - powiedziała.

Projektant wciąż milczał.

- Moim zdaniem to dobrze brzmi - stwierdziła. Po jakimś czasie projektant się odezwał:

- Bo nikt nie chce, żeby jego kot załatwiał się w kącie. Ten wyrób jest właśnie po to.

- Ach tak - odparła, czując, że ma czerwone uszy.

- Ustęp do załatwiania się - rzucił projektant, patrząc na nią znad okularów. - Rozumie pani? - Jego głos zabrzmiał sucho, surowo, a nawet lekko ironicznie. Nagle poczuła się nieswojo, jakby naruszyła jakieś przepisy. Może posunęłam się za daleko, pomyślała. Nie powinnam była tu wchodzić. Napis na drzwiach wyraźnie tego zabraniał.

- Zdaje się, że panu przeszkadzam - powiedziała. Tę uwagę projektant również zbył milczeniem.

- Czy wie pan, że może będę z wami pracować?

- Ach tak. Pani jest tą kobietą - rzekł projektant.

- Jaką kobietą?

- Tą, którą Teddy nazwał mingei-ya.

- Kto to jest Teddy? - Wtem przypomniała sobie, że tak ma na imię japoński plastik, którego zatrudnili. - Co to znaczy mingei-ya? - zapytała.

- Tak w swoim języku określają kogoś takiego jak pani- wycedził po chwili projektant, nie przerywając pracy.

Poczuła, że cała się czerwieni.

- Może pan to szerzej wyjaśnić?- zapytała najspokojniej, jak potrafiła. - To chyba niezbyt pochlebne określenie, nie sądzi pan? A może się mylę?

- Nic podobnego - rzucił projektant, pochłonięty pracą. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie dostrzegał. Doprowadzało ją to do szału. Podobnie zachowywał się Walt, kiedy pracował nad jakimś projektem w garażu albo na górze przy sztalugach. Najwyraźniej tacy ludzie zamykali się w swoim prywatnym świecie, kiedy nad czymś pracowali. - Trudno to przetłumaczyć - powiedział.

- Proszę spróbować.

- To oznacza rękodzieło. Coś, co robi się w domu -r wyjaśnił nieco przytomniej.

- Mam dość tego, co robię w domu. Chcę, tak jak wy, robić coś ważnego, coś, co się liczy. Coś twórczego.

- Nie może pani... - Zaczął mieszać farby, wyciskając je z tubek i rozcierając szpatułką. - Nie może pani pracować twórczo w domu?

- Nie interesuje mnie sztuka dla sztuki. Miałam jej wystarczająco dużo w szkole plastycznej.

- Tak, myślę, że w swoim czasie wszyscy przez to przechodziliśmy - zgodził się

projektant. - Sandały, brody, golfy, te sprawy,

- Chcę stworzyć coś konkretnego...- Miała trudności z wysłowieniem się.

- Puzkę na środek odstraszący muchy - podpowiedział projektant.

Ten przykład pozbawił jej cały wywód wzniosłości. Zdawała sobie z tego sprawę i nie zaprzeczyła.

- Nowe opakowanie mydła robi się po to - podjął projektant - żeby jakaś pani domu, robiąc zakupy w supermarkecie, sięgnęła właśnie po nie. Po to konkretne opakowanie, a nie jakieś inne.

- Tak - przytaknęła z podnieceniem w głosie.

- Robi pani zakupy? - zapytał projektant. - Dla rodziny?

- Owszem - potwierdziła. - Znam to uczucie, kiedy się idzie wzdłuż regału z mydłami. Zawsze wybieram to, które jest na wyprzedaży.

- Chodzi o te małe karteczki przypięte pinezkami do półek. Ife, na których jest napisane „Obowiązuje limit: jedna sztuka na osobę”.

Skinęła głową.

- Jeśli nie muszę, nigdy nie płacę więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć centów za pudełko proszku do prania.

- Przy wyborze kieruje się pani ceną.

- Waśnie.

- Nas interesuje kupowanie pod wpływem impulsu. Wtedy liczy się kolor. Miejsce, jakie towar zajmuje na półce. Oczywiście marka. Reklamy telewizyjne, które wyrabiają odruchy warunkowe. Naciśnie się odpowiedni guzik, a pani domu podskakuje. Ślini się na widok Dreftu i Fels-Naphty.

- O to mi właśnie chodzi - powiedziała. Wiedziała już, jak wyrazić to, co czuje. Usiadła na krześle naprzeciwko projektanta, kładąc torebkę i płaszcz na kolanach. Otworzyła torebkę i wyjęła papierosy. - Czytałam książkę o sztuce perswazji, o tym, jak się manipuluje klientem, żeby namówić go do kupna niechcianych rzeczy.

Projektant spojrział na nią z ironicznym zaciekawieniem.

- To mnie podnieca - oświadczyła, zapalając papierosa.

- Słodki Jezu- mruknął projektant.- A więc chce się pani znaleźć po drugiej stronie barykady. - Na chwilę przerwał pracę nad rysunkiem.

Poczuła przyjemny dreszcz. Lekkie mrowienie pojawiło się w każdym zakamarku jej ciała i sprawiło, że zadrżała. Nie patrząc na projektanta, zapytała:

- Jak brzmi to powiedzenie? Młot czy kowadło, jesteś albo jednym, albo drugim. Nie pamiętam, co każde z nich oznacza, ale... czy w ogóle jest się nad czym zastanawiać? -Roześmiała się, zachwycona. - To wszystko jest takie fascynujące... Nawet samo przebywanie tutaj. Czuję, że moje ciało jak gąbka chłonie atmosferę tego miejsca.

- Co pani czuje?

- Czuję... - Zrobiła szeroki gest ręką. - Wagę tego, co tutaj robicie.

Projektant wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem wrócił do pracy nad rysunkiem. Miał ciemną, lekko zaczerwienioną twarz i nie odzywał się.

Raptem zapragnęła opowiedzieć mu o Willisie. Chciała, żeby ten mężczyzna dowiedział się o jej ojczymie. Nie miała jednak czasu. Spojrzawszy na zegarek, uświadomiła sobie, że musi iść. O dziesiątej czterdzieści musiała się znaleźć na drugim końcu miasta, aby zdążyć na wykład w Kalifornijskiej Szkole Sztuk i Rzemiosł.

- Do zobaczenia - rzuciła, zrywając się na nogi i gasząc papierosa. - Mam spotkanie.

Gdy opuszczała pokój, projektant podniósł głowę i patrzył, jak wychodzi. Zamykając za sobą drzwi, czuła na plecach jego wzrok. W beztroskim nastroju, lekko oszołomiona, przeszła przez korytarz. Kierując się strzałkami z napisem WYJŚCIE, dotarła do schodów. Zeszła po nich i znalazła się w pracowni na parterze. Gdy przez nią przechodziła, towarzyszył jej hałas tokarek i pił.

W głębi pracowni, obok stołu, stali jej mąż i Bob Fox. Oglądali plany.

- Waśnie wychodzę - rzuciła wesoło i zawiesiła głos.

- Myślałem, że już wyszłaś - zauważył ponuro Walt.

- Nie - odparła. - Ucięłam sobie małą pogawędkę. -Rozmowa z projektantem dodała jej otuchy. - Dobrze się ubrałam? Czy taki strój jest odpowiedni na mecz? - dokończyła szybko.

- Wybieramy się dziś wieczorem na mecz Gigantów - poinformował jej mąż Foksa.

- Szczęściarze - mruknął Fox. - Zazdroszczę wam. Jakie macie miejsca?

- W łoży przy bandzie - odparła Sherry. - Idziemy z panem Lauschem. Zaprosił nas.

Fox otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Nieźle - powiedział.

- Do zobaczenia o szóstej - rzekła Sherry, podchodząc do męża i całując go w policzek na



pożegnanie. - Tutaj, tak?

Dombrosio skinął głową i odwzajemnił pożegnanie,, przelotnie dotykając jej ramienia.

- Ładnie wyglądasz w tym brązowym kostiumie-stwierdził.

- Brązowym? - roześmiała się. Dotknęła klapy marynarki. - To nazywasz brązowym kolorem?

- Naturalnie.

- To naprawdę jest dla ciebie brąz?

- Pewnie, że tak - rzucił z rozdrażnieniem i podejrzliwością w głosie.

- Oj, Walt...- parsknęła zduszonym śmiechem. Zakryła usta, chcąc go opanować.

- No co? - powiedział wyzywająco i wtedy zobaczyła strach w jego oczach.

- Przecież ten kostium nie jest brązowy, ale szary. Spójrz na tę nitkę. - Podesunęła mu pod nos rękaw marynarki. Odsunął się z nachmurzoną miną, pełen obaw. - Jesteś... jesteś daltonistą.

Patrzył na nią, nie na kostium, ale właśnie na nią.

- Jakiego koloru są moje oczy? - zapytała. - Również brązowe twoim zdaniem?

- Nie- odparł powoli.

- Wiedziałaś, że Walt jest daltonistą?- zwróciła się do Foksa. - Bo ja tak.

- Gadaj, o co ci, do cholery, chodzi?! - wykrzyknął Dombrosio głosem, w którym słychać było strach.

- Naprawdę nie wiesz, Walt? - spytała, zdziwiona jego gwałtowną reakcją.

Bob Fox wpatrywał się w nich bez słowa.

- Zawsze mylisz brązowy z szarym- rzekła.- Na przykład ten popielaty garnitur pana Lauscha...

Z jego warg można było wyczytać, że chce powiedzieć brązowy.

- Jeśli chodzi wam o ten garnitur, w którym Norm zszedł tutaj, by porozmawiać o plakacie Pabsta, to ja określiłbym go raczej jako popielaty - odezwał się Fox.

- Mogę odejść?- zapytała Sherry.

Jej mąż spojrzał na nią z zagadkowym wyrazem twarzy, którego nie potrafiła rozszyfrować. Jednak nawet nie miała ochoty próbować. Była już spóźniona.

- Do widzenia- rzuciła i odwróciwszy się, ruszyła w stronę drzwi. - Życz mi powodzenia.

Kiedy zamykała drzwi, na twarzy Walta wciąż gościł ten sam zagadkowy wyraz.

Mecz był udanym widowiskiem, a w każdym razie wszyscy zdawali się tak myśleć.

Podczas gry ani Norm Lausch, ani jej mąż nie zwracali na nią uwagi, mimo że siedziała między nimi. Zwijali dłonie w trąbkę i albo krzyczeli na miotacza - mężczyznę, który większą część czasu spędzał na grzebaniu ręką w ziemi lub poprawianiu czapki - albo na sprzedawcę jedzenia. Przez cały czas Norm i Walt pili piwo. Ona wypila kilka filiżanek gorącego bulionu i zjadła hot doga. Na stadionie było zimno i wiał nieprzyjemny wiatr. Siedziała skulona, owinięta płaszczem, starając się rozgrzać.

Jednak mimo zimna dobrze się bawiła. Pod koniec meczu pałkarz odbił piłkę w kierunku ich łoży. Łapacz, pędząc z wyciągniętą ręką, wpadł z impetem na bandę tuż przed nimi. Niemal upadł na nich, ale dopingowany przez tłum wiwatujących i podskakujących kibiców, zdołał złapać piłkę. Pałkarz wypadł z gry. Przez długą chwilę nie mogła usiedzieć na miejscu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś tak mocno ją poruszyło.

- To było niesamowite, kiedy ten zawodnik niemal upadł na nas, łapiąc piłkę, prawda? - powtarzała co chwila, kiedy po zakończeniu meczu powoli opuszczali stadion w ogromnym tłumie ludzi, którzy popychali ją i szturchali. Ale nie miała im tego za złe. Wciąż była podniecona.

Norm Lausch szedł z rękami w kieszeniach, żując cygaro.

- Owszem, to było niezłe - przyznał. Walt nic nie powiedział.

Kiedy wyszli ze stadionu i znaleźli się na chodniku, mężczyźni postanowili wstąpić do baru. Sherry nie miała na to specjalnej ochoty, ale nie zaprotestowała. W końcu należało to jakoś uczcić. Z pewnością poddała się nastrojowi chwili; przez cały dzień nic innego nie robiła, a mecz jedynie spotęgował ten proces. Teraz rozumiała,

dlaczego baseball odgrywa tak dużą rolę w życiu mężczyzn. Pobudzał ich i pomagał się wydobyć z depresji, pomyślała, że to tak, jakby mieć w kieszeni sto dolarów i mocje wydać na to, co się chce, w sklepach przy Geary and Sutter.

Bar na rogu zapełniał tłum ludzi, którzy byli na meczu. Słyszała, jak głośno i z ożywieniem wymieniają uwagi o poszczególnych zawodnikach. Norm parł do przodu i doprowadził ich do wolnego stolika. Mężczyźni zamówili drinki, ale ona poprosiła tylko o piwo. Sącząc napój, po raz kolejny pomyślała, że jak dotąd jeszcze ani razu nie wspomnieli ojej pracy. Nie mówili o tym w drodze na stadion, gdyż Walt i Norm omawiali jakieś sprawy zawodowe. A podczas meczu nie było oczywiście okazji.

Ale teraz, pomyślała, nadszedł czas, żeby o tym pomówić.

- Pomówmy o mojej pracy- zaproponowała. Trzymając cygaro w zębach, Norm spojrzął na nią

i upił łyk ze szklaneczki. Jej mąż wpatrywał się w stół nieobecny wzrokiem. Jego nietknięta szklanka stała na stole. Wyglądał, jakby pogrążył się w rozmyślaniach.

- Chyba już możemy - stwierdziła.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Norm pogłaskał jej dłoń.

- Jeszcze tylko jedną kolejkę - powiedziała.

Mężczyźni zamówili następnego drinka. Ona poprzestała na jednym piwie. Coraz bardziej się niecierpliwiła. Nie mogła spokojnie usiedzieć. Czemu tylko siedzą, piją i opowiadają banały? Raz, kiedy Walt zaczął mówić o jakimś materiale budowlanym, poczuła, że ma ochotę go zamordować. A ilekroć Norm się odzywał, zawsze miało to coś wspólnego z baseballlem. Nim opuścili bar, jej entuzjazm do gry ulotnił się równie szybko, jak przedtem się pojawił.

- Zbieramy się, dzieciaki - powiedział w końcu Lausch. Wstał, połuźnił pasek, dopił drinka i zaczął się przedzie

rac przez thim w kierunku wyjścia. Sherry również wstała i ruszyła za nim. Ponownie ani Norm, ani Walt nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Musiała sama torować sobie drogę.

Kiedy znalazła się na ulicy, stwierdziła, że obaj mężczyźni wołają ją, żeby się pospieszyła.

- Pomyślmy - rzucił lekko Norm. - Gdzież to ja zostawiłem samochód?

Przyjechali jego ogromnym nowym buickiem. Oto on. Stał zaparkowany na trawniku przy torach kolejowych. Rozglądając się dookoła, Sherry stwierdziła, że znajdują się w przemysłowej dzielnicy San Francisco, w której nigdy wcześniej nie była. Dla niej miasto ograniczało się do centrum, w którym znajdowały się sklepy, domy, restauracje, teatry i szkoły. Nigdy nie była na południe od Rynku, jeśli nie liczyć podróży do Lausch Company, której budynek znajdował się przy nabrzeżu, stosunkowo blisko dzielnicy magazynów. Ale tamta okolica była dobrze oświetlona, a tutaj prawie w ogóle nie widziała latarni. Kilometry ciemnych, pustych ulic. Ani jednego sklepu, tylko wielkie, stare budynki bez okien.

Norm otworzył drzwi samochodu i wpuścił ich do środka. Oboje wcisnęli się na przednią kanapę, a Lausch obszedł auto dookoła i usiadł obok nich, za kierownicą. Uruchomił silnik i powoli ruszyli opustoszałą ulicą.

- Ile tu torów- zauważyła Sherry, gdy samochód podskoczył na przejeździe kolejowym.

- Owszem- mruknął Lausch. Nie wyglądało, żeby się tym przejmował. Jednak dym z jego cygara oraz wypite piwo, zimne powietrze, ogólne przemęczenie i teraz jeszcze podskakiwanie samochodu na torach zemdziło ją i rozdrażniło.

- Możemy wreszcie porozmawiać o mojej pracy? - zapytała. Sama się zdziwiła, że powiedziała to z takim zdenerwowaniem i niecierpliwością w głosie. - Pamiętaj, że Walta i mnie czeka jeszcze dziś podróż przez górę

Tam do hrabstwa Marin. Nie położymy się do łóżka przed czwartą rano. - Miała wrażenie, jakby Lausch jechał bez celu, skręcając z jednej pustej ulicy w drugą, nie zbliżając się wcale do budynku Lausch Company i ich samochodu.

- W porządku - zgodził się Norm.

- Chcę wiedzieć, co postanowiłeś - powiedziała. Zerknęła na Walta, czy coś powie, ale się nie odezwał. Siedział z pochyloną głową, zatopiony w myślach. O czym on myśli? Na próbę dotknęła jego dłoni, lecz nie zareagował. Zrezygnowała więc z prób zwrócenia na siebie jego uwagi.

Norm wyjął cygaro z ust i położył je na brzegu popielniczki.

- Co o tym sądzisz, Walterze? Mam ochotę ją zatrudnić.

- A ja wolałbym, żebyś tego nie robił - odpowiedział Walt.

- Nie uzgodniliście tego ze sobą?

- Nie - rzekł Walt.

- O ile wiem, nie jest mi potrzebna niczyja zgoda -powiedziała Sherry. - Działam na własną rękę. Chcę być zatrudniona ze względu na własne zalety, a nie na to, czyją jestem żoną.

- Żona i mąż pracujący w jednej firmie to mnóstwo kłopotów - stwierdził Norm - zwłaszcza jeśli istnieje między nimi otwarty konflikt.

- Jeśli ją zatrudnisz, to ja się zwalniam- oznajmił Walt.

- Co takiego? Zwalniasz się? - zapytał Norm, odwracając się w jego stronę.

Walt skinął głową.

- Dlaczego? Odbiło ci? - chciał wiedzieć Norm. Walt wzruszył ramionami.

- Co ty sobie myślisz? Nie poradzę sobie bez ciebie. Jesteś moim najlepszym projektantem z najoryginalniejszymi pomysłami.

- Właśnie - rzucił Walt.

- Daj spokój, chłopie - rzekł Norm.

- Co daj spokój?- wycedził Dombrosio śmiertelnie poważnym tonem. Nigdy nie słyszała u niego takiego głosu. Siedziała cicho jak myszka, nie wtrącając się. Serce waliło jej jak młotem ze strachu. Odsunęła się od obu mężczyzn i skurczyła z przerażenia, żałując, że nie usiadła z tyłu. Jak do tego doszło? - Ta twoja gadka o hostessie - ciągnął Walt. - Co to ma wspólnego z ceną jabłek? Pchła cię ugryzła w dupę i pomyślałeś, że dobrze by było mieć ładną lalę, która zajmie się klientami i zapewni im opiekę. Troskliwą i czułą opiekę. Za tydzień nie będziesz nawet pamiętał, że miałeś taki pomysł. Przyjdzie ci do głowy coś zupełnie nowego. Na przykład każesz nam wyszyć na fartuchach nazwiska. Czerwoną nitką.

Norm nic nie powiedział, ale widziała, jak się zmienił na twarzy. Szyja tak mu nabrzmiała, że aż rozsadzała kołnierzyk.

- Ten towar, w którym tak się zakochałeś - ciągnął Walt- niezależnie od tego, co mówisz, ma dwa bufory z przodu i ładny płaski kufer z tyłu. J dwie długie nogi sterczące z tyłka. No i ma klasę. Posiadanie kogoś takiego dodaje ci prestiżu. Zapłaciłbyś każdą cenę, żeby ku-pić trochę klasy, bo cholernie dobrze wiesz, że sam nie masz jej ani trochę.

Nie mówiąc ani słowa, Lausch zjechał do krawężni- ka. Zahamował, otworzył drzwi i stanął na chodniku,

- Kolego, wysiadaj - powiedział, wrzucając cygaro do rynsztoka.

Otworzywszy drzwi po swojej stronie, Walt również wysiadł. Wokół nie było żywej duszy. Otaczały ich opustoszałe, zamknięte magazyny. Sherry została sama w samochodzie i wpatrywała się w mężczyzn stojących naprzeciw siebie na chodniku. Z powodu ciemności i ograniczonego pola obserwacji nie widziała dokładnie, co się

dzieje. W panice wyciągała szyje, próbując zobaczyć, co

robiąLausch zdjął płaszcz i położył go na masce. Jej mąż zrobił to samo. Żaden się nie odezwał. Nagle jej mąż przyjął postawę bokserką. Wyglądał niezgrabnie z uniesionymi rękami, jak mężczyźni z dawnych rycin przedstawiających bójki na pięści. Zobaczyła, że się cofnął. Norm Lausch również podniósł ręce i zacisnął dłonie w pięści, zasłaniając się. Obaj poruszali się na ugiętych kolanach. Raptem jej mąż uderzył Lauscha w ramię. Odgłos uderzenia był tak głośny, że aż podskoczyła i krzyknęła.

Zataczając pięściami koła, Lausch również się cofnął. Machnął ręką i z półobrotu rąbnął Walta w szyję. Jej mąż zatoczył się do tyłu, potknął i straciwszy równowagę, klapnął na chodnik. Przez chwilę się nie ruszał; wsparty na rękach, łapał oddech. A potem stanął na nogi. Ponownie

dwaj mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie z uniesionymi pięściami. Stali tak blisko jeden drugiego, że ich ciała niemal się ze sobą stykały.

- Zrobię z ciebie mokrą plamę - warknął Lausch.

- Naprawdę? - odwarknął Walt.

- Ty głupi gnojku. Idź i nie wracaj. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy.

- Z przyjemnością - rzekł Walt.

Przez jakiś czas stali prawie nieruchomo, mierząc się wzrokiem i groźnie wymachując pięściami. Potem stopniowo zaczęli opuszczać ręce. Odstąpili od siebie. Walt rozcierał sobie szyję. W końcu Lausch podszedł do samochodu i wziął płaszcz. Włożył go, a wtedy Walt sięgnął po swoje okrycie. Niosąc płaszcz na ramieniu, otworzył drzwiczki samochodu i wsiadł do środka. Kiedy przysunął się bliżej, Sherry stwierdziła, że drży na całym ciele i szczeka zębami.

Lausch obszedł samochód dookoła, siadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i zapuścił silnik. Nie mówiąc ani słowa, wyprowadził samochód na ulicę i ruszył w dalszą drogę.

Gdy przejechali przez Rynek z południa na północ i żaden się nie odezwał, Sherry nie wytrzymała i rzekła:

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś się tak dziecinnie zachowywał.

Mężczyźni milczeli. Walt przestał się już trząść. Nie włożył jednak płaszcza i trzymał go na kolanach zwinięty w kłębek.

- Prawdziwa dziecinada - dodała. Własny głos brzmiał jej w uszach bardzo słabo. Słysząc w nim było niepokój i strach.

- Fakt - odezwał się w końcu Lausch.

- Pod koniec tygodnia zabiorę swoje rzeczy - oświadczył Dombrosio.

- Proszę bardzo - odparł Lausch. - Kiedy tylko chcesz.

- To straszne - powiedziała Sherry.

- Nic podobnego - zaprzeczył Walt. - Co w tym takiego strasznego? - Głos mu zachrypł, toteż gwałtownie odchrząknął.

- Chcesz to jeszcze raz przemyśleć? - zapytał Lausch. - Jeśli o mnie chodzi, to proszę bardzo. - Zabrzmiało to jednak tak oficjalnie, że nie miała złudzeń, iż chodzi o dopełnienie rytuału.

- Nie, dziękuję - powiedział Walt.

Kiedy zaparkowali przed budynkiem firmy, tuż za czerwoną alfą, Sherry zwróciła się do

Lauscha:

- A co ze mną?

- A co ma być?

- Czy to, że mój mąż stracił panowanie nad sobą, ma oznaczać, iż ja również jestem napiętnowana?

- Rób, jak uważasz - rzekł Lausch głosem wypranym z emocji. - Jeśli chcesz u mnie pracować, mogę cię przyjąć na okres próbny. Na takich warunkach, o jakich mówiliśmy.

- Jesteś uczciwym człowiekiem - powiedziała. - Jestem ci bardzo wdzięczna za sprawiedliwe potraktowanie.

- Nie ma sprawy. To chyba wszystko. Szczęśliwej drogi powrotnej przez górę.

Dombrosio zdążył już się przesiąść do ich samochodu. Siedział teraz w aucie, odwrócony do nich plecami.

- W takim razie jutro do ciebie zadzwonię - powiedziała do Lauscha, który kiwnął głową.

- Dobranoc - rzuciła na pożegnanie i wysiadła z samochodu. Idąc w ślady męża, podeszła do alfy, siadła za kierownicą, otworzyła torebkę i zaczęła szukać kluczyków.

Buick przejechał obok, lecz Lausch nie spojrzał w ich stronę. Sherry chciała mu pokiwać, ale zmieniła zdanie. Jej mąż się nie poruszył; najwyraźniej tak należało się zachować.

- Co za wieczór- mruknęła, uruchamiając silnik. Walt siedział skulony w fotelu i milczał.

## Rozdział dziewiąty

Z okna łazienki Runcible'ow rozciągał się widok na zbocze wzgórza i podwórko za domem Dombrosiów. Janet widziała stamtąd patio, trzy plastikowe i żelazne krzesła ogrodowe, przenośny grill oraz filiżankę i spodek, które ktoś zostawił. Drzewo zasłaniało jej widok na drzwi wychodzące na patio, a krzaki porastające zbocze góry uniemożliwiały jej zobaczenie tego, co się dzieje w domu. Widziała jednak garaż dobudowany do domu z boku patio.

Przez okno garażu dostrzegła sylwetkę Walta Dombro-sio. Była jedenasta rano, środa, co stwierdziła, zerkając na datę we wczorajszej gazecie. Przedwczoraj Dombro-sio też był w domu. Widziała go.

Czyżby stracił pracę w San Francisco? Albo sam ją rzucił? A może miał wakacje?

Jednak sportowy samochód codziennie rano wyruszał sprzed domu Dombrosiów. Słyszała, jak za kwadrans szósta zjeżdża w dół, a wieczorem wspina się z powrotem pod górę. O tej samej godzinie co zwykle.

Janet doszła do wniosku, że osobą, która wyjeżdża, jest Sherry Dombrosio. Ciekawe jednak, że miała taki sam rozkład dnia jak jej mąż.

Nikt inny nie mógł prowadzić sportowego samochodu, gdyż rodzina Dombrosiów składała się tylko z dwóch osób. A poza tym Janet przed południem nie widziała w domu Sherry, tylko jej męża.

W ciszy wiejskiego południa usłyszała nagle dochodzący z dołu chrzęst piły. W garażu przerobionym na warsztat Dombrosio budował coś z drewna.

Kręci się po warsztacie w środku dnia, a więc musiał stracić albo rzucić pracę, doszła do wniosku. Chyba że dostał zadanie, które może wykonywać w domu, pomyślała. Ale było to mało prawdopodobne.

Ciekawe jednak, że jego żona natychmiast dostała pracę, która wymaga od niej, by wyjeżdżała do San Francisco i wracała do domu dokładnie o tych samych godzinach. Wszystko to było bardzo dziwne.

Nie mogąc rozwikłać tej zagadki, Janet opuściła łazienkę i wróciła do salonu, gdzie w popielniczce na stoliku dopalał się zostawiony przez nią papieros.

Przypuśćmy, pomyślała, siadając na kanapie, że Walt stracił pracę, gdyż nie mógł



prowadzić samochodu. Ale to... o Boże, to by znaczyło, że odpowiedzialność spada na Leo, gdyż to przez niego Walt stracił prawo jazdy.

Tak się tym zdenerwowała, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła chodzić po salonie, tak mocno ściskając dłonie, że w pewnym momencie poczuła, jak wbija sobie paznokcie w dłoń. O Boże, pomyślała. Modliłam się, żeby nie miał z tego powodu kłopotów. Ale stało się. Tego się właśnie obawiałam.

Z dołu dobiegł ją chrzęst piły. Słyszę go, myślała gorączkowo. Tu, w moim salonie, słyszę Walta pracującego w garażu. Co on takiego robi? Zatkła uszy dłońmi. Czy cały dzień będzie tak hałasował? Czy będę musiała tkwić w domu i tego wysłuchiwać? To nie ja zadzwoniłam na policję. To Leo. On jednak, pomyślała, nie musi słuchać tego hałasu. Jest w biurze. Siedzi sobie bezpiecznie w Runcible Realty, odizolowany od otoczenia, chroniony przed hałasem.

Ja będę musiała zapłacić za to, co zrobił Leo, pomyślała. Zawsze się tak kończy. Strona, która zawiniła, nigdy nie odpowiada za swoje czyny. Jest niewinna. Na tym polega w istocie chrześcijaństwo.

Podeszła do półki z książkami i wyjęła Biblię króla Jakuba, a potem, dla równowagi, wzięła także Stary Testament należący do Leo. Otworzyła obie książki na chybił trafił i z zamkniętymi oczami wskazała po jednym miejscu na każdej stronie. Do diabła z tym, pomyślała, po przeczytaniu wersetów, które nijak się miały do jej sytuacji. Musi istnieć jakiś sposób, bym się dowiedziała, co mam zrobić, powiedziała sobie. Który pozwoli rozstrzygnąć, co jest dobre, a co złe.

Uklęknęła obok stołu, po czym usiadła po turecku na dywanie. Ze stojaka pod stołem wzięła gazety i zaczęła je przeglądać, szukając magazynu „This Week”, który w tym miesiącu dołączono do egzemplarza „Chronicie”. Był tam artykuł, który zrobił na niej duże wrażenie, i teraz miała nadzieję, że znajdzie w nim moralną wskazówkę.

Nie znalazła go, ale w innym czasopiśmie natknęła się na tekst, który wcześniej przeoczyła. Jego autorem był młody disc jockey - na podstawie opublikowanego zdjęcia robiący wrażenie miłej, szczerzej i wiarygodnej osoby - który doradzał czytelnikom, jak żyć w tym skomplikowanym świecie. Jego rady były, rzecz jasna, skierowane głównie do nastolatków, lecz po przeczytaniu artykułu stwierdziła, że mogą z nich skorzystać także inni. Jeśli coś jest prawdziwe, pomyślała, jeśli jest dobre dla jednej osoby, to jest dobre dla wszystkich. Niezależnie od tego, ile

kto ma lat.

Przez dłuższy czas studiowała rady disc jockeya, lecz potwierdziły one tylko to, co wiedziała od początku: żona winna być lojalna przede wszystkim wobec męża. Powinna go wspierać niezależnie od wszystkiego. Leo ją wspierał, kiedy w 1958 roku przeżyła załamanie psychiczne po tym, jak próbowała podjąć pracę w biurze. Przeżywał to równie mocno jak ona, choć nie otrzymał od niej pomocy, którą powinna była mu dać. Poślubił kobietę, która nie potrafi udźwignąć ciężaru swych obowiązków, lecz nie opuścił jej z tego powodu.

Gdybym zrobiła to, co do mnie należy, pomyślała, byłby mniej spięty i nerwowy. Nie nagadałby Paulowi Wil-by'emu i nie zadzwonił do Walta Dombrosio, a przynajmniej zastanowiłby się, zanim by to zrobił. To przeze mnie. Ja jestem wszystkiemu winna. Cokolwiek złego zrobił Leo, jeśli w ogóle zrobił coś złego, wina spoczywa na mnie.

A jeśli Walt Dombrosio stracił pracę, bo nie ma prawa jazdy, to także jest moja wina.

Gdybym w 1958 roku nie zawiodła Leo, pomyślała, i nie porzuciła pracy w biurze, gdybym była silniejsza, Walt Dombrosio nie doznałby tylu upokorzeń. Nie zostałby aresztowany, nie musiałby wychodzić z więzienia za kaucją, stawać przed sądem i wysłuchać wyroku, na podstawie którego odebrano mu prawo jazdy, I nie doszłoby do tego, co wydarzyło się między nim a jego pracodawcą...

To było nie do zniesienia. Znów zatkała sobie uszy dłońmi i pobiegła do kuchni zatrzasnąć drzwi. Wstrzymując oddech, stała nieruchomo z twarzą wykrzywioną bólem i ze łzami w oczach. Nie nadając się do życia na tym świecie, powiedziała sobie. Wypowiedziała to na głos: „Powinnam umrzeć”, i wtedy łzy pociekły jej po policzkach, po czym kapnęły na bluzkę. Na białej tkaninie pojawiła się ciemna plama.

O Boże, pomyślała, dużo bym dała za jednego drinka.

Muszę się przebrać, zdecydowała, i poszła do sypialni. Zaciągnęła zasłony, zamknęła drzwi, odpięła guziki i zdjęła bluzkę.

W półmroku panującym w sypialni zaczęła grzebać w szafie z ubraniami. W końcu zapaliła światło. Do podstawki lampy, pod plastikowym kloszem, przymocowany był wycinek z gazety, który umieściła tam kilka lat temu. Ujrzawszy go, znieruchomiała i przeczytała raz

jeszcze. Czytała go już przedtem z tysiąc razy i zawsze znajdowała w nim pewne ukojenie.

Gdy pojawi się znakomity zawodnik i strzeli ci bramkę,

Nie będzie miało znaczenia, czy zwyciężyłeś, czy przegrałeś,

Ale to, JAK GRAŁEŚ

Tak, pomyślała. Ważne jest to, jak się grało. A jak ja grałam? Beznadziejnie. Krzywdziłam wszystkich naokoło, pozwalałam, by robili wszystko za mnie, ponieważ jestem zła i samolubna. Najpierw byli to moi rodzice, później Leo, a teraz nawet moi sąsiedzi. To rozszerza się na całe otoczenie. Na przykład nigdy nie sprzedawałam ciastek na cele dobroczynne, a wielu ludzi dopytywało się o moje kremowe ciasto z czekoladowym lukrem. Mogłabym je z łatwością sprzedać.

Pomyślała, że z inną żoną, zdolniejszą, bardziej zdecydowaną i energiczniejszą, Leo mógłby wcielić w życie część swoich wspaniałych pomysłów, które tak bardzo chciał zrealizować. Na przykład, żebym kandydowała do rady szkolnej... Jaką miała szansę? Inna, lepsza kandydatka, mogłaby ją mieć.

Przede wszystkim Leo potrzebuje partnerki - kobiety, która by razem z nim pracowała, kogoś takiego jak kobiety z Izraela. Może gdyby poślubił Żydówkę... Ale w tym też go zawiodła. Nie była Żydówką, ani nawet kon-wertytką. Została przy swojej wierze, ale nie dlatego, że tak bardzo ją szanowała, tylko że bała się zmian. Nie wiedziała, czego nowa religia może od niej wymagać.

Uzmysłowiła sobie, że Leo bardziej jej potrzebuje w pracy niż w domu. Tam, gdzie rozgrywa się batalia.

Kiedy rozniesie się po mieście, że Dombrosio stracił pracę przez Leo, ludzie będą mieli o nim jeszcze gorsze mniemanie niż teraz. A wiem, że on martwi się z tego powodu. To jeszcze jedna sprawa, którą się gryzie. Ciekawe, czy już wie o historii z pracą Dombrosiego. O tym,

że Waltowi odebrano prawo jazdy, dowiedział się dopiero po dwóch miesiącach... Może nie zauważył, że Dombrosio siedzi w domu przed południem. Przecież jest wtedy w biurze, chyba że wpadnie na krótko po materiały, których zapomniał zabrać.

Jak się poczuje, gdy się o tym dowie? - zapytała się w duchu. Czy zdoła to sobie wybaczyć? A może zaoferuje Dombrosiemu pracę w swojej firmie? Ale jedyne, co może mu zaproponować, to praca polegająca na pisaniu na maszynie, odpowiadaniu na listy i wydawaniu kluczy. Obecnie robi to emerytka, żona farmera, którą zatrudnił na pół etatu.

Prędzej czy później dowie się o tym, powiedziała do siebie. Ale ja mu o tym nie powiem, tak jak nie powiedziałam mu o prawie jazdy. Może jednak znowu źle robię. Postępuję nie tak, jak

trzeba.

Wróciwszy do kuchni, postawiła dzbanek z kawą na kuchence. I wtedy uzmysłowiła sobie, że nie ma na sobie bluzki. Zdjęła ją, zaczęła szukać innej, a potem zapomniała o tym, co robi. Znow zaczęła śnić na jawie, myśleć o swoich kłopotach. Wróciła więc natychmiast do sypialni, która tonęła w półmroku, oświetlana przez jedną małą lampkę. Tym razem wyjęła sweter i szybko go włożyła. Wstąpiła do łazienki, żeby poprawić włosy, które się rozwichrzyły, gdy wciągała sweter przez głowę.

Umaluję się, postanowiła, gdy przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Jej skóra była strasznie sucha, a w kącikach oczu zauważyła kurze łapki. Przypudrowała twarz i umalowała brwi, które były prawie niewidoczne, jeśli nie podkreśliła ich kredką.

Gdy stała przed lustrem, robiąc sobie makijaż, usłyszała dziwny dźwięk. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi i dalej malowała usta pomadką, dopóki z nagłym skonsternowaniem nie rozpoznała, co on oznacza: kawa się wygotowała. Takie marnotrawstwo. Rzuciła szminkę do umywalki, pobiegła do kuchni i zdjęła dzbanek

z kuchenki. Swąd spalonej kawy wypełnił pomieszczenie. Krzywiąc się z obrzydzenia, wyrzuciła fusy do zlewu.

A potem, kiedy minęło obrzydzenie, poczuła zmęczenie i wszechogarniającą rozpacz. Usiadła przy stole, podparła rękami głowę i zamknęła oczy. Rozpacz stopniowo przerodziła się w depresję, najbardziej puste uczucie ze wszystkich.

Przypuśćmy, pomyślała, że coś by się stało mojemu mężowi. Przypuśćmy, że Leo by zachorował lub został ranny i nie mógł pracować. Jestem beznadziejną gospodynią. Nie potrafię nawet zaparzyć kawy we własnej kuchni. Nie ma mowy, żebym tak jak Sherry Dombrosio wyruszyła w świat i wzięła na siebie obowiązki męża.

Dzieli nas przepaść, pomyślała. Gdy tylko Walt stracił prawo jazdy, Sherry natychmiast zaczęła go wozić do pracy. Każdego ranka, bez słowa skargi. A teraz zaczęła pracować. Jest partnerką dla swojego męża, gotową przejąć na siebie część obowiązków i będącą w stanie to zrobić.

W tym rzecz, uświadomiła sobie. Będąc w stanie. Też chciałbym być taka, ale nie potrafię. Na samą myśl o tym, że musiałaby co rano jeździć do pracy w San Francisco, wpadła w panikę.

Ta kobieta, pomyślała, tak bardzo przewyższa mnie pod każdym względem, że nie jest to

nawet zabawne. Atrakcyjna, zdolna, czujna... Ładnie się ubiera. Wystarczy porównać nasze stroje. O proszę, ta plama z przodu na bluzce... Podniosła głowę i przyjrzała się swetrowi, który włożyła. Na razie jest czysty, pomyślała, ale za godzinę... będzie poplamiony i brudny, jak ubranie dziecka lub bezzębnej staruchy.

Gdybym jednak miała wychowanie Sherry, pomyślała, albo moja rodzina mogła zainwestować we mnie tyle pieniędzy, ile wydała na nią...

Ta kobieta jest produktem zamożnej społeczności, powiedziała do siebie. Sama się nie ukształtowała: to

nie jej zasługa, że jest taka, jaka jest. Człowiek jest produktem swojej klasy społecznej.

Jak mogę się z nią równać? Nie miałam takich możliwości jak ona.

Oni wychowują kobiety tak, żeby mogły rządzić, powiedziała sobie. Mężczyźni z jej sfery są naturalnymi przywódcami narodu. Towarzystwo z Ivy League. Koledzy z uczelni. Po Harvardzie, jak Franklin Roosevelt. Poznać to nawet po ich wymowie: mówią z charakterystycznym akcentem. I bywają u siebie. Są dla siebie prawnikami, lekarzami i znajomymi.

Jeśli się nie urodziłeś jednym z nich, nie masz szans, żeby przyjęli cię do swego kręgu. Albo się takim urodziłeś, albo nie. Co mam zrobić? Zacząć chodzić na lekcje konwersacji i ubierania się? Sherry potrzebowała całego życia, żeby stać się tym, kim jest. Drogie szkoły z internatem. Opieka dentystyczna od dziecka, żeby miała proste zęby. Uświadomiła sobie, że po zębach można poznać, kto z jakiej sfery się wywodzi. Wystarczy spojrzeć na tutejsze dzieci z rodzin rolniczych. Nikt nie zwraca uwagi na ich krzywe zęby, nie mówiąc już o wydawaniu tysięcy dolarów na ich prostowanie. Nie wiedzą nawet, że można to zrobić. Kiedy więc chłopak lub dziewczyna wrywa się z tej dziury i wyjeżdża w prawdziwy świat...

Tak jak ja, pomyślała. Bez szans na sukces, na stanie się kimś. Skazana na smutne życie na marginesie. Co za niegodziwy i niesprawiedliwy świat, pomyślała. Żeby jednym już na starcie zapewniać taką przewagę...

Wtem przyszła jej do głowy inna straszna myśl, że naprawdę nie jest to wcale kwestia moralna, ale praktyczna. A kiedy to sobie uświadomiła, wezbrała w niej fala strachu, która znalazła nagle ujście. Kiwała się w przód i w tył, zatykając dłońmi uszy i piszcząc z przerażenia.

- Czego to dowodzi? - powiedziała na głos tak, że słyhać ją było w całej kuchni. - Ano tego, że nie mam żadnych szans. - Bez względu na to, jak bardzo bym się starała, nigdy mi się nie uda. Nawet gdyby pojawiła się taka potrzeba. Choćby nie wiadomo, jak straszna stała się ich

sytuacja finansowa, nie zdoła znaleźć pracy w świecie opartym na konkurencji, gdyż do tego trzeba się przygotowywać od urodzenia; potrzebnych umiejętności nabywa się przez całe życie. Nie oznacza to wcale, że świat jest jakimś okrutnym miejscem, ale że ona, Janet Runcible, nigdy, nawet przez milion lat, nie nauczyłaby się, jak w nim przetrwać. Nie wygra przecież z kobietami w rodzaju Sherry Dombrosio... gdyż nawet jeśli jakaś firma odstąpi od swych zasad i zatrudni kobietę, to nie ją, ale kogoś takiego jak Sherry, z jej wyglądem, sposobem mówienia i ubierania.

A więc ktoś taki jak ona nigdy nie będzie bezpieczny; nigdy nie będzie mogła cieszyć się bezpieczeństwem. Jest przeklęta do końca życia, aż po grób.

Wstała i zaczęła bez celu wędrować po domu. Chodziła z pokoju do pokoju, nie bacząc na meble - raz uderzyła się w stopę, zahaczając o nogę od kanapy, drugi raz wyrznęła głową w nie zamknięte drzwi od sypialni.

Wszystko przez drugą wojnę światową, uznała, która zburzyła tradycyjną strukturę rodziny. W czasie wojny kobiety zaczęły pracować w fabrykach zbrojeniowych. Jak mężczyźni. Komunizm dokończył dzieła zniszczenia. Sherry Dombrosio nie powinna chodzić do pracy, bo zarabianie na życie jest domeną mężczyzny. Nic dziwnego, że żyję w ciągłym lęku, powiedziała sobie. Rozczarowałam się. A przecież rolą kobiety jest siedzieć w domu i wychowywać dzieci, a nie pracować w fabryce, jak jakaś brudna rosyjska chłopka zwracająca się do każdego per towarzyszu. To nie jest zgodne z amerykańskim stylem życia.

Dombrosiowie pod pewnym względem są komunistami, zdała sobie sprawę. Weźmy na przykład tego Murzyna, którego zaprosili do domu. Propagowanie małżeństw

między ludźmi różnych ras jest częścią programu amerykańskich komunistów.

Sherry nie powinna pracować. Nie powinna musieć pracować. Rolą kobiety jest siedzieć w domu i wychowywać dzieci - Sherry nie spełniła się w swym prawdziwym powołaniu. Gdyby jej mąż nie stracił pracy, siedziałyby w domu. Ale on ją zawiódł. Zagroził jej bezpieczeństwu, tracąc możliwość zarabiania pieniędzy.

Tę rolę mężczyzny, powtarzała sobie, chodząc gorączkowo po domu. On ma stawiać czoło światu, ale jeśli nie potrafi, kobieta nie powinna zajmować jego miejsca. Gdyby Leo nie mógł przynieść do domu bekonu, to ani ja, ani tym bardziej Jerome nie powinniśmy go w tym wyręczać. Kobieta musi przyjąć do wiadomości, że jej mąż okazał się nieudacznikiem, i powinna zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc mu stanąć z powrotem na nogi. Powinna zadbać, żeby się wyleczył i mógł ponownie wziąć udział w bitwie, ponownie wyruszyć na front.

Czemu Sherry wyjeżdża z domu? - zastanawiała się. Teraz jej nastrój się zmienił i depresję zastąpiła złość. Przyspieszyła kroku. Mężczyzna siedzący w domu... Czymże ktoś taki różni się od próżniaka? Jak długo ma zamiar kręcić się po garażu, budując klatkę dla ptaków czy co tam on takiego robi?

Gdybym to ja była jego żoną, pomyślała, nie pozwoliłabym na to. Zniosłabym to może przez dzień lub dwa, ale potem nie mogłabym się doczekać, kiedy się to skończy. Zmusiłabym go do podjęcia pracy. Sprawiałabym, że marzyłby o wyjściu z domu do pracy, że robiłby to z radością...

Teraz, w jednej chwili, jej emocje zwróciły się ku jego żonie, ku Sherry. Złość zniknęła, a ogarnęła ją fala serdecznego współczucia, niemal zapierając jej dech w piersiach. Oczy zaszyły jej łzami i cichym, łamiącym się głosem wyszeptała:

- Biedactwo. Och, jak mi cię żal.

Powinnam ją wesprzeć, pomyślała. Powiedzieć jej, co czuję, powiedzieć, że dobrze ją rozumiem. Mój mąż też próbował mnie nakłonić do podjęcia pracy. Chciał, żebym mu pomagała. Ale się nie zgodziłam. Nie, Leo, powiedziałam mu, nie będę cię wyręczać. To twój obowiązek. Nie możesz oczekiwać, że będę prowadziła za ciebie twoją firmę, tak samo jak nie oczekuję, że zaopiekujesz się dziećmi, jeśli sobie z tym nie poradzę.

Mąż zawiódł Sherry na całej linii. Niemal tak, jakby ją zostawił i uciekł z inną kobietą. Pękła nić wzajemnego zaufania, która jest podstawą małżeństwa, a ironią jest to, że ilekroć mężowie robią to swoim żonom, zawsze mają przygotowane jakieś przekonujące usprawiedliwienie. Zawsze potrafią zracjonalizować swoje zachowanie, tak by ich żony myślały, że to ich wina, że ich „obowiązkiem” było temu zapobiec. Na przykład pójść do pracy, jak Sherry. Gdyby Leo stracił pracę, wywierałby na mnie taką samą presję, próbowaliby mnie pognębić. Tak, oni potrafią wzbudzać w kobietach poczucie winy. Mają na to mnóstwo sposobów. Ale trzeba walczyć, nie wolno się poddawać.

Trzeba to zrzucić na nich, pomyślała. To ich świat, męski świat. Niech sobie idą rywalizować ze sobą i pozwolą żonom robić to, co im Bóg przeznaczył: siedzieć w domu i opiekować się dziećmi.

Och tak, pomyślała zdjęta nagłym bólem. Wiele razy to przeżywałam. Wiem, jak to jest, gdy pomału, na tysiące sposobów wywiera się na mnie presję. Na wiele bardzo inteligentnych sposobów. Czy ona o tym wie? W jej sferze ludzie pewnie nie uciekają się do takich metod.

Stawiają sprawę jasno. Czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, co się stało? Ja wyraźnie widzę, co się dzieje.

Jeśli ona tego nie wie, pomyślała Janet, to powinna się dowiedzieć. I on także. Nie wolno mu oszukiwać ani siebie, ani jej.

Podeszła do kredensu w kuchni, weszła na drabinę i sięgnęła na górną półkę. Zaczęła grzebać wśród puszek z sokiem morelowym i pomidorowym, aż znalazła butelkę wstrętnego tokaju, który schowała tam przed miesiącem. Obrzydlistwo, ale lepsze to niż nic.

Wziąwszy ze zlewu szklanę, usiadła z butelką przy stole kuchennym. Wino było naprawdę okropne - za słodkie i smakowało jak syrop na kaszel. Wiedziała, że się po nim pochoruje. Nigdy w życiu nie miała tak straszego kaca, jak po wypiciu tego wstrętnego wina. Wzięła szklanę i podeszła do zlewu, żeby rozcieńczyć je wodą. To poprawiło jego smak.

Teraz można je było wypić. Aż kostką lodu smakowało całkiem niezłe.

Zajęty piłowaniem, Walt Dombrosio nie słyszał nic oprócz dźwięku piły. Nagle wyczuł czyjaś obecność. Podniósł wzrok i podskoczył jak oparzony. W drzwiach stała Janet Runcible. Zapewne przeszła przez cały dom i nie znalazłszy nikogo, trafiła do garażu.

Poruszała ustami. Przekrzykując hałas piły, mówiła mu dzień dobry. Pstryknął wyłącznikiem, ostrze zwolniło i po chwili przestało się obracać.

Na jej twarzy gościł uśmiech, sztywne rozciągnięcie ust, które wyglądało tak, jakby szła z tym wyrazem twarzy przez całą drogę w dół do jego domu, a potem przez wszystkie pokoje, dopóki go nie znalazła. Teraz ów uśmiech znalazł zastosowanie. Ubrana była w czerwony sweter i bawełniane spodnie; wiele razy widział ją w tym stroju, gdy jechała na zakupy do miasta. Jej długie bezbarwne włosy zwisały w strąkach. Zauważył, że wygląda bardzo mizernie: wysoka i chuda z żyłastymi rękami i obwisłą skórą. Na grzbiecie dłoni zauważył piegi wyraźnie odcinające się od białej skóry.

- Cześć - powiedział ostrożnie, niezbyt zadowolony z jej odwiedzin. Był zajęty skracaniem drzwi.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - rzekła Janet, wciąż się uśmiechając. Wymawiała słowa ostrożnie, jedno po drugim. Jakby bardzo uważała, żeby nie powiedzieć niczego złego.

- Nic nie szkodzi - rzucił obojętnie. Od czasu wypadku z Charleyem prawie nie miał z



nimi styczności. Właściwie zrobił, co mógł, żeby ich wymazać z pamięci. Przy tylu kłopotach nie miał czasu, by jeszcze zawracać sobie głowę Runcible'ami.

Wpatrywała się w niego zaczerwienionymi oczyma. Bił od nich dziwny blask, którego nie potrafił rozszyfrować. Na pewno nie była to wesołość. Kotłowały się w niej jakieś emocje; coś wyzierało jej z oczu, gdy mu się przyglądała.

- No więc? - zapytała.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Po chwili milczenia znów się odezwała. Owa emocja widoczna w jej spojrzeniu zyskała na intensywności. Czyżby to była irytacja?

- No więc? - powtórzyła. - Co ty na to? - Na co? - zapytał.

- Na filiżankę kawy - odparła z wielkim namaszczeniem.

- Masz ochotę na kawę?

Rzuciła mu żywe spojrzenie. Jakby umierała z chęci powiedzenia mu czegoś, jakby z trudem się powstrzymywała. A jednak wyglądało na to, że nie potrafi tego zrobić. Słowa nie mogły przejść jej przez gardło.

- Ogromną - odparła Janet.

Bardzo niechętnie zamknął skrzynkę z narzędziami.

- W porządku - powiedział. - Ale mam mało czasu. - Nie był specjalnie ciekawy, czemu go odwiedziła. Chciał jak najszybciej zabrać się z powrotem do pracy. Tolerował jej obecność, ale nic ponadto. Przyszedł gość i trzeba go było zabawić. - Zostało chyba trochę kawy w dzbanku - rzekł do niej i ruszył po schodach do domu. Na miłość boską, mam nadzieję, że nie będę musiał z nią siedzieć i czekać, aż się zaparzy świeża kawa, pomyślał. Oczyma wyobraźni widział ją w kuchni, palącą papierosy, przyciskającą torebkę do piersi, gotową spędzić u niego cały dzień. Mówiącą i mówiącą, bez przerwy, o niczym. Z tyłu usłyszał, że idąca za nim Janet coś mówi, ale nie zrozumiał co. Gdy włączał ekspres, weszła do kuchni, ale zamiast usiąść, jak się spodziewał, stanęła z założonymi rękami, opierając się o lodówkę.

- Już jest zaparzona - stwierdził niechętnie. Janet Runcible zdawała się nie zwracać uwagi na ton

jego głosu. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle go nie usłyszała, za to uparcie się w niego wpatrywała. Zaniepokoiło go to i zirytowało, postanowił więc, że również nie usiądzie. Stanął naprzeciwko niej i także wlepił w nią wzrok.

- Nie chodzisz do pracy - odezwała się w końcu.

- Nie - powiedział.

- Siedzisz w domu.

- Rzuciłem pracę - rzekł. Wzbierała w nim złość i z trudem się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć. Starał się uspokoić. Tylko spokojnie, powiedział. Niech szlag trafi to głupie babsko, które nie ma nic do roboty i przez cały dzień siedzi w domu, szpiegując sąsiadów i wtykając nos w nie swoje sprawy. To jedna z tych harpii, które żywią się plotkami, nieszczęściami i skandalami. Wysłuchuje ich przez cały dzień. Od niego pójdzie do kolejnego domu, a stamtąd do następnego.

Muszę spełniać jej zachcianki, powiedział sobie. Z dobrego serca.

- Co robisz? Budujesz budkę dla ptaków? - zapytała.

- Nie - zaprzeczył. - Instaluję drzwi.

- Gdzie jest twoja żona?

- W pracy.

- W San Francisco?

- Tak.

- Ma dobrą pracę?

- Tak.

- Jak długo ma zamiar pracować?

- Nie wiem - odparł.

- Chyba niezbyt chętnie to robi, prawda?

- Nie wiem- powtórzył. Wzruszył ramionami, starając się ukryć antypatię, jaką do niej czuje. Starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

- Czy już kiedyś pracowała? Odkąd jesteście małżeństwem?

- Nie.

- Nie powinieneś jej na to pozwolić - stwierdziła.

- Co ty nie powiesz? - rzucił opryskliwie, nie mogąc dłużej powstrzymać złości.

Jakby nie zauważyła jego wybuchu albo mało ją to obchodziło.

- To niedobrze, gdy mąż siedzi w domu, a jego żona pracuje - powiedziała.

- Ach, tak - roześmiał się z bezbrzeżną ironią i sarkazmem.

- Powinieneś jak najszybciej postarać się o nową pracę.

- To trochę trudne, gdy się nie ma samochodu - stwierdził.
- Możesz jeździć autobusem. o
- Poczekam - powiedział. .- j
- Na co? Ł4
- Aż zwrócą mi prawo jazdy, \*
- Leo nie wiedział, że byłeś tak bardzo pijany. Myślał, że tylko trochę się wstawieś.

j

Mało go obchodziła opinia jej męża na ten temat.

Ale stało się coś złego. Kobieta zbladła jak ściana. Wpatrywała się w niego tak, że pomyślał, iż dostała jakiegoś ataku. Przyszło mu do głowy, że może jest epilep-tyczką lub kimś w tym rodzaju. Tb by tłumaczyło jej nie-zborny chód i niezgrabne zachowanie.

- Muszę już iść - szepnęła tak cicho, że nie tyle usłyszał, ile wyczytał z warg, co powiedziała. Odwróciła się na pięcie i wciąż trzymając ręce złożone na piersiach, rzuciła się do wyjścia. Drogę do drzwi pokonała niemal biegiem. Zdziwiony, poszedł za nią.

Przy drzwiach frontowych zatrzymała się, nie mogąc sobie poradzić z klamką. Po policzkach ciekły jej teraz łzy.

- O Boże - jęknęła. Głowa bezwładnie poleciała jej do przodu, uderzając w drzwi.

- Co się stało? - zapytał, trzymając się od niej z dala. Na myśl, że miałby jej dotknąć, czuł fizyczny wstręt.

- Właśnie zorientowałam się.., - zaczęła i urwała. Jej oczy patrzyły na niego pustym, niewidzącym spojrzeniem.

I wtedy on również zorientował się, co chciała powiedzieć. Zrozumiał, dlaczego zareagowała tak gwałtownie. Dlaczego było to takie ważne.

- To twój mąż zawiadomił wtedy policję, tak? - zapytał.

Mętne, niewidzące oczy przez chwilę jeszcze się w niego wpatrywały, a potem spojrzwały w bok. Janet płakała i coś bełkotała, ale nie rozumiał, co mówi.

- A to sukinsyn. Wstrętny, pierdolony sukinsyn. Opierając się o drzwi, wyprostowała się i uspokoiła.

- Mój mąż postąpił właściwie - powiedziała z wystudiowaną godnością.

- Właściwie - powtórzył.

- Mogłeś przejechać jakieś dziecko. - Otworzywszy drzwi, wyszła na werandę. Złapała się poręczy i bardzo ostrożnie, krok za krokiem, zaczęła schodzić po schodach.

- Szkoda, że was nie przejechałem! - krzyknął za nią Dombrosio.

Nie odpowiedziała. Nie odwracając się, szła ścieżką w kierunku drogi. Potem powlokła się z powrotem pod górę do swojego domu. Wkrótce zniknęła mu z oczu.

A więc to Leo zawiadomił policję, pomyślał Dombrosio. Podejrzewałem to, ale nie miałem pewności. Co za głupie babsko. Wstrętne, stare, głupie babsko.

Gdy wrócił do warsztatu, włączył piłę i znów zabrał się do pracy, lecz dłonie tak mu się trzęsły, że zaraz musiał przestać. Zamiast pracować, stał beczynnym z rękami w kieszeniach, wpatrując się w przestrzeń. Stopniowo opuszczał dłoń coraz niżej, aż znalazła się w pobliżu pachwiny, szukając wypukłości. Sprawdzał jej obecność, nieustającą obecność w jego życiu.

## Rozdział dziesiąty

Leo Runcible z doświadczenia wiedział, że dom, który kupili Ditersowie, nie nadaje się od razu do zamieszkania, gdyż nie ma w nim gazu, prądu i telefonu. Ciężarówka rozwożąca gaz w butlach miała przyjechać z San Rafael najwcześniej za trzy dni, lecz sklep z karmą dla zwierząt w Carquinez trzymał jedną rezerwową butlę i gdyby ktoś przywiózł ją samochodem do ich domu i podłączył do instalacji, Ditersowie mieliby od razu ogrzewanie i ciepłą wodę. Firma telefoniczna „Pacific Telephone and Telegraph” z San Rafael zanotowała ich nazwisko i obiecała, że wkrótce przyśle technika z aparatem. Zakład energetyczny PG&E podłączył prąd natychmiast, a West Marin Water Company nigdy nie odcinała dopływu wody, gdyż manipulowanie skorodowanymi zaworami mogłoby się źle skończyć.

Otrzymawszy wiadomość od Ditersów, Runcible pojechał do sklepu z karmą po butlę z gazem, ale nie spieszył się zbyt. Butla ważyła około pięćdziesięciu kilogramów i nie był pewien, czy ją udźwignie. Ustalili jednak z Ditersami, że razem wyciągną ją z samochodu i zataszczą do ogrodu, gdzie znajdował się zawór przyłączeniowy. Jeśli chodzi o samo podłączenie, Runcible nie spodziewał się kłopotów. Robił to wiele razy. Potrzebował jedynie żabki, którą woził w aucie w schowku pod deską rozdzielczą.

Ditersów spotkał na podwórzu przed domem. Wóz meblowy musiał dopiero niedawno przywieźć ich dobytek, gdyż pod ścianą piętrzył się ogromny stos kartonów, skrzyń i beczek. Kwiaty rosnące przy ścieżce były zdeptane.

- Co słyhać?! - zawołał, wysiadając z samochodu. Państwo Ditersowie wydawali się lekko spięci, ale

zadowoleni.

- Tragarze uszkodzili schody - oznajmił pan Diters. - Chyba że już wcześniej były złamane.

- Myślę, że to się stało przy wnoszeniu fortepianu - zasugerowała jego żona. - Wie pan, że zanim wyładują rzeczy, każą panu podpisać oświadczenie, że nic nie zostało uszkodzone?

Po wejściu do domu Runcible stwierdził, że Ditersowie rozpakowali większość kartonów, ale jeszcze nie zdążyli poukładać rzeczy. Chcieli się zapewne tylko przekonać, czy podczas transportu nic się nie uszkodziło. Naczynia, książki, krzesła, dywany, ubrania leżały

porozrzucane po całym domu.

- Chodźmy podłączyć butlę - powiedział do Ditersów. - Potrzebuję waszej pomocy. Sam nie dam rady.

Razem ze staruszką wyciągnęli cylindryczny pojemnik z samochodu.

- To bardzo miło z pana strony, że pan ją przywiózł - zauważył Diters. - Nie musiał pan tego robić.

- Chciałem, żebyście mieli ogrzewanie - odparł Runcible. - Noce są tutaj dość chłodne.

Gdy podłączali butlę do zaworu, staruszek nachylił mu się do ucha i szepnął:

- Pan pewnie uważa, że schodek złamał się podczas przeprowadzki, prawda? Niemożliwe, żeby taki ładny domek, w tak dobrym stanie, miał uszkodzone schody.

- Zapewniam pana, że schodek był cały - mruknął Runcible, zajęty podłączaniem butli. - Wie pan, ile waży fortepian i czterech mężczyzn? Ponad tonę. W żadnym

domu zbudowanym w Stanach nie ma schodów, które wytrzymałyby taki ciężar. To samo zdarzyłoby się nawet w zupełnie nowym domu za czterdzieści albo dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Powiem panu coś. - Przerwał na chwilę dokręcanie śruby. - W miasteczku mieszka człowiek nazwiskiem John Flores. Za parę dolarów naprawi panu schodek.

Staruszek odetchnął z ulgą. Wydawał się teraz taki niepozorny. Nie ma powodu do paniki, pomyślał na własny użytek Runcible.

- Dam panu jego numer telefonu - zaproponował, kiedy dokręcił śrubę. - Wszyscy do niego dzwoniemy, ilekroć coś się nam popsuje.

Będziecie musieli jednak trochę poczekać, pomyślał później, gdy jechał do domu się przebrać. John Flores ma dużo pracy.

Na łące za domem Dombrosiów grupka uczniów szkoły średniej kopała rów pod drewny rozszczapajające. Zostali zatrudnieni przez Johna Floresa, gdy ten otrzymał zlecenie od Dombrosiów. Drewno już przywieziono. Stały teraz ułożone w stos obok ogromnej hałdy żwiru.

Zwalniając, Runcible wychylił się przez okno, żeby zobaczyć, jak posuwa się praca. Oprócz licealistów dostrzegł grupkę młodszych dzieci ze szkoły podstawowej. Stały wyżej na zboczu, obserwując pracę starszych kolegów. Wśród dzieci był jego syn, Jerome. Tak był zaabsorbowany, że nie zauważył ojca.

Ciekawe, ile ich to będzie kosztować? - powiedział do siebie Runcible. I czy stać ich na to? Czyżby Sherry zarabiała tyle samo co jej mąż? Wątpliwe. Kobiety na ogół dostają mniej niż

mężczyźni, nawet gdy wykonują tę samą pracę.

Nacisnął na klakson, zwracając na siebie uwagę syna. Pomachali do siebie. Wykop ma sześćdziesiąt stóp długości, ocenił. Ciągnął się od patio domu Dombrosiów, a potem, przy osadniku, rozgałęział się. Osadnik był już gotowy. Runcible zobaczył kręgi z drewna sekwojowego osadzone w wykopie.

Prace prowadzono od kilku dni, lecz posuwały się powoli. Flores nie miał maszyn budowlanych i polegał wyłącznie na sile mięśni chłopców z łopatami. To cud, pomyślał Runcible, że nie każe im dźwigać na plecach worków ze żwirem. Rozbawiła go ta wizja: chłopcy zgięci w pół niczym chińscy kulisi wyruszają jeden za drugim z kopalni żwiru Joslina przy drodze z Petalomy, a potem wloką się szosą numer jeden do Carquinez, by wreszcie przy stacji benzynowej skrócić na drogę prowadzącą pod górę do domu Dombrosia. Przez część drogi rury mogliby toczyć, uznał po chwili namysłu.

Z okien jego salonu nie był to ładny widok: góry ziemi, dreny, żwir. A wszystko po to, by gówno z domu Dombrosiów miało którędy wydostać się na zewnątrz, pomyślał. A my musimy na to patrzeć, musimy patrzeć na dreny i żwir, które mają zrekompensować światu to, że Walter i Sherry Dombrosowie od czasu do czasu muszą chodzić do kibla.

Tego rodzaju zabawne spekulacje były czymś normalnym w tej okolicy, gdy ktoś budował szambo lub układał dreny rozsączające. Runcible nie był jednak w nastroju do żartów. Nie gustował w rubasznym humorze, który bawił wiejskich prostaków. Gdybym miał jakoś opisać ten widok, pomyślał, porównałbym go raczej z obrazami Breughla.

W sypialni zdjął płaszcz, koszulę i krawat. Gdy razem z Dittersami taszczył butlę z gazem, umazał się z przodu smarem. Zauważył też, że mankiety spodni ma oblepione błotem. Kiedy to się stało? Prawdopodobnie wcześniej rano, gdy oglądał pierwszą tego dnia działkę. Trudno chodzić po wiejskiej okolicy i się nie ubłocić lub pobrudzić. Mężczyzna paradujący w garniturze, białej koszuli i krawacie jest tu uważany za głupka... Ale czy pośrednik w handlu nieruchomościami ma jakieś inne wyjście? Spotykani

się z ludźmi, powiedział do siebie, ale muszę też chodzić po dworze i zaglądać w ciemne kąty.

Można być kulturalnym, światowym człowiekiem, myślał, wkładając czystą koszulę, ale wkrótce po sprowadzeniu się tutaj już jedzie się na tym samym wózku co inni. Sra się do długiej rury i stąpa po tym samym gruncie. Jeśli skaleczysz się w rękę zardzewiałym gwoździem,

umierasz na tężec jak stara owca. Biegasz po polu, wijąc się w konwulsjach. Tutaj (sparodiował swoją przemowę do klientów) człowiek nie umiera z powodu arte-riosklerozy czy raka. Przejeżdża go kosiarka, zostaje pobity na śmierć lub zaraża się robaczą. Albo - i tego się bał najbardziej - wybuch pieca gazowego rozrywa go na kawałki i rozrzuca po ziemi, w którą zainwestował oszczędności całego życia.

Znalazł inne spodnie, skończył się ubierać i opuścił sypialnię.

Zatrzymał się na chwilę przy oknie, żeby zerknąć w dół na kopiających chłopców. Jak tu rozmawiać o sztuce, powiedział do siebie, kiedy za oknem banda wiejskich głupków kopie rowy pod dreny rozsączające ścieki? Można bez końca opowiadać o kulturalnych możliwościach tego miejsca, o jego sielskiej urodzie, ciszy i spokoju. Tutaj wydarzeniem jest, gdy sąsiad obetnie sobie rękę przy pracy w młynie. Nic więcej się tu nie dzieje. No, może jeszcze czasem krowa wpadnie pod ciężarówkę rozwożącą chleb. Albo ryś zakradnie się nocą do któregoś gospodarstwa i pożre kaczkę.

Obecnie wydarzeniem numer jeden jest John Flores zakładający u Dombrosia sto metrów drenów. O niczym innym się nie mówi. Wszystkie dzieciaki z okolicy, nawet jego własny syn, tłoczą się wokół placu budowy, starając się nie przegapić żadnego szczegółu. Ile to kosztuje? Oto jest pytanie. Jak długi wykop trzeba zrobić? To również ważna kwestia. I co wskazywało na konieczność wymiany drenów?

Zanotował sobie w pamięci, żeby zapytać Floresa, ile sobie liczy za założenie metra drenu. »

Nawet ja się tym zainteresowałem, pomyślał. Pewnie dlatego, że nie ma niczego innego, czym warto byłoby się zainteresować. Jeśli żyje się drobiazgami, również myśli się o drobiazgach.

Ciekawe, co musiałyby się wydarzyć, żeby tutejsi ludzie zaczęli myśleć na wielką skalę? - zadał sobie pytanie.

Dopiero teraz zauważył, że jego żona pracuje w ogrodzie. Miała na sobie dzinsy, słomkowy kapelusz i stare buty. Klęcząc, metalowymi pazurkami wyrywała chwasty spośród truskawek.

Czy idiota jest człowiekiem szczęśliwszym od nas? -pomyślał.- Niektórym ludziom niewiele brakuje do szczęścia. Wystarczy, że przez parę godzin pogrzebią w ziemi. Jak na przykład moja żona. Albo żony farmerów. Tak, Janet jest zadowolona, gdy może się do nich



upodobnić. Gdy nie może, przeżywa katusze.

Dlatego tak się jej tutaj podoba, stwierdził. Życie jest tu proste. Nic człowieka nie stresuje, nie wywiera na niego, jak to ona nazywa, „presji”.

Podszedł do drzwi frontowych, otworzył je i wyszedł na werandę.

Na drodze zauważył jakiś ruch. Coś majaczyło w oddali, ale nie potrafił rozpoznać co. Dobiegły go piskliwe głosy. W końcu zauważył trzech chłopców pchających pod górę wózek.

Co oni tam mają? - zastanowił się. Zardzewiałe koła obracały się z piskiem. Chłopcy pokrzykiwali na siebie, z całych sił napierając na wózek, żeby wtoczyć go pod górę. Przy jednym z domów zatrzymali się i zablokowali koła. Jeden z nich ruszył ścieżką do drzwi. Gdy się otworzyły, wyciągnął rękę, w której coś trzymał, a potem wskazał na wózek.

Znowu coś sprzedają, uznał Runcible. Ciekawe, co tym razem? Sezon na jabłka już się skończył.

Czy powinien na nich poczekać, czy pójść do samochodu? Zdecydował, że pozostanie na werandzie. Janet ich nie usłyszy, gdyż jest pochłonięta pracą w ogródku. Nawet jego nie usłyszała.

Wrywa chwasty i nic ją nie obchodzi. Nie denerwuje jej, że w dole kopią rowy pod dreny. Nie przeszkadza jej taka robota. Hałas. Że też potrafi się tak odizolować, pomyślał. Czy chciałbym być taki jak ona? Zbliżają się chłopcy pchający pod górę wózek z towarem na sprzedaż. Widzę ich. Słyszę. Jestem świadom ich obecności, toteż muszę tu stać i czekać, aż przyjadą.

Oto cena, jaką musimy płacić za spostrzegawczość, pomyślał.

Teraz chłopcy również go zauważyli. Dostrzegli klienta, pomyślał, stojąc i czekając, aż do niego podejdą. Krzyknęli na siebie i zdwoili wysiłki. Wózek zajęczał i potoczył się szybciej pod górę. Co oni tam mają? Wygląda to jak ziemia. Brązowa ziemia i kamienie. Nie wyglądało to obiecująco. Jeszcze zanim chłopcy się do niego zbliżyli, włożył rękę do kieszeni, by się upewnić, że ma drobne. Byłby zażenowany, gdyby się okazało, że nie ma.

- Proszę pana! - zawołał jeden z chłopców. Byli starsi od Jerome'a. Chodzili do ósmej albo dziewiątej klasy.

Skinął im głową.

Ciężko dysząc, przyciągnęli swój wózek. Stanęli, uśmiechając się do niego z nadzieją.

- Co macie? - zapytał.

- Groty do strzał - odparł chłopiec.

- Indiańskie pamiątki - wyjaśnił wesoło jego kolega.

Zaprowadzili go do wózka. Zobaczył jakieś przedmioty pomieszczone z ziemią, a jeden z chłopców podał mu zawiniątko. Runcible rozchylił brzegi chusteczki i zobaczył dwa czarne groty do strzał. Obsydian, stwierdził w jednej chwili. Najlepsze groty, jakie znaleziono w tej okolicy. Bardzo cenne.

- Ile? - zapytał.

- Dolar- odpowiedział chłopiec trzymający groty.

- Za dwa?

Chłopcy zaczęli się pospiesznie naradzać.

- Za sztukę - odparł pierwszy chłopiec.

Runcible wziął grot i przyjrzał mu się uważnie. Odkąd tu zamieszkał, zawsze pragnął znaleźć samemu taki grot, ale jak dotąd mu się to nie udało. Nie tracił jednak nadziei. W końcu go znajdę, przekonywał siebie, trzeba być cierpliwym. To nic pilnego. Widział wiele takich gro-tów u okolicznych mieszkańców. Słyszał mnóstwo opowiadań o ludziach, którzy znajdowali piękne obsydiano-we groty leżące zupełnie na widoku: na środku drogi, na brzegu rzeki czy estero. Czy warto je kupować? - pomyślał. Czy cała przyjemność nie polega na tym, żeby je znaleźć samemu? Te jednak prezentują się bardzo okazale, pomyślał. Mógłby powiesić je na ścianie w gabinecie.

Spodobał mu się ten pomysł.

- W porządku- powiedział, wyciągając portfel. Gdy im zapłacił, wskazał na wózek i zapytał:

- A co tam macie?

- Różne rzeczy wykopane z ziemi - odparł jeden z chłopców.

- Kolejne groty?

Chłopcy uśmiechnęli się niepewnie.

- Nie - bąknął w końcu jeden z nich. Pogrzebał w ziemi i wyjął coś, co wyglądało na kawałek granitowej skały. - To jest indiańskie narzędzie.

- Gdzie to znaleźliście?- chciał wiedzieć Runcible.

Chłopcy zrobili tajemnicze miny. Najwyraźniej ustalili, że nikomu tego nie zdradzą. Lecz wzięwszy do ręki garść ziemi, Runcible uzyskał odpowiedź na swoje pytanie. Ziemia wydawała się znajoma. Znaleźli je tu, na dole, podczas kopania rowów pod dreny.

- Tam - powiedział Runcible, wskazując palcem ekipę Johna Floresa.

Chłopcy niechętnie skinęli głową.

- Ale dostaliśmy zgodę - powiedział jeden z nich.

- Od kogo?- zapytał Runcible.

- Od Johna Floresa - odparł chłopiec.

- W porządku. - Poszperał wśród przedmiotów znajdujących się na wózku. Rzeczywiście znaleźli indiańskie narzędzia: szydła i kawałki kości, z których zrobiono haczyki i igły, ale nie wzbudziły one jego zainteresowania. - W porządku, chłopcy- powtórzył.- Dziękuję. -Wziąwszy swoje groty do strzał, wrócił do domu, zamykając za sobą drzwi.

Usiadł przy telefonie, ponownie obejrzał groty i zaczął wykręcać numer Whartona.

Po kilku sygnałach nauczyciel podniósł słuchawkę.

- Mówi Leo Runcible - przedstawił się. - Posłuchaj, przed chwilą było u mnie kilku chłopców, którzy sprzedali mi obsydianowe groty do strzał.

- Skąd je wzięli? - zapytał Wharton.

- Znasz Waltera Dombrosia?

- Tak - potwierdził Wharton. - Już wiem. Z jego łąki, tak? Tam, gdzie robią wykopy pod dreny rozsączające?! -wykrzyknął triumfalnie. - Mówiłem mu, żeby uważał. Powtarzam to każdemu, kto zamierza kopać w ziemi.

- Oprócz grotów mieli mnóstwo innych rupieci - poinformował go Runcible.- Coś, co wyglądało jak granitowe szydło. I szpikulce do robienia dziur w skórze. Wyładowali tym cały wózek i jeżdżą teraz od domu do domu.

- Dobrze, w porządku- powiedział Wharton rzeczowym tonem. - Posłuchaj, co powinieneś zrobić. - Nie czekał, aż Runcible wyrazi zgodę, ale natychmiast mówił dalej. - Zejdiesz do nich na dół i powiesz Floresowi, żeby przerwał pracę. Rozumiesz? Zabroń mu dalszego kopania. Nie mogę się teraz wyrwać, ale przyjadę najdalej za godzinę. Najlepiej by było, gdybyś tam został i poczekał, aż się zjawię. Dopilnowałbyś, żeby dzieciaki nie zabrały innych rzeczy. Czy Dombrosio jest w domu?

- Nie wiem - odparł pośrednik, zbity z tropu tym, że nauczyciel szkoły podstawowej wydaje mu polecenia.

- Niektóre z tych przedmiotów są bardzo delikatne -rzekł Wharton - lepiej więc będzie, jeśli sam będę dalej kopał. Przyniosę odpowiednie narzędzia. Pomyślmy... mamy pięć godzin do

zmierzchu. Wystarczy. Do widzenia. - Klik: Wharton odłożył słuchawkę.

Na miłość boską, pomyślał Runcible. Muszę wrócić do biura. Nie mam czasu na głupstwa. Zaczął ponownie wykręcać numer telefonu, lecz zmienił zdanie i odłożył słuchawkę na widełki. Trochę go to zaciekało. Nie tak bardzo jak Whartona... ale czuł pewne podniecenie, spotęgowane dodatkowo słowami nauczyciela. Kto wie, może coś z tego będzie, powiedział do siebie. Co w najlepszym razie mogą znaleźć? Skarb hiszpański? Zasypane miasto? Nie, to chodziło o Azteków i Inków. Bardziej na południu. Tutaj znajdowano jedynie garnki i groty do strzał. Mimo to...

Wyszedł z domu i poszedł drogą w kierunku łąki Dom-brosia.

Człowiek sądzi, że robi dobry interes, kupując groty do strzał, i proszę, w co się pakuje, myślał po drodze. Ileż to już czasu minęło, odkąd ostatnio byłem u Dombro-sia? A teraz muszę tam zejść i błagać go, by przerwał prace. I dla kogo ma to zrobić? Dla mnie? Co ja z tego będę miał? Pakuję się w sytuację, w której Walt Dombro-sio będzie mógł mi odmówić. I na co mi to?

Wharton miał jednak rację: prace należało przerwać. Nauka i ludzkość mają bezwzględne pierwszeństwo. Dobro kultury tego wymaga.

Gdy dotarł na teren robót, jego podniecenie sięgnęło zenitu. Zauważywszy Johna Floresa, złożył dłonie w trąbkę i wykrzyknął:

- Przerwać kopanie!

Wszyscy odwrócili głowy w jego kierunku.

- Przerwać kopanie - wycharczał, przełaząc przez

rów i ruszając biegiem przez pole w kierunku Floresa. Spod butów pryskała mu ziemia i kamienie. - Czy wykopaliście jakieś indiańskie przedmioty?- zapytał, stając przed Floresem. - Dzwoniłem do Okręgu Szkolnego West Marin... - Zastanawiał się, jak najlepiej uzasadnić swoje polecenie. - Zalecamy panu natychmiastowe wstrzymanie wszelkich prac.

Spoglądając na ciemną, pokrytą zmarszczkami twarz, Runcible przypomniał sobie o zagadkowej sławie, jaką John Flores cieszył się w okolicy. Nie potrafił pisać ani czytać, a mimo to był jednym z najbardziej szanowanych, przebiegłych i zdolnych przedsiębiorców w okręgu Car-quinez. Często szefował ośmiu lub dziewięciu osobom i wykonywał wiele ciężkich prac dla farmerów i mieszkańców. Flores miał ponad dwa metry wzrostu. Chodził w wypłowiałej płóciennej kurtce, dżinsach i kowbojskich butach. Na nosie miał swoją jedyną parę okularów, okrągłych w metalowej oprawce, które dobrano mu jeszcze w dzieciństwie.

Jak zwykle grzecznie uklonił się Runcible'owi na powitanie.

- Uszanowanie panu - powiedział.

Chłopcy przestali kopać; wpatrywali się we Floresa i Runcible'a, starając się usłyszeć, o czym rozmawiają. A zatem nie musiał się spieszyć.

- Zszedłem jak najprędzej, żeby pana o tym powiadomić - oświadczył Runcible, kiedy trochę odsapnął.

Problem polegał na tym, że magia słów nie działała na Floresa. Starał się uchwycić ich sens, ale na nic więcej nie było go stać. Różnice w intonacji nie miały dla niego żadnego znaczenia.

- Wie pan - powiedział - musimy to jak najszybciej skończyć. Każdy przestój kosztuje. - Flores mówił bez akcentu, choć był Portugalczykiem. Miał niski głos o imponującej głębi, jak spiker radiowy. - Jesteśmy w połowie roboty.

Nie było przekonującej odpowiedzi na takie postawienie sprawy; w każdym razie Runcible'owi nic nie przychodziło do głowy.

Kiedy tak stał, starając się znaleźć lukę w bezlitośnie praktycznej argumentacji Floresa, zauważył otwarte drzwi do domu Dombrosia. Na progu pokazał się gospodarz ubrany w podkoszulek i sportowe spodenki. Zauważywszy Runcible'a i Floresa, podszedł do nich.

- Proszę zapytać pana Dombrosia- zaproponował Flores.

- Racja - zgodził się skwapliwie Runcible.

- Co się dzieje? - zapytał Dombrosio, kiedy znalazł się obok nich. Miał zasepioną i chmurną twarz i zachowywał się z rezerwą. Wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę z Runcible'em. Obaj nie ucieszyli się z tego nieoczekiwanego spotkania.

- Przed chwilą rozmawiałem z panem Whartonem ze szkoły - poinformował go Runcible.  
- To zdaje się pański przyjaciel.

- Owszem - przyznał Dombrosio.

- Czy wie pan, że znaleziono u pana kilka starych indiańskich przedmiotów? - Wskazał ręką na długi rów, w którym stało kilku chłopców z łopatami. - Podczas kopania - wyjaśnił. - Wharton chce, żeby z dalszą pracą zaczekał pan do jego przyjścia.

- Nie obchodzi mnie to - burknął Dombrosio. - Co to za przedmioty?

- Jakieś kamienie - wtrącił się Flores. - Oglądałem je. Nic wartościowego. Wyrzuciliśmy je, ale paru chłopców je zabrało. - Wyraźnie nie podobał mu się pomysł przerwania pracy.

- Obejrzyjmy je - zaproponował Dombrosio.

- Chłopcy wszystko zabrali - poinformował go Flores, gestykulując. - Żeby sprzedać. Nie ma co oglądać.

Runcible uznał, że lepiej nie mówić o tych dwóch grotach do strzał. Dombrosio mógłby zażądać ich zwrotu. W końcu zostały znalezione na jego posiadłości. Prawo byłoby po jego stronie.

- Czy będę musiał płacić za przestój? - zapytał Dom-brosio.

- Pracujemy dla pana - odparł Flores. - Powiem panu tak: ja nie mam zamiaru ponosić strat.

- Przynajmniej moglibyśmy podzielić się kosztami pół na pół - zaproponował Dombrosio.

- Nie - odparł Flores. - To pański pomysł. Ja nie chce przerywać pracy. Nic mnie nie obchodzą indiańskie znaleziska. Jeśli pan chce, żebym stał bezczynnie, to proszę bardzo, ale będzie mi pan musiał za to zapłacić. Ja w każdym razie nie każę swoim ludziom się objać.

- Może zamiast bezczynnie stać, poszukaliby innych przedmiotów - powiedział po chwili Dombrosio.

- Wharton prosił, żebym zabronił im kopania - odezwał się Runcible. - Powtarzam tylko, co mi mówił. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie mam w tym żadnego interesu. - Nie podobało mu się, że Dombrosio może go podejrzewać, iż chce go narazić na koszty.

- Może znajdziemy coś cennego - oświadczył ponuro Dombrosio. - Będę w domu. - Odwrócił się i odszedł.

- Powiem panu - rzekł Flores, kiedy Dombrosio zniknął w domu. - To niemądre, że kazał nam przestać pracować.

- To jego obowiązek wobec społeczeństwa i podziwiam go, że tak postąpił - wystąpił w obronie Dombrosia Runcible. - Wziął przecież na siebie wszystkie koszty.

Flores mruknął coś pod nosem i odszedł, by usiąść na zderzaku swojej ciężarówki.

- Niech mi pan pokaże, gdzie znaleźliście te przedmioty - poprosił Runcible, podchodząc do niego.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Tu? - pytał Runcible, idąc wzdłuż wykopu. Chłopcy, śmiejąc się głupekowato, podążali za nim wzrokiem. -Tutaj?

Flores skinął głową.

Runcible ostrożnie wskoczył do wykopu. Mokra ziemia odpadająca od ścian pobrudziła mu buty; na spodniach, tych nowych, znów zobaczył ślady błota. Rzeczywiście, na dnie wykopu, między kawałkami gliny, leżały jakieś kamienie. Przykucnął i podniósł jeden z nich.

Do najbardziej imponujących indiańskich pozostałości należały gigantyczne kopce, na które Indianie przez lata wyrzucali różne przedmioty uznane przez nich za bezwartościowe. Dziwne, myślał, grzebiąc w ziemi, że przeszukujemy pięćsetletni stos śmieci. Cał po calu. Mając nadzieję, że znajdziemy coś cennego.

Czyżby natrafili na taki kopiec? Większość z nich, jeśli nie wszystkie, zostały znalezione w pobliżu wody. Indianie odżywiali się skorupiakami, małżami, mięczakami i ślimakami i w większości zawartość kopców stanowiły muszle i skorupki tych stworzeń.

Po chwili znalazł następne granitowe narzędzie. Wygrzebał z ziemi ciężkie... Co to było? Chyba szydło? Kamienny cylinder zwężający się na jednym końcu, przypominający figurę do gry w kręgle. I kawałki kości obrobione ludzką ręką. O Boże, ucieszył się. Pierwszy raz robił coś tak fascynującego. Potem jednak uświadomił sobie, że wszystkie te rzeczy należą do Walta Dombrosio i wtedy wyraz tryumfu na jego twarzy, radość z bycia odkrywcą, zniknęły. Wyszukując te przedmioty dla niego, zreflektował się. Dlatego wyprostował się i znieruchomiał.

Lepiej sobie pójdę, pomyślał, zanim oskarżą mnie o kradzież tych dwóch grotów do strzał.

Ciekawość jednak okazała się silniejsza. Poczekam tu na Whartona, postanowił. Nie chcę przeoczyć jakiegoś ważnego wydarzenia.

Niecałą godzinę później zjawił się nauczyciel. Miał na sobie stare ubranie i dźwigał kilof, łopatę, młot, jutowy worek oraz zwój drucianej siatki przewieszony przez ramie. Kiedy zrzucił wszystko na ziemię, pomachał do Runcible'a.

- Jak ty się ubrałeś, przyjacielu? - powitał go, wskoczywszy do wykopu. Kielnią nabierał ziemi z dna wykopu i przesiewał ją przez siatkę. - Trzeba było włożyć ubranie robocze.

- Wiem - odparł Runcible.

- Wracaj do domu i się przebierz - powiedział Wharton. Lekko zawstydzony - w końcu stał beczynnym przez

piętnaście minut - Runcible powłókł się z powrotem do domu. Najszybciej jak potrafił włożył strój roboczy i wrócił do wykopu.

Ku swemu zdumieniu zobaczył, że Wharton przerwał pracę. Siedział na ziemi po turecku,

pogrążony w rozmyślaniach.

- Co się stało? - zapytał Runcible.

- Coś mi się nie zgadza - powiedział nauczyciel, obracając w palcach granitowe narzędzie.

- Tego rodzaju przedmioty zazwyczaj znajdowano w innej glebie. Wygrzebałem wszystko, co tam było. - Wyciągnął rękę i wtedy Runcible zobaczył, że kiedy on się przebierał, Wharton zdążył usypać stos ze znalezionych przedmiotów. Wyglądało na to, że wykopał wszystko, co tam było, a w każdym razie sprawiał wrażenie, jakby nie oczekiwał, że znajdzie ich więcej.

- Panie Wharton, skończył pan? Możemy wrócić do pracy? - zapytał Flores, który podszedł do nich.

- Chwileczkę - odparł nauczyciel. - Siedział ze zmarszczonymi brwiami, ignorując zarówno Floresa, jak i Runcible'a. Raptem zerwał się na nogi i wrócił do wykopu, kiwając na Runcible'a, żeby poszedł w jego ślady. - Chodź tutaj.

Stanąwszy obok Whartona, podążył wzrokiem za wyciągniętą ręką nauczyciela, która wskazywała powierzchnią, nie naruszoną warstwę gruntu znajdująca się na wysokości ich pasa. - Widzisz tę obwódkę? - zapytał. - Ziemia w tym miejscu została wymyta.

- Woda? - zapytał radośnie Runcible. - Tak mi się wydawało, że kopce zazwyczaj znajdowano nad wodą.

- To ciek, który spływa tędy z góry - wyjaśnił Whar-ton. - Prawdopodobnie to on w ciągu wielu lat naznosił tutaj te przedmioty, przesuwając je kilka cali na rok.

- Rozumiem - rzekł Runcible.

- Będą mieli świetne dreny z tą wodą cieknącą po zboczu - rzucił Wharton z krzywym uśmiechem. - Będą mogli mówić o szczęściu, jeśli rury i żwir nie skierują tej deszczówki wprost do ich domu.

- To robota Floresa - zauważył Runcible. Wharton namyślał się, obracając głową na wszystkie

strony. Patrzył do góry na zbocze wzgórza, drzewa i domy.

- Czyja to ziemia? - zapytał w końcu. - Do kogo należą te eukaliptusy przy tamtych głazach?

Runcible poczuł nagły skurcz w dołku.

- Do mnie - odparł. - To część mojej posesji.

Nauczyciel położył rękę na ramieniu Runcible'a i zmusił go, by się pochylił i popatrzył



we wskazanym kierunku pod określonym kątem.

- Widzisz? - zapytał.

- Co? - odparł Runcible.

- Woda spływa ze wzgórza zygzakami. Zimą, kiedy mocno pada, trawa i chwasty są tak wysokie i gęste, że jej nie zobaczysz, chyba że na podjeździe lub obok butli z gazem utworzy się kałuża. Większość płynie w ziemi, w rozmięklej glinie. Właściwie bardziej przesiąka przez glebę niż płynie. Na pewno to widziałeś, tylko nie zwróciłeś na to uwagi.

Runcible skinął głową.

- Woda niesie duże ilości ziemi - ciągnął Wharton. - Zobacz, jak wygląda to wyżłobienie. Jest szerokie, ale niezbyt głębokie. Musimy się wdrapać na górę i dokładnie obejrzeć każdy uskok gruntu, nim odnajdziemy, skąd wypływa i zabiera te przedmioty. Zainteresowały mnie te głązy. Wykorzystujesz jakoś ten teren?

- Nie - odparł Runcible. - W każdym razie nie w tamtym miejscu.

- A zatem nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli się okaże, że warto tam trochę pokopać.

- Bo ja wiem- odrzekł ostrożnie. Wharton spojrział na niego.

- Och, daj spokój, Leo. Nie wykorzystujesz do niczego tej ziemi. Potrzebuję twojej zgody. Dostanę ją? - Chwycił go za ramię i ścisnął tak długo, aż pośrednik kiwnął głową.

- Nienawidzę widoku ludzi kopiących w ziemi - stwierdził Runcible. - Wzięło się to pewnie stąd, że w dzieciństwie często musiałem oglądać roboty drogowe. Tam, gdzie mieszkałem, były stare rury kanalizacyjne, które bez przerwy pękały.

- Może staniesz się sławny - zasugerował Wharton.

- Proszę? - zapytał Runcible, nie nadążając za tokiem rozumowania nauczyciela. Jak na jego gust zbyt szybko przeskakiwał z tematu na temat.

- Pod warunkiem że dokonamy jakiegoś ważnego odkrycia. Gdy zostanie odkopane coś cennego, University of California zawsze przysyła naukowców, żeby opisali znalezisko. Kto wie... Może pokażą cię w telewizji.

Runcible wzruszył ramionami, ale serce waliło mu jak młotem i drżał ze wzruszenia. A więc jednak to nie na pańskiej ziemi znajdują się indiańskie pozostałości, panie Dombrosio, pomyślał, lecz na mojej. Te kilka przedmiotów znalazło się u pana przez przypadek. Przyniosła je woda.

Włożył rękę do kieszeni, żeby dotknąć grotów strzał. Nie było ich tam. Na chwilę wpadł w panikę i przerażenie. Zmarszczone czoło pokryło się kropelkami potu.

- Co się stało? - zapytał Wharton.

Wtedy przypomniał sobie, że kiedy się przebierał, nie wyjął ich z kieszeni spodni. Groty były bezpieczne. Ale to nie wszystko, pomyślał. Może znajdziemy ich dużo więcej. A także innych przedmiotów. I wszystkie one będą moje.

## Rozdział jedenasty

W redakcji „Carquinez News” Seth Faulk otworzył kopertę, którą wręczyła mu pani Runcible. Kiedy czytał, kobieta stała po drugiej stronie lady, nie zdejmując swojego długiego płaszcza i ściskając w ręku torebkę. Wydawało mu się, że jest trochę spięta. Nie spuszczała z niego wzroku. Czuł na sobie jej spojrzenie.

- Czy chce pani, żebym to teraz przeczytał do końca? - zapytał. - W pani obecności? To może trochę potrwać. - Wolał to odłożyć na później. Od godziny pisał reklamę dla sklepu spożywczego, która musiała być gotowa na dwunastą.

- Poczekam - odparła.

Faulk westchnął w duchu. Czytał dalej, opuszczając całe linijki tekstu i starając się zrozumieć jego ogólny sens. Od pierwszego zdania nie ulegało wątpliwości, że jego autorem był Runcible. Nie dość, że napisany był na maszynie należącej do biura nieruchomości (tej samej, na której pośrednik pisał swoje teksty reklamowe), to na dodatek utrzymany był w typowym dla Runcible'a stylu. Rzucającym wyzwanie całemu światu, jakby jego autor nie mógł poprzestać na relacjonowaniu, czy nawet pouczeniu, ale koniecznie musiał prowokować. Dla tego faceta świat składa się tylko z przyjaciół i wrogów, pomyślał Faulk. Ci, którzy go popierają, powinni po przeczytaniu tego tekstu skrzyknąć się w jego obronie. Inni zachowają się zapewne tak jak zwykle.

Faulk zerknął na panią Runcible, która wciąż stała sztywno wyprostowana. Prawie każdego dnia widział ją przechodzącą pod oknem jego biura, gdy szła na zakupy. Dziś była nieumalowana. Z tego, co o niej wiedział -a wiedział trochę o każdym z mieszkańców miasta - wynikało, że nadużywa alkoholu i ten jej dzisiejszy wygląd jest oznaką porannego kaca. Jedną część jego umysłu zawierała informacje nadające się do druku, a druga pełna była plotek i pogłosek, które niezależnie od tego, czy zgodne z prawdą, czy nie, nigdy nie trafią na łamy jego gazety, gdyż nie mieściły się w jej profilu. Fakt, czy też przypuszczenie, że pani Runcible nadużywa alkoholu, nie był dla niego interesujący z punktu widzenia zawodowego, ale interesowała go ta kobieta. Była taka jakaś wyschnięta. Włosy miała sztywne jak druty i bezbarwne. A ten jej płaszcz, pomyślał, wygląda, jakby pożyczyła go od męża. I ręce. Zobaczył, że palce ma zgięte i sztywno splecione, jakby się obawiała, iż lada chwila rozsypie się na kawałki.

- Czego pani małżonek ode mnie oczekuje?- zapytał, podsuwając jej z powrotem zadrukowane kartki.

Skrzywiła się, usłyszawszy jego pytanie. Najwyraźniej go oczekiwała, mimo to zdenerwowała się, gdy padło.

- Chciałby, żeby zamieścił pan ten tekst w najbliższym wydaniu- odrzekła, po czym dodała: - „News”.

- Jako informację redakcyjną.

- Och, tak, jako informację. - Na jej twarzy pojawiła się panika, ale po chwili znów zagościło na niej napięcie.

- Czy Leo naprawdę znalazł te wszystkie przedmioty? - powiedział Faulk bardziej do siebie niż do niej.

- Naturalnie - odparła ponuro.

Zastanowił się, co ma o tym myśleć. Nie chce być łączony z żadną kampanią reklamową Leo Runcible'a, powiedział do siebie. W przeszłości, gdy biuro Runcible'a

zaczynało działalność, został bezczelnie wmanewrowany do wydrukowania jako informacji redakcyjnych różnych wypowiedzi pośrednika, którymi ten chciał zwrócić na siebie uwagę. W końcu doszło między nimi do ugody. Zmusił Runcible'a do zamieszczenia, w formie zadośćuczynienia, półstronicowej reklamy jego biura handlu nieruchomościami, a w zamian dalej publikował jego wypowiedzi jako informacje redakcyjne. Początkowo układ ten zdawał się funkcjonować ku obopólnej korzyści, później jednak Faulk stwierdził, że część ludzi zaczęła utożsamiać jego gazetę z bombastycznym tonem owych notatek. Dlatego teraz musiał być ostrożniejszy. Nie mógł tak po prostu wydrukować tego, co mu Runcible podsyłał.

To mogłoby pójść, pomyślał, tak:

**CENNE INDIAŃSKIE ZNALEZISKO**

Lecz Runcible zawsze lubił, gdy jego nazwisko pojawiał się w tytule, a nie tylko w tekście.

**RUNCIBLE INFORMUJE O CENNYM INDIAŃSKIM ZNALEZISKU**

To by go chyba zadowoliło.

W wypowiedzi dla „News” Leo Runcible ujawnił dzisiaj, że dokonał odkrycia, które być może jest największym od wielu lat znaleziskiem indiańskich narzędzi w tej okolicy.

W ten sposób, pomyślał Faulk, gazeta zdystansowałaby się od informacji.

Przypadkowe odkrycie dokonane na posesji należącej do Leo Runcible'a zaskoczyło największych specjalistów od indiańskiej kultury, którzy nie spodziewali się znaleźć tam niczego wartościowego. Okazuje się, że gdyby nie upór pośrednika w handlu nieruchomościami, który od dawna podejrzewał, iż jego ziemia kryje cenne obiekty, amerykańska nauka straciłaby okazję zbadania sensacyjnego znaleziska. „Od razu wiedziałem, że znajdujemy się na drodze do odkrycia skarbu o nieoszacowanej wartości” - zwierzył się Runcible reporterowi „News”.

Obserwowany przez Janet Runcible, Faulk wyciągnął się na krzesło i, zaglądając do maszynopisu, starał się w pamięci zrehabilitować notatkę.

Wciąż nie jestem pewien, czy to uczciwe zagranie, pomyślał, gdy skończył ją układać. Lepiej to sprawdzę, zanim wydrukuję.

Czy to znaczy, że Runcible będzie dodawał grot do każdej sprzedanej działki? Czy ma to być jakaś jego nowa akcja reklamowa? Czy w ten sposób zachęci ludzi do osiedlenia się tutaj?

Oczywiście, dobrze by było, gdyby tak się stało. Marzyli o tym właściciele wszystkich małych firm, których ogłoszenia zamieszczał w „News”. W tym punkcie Seth Faulk zgadzał się z Leo Runcible'em. Łączył ich wspólny cel i obaj o tym wiedzieli.

Ciekawe, kogo mogłaby przyciągnąć taka informacja, pomyślał Faulk. Kiedy w zatoce Tomales złapano wielkiego rekina i jego zdjęcie opublikowała „San Francisco Chronicle”, tysiące ludzi pojechało do tej krewetkowej dziury, żeby go zobaczyć. Ale co tam zrobili? Kupili kilka funtów krewetek? Kilka piw? Owszem, pomyślał, i zaraz potem rozjechali się do domów.

W przeszłości przyjechało tu kilku profesorów uniwersytetu, żeby badać indiańskie znaleziska. Kilka wielkomijskich gazet z San Rafael i San Francisco zamieściło artykuły na ten temat. Artykuły ze zdjęciami, które zrobiły okolicy Carquinez niezłą reklamę.

Oczywiście, pomyślał, wszystko zależy od tego, co ten skurczybyk naprawdę znalazł. Żadne groty do strzał nikogo nie zwabia, chyba że rzeczywiście znalazł je w takich ilościach, iż mógłby je rozdawać. Ale po to, by

tylko popatrzeć... Nie, nikt nie przyjedzie tylko z tego powodu, gdyż może to zrobić już teraz. Wystarczy, że pójdzie do szkoły, do klasy pana Whartona, i obejrzy jego kolekcję. Tymczasem poza posiedzeniami rady szkolnej nikt tam nie zagląda.

- To interesujące - powiedział na głos.

- Wiedziałaś, że tak pan pomyśli - odparła Janet Runcible z widoczną dumą i ulgą.

- Chyba zadzwonię do Leo - stwierdził Faulk.

- Znajdzie go pan teraz w biurze - odpowiedziała natychmiast.

- Tak- rzekł, wkładając kartki z powrotem do koperty. - Zanim to wydrukuję, zadzwonię do niego i dowiem się więcej na temat całej sprawy. - Po pierwsze, Runcible najprawdopodobniej nie dokonał tego odkrycia samodzielnie, choć w swojej notatce o nikim innym nie wspomina. Cały czas powtarza się tylko nazwisko Runcible, Runcible i Runcible, ale my tak nie możemy napisać. Musimy oddać sprawiedliwość także innym, którzy brali w tym udział. Nic tak szybko nie sprowadza na człowieka kłopotów jak pominięcie czyichś zasług.

Później, kiedy Janet Runcible wyszła, Faulk zaniósł kopertę żonie i poprosił, żeby przeczytała notatkę. Mary Faulk siedziała przy największej z trzech pras drukarskich. Nie wstając z miejsca, otworzyła kopertę i przeczytała tekst od początku do końca. Kiedy skończyła, powiedziała:

- Musisz to całkowicie przerobić. Z jego tekstu wynika, jakby był pewny swego odkrycia. A przecież na razie tylko przypuszcza, że znajdzie coś cennego, prawda?

- Telefonowałem do niego do biura. Wyszedł z klientem, ale ma do mnie zadzwonić, kiedy wróci.

- Okropnie się podniecił. Można by pomyśleć, że znalazł coś związanego z wojną secesyjną lub równie ważnego.

- Może ma rację. Indiańskie przedmioty też mogą się okazać ważnym znaleziskiem.

- Dlaczego? - zapytała Mary Faulk. - Tutejsi Indianie jedli tylko surowe ostrygi... Rozumiem, gdyby chodziło o tych Indian z głębi łądu, Czejenów lub Apaczów, którzy budowali wigwamy i strzelali z łuków. Ale ich kalifornijscy bracia to przy nich... zwykle brudasy. Słyszając to, Faulk roześmiał się.

- Nawet nie jeździli na koniach - dodała Mary Faulk.

- Posłuchaj, nie ty decydujesz, co jest ważne, a co nie. Inni ludzie myślą, że nasi Indianie są godni uwagi.

- Nie ma na świecie nikogo, kto by się nimi interesował, może poza uczonymi z Uniwersytetu Kalifornijskiego, władzami z Sacramento, Kalifornijskim Towarzystwem Historycznym i Towarzystwem Historycznym Hrabstwa Marin. Ale oni muszą się nimi zajmować. To ich praca. Tak jak schronisko dla zwierząt musi się zajmować zdechłymi kotami.

- Przecież chciałabyś mieć obsydianowy grot, by móc pokazywać go gościom - zwrócił jej uwagę Faulk.

- Tylko że Runcible wcale nie napisał, że znalazł jakieś groty. Twierdzi, że odkrył kopiec grobowy czy coś w tym rodzaju.

- W takich kopcach zawsze można znaleźć pełno śmiecia - stwierdził Faulk. - Garnków, koszyków... Wodza chowano wraz z całym jego dobytkiem. A może tak robili Egipcjanie.

- Moim zdaniem Runcible chce sobie zrobić bezpłatną reklamę.

Zacisnęła usta i wróciła do pracy. Dla niej sprawa była jasna. Faulk znalazł jej stosunek do Leo Runcible'a.

Powinniśmy mu jednak pójść na rękę, uznał, a właściwie nie jemu, lecz osobie z jego poglądami. Runcible miewał dobre pomysły, na przykład kiedy skłonił ich do głosowania za rozbudowaniem szkoły. Przynajmniej jest człowiekiem, który patrzy w przyszłość. A to ogromnie dużo wobec postawy farmerów.

Poza tym odkrycie Runcible'a jest wiadomością na pierwszą stronę, pomyślał.

- Runcible ściągnął kapitał w nasze strony - rzekł. - Dzięki niemu lepiej nam się powodzi.

Jego żona nie odpowiedziała. Nie akceptowała pośrednika i koniec. Z zasady nie pochwałała tego, co robił, i choćby nie wiadomo jak się starał, nie miał szans, by go zaakceptowała. Mary urodziła się w tej okolicy i tutaj dorastała. Chodziła do starej szkoły w River i liceum w Tomales. Znała osobiście wszystkie żony farmerów i kiedy nie robiła składu lub korekty, dzwoniła do wszystkich po kolei, wypytując o to, co porabiają: o ich małe niedzielne wypadki, obiady, przyjęcia urodzinowe i inne spotkania towarzyskie. Resztą, czyli kroniką kryminalną, zgonami, wypadkami samochodowymi, stawkami podatkowymi, no i oczywiście ogłoszeniami zajmował się sam.

Ciekawe, zastanowił się, jakie to uczucie, gdy nie jest się lubianym przez większość miejscowych i wie się, że nigdy nie zostanie się przez nich zaakceptowanym, bez względu na to, jak długo będzie się tutaj mieszkano i prowadziło biuro handlu nieruchomościami. Starzy mieszkańcy wciąż załatwiali sprawy związane ze sprzedażą domów u staruszka Thomasa, inwalidy ze sztywną nogą, który wychodził z domu raz na tydzień i często nie mógł nawet sam pokazać posesji, którą miał w ofercie. Musiał wysyłać klientów z mapą naszkicowaną drżącą ręką.

Co zrobią, kiedy Thomas umrze? - zastanowił się. W ogóle przestaną sprzedawać swoje domy?

Kiedyś Runcible zrobił na swój koszt tablicę informacyjną: wielką, ładnie namalowaną, którą ustawił przy wjeździe do Carquinez. Był na niej następujący napis: CARQUINEZ WITA,

JEDŹ POWOLI I MIŁO SPĘDZAJ CZAS. W którąś sobotę przyjechała ciężarówka z dziećmi z okolicznych farm, które przywiązały łańcuch do tablicy, wyrwały ją, po czym spaliły.

Może nie było to najwłaściwsze, pomyślał Seth Faulk, ale w końcu to wciąż jest obszar rolniczy, a nie miasteczko na obrzeżach jakiejś metropolii, podzielone na dzielnice, z ulicami obsadzonymi drzewami i budynkiem straży pożarnej porośniętym bluszczem. Runcible miał jednak dobre intencje. Wydał na to własne pieniądze. A kiedy dowiedział się, że jego tablica została wyrwana, nie próbował postawić nowej. Poddał się. To zmartwiło Faulka, bo oczekiwał, że pośrednik zamówi następną. Czy w ogóle ten człowiek zrobił komuś jakąś krzywdę? - pomyślał Faulk. Proszę mi pokazać, kogo skrzywdził, powiedział do siebie. Jego klienci otrzymywali dobrą cenę za ziemię, którą za jego pośrednictwem sprzedawali. Jeśli w ogóle można mu coś zarzucić, to tylko to, że wywindował ceny. Głowi się, by znaleźć odpowiedni dom dla ludzi, którzy chcą się tutaj osiedlić. Pracuje. Nie siedzi w biurze, ale jeździ po okolicy. Rzadko można go zobaczyć przy biurku, w przeciwieństwie do... Do kogo? - zastanowił się. Na przykład do mnie, agenta ubezpieczeniowego, bankiera czy, dajmy na to, chłopców ze stacji benzynowej.

Jeśli jest jakiś człowiek w tym mieście, który uczciwie zarabia swoje pieniądze, to jest nim Leo Runcible.

Przypomniał sobie, że swego czasu mówiono, iż przez Runcible'a to miejsce spopolicało. Tak twierdzili bogaci emeryci z okolic Ridge.

Nagle przyszedł mu do głowy nagłówek; myśli przybrały formę typowo dziennikarskiej rewelacji:

**RUNCIBLE TO BRUDNY PRZYJEZDNY ŻYDEK** Jak dowiaduje się „News”, Leo Runcible, właściciel biura nieruchomości, chodzi w żółtych butach i nosi purpurowy krawat, co potwierdzają mieszkańcy z okolic Ridge. Niektórzy z nich słyszeli, jakoby Runcible kilkakrotnie użył słowa „pierdoły”! Szeryf Christen sprawdza te doniesienia.

Faulk parsknął śmiechem na myśl o takiej wymyślonej wiadomości. Z pewnością trafiłaby na pierwszą stronę, w górny prawy narożnik.

Runcible oczywiście nie pozostałby dłużny. Jego odpowiedź również trafiłaby na łamy gazety. Jak by zareagował? Z pewnością natychmiast dostarczyłby do redakcji pisemne oświadczenie. Przyszłaby Janet Runcible w swoim długim, bezkształtnym płaszczu i zaczęła przy ladzie, aż Faulk przeczyta odpowiedź jej męża.



RUNCIBLE WSPÓLCZUJE STARYM PIERDOŁOM GŁOSI JEGO PŁOMIENNE OŚWIADCZENIE Dziś rano w przemówieniu obliczonym na wywołanie oburzenia u niektórych farmerów Leo Runcible nazwał „starymi pierdołami” tych, którzy we wczorajszej dyskusji dotyczącej ubioru i słownictwa Runcible'a wyrazili pogląd, że może on być „brudnym przyjezdnym Żydkiem”, jak to zostało zacytowane w „News”.

Ukazałaby się również notatka Mary:

W środę późnym popołudniem Leo Runcible z żoną pojechał samochodem do San Rafael, gdzie spędził godzinę ze swoim adwokatem, rozważając wniesienie sprawy do sądu.

Z drukarni wyłoniła się Mary Faulk.

- Wiesz co? - powiedziała do męża. - Myślałeś o tym, żeby pojechać do Runcible'a i obejrzyć to, co właściwie znalazł?

- Nie - odparł zaskoczony. W ogóle nie przyszło mu to do głowy. Zainteresował się jedynie tym, kto naprawdę dokonał odkrycia.

- Obejrzyj te przedmioty i sprawdź, czy są coś warte - poradziła mu Mary. - Nie wierz Runcible'owi na słowo... Zobacz, jak się zachowujesz: dajesz się nabierać na jego gładkie słówka. Tak jak jego klienci.

Faulk poczuł, że się rumieni.

- Ładny z ciebie dziennikarz - stwierdziła Mary i wróciła do składania tekstu. - Obchodzi cię tylko, co ludzie powiedzą - dodała. - Słowa, słowa.

Wzruszył ramionami, ale nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

'Tl

- Jak w tekstach lokalnych ustaw - rzekła Mary. - Same słowa.

Na ten zarzut wiedział, jak odpowiedzieć. W „News” drukowali wiele miejskich zarządzeń i było to jedno z głównych źródeł dochodu gazety. Już miał powiedzieć, że bez nich staliby się niewypłacalni, ale w tym momencie zerknął przez okno frontowe na ulicę. Obok urzędu pocztowego przejeżdżał zielony mercuri. Od razu wiedział, co to za samochód. Zerwał się na nogi i wlepił w niego wzrok.

Samochód należał do „San Rafael Journal” i pojawiał się tylko wówczas, gdy zdarzało się coś naprawdę ważnego, napad rabunkowy lub śmiertelny wypadek samochodowy. Nienawidził tego widoku: znajomych zakurzonych zielonych błotników i maski, akredytacji dziennikarskiej za przedmą szybą, dwóch mężczyzn w eleganckich garniturach. Ubrany w hawajską sportową

koszulę, wyskoczył na werandę, by popatrzeć, jak samochód powoli jedzie ulicą, aż w końcu - wiedział, że tak będzie - zatrzymuje się przed biurem Runcible'a.

- Co się stało? - zapytała Mary, wychodząc za nim na werandę. Teraz ona także zobaczyła zaparkowany przed biurem Runcible Realty samochód z San Rafael. Nie mówiąc ani słowa, wróciła do pracy. Faulk pozostał na werandzie, ze wstydem pojmując, jakim jest głupcem.

- Za dużo myślałem - odezwał się w końcu do niej. -Miałś rację. Powinienem być pójść i obejrzyć przedmioty, które wykopał. - Wrócił powoli do redakcji i zamknął za sobą drzwi.

Leśna droga pięła się tak ostro pod górę, że furgonetka weterynarza niemal się zatrzymała. Weterynarz, Tom Heyes, zredukował bieg. Kiedy auto wjechało na wzniesienie, różne przedmioty znajdujące się na skrzyni zaczęły się przesuwac. Słyszał, jak ślizgają się i uderzają o metalową podłogę. Jechał jednak dalej, wsłuchując się

w wycie silnika. Spod kół wyskoczyły kamyki i zagrzechotały o błotnik i maskę. Samochodem szarpnęło, gdy jedno z kół wpadło w koleinę.

Zimowe deszcze miejscami rozmyły drogę, tworząc w niej wielkie dziury i garby. Skręcając w prawo, weterynarz usłyszał, jak podwozie furgonetki szoruje o ziemię. A droga wciąż pięła się pod górę. W jednym miejscu burza powaliła drzewo, które zatarasowało przejazd. Na szczęście odciągnięto je na bok, tak że furgonetki i dżipy mogły przejechać. Oczywiście tylko stare modele z wysokim zawieszeniem.

Jodłowy las przepuszczał niewiele światła słonecznego. Teren był podmokły, toteż wokół rosło dużo paproci, ogromnych i czarnych, z których liści stale kapała woda. Duża wilgoć sprawiała, że niezalesiony szczyt i obie strony zbocza góry porośnięte były gęstymi krzakami, nigdy nie ścinanymi. Nie prowadzono tu wyrębu, choć bliżej autostrady wyrównano buldożerem skrawek terenu.

Ciężarówka przecięła płaską polanę, do której dochodziło trochę słońca. Zamiast paproci i jodeł rosło tu trochę wysuszonej trawy. Weterynarz ujrzał kilka pasących się młodych wołów, a na skraju polany żujące trawę dwa jelenie bez poroża. Zwierzęta nie zaszczyciły spojrzeniem furgonetki. Przed sobą na drodze weterynarz zobaczył stado bydła z kilkoma cielakami o dużych brązowych łbach.

Droga rozwidlała się. Furgonetka skręciła w lewo i wkrótce znowu jechała w cieniu między drzewami.

Na szczycie wzgórza las jodłowy skończył się na dobre. Wszędzie, na trawie i na piasku,

leżały wielkie kamienie. Teren był tu płaski, a wiatr wiejący od oceanu sprawił, że nieliczne karłowate drzewa rosły pochyło. Teraz dopiero go poczuł: tłukł wycieraczkami o szybę i gwizdał w kabinie furgonetki.

Zaraz potem zobaczył w dole estero. Wiatr wzburzył szare wody, a z kołyszących się trzcin porastających muliste brzegi raz po raz zrywały się stada perkozów.

Dalej od brzegu ptaki podskakiwały na wodzie niczym grudki czarnej gliny. Bliżej mesy droga biegła po twardym gruncie powyżej bagnistych brzegów zatoki. Był z tego zadowolony; nie miał ochoty ugrzęznąć tu w błocie.

Jego wzrok przyciągnęły majaczące w oddali słupy telegraficzne. Teraz dopiero dostrzegł linię płotu odgradzającego farmę, na której hodowano ostrygi. Płot ciągnął się od brzegu i nikał w wodzie. Aby chronić ostrygi przed rekinami i rajami, wytłumaczył sobie weterynarz. Barki nigdzie nie było widać. Prawdopodobnie skryła się za cyplem. Na drugim końcu zatoki w porannym słońcu zalśniły białe chaty. Prawie dojechałem, pomyślał.

Co za pustkowie. Żadnych samochodów. Ludzi. Teraz nie było nawet bydła ani jeleni. A z tyłu rozciągał się ten jodłowy las. Grunt po obu stronach drogi był piaszczysty.

Kiedyś jedyną drogą łączącą to zbiorowisko chat i stodoł ze światem było morze. Na początku wieku wszystko, co było potrzebne do życia, przywożono do tego załążka Carquinez łodziami. Nie istniała żadna droga przez góry, która by łączyła osadę z miastami położonymi w głębi lądu. Obecnie nieliczni mieszkańcy, którzy nie wyjechali, utrzymywali się z hodowli ostryg. Trzymali też zwierzęta: owce, krowy i kury. I uprawiali warzywa.

Weterynarz był tu zaledwie kilka razy. Nie lubił tej okolicy i jej mieszkańców, którzy nie mieli pieniędzy, by płacić mu za porady. Wiedział jednak, że musi tu przyjeżdżać. Nie było innego weterynarza, a dla takich biedaków zwierzęta stanowiły jedyne źródło utrzymania. Wezwanie otrzymał pocztą. Tutaj nie ma telefonów, pomyślał.

Po lewej zobaczył to, co zwykle widział, kiedy tu przyjeżdżał: wielką opuszczoną farmę. Stodoły, dom... wszystkie budynki w ruinie, odrapane, z wyrwaną instalacją elektryczną. Drewno, zniszczone przez deszcz, wiatr i słone powietrze, miało kolor ciemnobrązowy. Przegniło i nad-jadły je termyty. Między domem a stodołą pojawił się młody wół, który powoli odszedł.

W środku osady zobaczył wiekową, zardzewiałą ręczną pompę benzynową. Był to właściwie metalowy słup, przechylony na bok, z potłuczoną górną pokrywą, spod której wystawały kółka zębate i łańcuchy. Dystrybutor paliwa do łodzi, uznał. Dopiero teraz dostrzegł

kilku starców siedzących na długim pomoście oraz na schodach głównego budynku w osadzie, który był używany jako magazyn. Wszędzie piętrzyły się stosy muszli po ostrygach. Droga zmieniła się z piaszczystej w usłaną potłuczonymi muszlami, które zachrzęściły pod kołami.

Na jego widok jeden z mężczyzn wstał. Ubrany był w sprane dzinsy i wełnianą marynarkę, która wyglądała jak skórzana. Pozostali się nie poruszyli.

Weterynarz zatrzymał samochód obok nich.

- Witam - powiedział. Mężczyzna, który wstał, skinął głową.

- Otrzymałem pańską kartkę - powiedział weterynarz. - Podobno ma pan chorą owcę?

Odwracając się, mężczyzna skinął na niego, by poszedł za nim. Weterynarz zaparkował furgonetkę, zgasił silnik i wysiadł. Z tyłu auta wziął swoją torbę i ruszył za starcem po usłanej muszlami ulicy, mijając dawną mleczarnię. Można to było poznać po metalowym dachu i rurach stanowiących resztki urządzeń chłodniczych.

Przy otwartej bramie do zagrody starzec zatrzymał się, by poczekać, aż weterynarz go dogoni.

- Skąd pan wie, że pańska owca jest chora? - zapytał weterynarz.

Starzec wskazał na zwierzę leżące na ziemi. W pierwszej chwili weterynarz pomyślał, że owca jest martwa, lecz kiedy do niej podszedł, otworzyła oczy i lekko wierzgnęła nogami.

- Podtrzymałem ją - rzekł starzec - ale kiedy upadła, już więcej nie wstała.

Tu i ówdzie stało kilkanaście innych owiec, z których część im się przyglądała. Stary przykucnął obok chorego zwierzęcia, złapał je za sierść i pociągnął do góry. Owcy udało się ustać, po czym, potykając się, zrobić kilka kroków do przodu. Wyglądała, jakby nie wiedziała, dokąd idzie. Nagle ugięły się pod nią kolana i upadła na pysk. Ale znów udało jej się wstać.

Weterynarz zauważył, że zwierzę ma bezwładne tylne nogi. Zakażenie rdzenia kręgowego, pomyślał. Owca chwiała się jak zepsuta maszyna, aż w końcu nogi jej się rozjechały. Siadła ciężko na ziemi, po czym przewróciła się na bok, przyjmując taką samą pozycję, w jakiej ją zastał.

- Obawiam się, że trzeba będzie ją zabić - stwierdził weterynarz.

- Nie, to moja najlepsza samica. Co roku rodzi mi dwa młode. Ma dopiero sześć lat.

Otworzywszy torbę, weterynarz wyjął instrumenty. Termometrem doodbytniczym zmierzył zwierzęciu temperaturę, a potem osłuchał je stetoskopem. Nie stwierdził ani gorączki, ani szmerów w płucach.

- Nie ma zapalenia płuc - powiedział. - Na razie. Trzymając owcę za przednie nogi, zbadał jej tylne

racice i kręgosłup. Może to tęzec, pomyślał. Ale chyba raczej cysta rdzenia kręgowego.

- Wstrzyknę jej antybiotyk - oświadczył. - Wyciągnął buteleczkę z lekarstwem i igłę ze strzykawką. Na razie zrobił dla zwierzęcia wszystko, co było w jego mocy. -Niech pan posłucha. Jeśli owca zdechnie, powinno się zrobić sekcję, żeby sprawdzić, co jej było. Po to, żeby nie zaraziła reszty stada. Niech pan poczeka tydzień. - Zaczął z powrotem pakować instrumenty. Owca wciąż leżała na ziemi, nie ruszając się. Oczy miała jednak otwarte i wpatrywała się w nich.

- Myślę, że pogryzł ją pies - rzekł starzec.

- Niemożliwe - odparł weterynarz. - Nie ma żadnych ran.

- W zeszłym roku przybłąkał się tutaj wstrętny, czarny kundel. Chciałem go zastrzelić, ale uciekł, zanim zdążyłem chwycić strzelbę.

Zbierając się do wyjścia, weterynarz usłyszał kaszel. Rozejrzał się i zobaczył barana, który stał z pochyloną głową na szeroko rozstawionych przednich nogach. Zwierzę zanosilo się kaszlem, trzęsło łbem i ciężko oddychało.

- Tamten baran może mieć robaczycę płucną- powiedział weterynarz. - Nie twierdzą, że tak jest na pewno, ale to możliwe.

Starzec nie odpowiedział.

- Chyba nie chce pan, żeby choroba rozniosła się po pastwisku - zauważył weterynarz. - Kiedy jest mokro, robaki mają dobre warunki do rozmnażania i mogą zaatakować całe stado.

- Niech pana głowa nie boli o mojego barana - rzekł starzec, odprowadzając weterynarza do drogi. - Mam ponad trzysta owiec. Bydlak kaszle, bo jest po prostu zmęczony. Dopiero co pokrył wszystkie samice.

- Robaczyca jest bardzo zaraźliwa - stwierdził weterynarz. Wsiadłszy do samochodu, wypisał rachunek i podał go starcowi. Ten przeczytał go, sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął skórzany portfel. Wyciągnął z niego trzy dolary i wręczył weterynarzowi.

- Proszę więcej nie przyjeżdżać - powiedział starzec. Weterynarz zrobił zdziwioną minę.

- Mój baran jest zdrowy - oświadczył mężczyzna. -Wezwałem pana z grzeczności, bo chciałem panu dać zarobić.

Weterynarz na chwilę zaniemówił. Kiedy odzyskał głos, stwierdził:

- Ładny mi zarobek. Trzy dolary za dwadzieścia mil jazdy i zastrzyk z antybiotyku.

- Nikt pana nie prosił, żeby pan oglądał mojego barana. Nie po to pana wezwałem. - Obrócił się na pięcie i poszedł do mężczyzn siedzących na pomoście.

Przez chwilę weterynarz siedział w samochodzie, nie uruchamiając silnika. Miał ochotę wrzasnąć do starca, że przyjeżdżając tutaj, stracił tylko czas i pieniądze i że za darmo dał mu dobrą radę: powiedział, że baran może zakazić całe jego stado. Gdyby jej posłuchał, miałby szansę ocalić resztę zwierząt. Starzec nie chciał jednak przyjąć do wiadomości, że ma jeszcze jedną chorą owcę. Już to, że jego najlepsza samica umiera na cystę w rdzeniu kręgowym, stanowiło dla niego wystarczająco ciężki cios. Wmawiał sobie, że pogryzł ją pies i że wydobrzeje, gdy weterynarz da jej zastrzyk. Starzec był ciężko przerażony i zrzucił winę na posłańca, który przyniósł mu złe wieści - weterynarza.

Powinienem już być wiedzieć, jacy są ci starzy farmerzy, pomyślał, uruchamiając silnik. Wiodą proste życie i każde złe wydarzenie napędza im stracha.

Zamiast złościć się na nich, powinienem im współczuć, pomyślał. Ale nie potrafił. Miał już tego dosyć. Rolnicy zawsze wpadali w popłoch, ilekroć dowiadywali się, że ich chore zwierzę cierpi na dodatek na bardzo zaraźliwą chorobę. I zawsze mnie za to obwiniają, powiedział do siebie. Nic dziwnego, że poprzedni weterynarz, doktor Bryant, miał już tego powyżej uszu i zrezygnował z pracy.

Powinienem być pozostać w Canyon City na farmie mojego kuzyna, powiedział do siebie.

Co za ludzie, pomyślał. Siedzą na połamanym pomoście, czekając na barękę z ostrygami. Czym się zajmują? Otwieraniem ostryg? Siedzą całymi dniami i gapią się na wodę. Niczego nie budują ani nie naprawiają. Nie odnawiają swoich domów. Nigdzie nie wyjeżdżają, jeśli nie liczyć krótkich wypadów do miasta raz lub dwa razy w tygodniu, by odstawić ostrygi i przywieźć zakupy. Co to za życie. Równie dobrze mogliby być martwi.

Minał pomost i przejechał obok nieczynnego sklepu spożywczego z oknami zasłoniętymi szmatami, dawnego sklepu z karmą dla zwierząt i stodoły, w której kiedyś pracował jedyny w całej okolicy kowal. Po prawej zobaczył opuszczony budynek dawnej szkoły w Carquinez. przed kwadratowym, żółtym budynkiem wciąż stał maszt, ale nie było na nim flagi. Schody prowadzące do wejścia zapadły się, a drzwi były otwarte na oścież.

Teraz droga zakręcała o sto osiemdziesiąt stopni i wiodła w górę. Minał kryte papą chałupy z desek, bez fundamentów, stojące krzywo, pogrążające się w piasku. Na jednym z podwórek zauważył przewróconą do góry nogami pordzewiałą karoserię i bawiące się obok niej

dwoje dzieci. Gorzej tu niż w Zakątku Biedoty, powiedział do siebie weterynarz. Dzieci chodziły w lachmanach, a ich od dawna nie obcinane włosy wisiały w strąkach, jak sierść u zwierząt. W pewnym sensie było to przedłużenie Zakątku Biedoty. Niektórzy z tych ludzi pracowali dorywczo na farmach przy zbiorze owoców i w młynie... Przynajmniej tak przypuszczał. Przecież wszyscy nie mogli się utrzymywać z hodowli ostryg.

Nieco dalej weterynarz zobaczył coś, co go zdziwiło. Na dachu jednej chaty sterczała antena telewizyjna, a właściwie trój członowy maszt o wysokości przynajmniej piętnastu metrów podtrzymywany przez stalowe liny odciągowe.

A więc mają tutaj telewizję, pomyślał.

Wjeżdżając znów na grzbiet wzgórza, na skraju jodłowego gaju znalazł chwilę, by zerknąć do notatnika i sprawdzić, jaką ma następną wizytę. Informacje zapisała żona, toteż czytał je po raz pierwszy. Swoim ładnym charakterem pisma napisała: „Szeryf Christen. Między 11.30 a 12.00. W domu pana Runcible'a. Nie w biurze”.

Przecież tam nie ma zwierząt, pomyślał. W każdym razie ja o tym nic nie wiem. I czemu ma tam być szeryf?

Christen wzywał go od czasu do czasu, kiedy padło jakieś zwierzę i zachodziło podejrzenie, że zostało otrute. W przeszłości zdarzało się, że psy i koty zjadły trutkę na szczury lub świstaki i Christen chciał się upewnić, czy nikt nie podłożył im jej naumyślnie. Może Runcible

ma kota. Wielu ludzi w tej okolicy trzymało koty. Każdy farmer miał przynajmniej jednego, żeby chronić zbiory.

Mógłbym zarobić na tym pięć dolarów, pomyślał. Jak dotąd nie zarobił ani centa. Koszt lekarstwa i benzyny przewyższył to, co dostał.

W domu Runcible'a zastał szeryfa Christena, rumianego mężczyznę w brązowym mundurze, oraz Leo Runcible'a ubranego w płócienną czapkę, tenisówki z dziurami na piętach, poplamione farbą spodnie i gruby, bawełniany sweter. Nigdy wcześniej nie widział pośrednika bez garnituru i krawata, toteż w pierwszej chwili go nie poznał. Oprócz nich był tam trzeci mężczyzna, którego weterynarz nie znał. Przed domem stało kilka samochodów.

- Nie widział pan doktora Terance'a?- zapytał go szeryf. - Czekamy także na niego.

- Co się stało? - spytał weterynarz.

- Chcemy, żeby rzucił pan okiem na kilka starych kości - odparł szeryf - Zna pan naszego

weterynarza, doktora Heyesa? - powiedział, zwracając się do Runcible'a.

- Owszem - potwierdził pośrednik, wymieniając z weterynarzem uścisk dłoni. - Miło mi pana widzieć, doktorze. - Teraz nieznajomy mężczyzna wyciągnął rękę i Runcible go przedstawił: - A to pan... jak panu na imię? Bili?... Bili Baron z „San Rafael Journal”. - Weterynarz zauważył, że Runcible ma szkliste spojrzenie i mówi chrapliwym głosem, jakby się czymś denerwował.

- Nie widziałem doktora Terance'a - stwierdził weterynarz i uściśnął wyciągniętą dłoń Barona. - O jakie kości chodzi?

Trzech mężczyzn zaprowadziło go wzdłuż domu na podwórze. Fragment płotu był odsunięty na bok i przez utworzone przejście mężczyźni wyszli na pole. Między kilkoma głazami weterynarz zobaczył wykopaną w ziemi dziurę. Wykop odsłonił podstawę dwóch ogromnych głazów. Ziemia była rozsypana w sposób naturalny, lecz

widać też było ślady niedawnego kopania. Na ziemi leżały łopaty, a w kartonie coś, co wyglądało jak kawałki granitu.

Obok pnia eukaliptusa ułożono kości. Szeryf Christen zaprowadził go do nich i ukląkł, wskazując na jedną z nich.

- Wyglądają na kości niedźwiedzia - stwierdził weterynarz. - Albo jelenia.

- Jak dawno go zabito, pana zdaniem? - zapytał dziennikarz.

Weterynarz wziął kość do ręki. Była sucha i lekka. Pożółkła i miała postrzępione brzegi. Wyjawszy nóż, po-skrobał ją z jednego końca. Była pusta w środku; szpik dawno się rozłożył. Nie miała w sobie ani trochę wilgoci.

- Trudno powiedzieć. Wygląda na zupełnie zwietrzałą.

- Niech pan spojrzy na tę - zaproponował Runcible. Weterynarz wziął kość i zobaczył, że jest częściowo

skamieniała. Wygląda zupełnie jak kawałek skały, pomyślał. Widział kości wielorybie, które były podobnie skamieniałe. Liczyły tysiące, a może miliony lat.

- Powiedziałbym, że jest dość stara - rzekł.

- A wie pan, czyja to kość? - zapytał dziennikarz.

Weterynarz przypuszczał, że jest częścią dużego stawu, prawdopodobnie końcówką kości biodrowej dorosłej krowy. Zarazem główką, jak i panewką. Jednak jak na kość krowią, wydawała się zbyt duża.



- Po co wezwaliście doktora Terance'a? - zapytał. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie, aż w końcu szeryf

Christen zszedł do wykopu. Weterynarz poszedł w jego ślady. Oboje wczołgali się pod nawis z kamienia. Utworzyło się tam coś w rodzaju jaskini. Na kamieniu widać było ślady działania wody: był gładko obtoczony. Kiedyś musiał się tu znajdować wylot strumienia, uznał weterynarz.

W głębi leżała wykopana czaszka. Strop jaskini był podparty belkami o przekroju dwa na cztery cale. Obok czaszki weterynarz zauważył trochę innych kości i muszli, głównie po ostrygach. Zobaczył także zwięzione z jednego końca granitowe narzędzia.

- Mój Boże - jęknął. - Zamordowano kogoś? Pozostali mężczyźni wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

- Kto wie? Możliwe - rzucił szeryf Christen.

- Bardzo dawno temu - dodał dziennikarz.

- Och - sapnął weterynarz, zdając sobie sprawę, o co chodzi. Ukłękął obok czaszki. - Mogę ją ruszyć? - zapytał. - Nie rozsypie się na kawałki?

- Proszę wsunąć pod nią rękę, tak by jej ciężar był równomiernie rozłożony - rzekł Runcible autorytatywnym tonem. - Śmiało.

Weterynarz ostrożnie, lecz pewnie chwycił czaszkę od spodu. Był pewien, że już ją wyjmowano. Wyjmowano i wkładano z powrotem, pomyślał, podnosząc ją z ziemi.

Natychmiast spostrzegł, że coś z nią jest nie w porządku.

- Ejże! - wykrzyknął. - Jest jakaś zniekształcona czy coś.

- Otóż to - potwierdził Runcible.

Z tyłu za plecami usłyszeli wołanie. Odwrócili się i weterynarz zauważył mężczyznę z naręczem książek, który wybiegł spomiędzy eukaliptusów i zmierzał w ich kierunku. Biegąc, krzyczał:

- Miałem rację! Znalazłem w książce! Można to poznać po zębach!

Książka wyslizgnęła mu się z rąk i upadła na ziemię, łopocząc kartkami. Mężczyznę cofnął się po nią, po czym ruszył dalej. Dopiero teraz weterynarz go poznał. Był to nauczyciel ze szkoły podstawowej. Wydawał się czymś niezwykle podekscytowany.

- Korona i korzeń są jedną całością! - wykrzyknął do nich Wharton. Za plecami

weterynarza szeryf parsknął cichym śmiechem, Runcible w napięciu wpatrywał

się w nadchodzącego nauczyciela, a tylko dziennikarz nie zmienił zachowania, świadczącego o zainteresowaniu, lecz i rezerwie. - Trzonowce są zrośnięte! - zawołał Wharton i wpadł między nich, poklepując książkę. -Wszystkie zęby są dokładnie takie same!

Po kształcie książki weterynarz zorientował się, że to podręcznik. Na grzbiecie miała stempel biblioteki. Wharton pokazywał im fotografię przedstawiającą czaszkę, z profilu i en face. Wharton przystawił książkę do czaszki, którą trzymał weterynarz. Ręce mu się trzęsły i nie mógł się wysłowić.

- To niemożliwe - rzucił dziennikarz.

- Dlaczego? - zapytał Runcible.

- Nigdy wcześniej ich tu nie znaleziono- odparł dziennikarz.

- Doskonałe wytłumaczenie - parsknął Runcible. -Naprawdę wyśmienite. Pana zdaniem to jest wytłumaczenie? Powiem panu, co sędzę o takim wytłumaczeniu! -Głos miał ochryply i drżący. - Mam je w dupie. Słyszysz pan? - Wpatrywał się w dziennikarza ze złością. Ten wzruszył tylko ramionami. - Samoloty nie wznoszą się w powietrze, a Rosjanie nie dolecą na Księżyc, tak?

Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Czaszka człowieka neandertalskiego”. Ma rację, pomyślał weterynarz. To niemożliwe. Nigdy dotąd w Nowym Świecie nie znaleziono szczątków praczlówka, człowieka kopalnego czy jak go tam nazywają. Runcible stał z poczerwieniałą twarzą, wydzierając się na dziennikarza. Wharton dźgał palcem w książkę, starając się coś pokazać szeryfowi, który jednak stał z boku i śmiał się pod nosem.

Mimo wrzawy, weterynarzowi udało się zebrać myśli. Musi to być kolejny chwyt reklamowy Runcible'a, uznał. Jak ta tablica czy odnowienie wszystkich domów. To musi być jakieś oszustwo.

## Rozdział dwunasty

W sobotni rano Walter Dombrosio wyszedł przed dwunastą na pocztę, żeby zdążyć, nim zamkną okienko. Co prawda, nawet gdyby przyszedł po dwunastej, mógłby wyjąć listy ze skrzynki, jednak nie odebrałyby czasopism i paczek. Znalazłyby tylko czerwoną kartkę z adnotacją, że przesyłka nie zmieściła się do skrzynki i przez całą sobotę oraz niedzielę głowiłyby się, co w niej mogło być.

Tej soboty wyjął ze skrzynki skromną ciemnobrązową kopertę z banku. Miała okienko na adres, który jednak nie był napisany na maszynie, ale ręcznie. Od razu zorientował się, co jest w środku. W ubiegłym roku kilkakrotnie otrzymał takie koperty. Znajdowały się w nich zawiadomienia o debecie na koncie z informacją, że bank zrealizował czek, ale za specjalną opłatą.

Gdy tylko wyszedł na ulicę, rozerwał kopertę. Miał rację. Czek, który dostał adnotację „brak pokrycia”, opiewał zaledwie na dziesięć dolarów, co oznaczało, że na rachunku nie było nawet tak niewielkiej sumy. Zauważył, że czek wypisała Sherry. Ogarnęła go panika i ruszył pod górę do domu najszybciej, jak mógł.

Gdy dotarł na miejsce, poszukał żony. Znalazł ją na patio, siedzącą w wiklinowym fotelu. Była w bluzce bez pleców i w żółtych szortach. Czytała książkę.

- Posłuchaj - powiedział. - Mamy debet na koncie.

- Wcale nie - odparła.

- Jak to nie? Spójrz na to zawiadomienie. - Zaczął machać jej kartką przed nosem i w końcu odłożyła książkę i wzięła ją do ręki.

- Pomylili się - stwierdziła krótko.

- Bank nigdy się nie myli - odparł. - Słyszałaś kiedyś o banku, który się pomylił? - Jej spokój doprowadzał go do szału. Miał wrażenie, jakby patrzył na film puszczonego w zwolnionym tempie.

- Kilka dni temu, kiedy sprawdzałam książeczkę, mieliśmy ponad dwieście dolarów - stwierdziła. - Zadzwoń do banku. - Przeczytała nazwisko kasjera. - Nie wiem, kto to taki. Pewnie nas nie zna i zaksięgował czek na moim starym koncie, które zamknęłam, kiedy zakładaliśmy wspólny rachunek.

- Jest sobota - zauważył. - Bank jest zamknięty. Nie wyglądało, żeby się tym przejęła. Odłożyła kartkę i sięgnęła z powrotem po książkę.

- W takim razie zadzwonię do nich w poniedziałek. Albo sam do nich pójdz. Będiesz przecież w domu. Ja musiałabym dzwonić z miasta. Tak, tak, lepiej będzie, jeśli sam do nich pójdziesz.

- Lepiej będzie, jeśli przyniesiesz książeczkę i jeszcze raz sprawdzisz wydatki. I to natychmiast - powiedział, siląc się na spokój.

- Ani mi się śni - rzuciła z lekkim rozdrażnieniem. -Już to zrobiłam.

- Gdzie jest ostatni wyciąg?

- Chyba w szufladzie.

Wszedł do domu i udał się do sypialni. Przez kilka ostatnich miesięcy pilnowanie stanu konta zostawił na jej głowie, ponieważ teraz to jej pensja wpływała na nie co miesiąc. Chciała, żeby tak było, i nie mógł jej tego zabronić. Wypisywała też czeki na pokrycie rachunków.

Zresztą robiła to bardzo dobrze. Wypisywała czeki bardzo starannie, nigdy nie zapominając o numerze -o czym on zawsze zapominał - i wypełnieniu odcinka kontrolnego. Do dziesiątego każdego miesiąca wszystkie rachunki były popłacone. A jednak stało się. Dostali za-  
wiadomienie o debecie.

Duża, gruba, brązowa koperta z wyciągiem nie była otwarta. Co gorsza, przyszła dwa tygodnie temu. Dombro-sio usiadł na łóżku i rozerwał ją. Wysypał unieważnione czeki i przestudiował zestawienie operacji. Saldo wynosiło czterdzieści pięć dolarów.

Pobiegł z powrotem na patio z wyciągiem i czekami w dłoni.

- Spójrz! - krzyknął dziko, podsuwając jej papiery pod nos. - Czemu tego nie otworzyłaś? Jakim cudem mogliśmy mieć dwieście dolarów? Dwa tygodnie temu mieliśmy zaledwie czterdzieści pięć, a od trzeciego nic nie wpłacaliśmy, prawda? - Nie odpowiedziała. - Prawda?! - wrzasnął.

- Przestań się na mnie wydzierać- powiedziała śmiertelnie spokojnym głosem- albo dojdzie do prawdziwej awantury.

- Gdzie są książeczki czekowe? - zapytał trochę spokojniej, choć głos wciąż mu drżał. - Chcę zobaczyć wszystkie trzy. Tę dużą i dwie mniejsze.

- Jedną znajdziesz w mojej torebce- powiedziała-a ta duża jest tam, gdzie zawsze. - Odłożyła i zamknęła książkę. - Nie podoba mi się twój ton - rzekła, wstając. -Przyzwoity mąż tak

się nie zwraca do żony.

- Przyzwoita żona... - zaczął.

- Przyzwoita żona - przerwała mu - oczekiwałaby wsparcia od swojego męża.

Ta zmiana tematu, tak nieoczekiwana i tak odbiegająca od tego, o czym rozmawiali, zbiła go z tropu. Nie wiedział, co powiedzieć, i gapił się tylko na nią z rozdziawionymi ustami. Co się stało? Jego żona stała naprzeciwko niego z zaciśniętymi wargami, co oznaczało, że jest zła, bardzo zła, ale nie tak bardzo jak on. Jej złość była nieco innego rodzaju. Według niej to on postąpił źle. Nie zwracała uwagi na to, co mówił o stanie ich finansów, lecz jedynie widziała w nim mężczyznę, który źle traktuje kobietę, bo mówi do niej podniesionym i rozkazującym tonem. Jej dobre maniery i pochodzenie doznały uszczerbku.

A co z naszą sytuacją? - pomyślał, odchodząc kilka kroków na bok. Wydawało mu się, że lada chwila eksploduje jak podgrzana butelka z napojem gazowanym. Miał wrażenie, jakby wszystkie części jego ciała wykonywały nieskoordynowane ruchy. Jego ręce młóciły powietrze, toteż splótł dłonie, żeby je powstrzymać. Ale bez powodzenia: natychmiast się rozplotły. W butach palce u nóg wykonywały szaleńczy taniec. Język latał na boki. Jakby jego ciało za chwilę miało się rozpaść na kawałki, pomyślał.

Tak musi się czuć szczur w owym frustrującym labiryncie, jak go nazywają naukowcy, powiedział do siebie. Tym, z którego nie ma wyjścia. Nie mogę do niej mówić, ale muszę. Muszę tu stać i próbować. Lecz było to zadanie ponad jego siły. Żona stała za nim, zachowując stoicki spokój, gotowa jednak w każdej chwili udzielić mu reprimendy. Odwrócił się, usiłując zapanować nad nerwami i językiem, lecz nie mógł powstrzymać słów, które cisnęły mu się na usta i bez jego woli znalazły ujście.

- Niech cię szlag - wypalił bez zastanowienia. - Chyba ci odbiło. Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego do tego doszło. - Machnął jej przed nosem zawiadomieniem z banku. - Dlaczego nam to przysłali!

- Przecież się umówiliśmy, że ja będę pilnowała wydatków i stanu konta. Zrzekłeś się tego, gdy nie mogłeś sprostać obowiązkom żywiciela rodziny- stwierdziła chłodno.

To nie jest rozmowa, pomyślał. Coś takiego nie może być rozmową. To jakaś próba. Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi.

- Musimy wpłacić pieniądze na konto - wycharczał, z trudem łapiąc oddech.

- Posłuchaj. Ostrzegłam cię.

- Jesteś szalona. O niczym innym nie myślisz, jak tylko o tym, że twoja kobieca duma została zraniona. Co mnie to w ogóle obchodzi? - Co to ma za znaczenie? - pomyślał. Co... Teraz nie mógł nawet zebrać myśli, nie mówiąc już o mówieniu. Pozbawiła go zdolności używania słów.

- Nie będę tego dłużej tolerować - oświadczyła i skrzyżowała ręce na piersi. - Nie mam zamiaru być żoną człowieka, który nie umie nad sobą panować. Ty chyba naprawdę cierpisz na jakąś głęboką nerwicę. Aleja nie mogę być twoim psychoterapeutą. Mogę tylko chwycić za słuchawkę i wyszukać ci jakiegoś dobrego psychiatrę.

- Zapłacisz za moją terapię? - powiedział, z wielkim wysiłkiem zmusiwszy się do mówienia.

- Tak - odparła. - Zapłacę.

- Nie możesz mnie po prostu... wysłuchać? Ty sama? Osobiście?

- Nie będę słuchać, jak mnie obrażasz. Uroiłeś sobie, że jestem odpowiedzialna za twój stan psychiczny. Spójrz na siebie.

Zauważył - że zgrozą - że płacze. Naprawdę płakał. Łzy ciekły mu po policzkach. Tryskały z oczu. Jego żona wiedziała, że nie potrafi nad sobą zapanować.

- Nie ma sensu z tobą dyskutować - ciągnęła. - Jesteś zbyt rozchwiany emocjonalnie. Kiedy doprowadzasz się do takiego stanu, zachowujesz się jak zwierzę.

- Nie jest ci mnie żal? - zapytał. v

- A powinno?

- Chociaż trochę. \$

- Żałowanie kogoś jest moim zdaniem poniżając^ Zarówno ciebie, jak i mnie.

H

- A współczucie? - Nie widzę żadnej różnicy. \*|

- Mylisz się. Jest różnica. Bardzo wielka. l

- Chcesz, żebym cię pottrzymała za rączkę, żebym ci pozwoliła złożyć główkę na mojej piersi? \*

Mówiła tak obojętnie, tak rzeczowo, że nie wiedział, czy jest to poważna propozycja, czy bezbrzeżny sarkazm. Nie było sensu się zastanawiać nad odpowiedzią, skoro nie potrafił nawet rozszyfrować pytania.

- Klnę się na Boga, że już nie mogę - powiedział. - Naprawdę myślę, że lada chwila

pęknie mi w mózgu jakieś naczynie krwionośne. Zobacz. - Zdołał usiąść naprzeciwko niej, a kiedy oparł łokcie na kolanach, trochę się uspokoił. W tej pozycji poczuł się pewniej. - Co chcesz zrobić? - zapytał. - Czemu mnie tak traktujesz?

Co z ciebie za mężczyzna, że się tak zachowujesz, zdawało się mówić jej spojrzenie. Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnęła. Ułożyła odpowiednio usta, żeby dać mu to do zrozumienia.

- Chcesz mojej śmierci, tak?- zapytał.

Uśmiech zastygł jej na ustach. Obrzuciła go takim zimnym spojrzeniem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział. Nienawidziła go za to, że zadał takie pytanie.

- Po co w ogóle pytam? - rzucił, czując się tak, jakby zaraz miał paść trupem. - Czy to zbrodnia, że chcę się tego dowiedzieć? Mam prawo wiedzieć. - Czy nie zasługuję choćby na tyle? - pomyślał.

- Nikt cię nie prześladowa - zaproponowała.

- Nieprawda. Oni mnie prześladowają. Ty mnie prześladowasz.

- Jesteś naprawdę chory - stwierdziła z niesmakiem, powoli kręcąc głową. Wypowiadała słowa z odrazą, jakby dostrzegła w nim całe zło. Jakby teraz zauważyła, jak ono z niego wychodzi. Z tego zła brały się wszystkie jego grzechy, słabości i przywary. I nie była tym zdziwiona. Tego się właśnie spodziewała.

- Odchodzę- sapnął, oddychając przez usta. Wciągał ogromne hausty powietrza, ale wciąż mu go brakowało. To chyba astma, pomyślał. Zaczął rzeźcić.

- Dobrze by było - odparła jego żona.

Ogarnięty paniką, zerwał się na równe nogi. Tak, chciałaby, żeby sobie poszedł. Przynajmniej tego jednego był pewien. A może to była gra? Nie miało to jednak znaczenia, bo nawet jeśli grała, jeśli w ten sposób chciała nim manipulować, wydobyć z niego pożądaną reakcję, to mogła to robić w nieskończoność. Tak długo, jak długo odpowiadałoby to jej celom. A więc czy to ma jakieś znaczenie, skoro to tylko metoda? Żadnego, z jego punktu widzenia.

Posiadła straszną umiejętność, pomyślał. Potrafi wzbudzić w sobie takie uczucia, jakie tylko chce. Nie ma dla niej uczuć naturalnych, tylko użyteczne. W dzieciństwie nauczono ją panować nad emocjami, tłumić uczucia spontaniczne. Kiedy się tego nauczyła, posiadała... Co? Zdolność zaprzeczania. Negowania, jak miotacz, który neguje znaki, jakie daje mu łapacz. Wybrać dowolną z emocji, tak jak ten chudy, wysoki miotacz, ten artysta w swoim fachu...

Johnny Antonelli. Najlepszy miotacz w drużynie Gigantów, którego najbardziej lubił oglądać. Rzuć we mnie, powiedział sobie. I tak jej nie złapię. Kołyszę się w powietrzu. Ale moja żona, pomyślał, rzuca wredne piłki. Wred-dzizny, jak je nazywają. Jednak nawiedzony miotacz, szalony miotacz sprawi, że rozłożysz się jak długi.

Och, pomyślał, odbiegam myślami od tematu. Westchnął i ściskając dłonie, rozkoszował się zapachem letniego powietrza. Wiejskiego powietrza. Tymczasem siedząca naprzeciwko niego Sherry wciąż mierzyła go tym samym ostrym spojrzeniem. Ani trochę nie złagodniała. W przeciwieństwie do mnie, pomyślał. Potrafi wytrzymać dłużej niż ja. Ze mnie uszła cała energia, a z niej nie. I nagle wszystko stało się dla niego jasne. W każdym razie tak sądził.

Wiem, czemu tak na mnie naskoczyła, kiedy machnąłem jej przed nosem zawiadomieniem z banku, pomyślał. Wiem, czemu się na mnie rzuciła!

Czekała na to. Wiedziała - wcale nie chodziło jej o debet na koncie - że któregoś dnia zacznie na nią krzyczeć. Mój Boże, pomyślał. Była przygotowana. Zaplanowała

to. Dlatego mówiła bez sensu. Była nastawiona na inną sytuację i odpowiadała na pytania, jakich oczekiwała, a nie na te, które padły.

Z góry miała przygotowane odpowiedzi na pytania, których nie zadałem. Powinienem słuchać jej odpowiedzi, pomyślał z ożywieniem. I domyślać się na ich podstawie, o co chodzi, jaka jest prawdziwa sytuacja.

Ku swemu zaskoczeniu zaczął się śmiać.

- Dałem się nabrać. Naprawdę potrafisz mnie zbić z pantałyku - powiedział.

- Znow musimy przez to przechodzić? - rzekła ze znużeniem. - Każdego dnia? Przez te same sprzeczki? Najwyraźniej mieszkanie ze mną pod jednym dachem jest dla ciebie ogromnym stresem. Dopilnuję, żebyś nie musiał płacić zbyt wysokich alimentów. Właściwie to możesz zatrzymać dom, a nawet samochód, jeśli chcesz. Zrobię wszystko, by ci to ułatwić.

- W porządku. - Kiwnął rozsądnie głową.

- Daj mi znać, co postanowiłeś. - Ponownie usiadła w wiklinowym fotelu, założyła nogę na nogę, zapaliła papierosa i wzięła książkę. Otworzyła ją, położyła na brzuchu i przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu. - Naprawdę myślę, że powinieneś pójść do psychiatry - powiedziała w końcu.

- Dobrze - odparł. - Zrobię to.

- Ale jeśli dostaniemy separację, sam będziesz musiał zapłacić za terapię. Nie mogę cię



utrzymywać w nieskończoność, ale pomogę ci na początku.

Skinął głową i ruszył w kierunku ścieżki.

- Czy kiedy byłeś w mieście, kupiłeś mi chusteczki? - zapytała, nie odrywając oczu od książki.

- Nie. Wyleciało mi to z głowy, gdy przeczytałem ten monit z banku.

Nie odpowiedziała. Była pogrążona w lekturze.

- Może kupię ci je później. Idę na chwilę do Donkey Hall.

- Dobrze - stwierdziła krótko.

Poszedł więc ścieżką do drogi. Trzymając ręce w kieszeni, ruszył ponownie w dół w stronę Donkey Hall. Idąc, uświadomił sobie, że nie wyjaśnił sprawy czeków. Wciąż nie wiedział, jaka jest ich sytuacja finansowa.

A zatem mimo wszystko postawiła na swoim.

Poczuł, że wraca rozpacz. Znowu mnie omotała, powiedział do siebie z lekkim oszołomieniem. Stwierdził, że mruczy coś pod nosem i szczyrzy zęby, jakby musiał to sobie powiedzieć na głos, zanim w to uwierzy. Niech to licho, mruknął z lekkim podziwem. Czy powinienem wrócić?

Tak, zdecydował. Donkey Hall może poczekać.

Gdy wrócił, stwierdził, że Sherry weszła do domu: nie było jej już na patio. Zaczął jej szukać w środku.

- Och! - krzyknęła zaskoczona jego widokiem. Poszła do sypialni i siedziała na łóżku, starając się wyjąć igłą drzazgę z palca.

- Naprawdę muszę ci pogratulować - oznajmił.

- Czego? - mruknęła, zaabsorbowana wyciąganiem drzazgi. - Spójrz. Drzazga weszła mi w palec, gdy niosłam drewno do kominka. Taka miękka i długa, która łatwo się łamie. - Z okrzykiem bólu cofnęła igłę. - Boli -poskarżyła się.

- Chcesz, żebym ci ją wyjął? - zapytał.

- Nie - odparła bez namysłu. - Bolałoby mnie jeszcze bardziej, a ty byś się z tego cieszył. -

Wciąż zajmowała się tylko swoim palcem. Wysunęła dolną wargę.

- Beksa - zadrwił.

Podniósłszy głowę, powiedziała drżącym głosem:

- Nie mogę jej wyjąć. - Trzymała palec wyprostowany do góry.

Wziął go do ręki. Pod jego dotykiem przeszedł ją dreszcz. Poczul, że ustępuje, że jej sztywne, napięte ciało się rozluźnia. Jej ręka była ciepła i lekko wilgotna od potu. Zachowywała się trochę jak dziecko domagające

się pocieszenia. Trudno jej znieść ból, pomyślał. Gdy tak siedział obok niej, trzymając w ręku jej palec, poczul, że przestaje widzieć w niej wroga, istotę niebezpieczną.

- Od tak dawna mnie nie dotykałeś - szepnęła. - Przytul mnie.

Zrobił to. Po chwili przesunął rękę w górę. Pod palcami poczul jej miękką pierś. Miał wrażenie, że rośnie, wychodząc mu naprzeciw. Wsunął więc rękę pod materiał i ujął ją w dłoń.

- Uważaj, co robisz - powiedziała, lecz nie próbowała odtrącić jego ręki. - Kiedy ostatnim razem się kochaliśmy?

- Dawno temu - mruknął, ściskając między palcami sutek, który nabrzmiał i stwardniał. Jęknęła i przytuliła się do niego.

- Czy tak można? - zapytała. - W środku dnia?

- Można- odrzekł. Drugą ręką sięgnął jej za plecy i rozwiązał tasiemki podtrzymujące bluzkę. Gdy ją z niej ściągnął, wzięła ją od niego i odłożyła na bok. Ścisnął teraz obie jej piersi, ale tak, że sutki wystawały spomiędzy palców. Aby mógł na nie patrzeć. Sherry też na nie patrzyła i widok ten zdawał się ją podniecać.

- Idź zaciągnij zasłony- szepnęła z półprzymkniętymi oczyma.

- Za chwilę - odparł. Wciąż tulił ją i ścisnął.

- Ktoś może zobaczyć - upierała się. - Albo przyjsć. Proszę. - Nie wykonała jednak najmniejszego ruchu, żeby się wyrwać z jego objęć. - Naprawdę chciałabym, żebyś to zrobił, Walt. Denerwuje mnie to.

Wstał z łóżka i pozasłaniał jedno okno po drugim. W pokoju zrobiło się o wiele ciemniej.

- Teraz lepiej? - zapytał.

Kiedy wrócił do łóżka, zobaczył, że rozpina szorty. Stając na jednej nodze, wysliznęła się z nich i położyła obok bluzki.

- Co w tym złego, że mam ochotę się kochać? - Na jej

twarzy malowało się pożądanie. Przebierała palcami i nieregularnie oddychała. - Zdejmij ubranie, a ja tymczasem założę kształtkę. - Na chwilę przytuliła się do niego i poczul jej ciepłe, nagie i trochę wilgotne ciało. Jednym ruchem złapał ją i rzucił z powrotem na łóżko.

- Poczekaj. - Uśmiechnęła się do niego. - Nie tak szybko.

Lewą ręką rozsunął jej kolana. Przyciskając ją swoim ciałem, poczuł, jak jego męskość rośnie i twardnieje... Nie czekał. W jednej chwili rozpiął spodnie. Uśmiech zniknął jej z twarzy. Szarpnęła się.

- Moja kształtka - wycharczała, starając się zrzucić go z siebie. - Walter... ja nie mogę mieć dzieci. Nie mogę zająć w ciążę. - Jej głos przeszedł w szloch. - Puść mnie -załkała. - O Boże, co będzie z moją pracą, jeśli zajdę w ciążę? Puść mnie.

Napierając dłońmi na jej uda, zmusił ją do rozchylenia nóg tak, że mógł w nią całkowicie wejść. Niemal natychmiast miał wytrysk.

- Och! - pisnęła, wijąc się pod nim. - Spuściłeś się! -Oswobodziła prawą rękę i uszczypnęła go w ramię. - Złaż ze mnie, ty głupi, lubieżny idioto! Puść mnie, ty gwałcicielu! Gwałciciel! - Piszcząc ze strachu, rzuciła się wprzód i w tył, szczypiąc go, odpychając i próbując ugryźć.

- Dużo o tobie myślałem - powiedział, ponownie unieruchamiając jej ciało w uścisku. I była to prawda. - Kochani cię. - Udało mu się nawet pocałować ją w kącik ust. Szarpnęła głową w prawo i w lewo, uciekając przed jego pocałunkami.

- To wszystko jest teraz we mnie - jęknęła, patrząc na niego nieprzytomnym wzrokiem. Drapnęła go w ramię. - Zrobiłeś to. Spuściłeś się we mnie. Puść mnie, to może to wymyję... może jeszcze uda mi się to wymyć.

Nie posłuchał jej, rozkoszując się sytuacją i wiedząc, że przygnieciona jego ciałem, jest zamknięta jak w kleszczach. Był o wiele większy od niej. Znow zaczął się poruszać; wszedł w nią po raz drugi.

Później tego samego dnia Walt Dombrosio pracował przy świetle elektrycznym w wilgotnej piwnicy Donkey Hall obserwowany przez Jacka E. Veppa i Earla Tim-monsa. W powietrzu unosił się gipsowy pył i gryzące opary szybkooschnącej emalii, toteż Timmons raz po raz kaszłał. Mimo to zarówno on, jak i Vepp przez cały czas się śmiali.

Dombrosio stwierdził, że ciężko mu się pracuje, gdy stoją mu tak nad głową i co rusz wybuchają śmiechem. Odłożył więc na chwilę pędzel.

- Skończyłeś? - zapytał Vepp.

- Nie - odparł. Miał przed sobą najzwyklejszą część pracy, którą jednak zawsze starał się wykonywać jak najstaranniej. Poświęca na nią zwykle tyle czasu, ile to było konieczne. Nie lubił, gdy go poganiano. W końcu jednak sięgnął po pędzel.

- To naprawdę postawi Samm/ego na nogi - zauważył Vepp.  
- O kim mówisz? - zapytał Dombrosio.  
- O naszym drogim Leo - odparł ze śmiechem Timmons. - To z tej książki o Żydach. No wiesz... tej, co o niej mówiono w telewizji.

- Cicho bądź - upomniął go Vepp. - Daj Waltowi pracować. - Obaj wpatrywali się zafascynowani w jego dzieło.

Raz ktoś próbował otworzyć drzwi do piwnicy, szarpiąc za klamkę, lecz były oczywiście zamknięte. Vepp podszedł jednak do nich i krzyknął:

- Spadaj! Jesteśmy zajęci. Przecież wiesz. - Zza drzwi rozległ się stłumiony głos. Vepp powtórzył jeszcze raz to samo i po chwili usłyszeli odgłos oddalających się kroków.

- Mam nadzieję, że nie był to nasz przyjaciel nauczyciel - powiedział Timmons.

- Nie - odpowiedział Vepp,

- Jeśli się dowie, na pewno się wygada - rzucił Timmons.

- Myślę, że on zrezygnował z funkcji doradcy - stwierdził Vepp.

- Ale wciąż może tu wpaść - upierał się Timmons. - Gdyby zobaczył, co się tu dzieje, domyśliłby się, co zamierzamy zrobić.

- Przecież wiesz, że nikt inny poza mną nie ma klucza do tego pomieszczenia - zauważył Vepp.

- Nie mogę pracować, kiedy tak trajkoczeć - odezwał się Dombrosio.

- Zamknij się - powiedział Vepp do Timmonsa. Po tej reprimendzie zamilkli.

- Ponoć umówił się na dziś z jakimś facetem - rzucił zniecierpliwiony Vepp. Przestraszony Dombrosio zaklął. - Przepraszam - powiedział Vepp.

- Jakiego faceta? - zapytał Dombrosio, przerywając pracę.

- Jakiegoś profesora z Berkeley.

- Z uniwersytetu?

- Chyba tak. Wharton skądś go wystraszył. Ten facet podobno już tu kiedyś był. Tak w każdym razie usłyszałem na rynku. Powiedziała mi o tym Lilia Giambosi, a ona wie o wszystkim. Kiedyś pracowała jako telefonistka, zanim przeniesiono centralę do San Rafael.

- Można się było od niej dowiedzieć, gdzie jest szeryf albo doktor - rzekł Timmons.

- O każdej godzinie dnia i nocy - dodał Vepp. - Wystarczyło podnieść słuchawkę i zapytać.

- Zamkniecie się wreszcie i dacie mi pracować? -zapytał Dombrosio.

- Oczywiście - odrzekł Vepp przepraszającym tonem. Wyglądali na skruszonych, ale Dombrosio wiedział,

że wkrótce znów zaczną gadać. Nie potrafili skupić na niczym uwagi i łatwo się niecierpliwili.

- Nie musicie tu ze mną siedzieć - powiedział.

- Za żadne skarby nie przegapiłbym takiej okazji-stwierdził Vepp. - Mówię warn... - Szturchnął łokciem Timmonsa. - Sam zawsze mówiłeś, jakim upierdliwym szczurem potrafi być nasz przyjaciel.

- Wcale tak nie mówiłem - zastrzegł się Timmons. -Powiedziałem tylko, że zawsze wyskoczy z czymś kontrowersyjnym. We wszystko wtrąca swoje trzy grosze. Jak z tą szkołą.

- Tak czy owak - powiedział Vepp - nie kiwnął palcem, kiedy moi chłopcy wyrwali tę jego zasraną tablicę z tym napisem „baw się dobrze”. Nie puścił pary z gęby. -Klepnął Timmonsa w plecy. - Kiedy więc się dowie, że zrobiliśmy z niego głupka, też się nie ośmieli kłapać jęzorem. Będzie łąził po okolicy, ścisnął nam ręce i przechodził obok nas, jak gdyby nigdy nic... Nie ma innego wyjścia. Być może przez tydzień nie będzie się nam kłaniał - Vepp zaśmiał się - ale z pewnością nie zapłacę z tego powodu.

- Powiem ci, co myślę - rzekł Timmons. - Myślę, że on się stąd wyprowadzi. Stanie się pośmiewiskiem okolicy, a nie sądzę, żeby mu się to podobało. Jest bardzo drażliwy. Nie ścierpi, gdy ludzie zaczną się z niego wyśmiewać. Mówię ci, wołałby poświęcić transakcję, pieniądze, niż zrobić z siebie głupca. Pamiętasz, jak Joe Tarnino sprzedał kawałek ziemi bez pośrednika? - Timmons zaczął opowiadać całą historię, a Dombrosio z pędzlem w dłoni czekał, aż skończy,

Ciekawe, co zrobi, kiedy się dowie, pomyślał. Strasznie się zaangażował w tę sprawę... Mój Boże, wydał już chyba dwieście dolarów na zamiejscowe telefony. Jeśli to prawda, co mówią ludzie. Zadzwoił do każdej gazety i instytucji naukowej w Kalifornii. Codziennie przed jego domem parkują dziwne samochody, a on sam wciąż gdzieś wyjeżdża. Z tym swoim zaferowanym wyrazem twarzy.

- Z pewnością mocno go to zaboli - powiedział Dombrosio.

- Ale przecież się nie dowie, kto to zrobił - rzekł Timmon s.

- Domyśli się - stwierdził Dombrosio. A może nie, pomyślał.

Zanurzywszy pędzel w farbie, podjął swą staranną i fachową pracę.

## Rozdział trzynasty

Stawiając ostrożnie kroki, jakby balansowała na kołyszącej się linie, Janet Runcible weszła do salonu.

- Leo, telefon do ciebie - powiedziała. - Dzwoni pan Freitas. Jest w mieście obok stacji benzynowej. Prosi cię, byś mu wytłumaczył, jak ma tu dojechać.

Zamroczone alkoholem, cedziła słowa tak powoli, że nie mógł się doczekać, kiedy skończy zdanie. Wstał od biurka, zanim wypowiedziała ostatnie słowo. Ominął ją i podniósł słuchawkę.

- Halo, Tony- rzucił do aparatu, starając się z całych sił, by jego głos brzmiał rześko i przyjaźnie. Udało mu się wykrzesać z siebie radość, co sprawiło mu niekłamana przyjemność: to że potrafi się jeszcze cieszyć, podtrzymywało go na duchu. - Jak ci się jechało przez naszą małą górę?

- Dziękuję, Runcible, nie było tak źle- stwierdził sucho Freitas. - Znam dość dobrze tę drogę.

Słyszając to oficjalne powitanie, Runcible zmienił ton.

- Jest pan na stacji Chevrona, prawda? - stwierdził rzeczowo. - W porządku. Zaraz tam będę. Proszę mi dać trzy minuty.

- Dobrze - zgodził się Freitas. - Jeżdżę czarnym de soto. Na oko dwuletnim.

- To do zobaczenia- rzucił Runcible i odłożył słuchawkę.

Kiedy wkładał płaszcz, podeszła do niego Janet. Specjalnie na dzisiejszą okazję włożyła proste, szare wełniane spodnie, które choć modne, zdecydowanie ją postarzały. Naprawdę posunęła się w latach, pomyślał, stając w drzwiach. Ma tyle zmarszczek na twarzy. Niedobrze, stwierdził, otwierając drzwi.

- Później - przerwał jej, kiedy zaczęła coś mówić na swój żmudny, mozolny sposób.

- Leo... chciałabym...- Wpatrywała się w podłogę, szukając słów. - Okaż wdzięczność panu Freitasowi za to, że przyjechał- wydusiła, głośno przełykając ślinę.

- Wdzięczność! - wybuchnął. - Upadłaś na głowę?! Czego tym razem się napiłaś? Nafty?

- Pan Freitas... - zaczęła.

- Doktor Freitas jest nudnik - podkreślił z przekąsem. - Ma tytuł, te swoje dr - Zamknął za

sobą drzwi i zbiegł po schodach do samochodu. Chwilę później pędził w dół do stacji benzynowej.

Z doktorem Freitasem spotkał się dwa razy w życiu: pierwszy raz na jego wykładzie w Marin Junior College, a drugi na przyjęciu w Ross. Po przyjęciu uścisnęli sobie dłonie i najwyraźniej Wharton, który był dobrym znajomym Freitas, przypomniał o tym doktorowi. To najwybitniejszy antropolog w kraju, powiedział do siebie Runcible, jadąc na spotkanie. Ta myśl zawładnęła jego umysłem. Chciało mu się krzyknąć z radości. Rany Julek! O rany Julek!

Myli się jednak, jeśli uważa, że może mnie traktować protekcyjnie. Znam wartość tego, co znalazłem, pomyślał.

Gdy podjechał pod stację, zobaczył czarne de soto, a obok niego eleganckiego mężczyznę w szarym garniturze i muszce. Mężczyzna trzymał na ręku lekki płaszcz. Kiedy ostatnio widziałem kogoś w takim bawełnianym płaszczu?- zastanowił się Runcible. Mężczyzna wyglądał na niecałe sześćdziesiąt lat. Miał przerzedzone włosy, kwadratową żółtawą twarz i krótkie, dopiero co zapuszczone wąsiki. Gdy się z nim witał, Runcible dostrzegł srebrne, wysadzone brylantami spinki.

- W samochodzie mam swoje rzeczy - oznajmił. - Może byłby pan łaskaw mi pomóc. - Miał nosową wymowę, ale nie był to żaden regionalizm. To chyba uniwersytecki akcent, zdecydował Runcible. Mam nadzieję, że nie jest gejem, pomyślał. Głos ma taki jakiś mięczakowaty. Poza tym mężczyzna pachniał talkiem i płynem po goleniu, co również zaniepokoiło Runcible'a. Ale co to ma za znaczenie? -pomyślał, otwierając bagażnik de soto i pod kierunkiem Freitas wyjmując wielką metalowo-skórzaną walizkę. Liczy się to, kim jest, a nie, jakie ma upodobania seksualne.

Niech sobie pieprzy nawet szczury, powiedział do siebie, taszcząc walizkę do swojego samochodu. Tylko on może zwrócić uwagę całej społeczności naukowej na moje odkrycie.

- Miła wioska - stwierdził idący obok niego Freitas. -Znam bardzo dobrze tę okolicę. Macie tu gatunek bobra, który nie występuje nigdzie indziej w kraju.

Runcible słuchał go jednym uchem.

- Ale się rozwijamy- palnął bez zastanowienia. -Mamy także ziemię pod zakłady przemysłowe.

Freitas wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam - bąknął Runcible i zaczerwienił się.

- Ależ nie szkodzi - rzekł Freitas. - Każda dobrze wykonana praca zasługuje na szacunek.  
- Wsiadł do samochodu Runcible'a z prawej strony i zatrzasnął drzwi. Pośrednik usiadł za kierownicą i po chwili jechali z powrotem pod górę do domu.

Freitas, z zainteresowaniem oglądający wiejski krajobraz za oknem, nie odzywał się, natomiast Runcible coraz bardziej się niecierpliwił.

- Oglądał pan zdjęcia - odezwał się w końcu.

- Nic nie wiem o żadnych zdjęciach - odparł Freitas, odwracając głowę.

- Zdjęcia czaszki, które panu przesłałem. Freitas machnął ręką i odwrócił głowę, by znów studiować krajobraz.

- Co wynika ze znalezienia czaszki neandertalczyka w tej okolicy?- zapytał Runcible, nie mogąc usiedzieć w spokoju.

- Och, to samo, co wynikałoby ze znalezienia jej gdziekolwiek indziej na kontynencie amerykańskim.

- Czyli co? - Poczul, jak wzbiera w nim złość. Mężczyzna zaczął działać mu na nerwy. Okropnie.

- To, że na tym terenie również istniała kultura mustierska. Podobnie jak w Europie, Azji czy Afryce.

- To chyba ważne odkrycie - stwierdził Runcible. Antropolog odwrócił się do niego i przyjrzał mu się

uważnie.

- Tak pan sądzi?

- A pan?

- Sądzę, że tak - odparł Freitas po namyśle. - Ale widzi pan... samo znalezienie czaszki i nowych krzemiennych narzędzi... Cóż... - Lekko się uśmiechnął. - Trudno mi to panu wyjaśnić.

- Proszę spróbować.

- Jak to się mówi... jedna jaskółka wiosny nie czyni.

- Ale ta czaszka to nie wszystko - zaprotestował Runcible. - Trzeba kontynuować wykopaliska. Jestem pewien, że znajdziemy więcej przedmiotów.

- Myślę, że jednak pan nie rozumie - rzekł Freitas. -Kultura mustierska wiąże się z określoną warstwą geologiczną, a właściwie z kilkoma warstwami. Z grubsza chodzi o środkowy plejstocen. A z tym wiąże się okres zlodowacenia. Szczątki człowieka neandertalskiego znaj-



dowano wraz z pozostałościami fauny zarówno ciepło-, jak i zimnolubnej... Możemy więc określić wiek naszych znalezisk na 40 000 lat, lecz bez wątpienia sięgają okresu zarówno przed, jak i po tak zwanej epoce lodowcowej. Być może nawet pliocenu. W każdym razie neandertalczyk został zastąpiony przez człowieka współczesnego. Przez nas, przez kromanieńczyków. To właśnie staram się panu wyjaśnić. Znalezienie pojedynczej czaszki o niczym jeszcze nie przesądza. Mogło być, powiedzmy, tak, że autentyczna czaszka, znaleziona zupełnie gdzie indziej, na przykład w Europie czy Azji, została przywieziona do Ameryki i tam porzucona. Jak głęboko się znajdowała?

- Jakies dwa i pół metra - odparł Runcible. Freitas uśmiechnął się.

- Przepływała tamtędy woda - zauważył Runcible.

- Rozumiem.

- Wcześniej znajdowała się pewnie dużo głębiej.

- Możliwe, ale widzi pan... Czego to dowodzi? Warstwa geologiczna się nie zgadza.

Dotychczas znaleziska z tej głębokości liczyły sobie około tysiąca lat. To poziom wykopalisk archeologicznych, że się tak wyrażę. Ma pan indiański kopiec sięgający, powiedzmy, poziomu czterystu lat wstecz. Rozumie pan. Co wynika dla nas z pańskiej czaszki, założywszy że jest autentyczna? Moim zdaniem nic.

Zapadła cisza.

- To absurd! - wybuchnął Runcible.

- Dlaczego? - Doktor Freitas przyjrzał mu się uważnie.

- Przecież to jest... - Gestykulował jedną ręką, drugą trzymając kierownicę. - Niezwykle ważne odkrycie.

- Ale nie jesteśmy w stanie tego potwierdzić. Nie możemy udowodnić, że tak jest w istocie. Możemy jedynie snuć przypuszczenia.

- Rozumiem - rzekł Runcible. - Ale, na Boga, czy nie powinno wzbudzić takiego samego zainteresowania, jak inne odkrycia naukowe...?

- Och, jeśli chodzi panu o rozgłos- przerwał mu Freitas - to zapewniam pana, że będzie go pan miał. Niedzielne dodatki przez całe stulecie będą pisać o tej pańskiej czaszce. Pod warunkiem, że okaże się autentyczna.

- A co z testem węglowym? - zapytał Runcible po chwili milczenia.

- Test węglowy, jak go pan określił, pozwoli nam ustalić przedział wiekowy. Ale tylko

samej czaszki... Skoro jednak czaszka jest autentyczna, wiek nie jest przedmiotem sporu. Naprawdę interesuje nas otoczenie. Widzi pan, założmy, że znaleziono ją na przykład na Bliskim Wschodzie. - Zerknął na Runcible'a. - Powiedzmy w Palestynie. Prawdziwa czaszka neandertalczyka, a kilka takich czaszek znaleziono, licząca sobie, powiedzmy, 100 000 lat. Po przywiezieniu tu, do Kalifornii, nie straci ona swych chemicznych właściwości określających wynik tak zwanego testu węglowego. Rozumie pan?-zapytał. - Właśnie datowanie metodą węgla będzie główną techniką, jaką wykorzystamy do określenia wieku pańskiej czaszki - dodał po chwili.

- Czyli może mi pan powiedzieć, czy czaszka jest prawdziwa, i nic poza tym - stwierdził Runcible.

- Niezupełnie. Niech mi pan przede wszystkim powie, kto panu powiedział, że to czaszka neandertalczyka? Kto panu podsunął tę myśl?

- Wharton.

- Cóż, to kompetentny amator, ale jednak... - Freitas wzruszył ramionami.

- Myśli pan, że to chwyt reklamowy?

- Byłby to zarzut ad personam.

- Co to znaczy?

- Znaczy to, że popełnilibyśmy logiczny błąd w rozumowaniu, gdybyśmy kierowali się motywem... lub zawodem znalazcy, a nie jakością samego znaleziska. Oczywiście będziemy tego unikać.

- Nawet jeśli jestem pośrednikiem w handlu nieruchomościami...

- Czaszka może być autentyczna. Albo może pan szczerze wierzyć w jej autentyczność, mimo że jest falsyfikatem i tak dalej. Pańskie przekonania albo chęci nie mają tu żadnego znaczenia. Rozumie pan?

Dojechali do domu i pogrążony w myślach Runcible zatrzymał samochód i wyłączył silnik,

- Namówi pan swoją żonę, żeby zrobiła mi kawy? - zapytał Freitas, otwierając drzwiczki.

- Zauważyłem ją na werandzie, a w każdym razie założyłem, że kobieta, która tam stoi, jest pańską żoną.

Runcible jęknął na widok Janet, która oparta o barierkę, wpatrywała się w nich zamglonym wzrokiem.

Doktor Freitas wypił kawę i wyraźnie zrelaksowany, wyszedł na podwórze, a potem przez pole udał się do eukaliptusowego gaju. Runcible szedł za nim, taszcząc czarną walizkę.

Czaszka, rzecz jasna, nie leżała już pod gołym niebem: Runcible zabrał ją do domu. Przed jej zbadaniem Freitas chciał jednak zobaczyć miejsce, gdzie ją znaleziono. Stał teraz, słuchając Runcible'a, który opowiadał mu jak ją wykopali: mówił o drenach Dombrosiego, hipotezie Whartona, która zaprowadziła ich do eukaliptusowego gaju i o chłopcach Floresa, którzy wykopali indiańskie groty.

- Wszystkie przedmioty leżały luźno, tak? - zapytał Freitas. - To znaczy w ziemi, a nie w skale?

- W ziemi - potwierdził Runcible. - Ale nic dziwnego, skoro zostały przyniesione przez wodę spływającą z góry. Pewnie wyżej znajdzie pan także jakieś skamieniałości. - Wskazał ręką na wzgórze, lecz Freitas nie zwrócił na to uwagi. Wciągał płócienny kombinezon zakrywający go od stóp do głów oraz buty zakładane na normalne obuwie. Potem, przyklękawszy, zaczął grzebać w ziemi długim prętem.

- Czy ziemia została przesiana przez metalowe sito? -zapytał.

- Nie.

Freitas się zamyślił.

- Cóż, obejrzyjmy tę pańską czaszkę - powiedział po chwili, jednak pozostał przy wykopie. Niemal godzinę grzebał w ziemi, wkładając różne próbki do kopert i butelek, robiąc notatki i nie odzywając się do Runcible'a. W końcu wstał.

- Czaszka - powiedział.

Wrócili do domu. Runcible włożył czaszkę do walizki i schował do szafy. Teraz wyjął walizkę i ostrożnie położył na łóżku. Kiedy ją otworzył, Freitas wybuchnął śmiechem. Czaszka była owinięta watą i wyglądała jak miękka, biała piłka.

- Odwinę ją - zaofiarował się Freitas, siadając na podłodze naprzeciw czaszki. Bardzo ostrożnie zdejmował warstwy waty i odkładał ją na bok.

Po chwili ukazała się czaszka. Brudna, sucha, żółta... Podobnie jak poprzednio, Runcible poczuł na jej widok strach i nerwową ciekawość. Jakbym miał do czynienia z czymś nielegalnym, pomyślał, obserwując Freitas. Z pornograficznymi zdjęciami, zakazanymi, a zarazem ekscytującymi... Puls mu przyspieszył, kiedy zobaczył Freitas wiodącego palcami po podziurawionej, inkrustowanej szczęce.

- Rzeczywiście wygląda na neandertalską - oświadczył w końcu Freitas. - Widzi pan to? Niech pan spojrzy na te zęby. Przypuszczalnie stworzenie to nie było w stanie mówić. Musiało się odżywiać warzywami i surowymi ziarnami pszenicy. Pożywienia szukało w ziemi, a mięso było dla niego rzadką ucztą. Taki układ szczęk uniemożliwia mówienie, choć nie możemy być tego pewni. Wielkość mózgu sugeruje coś wręcz przeciwnego. Dziwne. Zupełnie nie przypomina czaszki ludzkiej.- Mówił coraz ciszej, po czym umilkł i zamyślił się.

- Krucha, prawda? - powiedział Runcible.

- Wie pan, że neandertalczyk współistniał z człowiekiem - mruknął Freitas. - Leakey tego dowiódł.

- Wharton mi o tym powiedział - odparł Runcible.

- Wcześniej lekceważono doniesienia o odkryciach

czaszek Homo sapiens w tak starych warstwach skalnych. Musiały się tam obsunąć, twierdzono. Niepoprawni darwinowcy. To, co prymitywniejsze, prostsze, słabiej rozwinięte musi być starsze. Organizmy wyższe mogły się rozwinąć tylko z organizmów niższych na drodze ewolucji. - Arystoteles... prawda?- Freitas spoglądał to na Runcible'a, to na czaszkę. - Niech się pan nad tym zastanowi. - Stuknął w czaszkę narzędziem przypominającym szczypce. - Właściwie te biedne istoty zużywały całą swoją fizyczną i psychiczną energię na to tylko, by przetrwać. Na tym polega prawdziwa różnica między nimi a nami. Nie, żebyśmy byli mądrzejsi czy lepiej rozwinięci. Po prostu było nas więcej. Czas pozwolił nam przetrwać, a im nie. Szkoda. - Dotknął czaszki.

- Niestety, biedny neandertalczyk - powiedział Run-cible, czując się trochę nieswojo.

- Tak- rzekł Freitas, lecz się nie roześmiał. - Rzeczywiście biedny. Mój Boże, ależ oni musieli być brzydki. I bardzo mali, wie pan. Choć słyszałem, że w pewnych - głównie pseudofreudowskich kręgach- uważa się, iż potwory występujące w naszych mitach są zachowanym w pamięci gatunkowej obrazem neandertalczyków. Ale ja bardzo w to wątpię. Neandertalczyk był pochyloną ku ziemi istotą żywiącą się warzywami... Nie potrafił chodzić w pozycji wyprostowanej, ale, wie pan, wytwarzał narzędzia. Tak więc, jeśli człowieka zdefiniujemy jako istotę posługującą się narzędziami, to neandertalczyk był człowiekiem.

Obaj umilkli.

- Powiem panu, jak to moim zdaniem wyglądało -odezwał się Freitas. - Baliśmy się nie żadnego potwora, ale bojaźliwej, niechlujnej istoty... Wyobrażam ich sobie jako potwornie

wykorzystywanych robotników w dziewiętnastowiecznej Anglii. Albo średniowiecznych chłopów pańszczyźnianych. Pozbawionych jakichkolwiek praw i zepchniętych na margines. Może wolno im było

nosić drewno, budować ogniska, obdzierać ze skóry zwierzęta i żuć skórę. Wie pan co? Przyszło mi do głowy, że może nasi przodkowie mogli malować na ścianach jaskini te wspaniałe byki... bo mieli niewolników. Takich.-Stuknął w czaszkę. - Niższy gatunek do wykonywania czarnej roboty po to, by panowie mieli więcej wolnego czasu.

- Dlaczego by nie - rzekł Runcible - skoro żyli w tym samym czasie, a nie najpierw neandertalczyk, a potem kromanióńczyk.

- Popełniliśmy zbrodnię - powiedział Freitas. - Zbrodnię przeciw życiu. Wyparliśmy słabszego. Zabijaliśmy i braliśmy w niewolę słabiej rozwiniętych. Być słabym to zbrodnia, prawda? Skoro dajesz się bić, zasługujesz, żeby być bitym. Chrystus był więc grzesznikiem par excellence. - Zerknął na Runcible'a, krzywo się uśmiechając. - Przepraszam. Pan ma zapewne swój pogląd na te sprawy.

- Ile czasu zajmie panu wykonanie testów?- zapytał Runcible.

- Kilka tygodni. Co najmniej.

- Chce pan zabrać czaszkę ze sobą?

- Chciałbym. Ale jeśli mi pan jej nie da, mogę tutaj zebrać wszystkie potrzebne próbki.

- Przyszło mi do głowy, że mógłby pan u mnie przenocować. Mamy mnóstwo pokoiów.

- Chyba przyjmę pana zaproszenie - zgodził się Freitas. - Chciałbym się zobaczyć z Whartonem, skoro tu jestem. Mógłby go pan tu sprowadzić?

- Do licha, codziennie tu wpada po lekcjach. Ryje w ziemi jak geolog, który wpadł na ślad ropy.

Było wpół do trzeciej.

- Świetnie- ucieszył się Freitas.- Może razem po-kopiemy trochę w ziemi. Mam nadzieję, że ma narzędzia, boja, oprócz małej saperki, niczego ze sobą nie zabrałem.

- W piwnicy - odparł Runcible - znajdzie pan wszystkie narzędzia do kopania, jakie istnieją na świecie. Pojechałem do Grandiego i kupiłem, co mi wpadło w ręce. Czy ona... - zawahał się - czy ta czaszka jest autentyczna?

- Nie umiem powiedzieć.

- Nie chodzi mi o naukową opinię, ale o pana wrażenie. Co panu podpowiada intuicja? Ja

zawsze wyczuję klienta. Wiem, kto naprawdę chce kupić dom, a kto tylko dużo gada, ale nie ma forsy.

- Gdybym to ja ją znalazł, w pierwszym odruchu pomyślałbym, że jest prawdziwa - oświadczył Freitas.

Przez ciało Runcible'a przeszedł dreszcz. Ogarnęło go poczucie siły i radość, i... Bóg wie, co jeszcze. Nigdy wcześniej nie doświadczał takich uczuć. Przeszły przez niego jak fala.

- Tak samo musi się chyba czuć zbieracz znaczków - mruknął.

- Lepiej niech pan sobie nie robi przedwczesnych nadziei - stwierdził sucho Freitas. -  
Zaczekajmy na wyniki testów.

- W porządku - powiedział Runcible. Ale wiem, co wykażą, dodał w duchu. Po prostu wiem.

Tydzień później, kiedy wpadł do biura, żeby zabrać klucze, starsza kobieta, która pomagała mu prowadzić sekretariat, wstała od maszyny do pisania i powiedziała:

- Panie Runcible, szukało pana dwóch mężczyzn. Powiedzieli, że jeszcze wrócą. Zdaje mi się, że poszli do kawiarni. Jednym z nich był doktor Freitas.

Zobaczył ich dziesięć minut później - przechodzili przez ulicę. Freitas znów był w szarym prążkowanym garniturze i muszce. Towarzyszył mu większy mężczyzna, który wyglądał jak agent ubezpieczeniowy. Miał na sobie ciemny garnitur, jasnozielony krawat, a na głowie stetsona. Pod pachą niósł aktówkę.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zapytał Freitas, gdy on i jego towarzysz weszli do biura. - To Jack Bowman, mój kolega z wydziału antropologii.

Runcible zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia na zapleczu, którego używał jako magazynu. Freitas usiadł na drewnianej skrzyni i oświadczył:

- Na tyle, na ile możemy powiedzieć na obecnym etapie... - Utkwił wzrok w Runcible'u. - Czaszka, którą pan znalazł, nie jest prehistoryczna.

- Co to znaczy? - zapytał pośrednik, czując, że krew przestaje mu krążyć w żyłach. Miał wrażenie, jakby wszystkie funkcje jego organizmu ustały.

- Może mieć pięćdziesiąt, sto, góra dwieście lat. Innymi słowy, jest współczesna.

Runcible nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Z sąsiedniego pokoju dobiegł go dzwonek i głos kobiety, która odebrała telefon. Interesy, pomyślał. Toczą się zwykłym torem.

- Co teraz? - zapytał.

- Chcemy zabrać czaszkę i inne przedmioty na dalsze badania - powiedział Bowman.

- Nie ma sprawy- odparł Runcible, czując słony smak w ustach. Okropnie słony i piekący.

- Co mam do stracenia?

- Może pan stracić swoją czaszkę- rzekł Freitas.- Istnieje niebezpieczeństwo, że zostanie uszkodzona podczas badań. Ale będziemy rzecz jasna uważać, żeby nic się jej nie stało. Bowman bardzo się nią zainteresował. Ja także.

- Czy ktoś inny ją badał? - zapytał Bowman. - Czytałem kilka artykułów w gazetach na jej temat, lecz nie było w nich napisane, kim byli ci, którzy ją badali, jakie mieli kwalifikacje i tym podobne. Zrozumiałem jedynie, że jest pan przekonany o jej autentyczności i ma pan na to poparcie jakiegoś autorytetu, specjalisty w tej dziedzinie.

- Zna pan Michaela Whartona. On uważa ją za autentyczną. Zbadał ją bardzo dokładnie.

Bowman spojrział pytająco na Freitas.

- To nauczyciel z tutejszej szkoły podstawowej - poinformował go Freitas. - Naukowiec amator. - Obaj mężczyźni uśmiechnęli się lekko i wymienili coś jakby mrugnięcie okiem. Runcible był zajęty zapalaniem papierosa i nie patrzył na nich.

- A pan jest, zdaje się, pośrednikiem w handlu nieruchomościami - stwierdził Bowman, - Jakie ma pan wykształcenie? Kończył pan jakieś studia wyższe?

- Nie.

- Tutaj wszyscy kopią w ziemi - zauważył Freitas. -Szukają grotów strzał i tym podobnych rzeczy.

- Obejrzyjmy wykopalisko - zaproponował Bowman.

Runcible zawiózł ich z biura do domu. Na drodze stało kilku ciekawskich; musiał otoczyć swoją posiadłość lepszym płotem i poumieszczać wszędzie tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Nie zwracając uwagi na gapiów, Bowman i Freitas weszli przez bramę. Niosąc narzędzia i robocze ubrania, ruszyli w kierunku eukaliptusowego gaju.

- Nie przeszkadza panu ludzka natarczywość? - zapytał Bowman, gdy na wzgórzu, powyżej posiadłości Runcible'a, pojawiła się nowa grupka ciekawskich. - Jeśli nie będzie pan uważał, wejdą na pana teren i zabrają na pamiątkę wszystko, co im wpadnie w ręce. Oczyszczą pana do cna. Wyniosą każdą kość i każdy kawałek skały.

- Kiedy jestem w pracy, wszystkiego pilnuje moja żona. A jeśli chodzi o noc, to w sąsiedztwie jest tyle psów, że nikt się tu nie dostanie na piechotę. - Usiadł obok nich na

eukaliptusowym pieńku.

- Niech pan posłucha - rzekł Freitas. - Dałbym sobie uciąć jaja, że nie jest to warstwa pochodząca ze środkowego plejstocenu.

- Wiem - powiedział Runcible.

Siedział i patrzył na obu kopiących mężczyzn. Minęła godzina, w ciągu której żaden z nich się do niego nie odezwał, choć między sobą wymieniali uwagi na różne tematy. Raz przerwali pracę, żeby dokładniej zbadać coś, co dla Runcible'a wyglądało jak biała, spróchniała kostka domina. Nie wyjaśnili mu jednak, co to jest, lecz wrzucili ów przedmiot do pojemnika.

- Chyba wrócę do biura - powiedział w końcu. Ledwie go zauważyli.

Opuścił ich przygnębiony i trochę urażony, poszedł do samochodu i pojechał z powrotem do biura. Tam podjął swoje zawodowe czynności od miejsca, w którym je przerwał; wziął klucze od sekretarki i pojechał z nimi na mesę, by oddać je właścicielom.

Tego wieczoru, kiedy zamykał biuro, zadzwoniła do niego Janet.

- Leo - zaczęła. - Pan Freitas i ten drugi mężczyzna prosili, żebym do ciebie zatelefonowała. Odjeżdżają i chcą zabrać ze sobą czaszkę. Powiedzieli, że zanim ją wydam, mam cię poprosić o zgodę.

- Mogą ją zabrać.

- Używają twojej maszyny, żeby napisać ci pokwitowanie.

- W porządku - rzucił poirytowany. - Niech robią, co chcą.

Kiedy dotarł do domu, wciąż tam byli. Siedzieli naprzeciwko siebie w jego gabinecie, pogrążeni w rozmowie. Gdy go zobaczyli, Freitas powiedział:

- Zapomnieliśmy, że samochód zostawiliśmy na dole. Poszlibyśmy piechotą, ale mamy mnóstwo tobołów, no i tę pańską czaszkę.

- Odwiozę was.

- Znaleźliśmy kilka interesujących rzeczy - odezwał się Bowman. Runcible zobaczył, że na jego biurku rozłożyli dużą, lekką tkaninę, na której poustawiali wiele

brudnych przedmiotów zrobionych z kości i granitu. A na podłodze leżał duży okrągły przedmiot zawinięty w gazetę.

Serce zabiło mu mocniej.

- Tak, proszę pana - rzekł Bowman. - Następna czaszka, a do tego miednica i kości udowe. Wyglądają na kobiece.



- Proszę mi powiedzieć, co to znaczy - zażądał Runcible. - Czy to dobry znak?

- One także wykazują pochodzenie neandertalskie... Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. To dla mnie naprawdę zagadka. Gdyby nie wynik testu węglowego, tę pańską czaszkę można by uznać za autentyczną. A pobieżne zbadanie tych pozostałych kości sugeruje - w każdym razie my odnosimy takie wrażenie - że mamy do czynienia z autentykiem. - Poprzez maskę jego opanowania przebił się dreszcz podniecenia. Runcible dostrzegł to i zobaczył także podobne emocje na twarzy Bowma-na. Podobne napięcie.

Sam musiałem podobnie wyglądać, pomyślał, kiedy po raz pierwszy zorientowałem się, co to może być.

- Test węglowy okazał się gwoździem do trumny człowieka z Piltdown - rzekł Bowman. - Przeniósł go z Bri-tanniki do namiotów cyrkowych. - Wskazał na zawiniątko leżące na ziemi. - W tym wypadku rozpoczynamy badania od testu węglowego. Nie ma wątpliwości, że pańska czaszka nie pochodzi z właściwego okresu. I ta tutaj prawdopodobnie również nie, ale oczywiście zbadamy ją. - Spacerował szybko po pokoju, pocierając dolną wargę.

- Co panowie o tym myślą? - zapytał Runcible. - Co to wszystko znaczy?

- Znaczy to, że musimy poczekać z ostatecznym werdyktem - odparł Freitas.

Patrząc pod nogi, Bowman rzucił ostro:

- Okropny bajzel. Naprawdę okropny. - Teraz na jego

twary ukazało się zmartwienie. - Przypuśćmy, że jakimś cudem doszło do zatrzymania rozkładu tych szczątków... Być może znajdowały się w długotrwałym kontakcie z substancją, która zachowała ich pierwotną równowagę węglową. - Wzruszył ramionami. - Poddaję się. To absurd.

- A czy wybuchy bomb wodorowych nie mogły skazić pokładów węgla na świecie? - zapytał Runcible.

Żaden z mężczyzn mu nie odpowiedział.

- Powiem panu, co myślę - rzeki Freitas. - Moim zdaniem znów mamy do czynienia z casusem człowieka z Piltdown. Wyrafinowanym fałszerstwem, dopracowanym w szczegółach, lecz nie wystarczającym, by oszukać test węglowy. Dlatego jest to tak cenne narzędzie.

- Nie wiem, czy pan wie - odezwał się Bowman - ale ktoś, kto słyszał o teście węglowym, ktoś utalentowany i mający motyw, żeby to zrobić, mógłby sfabrykować dostatecznie starą czaszkę. Kiedy fałszerz chce podrobić cenny stary znaczek, bierze inny z tego samego okresu, wydrukowany na takim samym starym papierze. Podrabia tylko sam nadruk. Testy potwierdzą,

że papier jest oryginalny.

- Macie panowie inny dowód, że mamy do czynienia z mistyfikacją?- zapytał Runcible.

- Chodzi panu o przesłanki, które wskazywałyby na to, że ktoś ją sfabrykował? Ślady metalowych narzędzi? Farb? - zastanowił się Bowman. - Nie. Na razie nie możemy panu nic powiedzieć na temat przedmiotów, które dzisiaj znaleźliśmy. Ale w Berkeley dokładnie im się przyjrzymy.

Kilka godzin zajęło im odpowiednie zapakowanie znalezisk i załadowanie ich do czarnego de soto Freitasas. Ich krzątania została zauważona: nadjechały dwa samochody z dziennikarzami z San Francisco, którzy towarzyszyli im podczas załadunku ostatnich przedmiotów.

Następnego ranka Runcible kupił „Chronicie” i znalazł w niej, na pierwszej stronie, artykuł o sobie.

**CZASZKA ZNALEZIONA PRZEZ HANDLARZA NIERUCHOMOŚCIAMI JEST OSZUSTWEM - TWIERDZĄ NAUKOWCY Z UNIVERSITY OF CALIFORNIA**

Siedząc w samochodzie, przeczytał artykuł. Po tej lekturze niemal zapadł w odrętwienie.

Jak się dowiedziała dziś „Chronicie”, antropolodzy z University of California badający czaszkę rzekomo pochodzącą z epoki kamienia, znaną niedawno przez Leo Runcible'a, pośrednika w handlu nieruchomościami z Carquinez w hrabstwie Marin, wstępnie ustalili, że jest ona dziełem albo sprytnego oszusta, albo przypadkowym tworem naturalnym, nie mającym jednak więcej niż trzysta lat. Charakterystyczne wały nadoczodołowe, wysunięta szczeka i zrosnięte trzonowce mogą, zdaniem Jacka Bowmana z wydziału antropologii Uniwersity of California, co najwyżej wskazywać, że chodzi o zdeformowanego osobnika, który „przypadkowo posiadał cechy fizyczne” przypisywane przez antropologów gatunkowi ne-andertalskiemu, stanowiącemu dawno wymarłe tak zwane brakujące ogniwo. Neandertalczyki, którzy setki tysięcy lat temu zamieszkiwali Europę i Azję, zdaniem ekspertów, nie dotarli na tereny dzisiejszej Ameryki Północnej i Południowej. Badania czaszki, jak i innych znalezionych fragmentów szkieletu wciąż trwają. Antropolodzy zaangażowani do rozstrzygnięcia, czy mamy do czynienia ze sprytną mistyfikacją, czy cennym znaleziskiem naukowym, twierdzą obecnie, że być może zostanie wykopany cały szkielet. Upłynęły już trzy tygodnie, odkąd Leo Runcible z Carquinez ogłosił, że wykopał autentyczną czaszkę neandertalczyka i choć jego rewelacje nie zostały poparte żadnymi naukowymi dowodami, panuje powszechne przekonanie, że takie

odkrycie nie jest wykluczone. Neandertalczycy, gatunek podludzi o charakterystycznej pochylonej postawie, wysuniętej szczęce i fałdzie nad brwiami, zamieszkiwali kiedyś, zdaniem naukowców, większą część świata. W ciągu ostatnich czterdziestu lat znaleziono liczne fragmenty szkieletów wykazujących neandertalskie cechy. Neandertalczycy wyrabiali krzemienne narzędzia i prawdopodobnie odprawiali prymitywne rytuały religijne. Uważa się ich za brakujące ogniwo, gatunek, który istniał przed pojawieniem się prawdziwych ludzi. Doniesienie o tym przypuszczalnym oszustwie lub, wręcz przeciwnie, bezcennym naukowym znalezisku przywodzi na myśl historię czaszki człowieka z Piltdown, która do niedawna przez wielu uczonych uważana była za autentyczną. Okazało się jednak, że została sfabrykowana z fragmentów czaszki ludzkiej i...

Runcible nie zajął na szóstą stronę, by przeczytać konkluzję. Do diabła z nimi, powiedział do siebie, składając gazetę i rzucając ją na tylne siedzenie. Pojechał do biura i zadzwonił stamtąd do redakcji „Chronicie”.

- Proszę mnie posłuchać - rzucił ostro, kiedy połączono go z kimś ważniejszym niż sekretarka. - Mówi Leo Runcible. Chodzi mi o artykuł z dzisiejszej „Chronicie”, o mnie i znalezionej przeze mnie czaszce.

Człowiek na drugim końcu linii robił wrażenie, jakby był zorientowany w temacie, toteż Runcible rozparł się w fotelu, odsunął trochę słuchawkę i zaczął mówić stanowczym tonem, którego używał, gdy wydawał polecenia. Nigdy takim tonem nie rozmawiał z klientami ani z przyjaciółmi.

- Oto, co mam do powiedzenia - oświadczył. - Powiem wam, co myślę o waszym artykule, i możecie to wydrukować. Nie ma mowy o żadnym oszustwie, rozumiecie? Słyszycie, co mówię?- Cedził słowa, panując nad tempem wypowiedzi. Chciał im w ten sposób dać do zrozumienia, że panuje też nad złością spowodowaną ich artykułem. - W tej okolicy... Wiecie, o jakiej okolicy mówię? O Carquinez w hrabstwie West Marin, jednym z najpiękniejszych zakątków północnej Kalifornii, które słynie z cennych archeologicznych znalezisk. Kiedy ostatnio przysłaliście tutaj swojego człowieka?

Redaktor z „Chronicie” odpowiedział, że historię czaszki opisywało kilku dziennikarzy.

- Cóż, w takim razie zastanawiam się, co z nich za dziennikarze, skoro przyjechali tu i nie zorientowali się, co to za miejsce i jacy ludzie tu mieszkają. Sugeruje pan, że ktoś stąd mógłby się zabawiać kosztem dobra publicznego? My tu bardzo dbamy o dobro publiczne i szanujemy

się nawzajem. Jeśli coś jest oszustwem, to wasz artykuł. - Teraz mówił podniesionym głosem. - Może pan to zacytować. Jeśli nie obchodzi was prawda i szukacie tylko sensacji, to Bóg z wami. Ale nie liczcie dłużej na

mnie. Myślę, że jeśli pojawią się nowe okoliczności związane z tą sprawą, poinformuję o tym inny dziennik.

Mężczyzna na drugim końcu linii powiedział coś, ale Runcible go nie słuchał.

- Do widzenia - rzucił i odłożył słuchawkę. Przez jakiś czas siedział przy biurku, starając się uspokoić i zapanować nad głosem. Potem wykręcił numer centrali i poprosił, żeby go połączono z University of California w Berkeley. Gdy odezwała się uniwersytecka centrala, poprosił o połączenie z Bowmanem albo Freitasem z wydziału antropologii.

W końcu udało mu się skontaktować z Bowmanem.

- Niech pan posłucha. Widział pan dzisiejszą „Chronicie”?

- Tak- odparł. - Mieliśmy do pana zadzwonić, ale Tony jeszcze nie przyszedł. Czekam na niego. Powinien lada chwila się pojawić. Jest po dziewiątej.

- Co pan powiedział dziennikarzom „Chronicie”? Czy to, że czaszka, którą znalazłem, jest oszustwem, tak?

- Zbadaliśmy nie tylko czaszkę, ale także inne kości - rzekł Bowman - i znaleźliśmy na nich ślady pokostów, wybielaczy i kwasów, których użyto do ich postarzenia. Najwyraźniej ten, kto to zrobił, tym razem się nie przyłożył. Poza tym zrobił to niedawno. Miejscami pokost nie wysechł do końca, a grudki ziemi poprzyły-piały się do niego,

- A zatem jest pan pewien, że to oszustwo - stwierdził Runcible opanowanym głosem.

- Absolutnie- odparł Bowman.- Sfabrykowano ją w warsztacie przy użyciu nowoczesnych narzędzi i materiałów. - W jego głosie zadźwięczała niesympatyczna nuta; nie brzmiał przyjaźnie. Wiadomość nie została podana w łagodnej formie.

- Dziękuję panu bardzo - rzekł Runcible, starając się, by Jego głos brzmiał oficjalnie. - Mam odpowiedź na swoje pytanie. - Odłożył słuchawkę.

Rozparł się w fotelu i zatopił w myślach. Przerwał mu dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i stwierdził, że ponownie jest połączony z Bowmanem.

- Tak gwałtownie się pan rozłączył, że nie zdążyłem powiedzieć, iż w żadnym razie nie oskarżamy pana o sfabrykowanie tych przedmiotów ani nie uważamy, że miał pan z tym coś wspólnego.

Runcible nie odpowiedział.

- Ja tylko poinformowałem pana o tym, co odkryliśmy, czyli zrobiliśmy to, o co nas pan prosił.

- Zgadza się - odparł Runcible,

- Z przyjemnością prześlemy panu pełny raport, no i oczywiście zwrócimy panu wszystkie przedmioty.

- W porządku.

- A propos, artykuł w „Chronicie” jest oparty na naszych wcześniejszych ustaleniach. Dotyczących samej czaszki. Nikomu jeszcze nie powiedzieliśmy, co odkryliśmy zeszłej nocy; chcieliśmy najpierw porozmawiać z panem i usłyszeć, co pan powie.

- Proszę mówić dalej,

- Dobrze - zgodził się Bowman. - No cóż, sprawa jest przesądzona.

- Chciałbym, żeby ktoś jeszcze zbadał czaszkę i kości. Może mi pan kogoś polecić? - zapytał Runcible.

Pytanie to najwyraźniej zaskoczyło Bowmana.

- Cóż, nie wiem. Może pan z tym pójść do innego uniwersytetu. Prawie każda wyższa uczelnia ma odpowiednie laboratorium. Sprawdzę to, jeśli pan sobie życzy. Na pewno ma je Stanford.

- Tak zrobię. Stanford. Dziękuję.

- Nie ma jednak wątpliwości, że sfabrykowano je w warsztacie. Są nawet na nich ślady po metalowych narzędziach.

- W porządku - odparł Runcible.

- Nie słyszy pan, co mówię? - zdenerwował się Bowman. - Jesteśmy całkowicie pewni naszej opinii. Pod

mikroskopem widać nawet cząstki metalu. To samo wykazuje analiza spektroskopowa. To są namacalne dowody. Mogę nawet panu powiedzieć, kto wyprodukował niektóre z tych żywic. Na przykład Du Pont. To ich produkt, przez nich wynaleziony.

Runcible odłożył słuchawkę.

To byłoby na tyle, powiedział do siebie. A więc tak sprawa wygląda. Ktoś to sfabrykował i mi podrzucił.

Po jakimś czasie sięgnął jednak po słuchawkę i połączył się z centralą. Poprosił o numer

Stanford University w Palo Alto, a kiedy go otrzymał, zaczął tam wydzwaniać w poszukiwaniu kogoś z wydziału antropologii.

## Rozdział czternasty

Sherry Dombrosio siedziała w salonie na kanapie naprzeciwko męża, trzymając na kolanach rozłożoną gazetę.

- I b fascynujące - powiedziała. - Piszą o Runcible'u i jego neandertalskiej czaszce.

Dombrosio spojrział na nią uważnie. Czyżby odgadła? Znała jego talent i doświadczenie i wiedziała, że w przeszłości płatał podobne kawały. Wyglądało jednak na to, że nie połączyła jednego z drugim: artykułu w gazecie ze swoim mężem.

- Tak - odparł ostrożnie. - Zauważyłem go.

- Już od kilku tygodni o tym piszą - dodała.

- Wiem.

- Co o tym myślisz? Czy twoim zdaniem ta czaszka jest autentyczna?

- Przecież naukowcy z University California stwierdzili, że nie jest.

- Owszem - odparła, czytając uważnie artykuł. - Piszą, że nie jest stara i została spreparowana niedawno przez kogoś o zręcznych rękach, kto dobrze się zna na znaleziskach z epoki kamienia i antropologii. Ale cytują też Runcible'a, który mówi, że zamierza poprosić Stanford, aby ją zbadali.

- I co oni na to?

- Nic. - Złożyła starannie gazetę, wygładzając załamania, po czym odłożyła ją na bok. - Ale zrobią to, prawda? Zastanów się: byłoby im trudno mu odmówić.

- Chyba tak - odparł. Nie miał ochoty z nią o tym rozmawiać. W ogóle mało z nią rozmawiał. Po kolacji, gdy pozmywali naczynia, szedł zwykle do swojego pokoju popracować lub poczytać, podczas gdy ona oglądała telewizję. Tego wieczoru jednak najwyraźniej miała ochotę na rozmowę.

- Nie sądzisz, że Runcible zrobił to dla reklamy? -zapytała. - Jak ten pośrednik z Sausalito, który twierdzi, że Drake przybił do brzegu właśnie tam, a nie w Drake's Bay, i że ta ich mosiężna tabliczka jest sfalszowana. Taki sposób na rozreklamowanie własnej okolicy. Runcible zyska nowych klientów. Być może nawet całkiem sporo.

Skinął głową.

- Widać o to mu tylko chodzi - dopowiedziała. - Tak twierdzą prawie wszyscy, z którymi

rozmawiałam. Mówią, że ktoś taki jak on jest do tego zdolny. Sprytnie posunięcie, nie sądzisz? Zdobył rozgłos... ale ja bym się nie cieszyła z takiej reklamy. Większość gazet sugeruje, że to akcja promocyjna. Rzecz jasna, nie piszą tego wprost. Chyba dlatego, żeby się nie narazić na oskarżenie o zniesławienie, prawda?

- Oczywiście. Gdyby tak napisali, na pewno pozwały ich do sądu, zyskując dodatkowy rozgłos.

- Nie cierpię takich ludzi - stwierdziła Sherry. - Zuchwałych i natrętnych. Och, nie powinnam tak mówić. Szkoda, że jest Żydem.

- Owszem - zgodził się Dombrosio. - Przynosi ujmę całej rasie.

- Nie, chodziło mi o to, że nie możemy go publicznie krytykować, bo zostaniemy posądzeni o antysemityzm. Daje mu to carte blanche na takie postępowanie. Na robienie sobie takiej bezczelnej reklamy.

- Nie wiem, czy jest zadowolony z rozgłosu, jaki zdobył.

- Ale przecież musiał zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później, kiedy czaszkę zbadają uczeni, oszustwo wyjdzie na jaw i zamiast reklamy zrobi sobie antyreklamę. A co ciekawe... - znów wzięła do ręki gazetę - sam ich powiadomił o odkryciu.

- Może chodziło mu o jakąkolwiek reklamę - rzucił lekko Dombrosio, ale czuł wyrzuty sumienia. Runcible został zupełnie sam. Wszyscy go opuścili, ale... Może cierpiał? Może stracił przez to pieniądze?- Kurczowo się trzyma swojej wersji - powiedział do żony.

- Tak - zgodziła się Sherry. - Nadal próbuje wszystkim wmawiać, że czaszka jest autentyczna, mimo że nie ma żadnych dowodów na poparcie tej tezy.

- Dureń - rzucił Dombrosio ze złością.

- Mało mu reklamy.

- Nie, chodzi mi o to, że nie potrafi się przyznać, iż dał się nabrać.

- Nabrać? - Spojrzała na niego, marszcząc czoło. - Myślisz, że to nie on ją sfabrykował? Chcesz powiedzieć, że naprawdę uwierzył w jej autentyczność? Został nabrany? - Jej bystry umysł zwrócił uwagę na słowo, jakiego użył. Przez długą chwilę w milczeniu się w niego wpatrywała.

- Możliwe - odparł, modląc się, żeby zmieniła temat.

- Czyli że zrobił to ktoś inny! - zawołała. - A biedny Runcible jest ofiarą. Fascynująca sprawa. - Zamyśliła się nad tym przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem. - Osobliwa teoria.



Co mi to mówi na twój temat?

Spojrzał na nią.

- Zobaczmy. Nie potrafisz się przyznać przed sobą, że jesteś człowiekiem łatwowiernym. Widzisz, jak dokonałeś projekcji swoich kłopotów na Runcible'a? Stał się on dla ciebie symbolem.

W tym momencie udało mu się odwrócić jej uwagę. Poszedł do kuchni, by poszukać w lodówce czegoś do jedzenia, jakiegoś deseru. Dołączyła do niego i wyjęli zimne ciasto.

Później, kiedy usiedli przy stole kuchennym i zabrali się do jedzenia, zastanowił się znowu nad pomysłem, który od tygodni bezustannie chodził mu po głowie.

Gdyby oszedł od Sherry, mógłby się przeprowadzić do San Francisco, wynająć pokój lub mieszkanie i chodzić do pracy na piechotę. Mógłby już teraz zacząć szukać pracy, a nie czekać dwa miesiące, aż mu zwrócą prawo jazdy.

Siedząca naprzeciwko Sherry jadła ciasto, trzymając wytwornie widelec. Ależ ona jest ładna, pomyślał. Miała słodką twarz, która zawsze mu się bardzo podobała: z dużymi, szarymi, niewinnymi oczami. Doskonała amerykańska twarz, pomyślał. Nie zepsuta. Niczym nie skażona. Jednak ta twarz nie była dokładnym odzwierciedleniem jej charakteru. Sherry była zepsuta.

Nie widać tego po niej, pomyślał. Nic nie zdradza, że jest wyrachowaną kobietą, która wie, czego chce i bezwzględnie realizuje swoje dążenia. Przyzwyczyła się w dzieciństwie do rozkazywania, pomyślał, i nie ma zamiaru z tego zrezygnować. Małżeństwo nie oznacza dla niej podporządkowania się woli mężczyzny.

Będzie dla mnie lepiej, jeśli od niej odejdę, postanowił. To nie ulega wątpliwości. Mógłbym rozpocząć nowe życie.

A jednak...

Nie mógł zapomnieć o dumie, jaką czuł z jej powodu. Dumie z posiadania wytwornej żony. Awansował dzięki niej o oczko wyżej w społecznej hierarchii. Lepiej prezentował się w oczach świata.

Z niepokojem uzmysłowił sobie, że będzie mu jej brakowało. Jemu, jako mężczyźnie, a niejako mężowi. Kim będę bez niej? Nic na tym nie zyskam, a na pewno wiele stracę. Spójrzmy na to racjonalnie, pomyślał. Co stracę? Na przykład to, że ona może pracować i wspomóc rodzinny budżet. Żona, która jest ekonomicznie samowystarczalna, to cenny atut. A co, jeśli żadne z nas nie będzie mogło pracować?

Poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki na myśl, że byliby uwiązani do tego miejsca i nie mogli się stąd ruszyć. Przypuśćmy, że nie będzie mogła jeździć samochodem, założył. Wtedy utkną tutaj na dobre i może nawet zaczną głodować. Tu, na wsi, nie ma pomocy społecznej, nikogo, od kogo można by pożyczyć pieniądze i komu można by się wyżalić. Żadnej pracy, poza pracą dojarza lub dniówkowego robotnika w młynie. Ale żeby tam pracować, także trzeba mieć samochód.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała Sherry. - O czym myślisz?

- Myślę o tym, że dobrze jest mieć taką ładną żonę - odparł zgodnie z prawdą.

- I taką, która pracuje- zauważyła z niesamowitą spostrzegawczością.

Zaskoczony, zamrugał oczami, żeby odzyskać równowagę.

- Myślisz, że mnie się podoba ta sytuacja? - zapytał. A co z moją dumą, na Boga? Myślisz, że jak się z tym czuję? Czuję się zdruzgotany.

- Och. - Chrząknęła. - Nie jest tak źle. Wcale się nie czujesz zdruzgotany, tylko to sobie wmawiasz.

- Wmawiam? - powtórzył.

- Owszem, czujesz pewien dyskomfort. Ale dzięki tej sytuacji masz czas, żeby dłubać w warsztacie. A także możesz chodzić do Donkey Hall i spędzać wieczory z innymi osłami. Pamiętasz, jak byłeś skonany, kiedy wracałeś z pracy w San Francisco? Na nic nie miałeś ochoty, tylko od razu szedłeś do łóżka.

- Za dwa miesiące znowu będę pracować.

- Możliwe.

- Przecież wiesz, że będę! - zawołał z przerażeniem.

- Za dwa miesiące dostaniesz z powrotem prawo jazdy. Ale co potem? Ja wciąż będę potrzebowała samochodu, żeby jeździć do pracy. Będziesz więc jeździł ze mną... - Wyciągnęła w jego kierunku palec i stwierdziła triumfalnie: - Teraz też mógłbyś ze mną jeździć. Mógłbyś się rozejrzeć za nową pracą, ale nie robisz tego. Za dwa miesiące będzie tak samo.

- Zrezygnujesz wtedy z pracy - zaprotestował słabo.

- Nic podobnego - odparła. - Nie mam zamiaru. Lubię swoją pracę i lubię Normę Lauscha, który jest dobrym szefem. Nie ingeruje w to, jak wykonujesz swoją pracę. Poza tym coraz więcej pracuję twórczo, a coraz mniej zajmuję się sprzedażą i marketingiem.

Nagle sobie uświadomił, że niewiele mu powiedziała o tym, co robi w Lausch Company;

nigdy o tym nie rozmawiali. Nawet mu nie przyszło do głowy, żeby o to zapytać. To był jej teren, na który on nie miał wstępu. Oboje zaakceptowali taki układ: ona dlatego, że tak chciała, a on... Bóg wie dlaczego. Dlaczego się na to godzę? - zadał sobie pytanie. Co z tego mam?

Przyszło mu do głowy, że wcale się na to nie zgodził, że właściwie został do tego zmuszony. Nie zrobił tego dobrowolnie. To ona ukształtowała jego uczucia.

- Nadawałabyś się na członka zarządu w dużej firmie - stwierdził.

- Jestem członkiem zarządu. A co, nie wolno mi, bo jestem kobietą? Norm Lausch tak nie uważa.

- Chcesz powiedzieć, że wydajesz ludziom polecenia?- zdziwił się. Wydało mu się to bardzo zabawne. Tak aroganckie, że aż absurdalnie irracjonalne. - Wiesz co? Powiem ci, co jest twoją największą wadą. Chcesz posłuchać?

- O Boże - westchnęła. - Kolejna pięciogodzinna oracja.

- Jesteś niecierpliwa - stwierdził. - Nie potrafisz czekać. Tak jak wtedy, kiedy podejmujesz decyzję o przemeblowaniu domu. Musi to być zrobione od razu, natychmiast.

- Gdybym czekała, nigdy byśmy tego nie zrobili. My także jesteśmy dla niej przedmiotami, pomyślał.

Klockami, które przestawia podług własnego widzimisię. Zabija w ludziach spontaniczność, ponieważ nie może się doczekać, aż inni zaczną myśleć tak, jak ona chce, żeby myśleli - wymusza to, co powinno nastąpić spontanicznie.

Na dodatek nie dostrzega różnicy między jednym a drugim, pomyślał. I nie wynika to ze złej woli, raczej ze ślepoty. Ma zbyt słaby wzrok, by dostrzec tę różnicę. Dopóki zewnątrz nie się nie zmienia, dopóki ludzie są jej posłuszni i dają się przestawiać... nie widzi potrzeby dostrzegania mitycznego wnętrza: duszy.

Muszę od niej odejść, postanowił. Siedząc i jedząc ciasto, myślał o tym, jak najlepiej to zrobić.

Runcible siedział w swoim gabinecie. Skończył czytać list, który właśnie napisał. Wokół niego na biurku i na podłodze leżały fotografie - wielkoformatowe błyszczące odbitki. Włożył list i dwa zdjęcia do dużej szarej koperty, którą zaadresował do wydziału antropologii University of Chicago.

Następnie wkręcił w maszynę czystą kartkę papieru i zaczął pisać kolejny list. Tym razem do wydziału antropologii Yale University.

Po prawej stronie biurka piętrzyły się stosy fotokopii artykułów gazetowych na temat jego znaleziska oraz stron z podręczników naukowych, które udało mu się kupić bądź pożyczyć. Same podręczniki leżały w kącie na stosie. Z każdej książki wystawała zakładka - Runcible chciał bez kłopotu znaleźć właściwy cytat.

Po napisaniu listu do Yale ponownie wyciągnął najważniejszy list, którego dotąd jeszcze nie wysłał. Zaadresowany był do L. S. B. Leakeya.

Gdy go czytał, usłyszał pukanie do drzwi. Pukała jego żona.

- Jestem zajęty - powiedział.

- Przyszedł Michael Wharton - odparła Janet przez drzwi.

- Dobrze, poproś go. - Włożył list do Leakeya z powrotem do szuflady i obrócił się razem z fotelem.

Drzwi się otworzyły i pojawił się nauczyciel. Runcible po raz pierwszy widział go w takim stanie. Twarz miał opuchniętą, a szyję zaczerwienioną. Jego oczy rzucały wodniste spojrzenie i przez chwilę Runcible myślał, że nauczyciel ma ostry atak kataru siennego.

- Właśnie rozmawiałem przez telefon z doktorem Freitasem i dowiedziałem się, że odkryli, iż czaszka jest sfalszowana - oznajmił Wharton piskliwym tonem.

Runcible sięgnął ręką do parapetu i wziął stojącą tam filiżankę kawy. Wypił łyk. Siedział z oczami wbitymi w podłogę i nie odzywał się.

- Wiem, kto to zrobił - oświadczył Wharton. Słyszając to, Runcible podniósł wzrok.

- Powiedz, gdzie znaleźliśmy pierwsze artefakty? - Nauczyciel podniósł głos. - Te groty strzał? - Zaczął się zachowywać zgoła histerycznie. Grdyka mu się poruszała w dół i w górę, a oczy chorobliwie błyszczały.

- Niżej na wzgórzu - odparł Runcible.

- Na czyjej ziemi?

- Waltera Dombrosiego.

- To jego robota- stwierdził Wharton. - On potrafi robić takie rzeczy. Na tym polega jego praca. Kiedyś w Donkey Hall rozmawialiśmy o neandertalczykach. To on, jestem tego pewny.

- Też o tym pomyślałem - rzekł Runcible. Przyszło mu to do głowy poprzedniego dnia, kiedy rozmawiał przez telefon z Bowmanem. - Posłuchaj - zwrócił się do Whar-tona. - Chcę, żebyś mi coś powiedział. - Podszedł do stosu książek, wyjął jedną z nich i wrócił do nauczyciela. Usiadł naprzeciwko niego na skórzanym podnóżku, położył książkę na kolanach i otworzył ją. -

Podobno można zrobić odlew czaszki - powiedział. - Przeczytałem trochę na ten temat.

- Owszem - odparł Wharton, nie spuszczać z niego wzroku.

- Czy wiesz, jak się robi takie rzeczy? Albo może znasz kogoś, kto się czymś takim zajmuje?

- Sam robiłem takie odlewy.

- Mam zdjęcia, ale chciałbym wysłać także kilka odlewów do uniwersytetów na Wschodnim Wybrzeżu, a może także do Europy. Poza tym mam zamiar przesłać wszystkie możliwe dowody Uniwersytetowi Mosze Da-jana w Tel Awiwie. Ciekawa sprawa. Wiesz, że Dajan był naczelnym dowódcą wojsk izraelskich w wojnie przeciwko Egipcjom na półwyspie Synaj? I że jest także jednym z najwybitniejszych na świecie archeologów? - Zamknąwszy książkę, zaniósł ją z powrotem na stos. - Oto najlepszy dowód - rzucił przez ramię - że możliwe jest łączenie zainteresowań naukowych... jakich tam zainteresowań, profesjonalnej wiedzy, do diabła! Dajan jest profesjonalistą, uczonym... nauczycielem. Nawiązującym do najlepszych tradycji żydowskiego narodu. Żydzi zawsze szanowali osoby pragnące się uczyć.

- Nie masz nic do wysłania uniwersytetowi w Tel Awiwie - stwierdził Wharton - oprócz kilku sfałszowanych przedmiotów, które Walter Dombrosio sfabrykował w piwnicy Donkey Hall. On, Jack Vepp i Timmons. Zastanawiam się, czemu mi o tym nie powiedzieli.

- Posłuchaj - rzekł Runcible. Wyciągnął palec w stronę nauczyciela. - Powiedz mi, co byś zrobił, gdybyś zachorował na serce i poszedł do lekarza - naprawdę dobrego lekarza, specjalisty - który by ci oświadczył, że nie ma dla ciebie ratunku.

Wharton milczał.

- Powiem ci, co byś zrobił. A w każdym razie, co byś zrobił, gdybyś miał trochę rozumu. Poszedłbyś do innego specjalisty, a potem do następnego i następnego, aż znalazłbyś takiego, który potrafiłby cię wyleczyć. To właśnie byś zrobił.

- Hipochondria - skomentował krótko Wharton.

- O nie. Wcale nie hipochondria, raczej instynkt samozachowawczy.

- Być może - zgodził się Wharton.

- Czy nauka jest świętą krową? Nauka może tak, ale na pewno nie jakiś matoł, który pracuje na pewnym uniwersytecie. Pozwól, że ci coś powiem o tym uniwersytecie.

- Kalifornijskim? - upewnił się Wharton.

- Tak, kalifornijskim - oparł Runcible, wyciągając się na krześle. - To największy

uniwersytet na świecie.

Wharton kiwnął głową.

- Ma najlepiej wyposażone laboratoria. Fizyczne, chemiczne. Teller dla nich pracuje, Lawrence. Mają be-vatron wart miliony dolarów. Ta uczelnia jest częścią gospodarki narodowej. Częścią narodowego programu badań naukowych.

- Zgadza się - przytaknął Wharton.

- To ogromna machina. A wiesz, co produkuje? Wcale nie wiedzę. Nie uczonych. Powiem ci: produkuje techników, którzy myślą tylko o tym, by dostać tłuste zlecenia od wielkich firm, jak Westinghouse czy General Dynamics. Myślisz, że coś ich obchodzi, czy milion lat temu po Ameryce Północnej wałęsała się banda garbatych debili? Czy takie odkrycie może wpłynąć na gospodarkę kraju? Czy zapewni tanie paliwo dla parowców albo nowe głowice do rakiet wycelowanych w Rosję Sowiecką?

Wharton nie odezwał się.

- Może gdybym im wysłał jakąś fałszywą zasuszoną algę - ciągnął Runcible - i zapytał, czy zawiera dużo białka i czy może być uprawiana w wannie Joego Doaka, to może otrzymałbym grzeczną odpowiedź i obietnicę przeprowadzenia szczegółowych badań.

- University of California przeprowadził promieniotwórcze testy czaszki człowieka z Olduvai znalezionej przez Leakeya - zauważył Wharton.

- Owszem - odparł Runcible. - Ale wiedzieli, kim był Leakey. Człowiek, który dwadzieścia pięć lat prowadził poszukiwania w tym wąwozie. Jasne, że potraktowali

go po królewsku. Dla nich czaszka znaleziona przez L. S. B. Leakeya w wąwozie Olduvai w Tanganice to nie to samo co czaszka wykopana przez Leo Runcible'a, właściciela biura handlu nieruchomościami w Carquinez w hrabstwie Marin w Stanach Zjednoczonych.

- Dwadzieścia siedem - mruknął Wharton.

- Proszę?

- Leakey pracował w tym wąwozie dwadzieścia siedem lat, nie dwadzieścia pięć.

- Kiedy ktoś taki jak Leakey przesyła im czaszkę do zbadania, muszą się tym zająć. Czaszkę przyslaną przeze mnie mogą zlekceważyć. To proste. Człowiek robi nie to, co chce, ale to, co musi. Mnie mogą spławić, ale gdyby spławili Leakeya, nie uszłoby im to na sucho. Wiedzą, że zostaliby potępieni przez wszystkie autorytety naukowe na świecie. - Umilkł i gdy namyślał się nad tym, co powiedzieć dalej, odezwał się Wharton:

- Ile dotąd wydałeś na to pieniędzy?

- Nie wiem.

- Mniej więcej.

- Kilka dolarów.

- Moim zdaniem same rozmowy telefoniczne kosztowały cię ponad setkę.

- Myślę, że około dwustu- przyznał Runcible.

- A więc łącznie wydałeś blisko trzysta dolarów, uwzględniając książki, narzędzia, telefony, telegramy, fotokopie i swój czas. Ile poświęcasz tej sprawie? Cały swój czas. Od dwóch tygodni nie sprzedałeś ani jednej nieruchomości.

Runcible nie odezwał się.

- Jak tak dalej pójdzie, zbankrutujesz - dodał Wharton.

- Takie nagłośnienie przyciąga kapitał- stwierdził Runcible po chwili milczenia.

- Naprawdę?

- Tak, w ostatecznym rozrachunku.

- Nie robisz tego dla przyciągnięcia kapitału.

- Dajan poznał przysze pole walki dzięki temu, że łąził po nim z łopata i szukał zakopanych w ziemi starych posągów - zauważył Runcible z rozbawieniem.

- Łudzisz się, że robisz to ze względów komercyjnych. Takie działanie nazywa się racjonalizacją. W rzeczywistości jednak wystawiasz się na pośmiewisko.

Jest takim miłym żydowskim chłopcem, ale ma zbyt wygórowane ambicje, pomyślał Runcible, po czym powiedział:

- Też mi sposób spędzania Wielkanocy.

- Co?

- Nie znasz tych nowych kawałów? - Wstał i przybrał pozę Chrystusa na krzyżu z wyciągniętymi rękami i zwieszoną głową. - Też mi sposób spędzania Wielkanocy - rzekł. - Opowiem ci inny. - Siadając z powrotem na krześle, powiedział: - Ty, Jezus, możesz położyć nogę na nogę? Mamy tylko trzy gwoździe.

Wharton nie wytrzymał i się roześmiał. Runcible'owi udzieliło się jego rozbawienie.

- Posłuchaj, ten lubię najbardziej. Hej ty, Jezus, jeszcze raz upuścisz ten krzyż, a nie weźmiesz udziału w paradzie.

Tfen kawał do łez rozśmieszył Whartona. Osunął się na fotel i wycierał mokre oczy.

Runcible również nie mógł się powstrzymać od śmiechu i przez długi czas śmiali się obaj.

- Opowiem ci następny- zaproponował Runcible, kiedy przestał się śmiać. - Ten jest trochę dłuższy. Rzecz dzieje się w stajni. To kawał o Józefie i Marii. Znasz go?

Wharton potrząsnął głową.

- Maria rodzi, a Józef nosi snopki słomy. Nagle poślizgnął się i zawołał: Jezu Chryste! - Zawiesił efektownie głos, przeciągając puentę. - A na to Maria: Jezus Chrystus... Wiesz co, to mi się o wiele bardziej podoba niż Irving.

- O, ten jest subtelniejszy - zauważył Wharton. - Odwołuje się do inteligencji słuchacza.

- Ten podoba mi się najbardziej - powiedział Runcible.

- Owszem, jest najlepszy, ale trudno wyjaśnić dlaczego.

- To jest w ogóle niemożliwe.

- Trudno wytłumaczyć, dlaczego dowcip jest dobry. To rodzaj sztuki.

- Tak, sztuki - zgodził się Runcible. - Dobry dowcip jest dziełem sztuki. - Odwrócił się do biurka i wziął z niego list. - Chciałbym, żebyś to przeczytał. Wysłałam go do Duke University. Chcę poznać twoją opinię. Szkoda, że nie miałem cię przy sobie, kiedy pisałem wszystkie te listy. Chyba otworzę koperty i dam ci je przeczytać. - Rozerwał kopertę zaadresowaną do Yale University.

Wharton wziął list z wyraźną niechęcią. Przejrzał go pobieżnie i nie doczytawszy do końca, zapytał:

- Gdyby Dombrosio przyznał się do oszustwa, pogodziłbyś się z sytuacją? - Rzucił list na biurko.

- Pozwól, że powiem ci coś o tym dupku - oświadczył Runcible.

- Pogodziłbyś się? - powtórzył Wharton.

- Posłuchaj - rzekł Runcible. - Ten drań uwziął się na mnie. Nie uwierzę w żadne jego słowo, zwłaszcza jeśli ma to związek ze mną. Chcesz wiedzieć, czemu się na mnie uwziął? Powiem ci, ale nie rozpowiadaj tego. Pamiętasz, jak złapała go policja, gdy po pijanemu wpakował się samochodem do rowu. To ja ich wezwałem. Oczywiście, nie wiedziałem, że to o niego chodzi. W każdym razie odebrano mu prawo jazdy. Nie wiedziałem, że do tego dojdzie, ale nie w tym rzecz. Moja cholerna żona tknięta wyrzutami sumienia poszła do niego i wygadała się. - Umilkł na chwilę. - Nie, nie uwierzyłbym mu, nawet gdyby się przyznał do oszustwa. To byłoby do niego podobne.



- To wszystko wyjaśnia - stwierdził Wharton.

- Co?

- Dlaczego to zrobił.

- Taki facet jak Dombrosio... - zaczął Runcible. - pozwól, że coś ci o nim powiem. Taki kapuś... tak, kapuś... Pewnie czujesz się obrażony?

- Nie.

- Dombrosio jest nędznym, bezwolnym kapusiem. Obrażonym na cały świat. A wszystkiemu winna jest ta jego żona. Średnio raz na tydzień utwierdza go w przekonaniu, że jest zerem. To ona nosi spodnie w tej rodzinie. I nie tylko nosi spodnie, ale również ma to, co w nich powinno być. Co więc Dombrosio robi? Nie może z nią wygrać, ponieważ jest od niej słabszy: ta kobieta może rzucić nim jak zdechłym kotem. Przesiaduje więc w swoim warsztacie... Widzę to, do cholery. Wystarczy, że wyjrzę przez okno. A więc ten impotent siedzi tam, pełen pretensji do świata, sukinsyn, i wiesz, co robi? Szuka kozła ofiarnego. Wiem to. Obaj o tym wiemy. To sytuacja stara jak świat.

- Rozumiem- mruknął Wharton.

- Nie - zaprzeczył Runcible. - Nie, wcale nie rozumiesz. Ponieważ ten facet to twój kumpel.

- Proszę, uspokój się.

- Przepraszam. Tak więc szuka kogoś, komu może podłożyć świnię, kogoś innego niż żona czy szef... jak jeszcze miał szefa. Gdyby miał psa, to by go skopał. Chryste, złałby dzieciaki, gdyby je miał. Ale nie ma. Ma tylko mnie. Może mnie skopać, obić i opluć. To w jego stylu.

- Co jest w jego stylu? - Wharton nadstawił uszu.

- Przeciagnąć ciebie na swoją stronę. Nauczyciel spojrzał na niego i twarz znów mu poczerwieniała.

- Oczywiście. Posłuchaj, nie obrażaj się -ciągnął Runcible. - Nie mówię o tobie, tylko o nim. Jesteś taki prosto-duszny. Muchy byś nie skrzywdził... i nie myśl, że on o tym nie wie. Wie. Wmówił ci, że... - Machnął ręką. - Ma warsztat, umiejętności, wie, jak się robi takie rzeczy...

- Dziwię ci się - rzekł Wharton.

- O co ci chodzi?

- O to twoje wymyślne teoretyzowanie - rzeki nauczyciel, starannie dobierając słowa. - A

tymczasem sprawa jest zupełnie oczywista... Jak twój nos. - Ożywił się. -Bez żadnych odniesień rasowych - zastrzegł się.

- Co tam, do diabła. Dumny jestem z mojego orlego shylockowskiego nosa. Za żadne skarby bym go sobie nie wyprostował.

Na długi czas zapanowała cisza. Wharton stanął w kącie i grzebał przy mankiecie koszuli, a Runcible wrócił do czytania listów.

- Do zobaczenia - odezwał się w końcu Wharton. Wyglądał na zmęczonego. Po jego wcześniejszym ożywieniu nie pozostał ślad. - Wpadnę do Dombrosia i porozmawiam z nim.

- Jak chcesz - odparł Runcible, nie przestając przeglądać listów i nie patrząc na nauczyciela. - Jeśli masz zamiar dalej się kolegować z tym kapusiem, tym zasrań-cem, to się nie krępuj. To wolny kraj.

- Do widzenia - rzekł Wharton.

Runcible mruknął coś pod nosem, ale nie podniósł wzroku, kiedy drzwi zamykały się za nauczycielem.

Idąc w dół do domu Dombrosia, Wharton rozmyślał o tym, że nic nie jest w stanie zachwiać wiarą Runcible'a. Dla niego nie była to bowiem wiara, ale fakt.

Facet wmówił sobie, że znaleziona przez niego czaszka jest prawdziwa. Stało się to dla niego religią, dogmatem. Stanął w rozkroku niczym buldog gotowy rozszarpać na kawałki każdego intruza, małego czy dużego.

Nawet gdyby się znalazł jakiś dowód - niezbity dowód na poparcie jego tezy - nie wpłynęłoby to na niego.

Żaden bowiem dowód, czy to za, czy przeciw, nie zachwiałby jego niewzruszonym stanowiskiem, uznał Wharton. Coś takiego nazywani prawdziwym idealizmem. W najlepszym i jedynym poprawnym tego słowa znaczeniu.

Świecąc sobie latarką, skręcił na drogę prowadzącą pod werandę domu Dombrosia.

Nie wiem, po co tu idę, pomyślał. Wiem, że to robota Waltera. Ale on na pewno nie przyzna się do tego na piśmie ani u notariusza. Zresztą pomyślmy, co będzie, jeśli uda mi się go nakłonić do mówienia, zastanowił się. Załóżmy, że Dombrosio publicznie przyzna się do winy, na przykład na łamach jednej z gazet. Czyż nie ośmieszy tym jeszcze bardziej Runcible'a?

Przy pierwszym schodku na werandę zatrzymał się. Przecież w ten sposób dodam tylko kolejny dowód obalający jego twierdzenie, uzmysłowił sobie. Dziwne. Jeśli nakłonię Walta do

publicznego przyznania się, pogorszę i tak już ciężką sytuację Runcible'a - bardzo pogorszę.

Skoro postanowił to ciągnąć, przyznanie się Walta do sfabrykowania czaszki byłoby najgorszym, co mogłoby go spotkać.

Obaj są stuknięci, stwierdził. Jeden siedzi w warsztacie, piłując i malując, a drugi pisze listy i zbiera cytaty z podręczników naukowych. Obaj wchłaniają całą dostępną wiedzę na temat neandertalczyków - gatunku, który żył na świecie czterdzieści tysięcy lat temu. Każdy najdrobniejszy fakt. A przy tym zaniedbują własne pracę. Pracę zarobkową. Runcible nie siedzi w biurze, jak powinien, a Dombrosio nie jeździ do miasta i nie rozgląda się za nowym zajęciem.

Pomyślał, że może przynajmniej powiedzieć Dombrosiowi, co o nim myśli. Mimo to ociągał się przed wejściem na schody. Jednak nie pójdę, postanowił. W końcu odwrócił się i odszedł.

Muszę spojrzeć prawdzie w oczy, pomyślał. Nie ma sensu z nimi rozmawiać. Lepiej dać sobie z tym spokój.

W przeciwnym razie, powiedział do siebie, stanę się taki sam jak oni.

Nazajutrz wczesnym rankiem Leo Runcible'a obudził telefon. Wstał z łóżka, podniósł słuchawkę i usłyszał w niej nieznamy męski głos.

- Dzień dobry - powiedział mężczyzna. - Mówi Dudley Sharp z wydziału antropologii University of California. Czy mogę rozmawiać z panem Leo Runcible'em?

- Przy telefonie - odparł, jedną ręką trzymając słuchawkę, a drugą zawiązując pasek od szlafroka.

- Mam nadzieję, że pana nie obudziłem. Ale chciałem z panem jak najszybciej porozmawiać. Bowman dał mi do zbadania pierwszą wykopaną przez pana czaszkę, jak również szkielet, który znaleźli z Freitasem. Sądzę, że pan rozumie - w każdym razie mam taką nadzieję - iż oba znaleziska zostały stosunkowo niedawno przez kogoś spreparowane. Nie dawniej niż rok temu, sądząc po stanie żywic, których użyto. Ale rozumie pan chyba, że ten ktoś nie zaczął swojej pracy od zera. To znaczy w obu wypadkach użył prawdziwych części szkieletu. Nie zbudował przecież czaszki ani kości. Postąpił podobnie jak oszust, który sfabrykował czaszkę człowieka z Pilt-down, biorąc zwykłą, choć bardzo starą ludzką czaszkę i kość szczękową szympansa.

- Rozumiem - odparł Runcible, przecierając oczy.

- Bardzo zainteresowały mnie te prawdziwe szczątki, które znajdowały się pod warstwą

żywicy- rzekł Sharp. - Innymi słowy, próbuję zrekonstruować... Ma się rozumieć nie przerobiłem ani też nie zniszczyłem pańskiej własności; raczej próbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądało to, co oszustowi albo oszustom posłużyło za punkt wyjścia. Obie czaszki, jak również cały znaleziony później szkielet, są bardzo ciekawe.

- Naprawdę?

- Wyraźnie widać, że oszust pewne cechy wyolbrzymał, a inne całkowicie spreparował- wyjaśnił Sharp. -Chciałbym się z panem spotkać, bo ta rozmowa kosztuje mnie fortunę. Płacę za nią z własnej kieszeni. Czy mógłbym do pana wpaść, powiedzmy dziś po południu lub jutro?

- Oczywiście- zgodził się Runcible. - Albo może ja do pana przyjadę na uniwersytet.

- Bardzo by mi to odpowiadało. Trudno mi się wyrwać. Do wieczora mam wykłady.

- Sądzi pan, że pod spodem jest czaszka neandertalczyka? - zapytał Runcible.

- Och, nie - zaprzeczył mężczyzna. Można było odnieść wrażenie, że się uśmiechnął. - Nic podobnego. Czaszki są jednak nietypowe. Być może oszust, postanowiwszy, że sfabrykuje czaszkę neandertalczyka, zaczął szukać szczątków, które dobrze by się do tego celu nadawały. Być może wcześniej próbował sfabrykować czaszkę mustierską, ale mu się to nie udało. Zrobił więc najlepszą możliwą rzecz i postarał się o zdeformowaną czaszkę... Nie wiem, jak ani skąd ją wziął, w każdym razie od niej rozpoczął swoją pracę. Pyta pan, czy pod spodem znajdowała się czaszka neandertalczyka, że się tak wyrażę, ale proszę pamiętać, iż datowanie metodą węgla radioaktywnego udowodniło wcześniej, że szczątki liczą sobie co najwyżej kilkaset lat.

- Prawda.

- A zatem do zobaczenia. Cieszę się z naszej rozmowy. Kiedy pan do mnie przyjedzie, opowiem panu więcej na ten temat. Przede wszystkim chciałbym, żeby mi pan pozwolił odtworzyć oryginalny wygląd czaszki i kości szkieletu. Podejrzewam jednak, że niełatwo będzie mi uzyskać pańską zgodę.

Zanim Runcible zdążył odpowiedzieć, mężczyzna się rozłączył.

Kiedy się ubrał, znów chwycił za słuchawkę. Janet wciąż leżała w łóżku; jeszcze się nie obudziła. Wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie z redakcją „Chronicie”.

Po chwili rozmawiał z jakimś dziennikarzem.

- Proszę posłuchać - oświadczył, kiedy się przedstawił. - Mielście dobrą zabawę, pisząc ośmieszające mnie artykuły w nadziei, że zwiększycie w ten sposób nakład gazety. W porządku. Chcę teraz, żebyście zadzwonili na University of California, na wydział antropologii, i po-

rozmawiali z profesorem Dudleyem Sharpem. A jeszcze lepiej wyślijcie kogoś do niego.

Przedstawiciel gazety zapytał dlaczego.

- Dzięki różnym testom... on wam wytłumaczy jakim; mnie nie pytajcie, nie jestem naukowcem... a więc dzięki tym testom ustalił, że nie mieliście racji, obstając przy swoim chwytnym twierdzeniu, obliczonym na sprzedanie większego nakładu, a mianowicie, że moje znalezisko jest falsyfikatem. Oszustwem.

Dziennikarz obiecał podjąć trop i Runcible odłożył słuchawkę z głębokim zadowoleniem.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zjadł śniadanie z apetytem.

## Rozdział piętnasty

Zajęty ostrzeniem dłuta Walter Dombrosio podniósł wzrok i zobaczył, że w drzwiach garażu stoi Michael Wharton. Towarzyszył mu młody, wysoki, ostrzyżony na zero mężczyzna w ciemnych okularach, który uśmiechał się przyjaźnie.

- Pukaliśmy do drzwi - oznajmił młody mężczyzna -ale nikt nie otwierał, toteż weszliśmy sami. Pan Wharton myślał, że pańska żona będzie w domu, ale potem przypomniał sobie, że pojechała do pracy.

- To pan Dudley Sharp z University of California -przedstawił młodzieńca Wharton.

Z bijącym sercem i widoczną rezerwą Dombrosio przywitał się w końcu z Sharpem.

- Byłem zajęty - powiedział.

- Pan Sharp chciałby się dowiedzieć, gdzie znalazłeś czaszkę i szkielet - oświadczył Wharton.

- Owszem - potwierdził Sharp, wciąż uśmiechając się i nie puszczać dłoni Dombrosia. - Jesteśmy tu nieoficjalnie, rzecz jasna. Zapewniam pana, że nic pan nie ryzykuje. Przyszedłem tutaj prywatnie, podobnie jak pan Wharton, który, o ile wiem, jest nauczycielem w tutejszej szkole podstawowej.

- Jaką czaszkę? - zapytał Dombrosio, lecz wiedział, że znają prawdę.

No tak, Wharton go przejrzał. Dombrosio poczuł ukłucie strachu, ale w końcu spodziewał się, że do tego dojdzie. Był przygotowany na taką ewentualność i wiedział, co ma mówić.

- Czaszkę, którą podrzuciłeś na posesję Runcible'a-oświadczył Wharton. Miał ściągniętą twarz i mówił szorstkim głosem, jakby się zmuszał do rozmowy. Dombrosio nie miał wątpliwości, że nauczyciel nie miał ochoty na wizytę u niego i chciał jak najprędzej sobie pójść. Stał blisko drzwi i wyglądał, jakby cała sprawa nappełniała go niesmakiem. Sharp musiał go namówić do przyjścia.

- Co z tobą, Wharton? - rzucił ze złością Dombrosio. - Jeśli ci się tu nie podoba, to zjeżdżaj.

- To ja nakłoniłem pana Whartona, żebyśmy tu przyszli - powiedział Sharp i zamrugał oczami. - Porozmawiajmy we dwójkę, a jego do tego nie mieszajmy, dobrze? Tak będzie sprawiedliwiej. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie pan znalazł te czaszki, i to wszystko.

Obiecuję, że nie będzie pan zamieszany w tę sprawę. Nie interesuje nas, co pan zrobił ani dlaczego.

Po dłuższej wymianie zdań Dombrosio zdołał, nie bez wysiłku, pozbyć się nieproszonych gości; podobnie jak domokrażcy, wychodzili niechętnie, wycofując się krok po kroku. Sharp przez cały czas usiłował go przekonać, mówiąc bez ustanku, lecz w końcu Dombrosiowi udało się wypchnąć go za drzwi i zamknąć je na klucz.

Gdy wyszli, rzucił się na kanapę w salonie. Cały się trząsał.

A więc sprawa się wydała. I co teraz? Czy mogą mu coś zrobić? Czy złamał prawo? Wprowadził w błąd policję? Nic podobnego. Zakopał jedynie w ziemi trochę staroci, najpierw u siebie, a potem u Runcible'a. Wtargnięcie na cudzy teren: chyba tylko o to można go oskarżyć.

Najpoważniejsza była kwestia samych kości i czaszek. To mogliby wykorzystać przeciwko niemu, gdyby się dowiedzieli, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. A o to właśnie im chodziło.

Muszę wszystkiemu zaprzeczać, postanowił. Bez względu na to, co się stanie. Co innego mnie oskarżać -zgoda, mam odpowiednie umiejętności, narzędzia i mieszkam w tej okolicy - a co innego udowodnić, że to zrobiłem. Nikt w to nie uwierzy, zwłaszcza że Runcible nie cieszy się sympatią. Ludzie staną po mojej stronie. Nie przyznam się, choćbym miał paść trupem. Nawet gdyby Timmons i Vepp powiedzieli, że ja to zrobiłem.

Raptem wpadł na doskonały pomysł. Powiem, że przyszło mi do głowy, by sfalszować czaszkę, po tym, jak Runcible znalazł swoją, postanowił. Właśnie dlatego zdecydowałem się sfabrykować te parę czaszek i szkielet. Chciałem je zakopać na mojej posesji, ale później zmieniłem zdanie i zrezygnowałem z tego pomysłu. To, co robiłem w Donkey Hall, nie miało nic wspólnego, ze znaleziskiem Runcible'a.

Nikt mi nie udowodni, że czaszki i kości, które wykopał Runcible, są moim dziełem. Zażądam, żeby przedstawili mi jakiś dowód.

Niech sobie przychodzą i grożą mi, powiedział do siebie. Tak, jak to zrobili dzisiaj. Mogą się wypchać.

Wrócił do pracowni i znów zabrał się do ostrzenia dłuta. Czuł ponurą satysfakcję. Pewność, którą nic nie było w stanie zachwiać. Czuł coś na kształt wewnętrznego bezpieczeństwa.

Jednak chwilę później pomyślał, że wystarczy, by rozważyli wszystkie możliwości. Jest

tylko jedno miejsce, skąd mógł wziąć te kości. Gdy się nad tym zastanowia, szybko zgadną, co to za miejsce. A jeśli tam pójda i poko-pią trochę w ziemi, zdobędą pewność: znajdą brakujące fragmenty szkieletu.

A poza tym, pomyślał, Vepp może im to powiedzieć. Pojechali tam we dwójkę. Jego dzipem, z jego łopatami, mapą i lampą gazową Colemana.

Jezu Chryste, pomyślał ponuro, rabowanie grobów jest przestępstwem. Nawet takich starych, zapomnianych

mogił z drewnianymi krzyżami, o których mało kto wie - zrujnowanych mogił, których nikt nie odwiedza, na których krewni nie składają kwiatów i o które nie dbają. Wharton na pewno o nich wie: zna wszystkie stare obiekty w tej okolicy. Na domiar złego może wiedzieć, kto jest w nich pochowany, i skontaktować się z rodzinami nieboszczyków.

Ale chyba nawet Wharton tego nie wie. Groby były zbyt stare i zaniedbane. Od sześćdziesięciu lat nikogo tam nie chowano. Najświeższą datą, jaką znaleźli z Vep-pem na prymitywnym drewnianym nagrobku - a raczej deskach - był rok 1899. I tylko jedno nazwisko było znajome. Reszta rodzin musiała się stąd dawno wyprowadzić. Fakt, dookoła leżały szklane słoje... Przyszło mu do głowy, że są one dowodem na to, iż część krewnych odwiedza to miejsce, przynosząc polne kwiaty. Vepp był odmiennego zdania. Twierdził, że słoje zostawili zbieracze runa leśnego, którzy zakradali się tam, by pić tanie wino. Zbieracze runa leśnego, młynarze, mleczarze upodobali sobie to miejsce, ponieważ nikt tam nie przychodził.

Ten cmentarz należy do wszystkich. Jest częścią historycznego dziedzictwa. Mamy prawo do tych kości, tak samo jak do indiańskich przedmiotów: grotów strzał i granitowych narzędzi. Starszych niż tamte kości.

Jesteśmy potomkami tych ludzi, uznał. Odziedziczyliśmy to wszystko, łącznie z drewnianymi nagrobkami. Są nasze, jeśli je zechcemy.

Niosąc łopatę, szeryf Christen piał się mozolnie pod górę na czele grupki ludzi. Za nim szedł weterynarz, doktor Heyes, potem Dudley Sharp z University of California i nauczyciel Wharton. Pochód zamykał Leo Run-cible z Sethem Faułkiem.

Cmentarz otaczał płot z drutu kolczastego. Porośnięte wysokim, brązowym owsem zbocze wzgórza było niedostępne dla bydła. Na zewnątrz ogrodzenia z drutu kolczastego postawiono drugi płot z desek, wzdłuż którego bujnie rosły krzaki jeżyn. W niektórych miejscach jeżyny podeszły prawie pod drut kolczasty; miały grube i czarne owoce. Wśród krzaków



Runcible wypatrzył nory susłów.

Ze zdumieniem zobaczył też, że kilka drewnianych krzyży, niemal zupełnie zasłoniętych przez owies i jeżyny, znajduje się poza drucianym ogrodzeniem. Zastanowił się, czy ktoś oprócz niego również je dostrzegł.

- Ten, kto postawił ten płot, musiał przeoczyć tych kilka grobów - odezwał się Wharton. On także je zauważył. - Być może są to najstarsze groby na tym cmentarzu, ale trudno to stwierdzić, bo nie ma na nich dat. W ogóle nie ma na nich żadnych napisów - rzucił przez ramię, wspinając się polną drogą.

Na środku cmentarza królowała pojedyncza budowla, zdaniem Runcible'a wzniesiona z granitu lub marmuru. Kamienne bloki były jednak tak brudne i zniszczone przez czynniki atmosferyczne, że pośrednik nie umiał sobie wyobrazić, jak początkowo wyglądały. Po obu stronach dostrzegł witrażowe okna i kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że przedstawiają scenę religijną: modlącego się anioła. Na ścianie znajdującej się naprzeciwko ścieżki widać było żelazne drzwi zamknięte na łańcuch i kłódkę. Przed nimi stały kamienne dzbany, z których sterczały zasuszone kwiaty.

Nad drzwiami biegł napis z mosiężnych liter: ANGE-LO BASTIONI. Niżej po bokach mniejszymi literami napisano: THEA BASTIONI, TULLIO BASTIONI, AN-GELO BASTIONI JR., LUCIANO BASTIONI, MARIO BASTIONI, GIA BASTIONI.

Najprawdopodobniej było to kiedyś miejsce pochówku tej bogatej rodziny. Innych, mniej znaczących zmarłych chowano tu po kryjomu, kiedy Bastioni nie patrzyli. Runcible'owi nic nie mówiło to nazwisko. O ile wiedział,

nikt taki nie mieszkał obecnie w okolicy. W ogóle nigdy nie spotkał nikogo o takim nazwisku.

- Rodzina Bastionich posiadała tutaj majątek ziemski, który nadał jej rząd meksykański. Bardzo duży majątek, który obejmował większą część okolicy - powiedział Wharton. Rzucił na ziemię łopatę i uklęknął obok ścieżki, żeby zawiązać sobie sznurowadło. Idący na czele szeryf Christen dotarł do furtki w ogrodzeniu. Uniósł haczyk i uchylił ją, wpuszczając pozostałych na teren cmentarza.

- Tam po prawej stronie rośliny są zdeptane - zauważył weterynarz.

- To fascynująca rzecz taki stary, opuszczony cmentarz - powiedział Dudley Sharp do Runcible'a. - Z którego roku, pańskim zdaniem, pochodzą najstarsze groby?! - zawołał do

Whartona.

- Z około 1800 - odparł Wharton. - Pokażę je panu. - Poprowadził antropologa i weterynarza zarośniętą owsem, żwirową ścieżką do wyżej położonej części cmentarza. Znajdował się tu rozległy płaski taras zarośnięty niemal w całości olbrzymimi krzakami dzikiej róży, wśród których ukrytych było kilka marmurowych nagrobków.

- Widziałem te róże z drogi i zawsze mnie ciekawiło, co się tu znajduje - oświadczył Seth Faulk.

- Trzeba było przyjść i zobaczyć - stwierdził Runcible i ruszył pod górę, żeby dołączyć do reszty.

- Nic się tam nie dzieje, o czym mógłbym napisać - odpowiedział Faulk, ruszając za pośrednikiem.

Szeryf przeszedł się wzdłuż różanych krzewów. Ciężkimi butami przydepnął kolczaste gałęzie i przedostał się na drugą stronę. Tutaj różane krzewy łączyły się z krzakami jeżyn, tworząc ścianę, pod której ciężarem, jak zauważył Runcible, zawaliło się ogrodzenie z drutu kolczastego. Szeryf zaczął sobie torować drogę łopata i po chwili jego postać zniknęła za ścianą ciernistych roślin.

- Doły mogli zakopać, ale nie zasadzili z powrotem roślin. Trzeba więc szukać miejsc, gdzie widać gołą ziemię - rzekł Wharton.

Weterynarz, Seth Faulk i Wharton skierowali się na prawo. Z powodu nachylenia terenu nie było widać, co się tam znajduje. Runcible i Sharp zostali na środku cmentarza, niedaleko grobowca Bastionich. Obaj mieli łopaty,

- Szkoda, że nie przyjechałem tutaj wcześniej - stwierdził antropolog. - Ciekawe, co jeszcze można znaleźć?

- Wszystko, co pan chce - rzucił Runcible na odczepnego. Zauważył skrawek gołej ziemi i ruszył w tamtym kierunku.

Obok grobowca Bastionich natknął się na otwarty grób. Kopiec usypany z wykopanej ziemi był jednak porośnięty kępami roślin, dół zatem musiał się tu znajdować od dawna, uświadomił sobie Runcible. Miał równe ściany, a więc był to zapewne grób przygotowany pod następny pochówek. Nie został jednak wykorzystany.

- Myślałem, że znalazłem - powiedział do Sharpa, który przyszedł w ślad za nim.

W oddali usłyszeli głos szeryfa.

- Woła, żebyśmy do niego przyszli - rzekł Runcible i ruszył w tamtym kierunku. Idąc ścieżką wyrąbaną przez szeryfa, doszedł do zniszczonego płotu. Zardzewiały drut pękł mu pod stopami. Przydepnął jego końce, żeby umożliwić przejście antropologowi, który szedł za nim, ostrożnie rozgarniając kłujące gałęzie. Na prawej dłoni widać było krew. Musiał się skaleczyć drutem kolczastym albo kolcem róży.

Znaleźli szeryfa Christena stojącego nad krawędzią płytkiego, podłużnego wykopu i grzebiącego w ziemi ostrzem łopaty. Tu i ówdzie walały się kawałki przeżartego przez termyty szarego drewna. Po trawie nie było śladu. Ktoś tu ostatnio kopał.

- Tb może być to miejsce - odezwał się szeryf. Bez trudu wbił łopatę. Ziemia nie była ubita.

Po drugiej stronie różanych krzaków pojawił się Whar-ton i zawołał do nich:

- Za ogrodzeniem znaleźliśmy ślady niedawnego kopania!

- My też - odpowiedział mu Christen. Nie przestawał grzebać łopatą w ziemi. W końcu chwycił ją oburącz i wbiwszy ostrze nogą, wydobył kupkę ziemi i odrzucił ją na bok. - Pomożesz mi? - zapytał Runcible'a.

Obaj zaczęli kopać. Sharp odszedł kawałek, żeby obejrzeć stojący tam drewniany krzyż.

- Zastanawiam się, czy tu też nie powinniśmy zajrzeć - powiedział do nich. - Wygląda na to, że wyjęto go, a potem włożono z powrotem. - Uklęknął i pociągnął za krzyż, który po chwili wyszedł lekko z ziemi; odłożył go na bok. - Tutaj też byli - oświadczył. - Najprawdopodobniej rozkopali wiele grobów. Po otworzeniu pierwszego szło im łatwiej. Te małe trumny są zakopane jedna obok drugiej. Praktycznie się ze sobą stykają.

Szeryf z Runcible'em wykopali dół o głębokości około metra. Nie było to trudne zadanie, ponieważ ktoś inny niedawno kopał w tym samym miejscu. Lecz teraz dotarli do gliniastego podłoża i praca szła im wolniej. Aby wbić łopaty w glinę, musieli ją najpierw rozbić ostrzami, a potem, opierając się na nich całym ciężarem ciała i ruszając nimi w przód i w tył, mogli podważyć kolejną warstwę ziemi.

- Może zaczęli tu kopać, lecz zrezygnowali - powiedział Runcible.

Usunęli całą miękką ziemię i nie znaleźli żadnych kości. Albo rabusie grobów zabrali wszystkie szczątki z tego miejsca, albo dotarli na tę głębokość, zrezygnowali z dalszego kopania. Powinny tu być trumny, pomyślał Runcible. Bez nich nie można było dokonać pochówku. Nawet w 1800 roku nie wrzucano ciał do dołu i nie zakopywano bez trumny. Tylko Indianie

postępowali tak ze zwłokami swoich zmarłych. Ale to nie są indiańskie

groby, lecz mogiły białych farmerów, którzy przeszli przez górę, żeby się tu osiedlić.

- Ciekawe, że splądrowali akurat te groby - zwrócił się Runcible do szeryfa.

- Były najbiedniejsze - odparł szeryf. - Pewnie doszli do wniosku, że tak będzie uczciwiej.

Nikt się o nie nie upomni. A jeśli nawet, to nic im nie robi. Mieli dość rozumu, by się trzymać z dala od krypty na środku cmentarza.

Wyglądało na to, że nic więcej interesującego tu nie znajdą. Zasyпали więc z powrotem dół i wrócili do Heysa, Whartona i Faulka, którzy stali nad drewnianą trumną. Odłożywszy łopaty, oglądali ją uważnie.

- Czy powinniśmy ją otwierać, jeśli tamci tego nie zrobili? - zastanawiał się Wharton.

- Myślę, że była otwierana- stwierdził weterynarz. Pociągnął za wieko, które lekko się uniosło. - Lepiej się odsuńcie - powiedział, po czym zwrócił się do szeryfa: - Czy mam pańską zgodę na jej otwarcie?

- Otwieraj pan - odparł szeryf.

Faulk i Heyes otworzyli trumnę. W środku leżał nietknięty szkielet. Na lewej ręce zobaczyli złotą, prawdopodobnie ślubną obrączkę. Poza tym w trumnie znajdowały się resztki butów, pasa, strzępy ubrania i kawałki skóry.

- Mogę spojrzeć? - zapytał Sharp, kładąc rękę na ramieniu Runcible'a. Pośrednik zrobił mu miejsce i archeolog przyjrzał się uważnie szczątkom.

- I co? - zapytał Faulk.

- Nic - odparł Sharp. - Jeśli o mnie chodzi, można zamykać.

- Ale oni tu zaglądali - zaprotestował Runcible.

- Trudno powiedzieć - rzekł Wharton. - Ta stara trumna jest bardzo zniszczona.

Kopali dalej. Zdjąwszy warstwę ziemi po prawej stronie, natrafili na drewniany krzyż. Był tak zniszczony, że

wryte na nim napisy były zupełnie nieczytelne. Najprawdopodobniej dawno temu przewrócił się podczas zimowej ulewy i został zasypany.

Pół godziny później znaleźli w ziemi kupkę kości.

- To chyba stąd zabrali czaszkę - zauważył weterynarz. Czaszki nie znaleziono, pomimo że sześciu mężczyzn przekopało cały teren dookoła.

Sharp rozłożył kości na kawałku płótna. Przez dłuższy czas siedział nad nimi zatopiony w

rozmyślaniach, nie zwracając uwagi na kopiących mężczyzn.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał go Christen.

- Cóż, brakuje czaszki - odpowiedział. - Możliwe, że zakopano tutaj zwłoki bez głowy. Powiem panu, czego szukam. - Wstał i ponownie chwycił za łopatę. - Chciałbym znaleźć nietknięty szkielet, który byłby podobnie zdeformowany jak kości znalezione przez pana Runcible'a, ale który nie miałby na sobie śladów obróbki. Zależy mi zwłaszcza na czaszce. - Miał zasępioną twarz i marszczył czoło.

- No to musimy zajrzeć do kolejnych trumien - zauważył Faulk.

- Owszem - odparł Sharp. - O ile możemy to zrobić.

- Dobra, kopmy dalej - powiedział szeryf po chwili namysłu.

Pracowali przez cztery godziny. Gdy nabrali wprawy, odkryli, że można się dostać do trumien, nie wyciągając ich; ustalwszy położenie trumny, szybko ją otwierali i przechodzili do następnej. Sharp uważnie badał każdy szkielet.

O piętnastej trzydzieści natrafili na trumnę, która była prawie zupełnie zbutwiała. Kiedy unosili wieko, rozleciało im się w rękach. Kawałki przegniłego, miękkiego jak tkanina drewna upadły na ziemię.

- Albo jest taka stara, albo zrobiona z kiepskiego drewna, albo jedno i drugie - stwierdził Christen.

Szkielet był przysypany ziemią, która dostała się do środka przez zbutwiałe drewno. Odgarnąwszy ją, krzyknęli jednocześnie. Momentalnie wszyscy zrozumieli, co miał na myśli Sharp, mówiąc o deformacji.

- Zdaje mi się, że nasi przyjaciele przeoczyli ten szkielet - odezwał się Sharp. - Zaoszczędziliby sobie mnóstwo pracy, gdyby go wykorzystali - dodał, nachyliwszy się.

Runcible odniósł wrażenie, że czaszka ma olbrzymią szczękę. Nie miała jednak podbródka, a jeśli miała, to bardzo mały. I te zęby. Wszystkie wyglądają jak trzonowce, pomyślał. Masywne i kwadratowe, jak w czaszce, którą wykopali z Whartonem w eukaliptusowym gaju.

- Słuchajcie, ten szkielet też może być sfalszowany - powiedział.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Oczywiście - zgodził się weterynarz. - Postąpiliby bardzo sprytnie. Mogli się domyślić, że będziemy tu szukać. - Trzymał się z dala od otwartej trumny.

- Kiedy to się wreszcie skończy? - rzucił ostro Wharton.

- Przekonajmy się - stwierdził Sharp, wodząc palcami wzdłuż kości policzkowych czaszki.

Łuki brwiowe, pomyślał Runcible. Owszem, wygląda jak czaszka neandertalska, ale nią nie jest. W ciągu ostatnich kilku tygodni obejrzał wiele zdjęć takich czaszek. Ta była inna. Choć odkryto wiele ras neandertalskich, a nawet krzyżówki neandertalczyków i prawdziwych ludzi, ta czaszka nie mogła być nazwana neandertalska. Mieli do czynienia z deformacją, a nie z cechami rasowymi. Z zaburzeniem funkcji gruczołów, jak u tego zapaśnika. Co to było...? Tarczyca? Brak jodu w dzieciństwie czy coś w tym rodzaju.

- Zastanawiam się, jak on jadł- powiedział Seth Faulk.

- Słusznie się zastanawiasz - odparł weterynarz.

- Słuchajcie, nie podniecajcie się. Od razu warn mówię, że to czaszka Homo sapiens - oświadczył Sharp.

Wszyscy kiwnęli głową.

- Był niewysokim mężczyzną - ciągnął antropolog. -Prawdopodobnie nie chodził w pozycji całkowicie wyprostowanej. Wały nad oczodołami. Szczeka. Prawdopodobnie miał przez nią kłopoty z mówieniem.

- Panuje przekonanie, że neandertalczycy krzyżowali się z ludźmi - powiedział Runcible.

- Owszem- zgodził się Sharp.- Wskazują na to szczątki, jakie znaleziono po wojnie. - Obejrzał kości nóg. - Myśli pan, że mamy do czynienia z krzyżówką rasową? Neandertalczyka i Homo sapiens! - Umilkł na chwilę, po czym powiedział: - Czy nikt z was nie widział nigdy kogoś podobnego w tej okolicy? Jakichś ludzi, tu urodzonych, z takim rodzajem deformacji?

Wszyscy zaprzeczyli.

- Kim są najstarsi mieszkańcy w tej okolicy? Czy są tu jakieś niedostępne tereny? Jakies knieje, ostępy? Zapomniana farma leżąca gdzieś na uboczu w górach?

- Pomyślmy- zastanowił się szeryf.- Jest stare miasto.

- Jakie stare miasto? - zapytał Sharp. Oczy mu rozblęły, jakby ze strachu.

- Stare Carquinez - wyjaśnił Wharton. - Znajduje się po drugiej stronie gór, nad oceanem.

- Nad estero- uściślił weterynarz.

- Czy ktoś tam teraz mieszka?

- Kilku biednych, starych, schorowanych ludzi - powiedział weterynarz. - To niemalże

kompletna ruina.

- Parę opuszczonych chałup - dodał Runcible.

- Wciąż utrzymują się z łowienia ostryg - powiedział Wharton. - Robią to tak samo jak dawniej Indianie.

- Pojedźmy tam - zaproponował Sharp. - Może mają jakieś stare zdjęcia albo dagerotypy.

Ludzie ze wsi przechowują takie rzeczy.

- Owszem - potwierdził weterynarz. - W jednej z chałup widziałem zdjęcia na kominku.

- Przyjrzał im się pan? - chciał wiedzieć antropolog.

- Przedstawiły brzydkich starych ludzi w czarnych ubraniach. Z poważnymi minami.

Wie pan, jak takie zdjęcia wyglądają.

- Cóż, trzeba je obejrzeć. Kto wie, może nie wiem.

## Rozdział szesnasty

Z okna salonu Walter Dombrosio obserwował orszak żałobny opuszczający dom Runcible'a. Na przedzie jechał szeryf Christen, potem doktor Heyes i Seth Faulk w furgonetce weterynarza, następnie Runcifole w swoim dobrze znanym studebakerze i na końcu Wharton i Sharp w kombi nauczyciela. Kiedy samochody przejeżdżały obok jego domu, Dombrosio zobaczył na siedzeniach narzędzia do kopania: łopaty i szpadle.

Procesja zrobiła na nim wrażenie oficjalnej misji. Widok samochodu szeryfa z emblematem na drzwiach, specjalną tablicą rejestracyjną i anteną radiową zawsze wywierał na nim szczególne wrażenie. A teraz jechał on na czele innych aut, zmierzając w stronę cmentarza. Nie miał wątpliwości: wiedział, dokąd jadą. Wyszedłszy na werandę, patrzył, jak zjeżdżają w dół do stacji benzynowej i przy wjeździe na szosę skręcają w prawo. We właściwym kierunku.

Nawet redaktor gazety z nimi pojechał, choć wcale nie lubi Runcible'a, pomyślał. Przekabacił wszystkich, którzy się liczą.

Orszak wolno jechał szosą, aż w końcu skrył się za drzewami.

Trzymając ręce w kieszeniach, Dombrosio zszedł z werandy i ruszył drogą. Po chwili szedł w dół, stawiając długie kroki.

Mnie to zawdzięcza, uświadomił sobie. Zyska wiekopomną sławę. Carquinez wejdzie do historii dzięki jego - j e g o! - znalezisku, podobnie jak Heidelberg, który stał się sławny za sprawą znalezionej tam czaszki.

Czy nazwą ją czaszką Runcible'a, czy czaszką z Carquinez, tak czy owak jego nazwisko znajdzie się w encyklopediach. A ja będę jak ten szofer, który znalazł plakietkę ze statku Drake'a. Nikt nawet nie pamięta jego nazwiska; jest po prostu „szoferem, który znalazł plakietkę”. Człowiekiem, który szukał kawałka metalu, aby uruchomić akumulator w samochodzie swojego szefa.

A ja nawet nie mogę za nimi pojechać. Mogę jedynie iść. Kto wziął mój samochód? - zadał sobie pytanie. Kto mi go ukradł? Moja żona.

Szedł w dół - coraz wolniej, ale jednak szedł. Po co mam wracać do domu i starej deski kreślarskiej? - zadał sobie pytanie. Do czego mam wracać? Do nic nie znaczących projektów? Pułapek na przepiórki? Krowich przebrań? Jakich teraz... brązowych? - pomyślał. Muszę mieć



stale zajęte ręce, palce, bo inaczej napytani sobie biedy. Zostanę upokorzony. Co za wstyd.

Przeraziła go banalność tych myśli, ich straszna intelektualna pustka. Zwłaszcza w takiej chwili. Nie, pomyślał, muszę się stać żywicielem rodziny, dać z siebie wszystko, jak wszyscy inni mężowie. Nie dopuścić do rozpadu rodziny. Nie zatrzymując się, wyszarpnął ręce z kieszeni; szedł ze spuszczonej oczami, wpatrując się w ręce, stopy i drogę.

Warkot. Hałas w dolinie. Nie podniósł wzroku. Nasłuchiwał jednak. Przysłonił ręką oczy. Spojrzał na zegarek. Trzynasta trzydzieści.

Hałas przypominał odgłos silnika alfy. W oddali na prostym odcinku szosy widać było poruszającą się czerwoną kropkę. Sherry nie mogła tak wcześnie wrócić do domu. To prawdopodobnie ktoś zmierzający do Point

Reyes, pomyślał. Zobaczył, że samochód dojechał do stacji benzynowej Chevrona, ale nie skręcił na drogę pod górę. Jechał dalej prosto. Nie była to więc Sherry. Miał rację.

Obserwowany przez niego samochód zwolnił. Skręcił w następną drogę, Bluff Road, która prowadziła na niewielkie wzniesienie, gdzie stało kilka domów. Nikt z tamtejszych mieszkańców nie ma alfy, pomyślał. Ktoś z miasta przyjechał do nich z wizytą. Tylko że nigdy wcześniej nie widział tu ani nie słyszał innego samochodu tej marki, a ta alfa poruszała się na drodze tak pewnie i szybko, że trudno było mu uwierzyć, iż jej kierowca jest tu po raz pierwszy. Obcy nie jechałby tak szybko tą wąską i krętą drogą, pomyślał.

Na chwilę stracił samochód z oczu, wóz schował się za wzniesienie. Wciąż go jednak słyszał. Nagle dźwięk się urwał. Alfa zatrzymała się przed jednym z domów.

Czy znamy kogoś w tej okolicy? - zastanowił się.

Dojdę tam w pół godziny, postanowił. I tak nie mam nic do roboty, bo ona wszystkiego mnie pozbawiła.

Tam mieszka Dolly Fergesson, przypomniał sobie, a ona i Sherry są wielkimi przyjaciółkami.

Biorąc głęboki oddech, przyśpieszył kroku.

Gdy wyszedł zza zakrętu na Bluff Road i ujrzał dom Fergessonów, tak jak się spodziewał, zobaczył przed nim czerwoną alfę. Dopiero teraz mógł odczytać numer rejestracyjny. To było jego auto. Jego żona przyjechała do Dolly. Coś musiało się stać, powiedział sobie. W przeciwnym wypadku nie urywałaby się z pracy w środku dnia. Ciężko dysząc i sapiąc, ruszył pod górę do samochodu.

Na przednim siedzeniu, zupełnie na widoku, leżała duża skórzana torebka Sherry. Przez chwilę stał nieruchomo, opierając ręce na drzwiach samochodu i starając się złapać oddech.

Musiała się naprawdę śpieszyć, skoro zostawiła torebkę w samochodzie, pomyślał. Raptem uświadomił sobie, że wie, co się stało. Żeby się upewnić, musiał tylko zajrzeć na chwilę do torebki i zobaczyć, czy jest tam mała biała kartka.

Schylił się i otworzył torebkę. Kartka leżała na wierzchu. Miał rację. Wziął ją do ręki. Sherry miała na dzisiaj wyznaczoną wizytę u lekarza. U doktora Gorme, ginekologa. Zgadza się, jest w ciąży. Oczywiście pognała do Dolly, żeby się z nią naradzić.

Wbiegł po schodach. Jeszcze będąc za drzwiami, usłyszał ich głosy. Otworzył drzwi. Obie siedziały na kanapie: Dolly w starych spodniach i z włosami związanymi w koński ogon, a jego żona ubrana jak do pracy - w garsonce i szpilkach. Stając w progu, zobaczył, że obie kobiety podskoczyły na jego widok. Twarze im zastygły, przestały rozmawiać.

- Mam nadzieję, że to chłopiec - oświadczył.

Jego żona pobladła, lecz nie odpowiedziała. Nie zareagowała też w żaden inny sposób.

- Cześć - powiedział do Dolly, która lekko skinęła mu głową,

- Coś ci powiem - odparła Sherry i krótko się zaśmiała. - Na pewno nie będzie to chłopiec.

- Dlaczego nie? - zapytał i w tym momencie jego wzrok padł na książkę telefoniczną, leżący na kanapie aparat telefoniczny z ciągnącym się po ziemi sznurem, ołówek i kartkę papieru; nie dokończoną notatkę leżącą na kolanach Sherry. Podszedł do żony, chwycił ją za ramię i brutalnie ciągnąc, zmusił do wstania. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Idziemy - rzucił. - Dobrze? - Ciągnąc ją, przeszedł przez salon. Ogarnięty złością i nienawiścią, złapał ją za kark i wpijając palce w ciało, pchnął ją ku drzwiom.

- Nie popychaj mnie - warknęła na niego, gdy znaleźli się przy drzwiach. Złapała się ich kurczowo obiema rękami.

- Idziemy! - krzyknął, szarpiąc ją za ramię.

- I tak postawisz na swoim, nie rozumiem więc, czemu się tak męczysz - wysapała, gdy oderwał ją od drzwi i kopniakiem wypchnął na werandę.

Racja, uświadomił sobie. Wykręcił jej rękę, aż przestała się opierać i dała się zaprowadzić do samochodu.

- Nie siądę za kierownicą - oświadczyła.

- To ja poprowadzę - odpowiedział, wpychając ją na siedzenie. Szybko obiegnął samochód i

wskoczył za kierownicę. Ale ona nie uczyniła żadnego ruchu, żeby wysiąść; patrzyła przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy.

- Nie chciałem - rzekł, uruchamiając silnik. - Naprawdę nie chciałem. Przykro mi.

- Wcale ci nie jest przykro.

Zawrócił i pojechał w dół. Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało.

- Nie boisz się, że szeryf Christen zobaczy cię za kierownicą? - zapytała w końcu chłodno.

- Nie.

- To moja sprawa, co zrobię z dzieckiem, nie twoja.

- A więc to tak. Dziecko nie jest moje.

- Twoje - rzuciła z niepokojem.

- Na pewno nie Lauscha?

- Na pewno.

- Wszystko mi jedno. Grunt, że jesteś w ciąży. Nie obchodzi mnie z kim.

- Niech cię cholera. Mówisz poważnie.

- Witaj w domu.

- Usunę ciążę. Nie powstrzymasz mnie. Dolly w zeszłym roku, kiedy zaszła w ciążę, też ją usunęła.

- Nie dopuszczę do tego. Myślisz, że żartuję? Zawiozę cię do szeryfa i oskarżę o próbę popełnienia przestępstwa. Próbę zamordowania mojego dziecka.

- Ty kłamco.

- Zabiję cię. Zrobię z ciebie mokrą plamę. I wszyscy staną po mojej stronie, ponieważ to będzie naturalna

reakcja ojca. Naturalna reakcja męża wobec żony, która chciała dopuścić się tak nikczemnego postępuku.

- To tylko twoje słowa. Wszystkiemu zaprzeczę. Wiesz, co powiem? Powiem, że kiedy się dowiedziałeś, iż jestem w ciąży, wpadłeś we wściekłość i mnie pobiłeś. I poroniłam.

- Wezwę na świadka Dolly Fergesson i ona zezna, jak było.

- Dolly jest moją przyjaciółką, nie twoją.

- To nie ma znaczenia. Będzie musiała powiedzieć prawdę.

- Myślisz, że to zrobi? Że przyzna się do aborcji? Poda nazwisko lekarza, który usunął ciążę?

- Jestem pewny, że uzyskam jakiś nakaz sądowy, który cię powstrzyma. Ty jest również moje dziecko.

- Chcesz, żebym była w ciąży, abym nie mogła pracować. To całe wzniosłe gadanie... to po prostu zwykła racjonalizacja.

- Nieprawda. Wcale nie ukrywam, że chodzi mi o to, abyś przestała pracować. A poza tym zaręczam ci, że Lausch również nie będzie chciał, żebyś mu się pętała po firmie. Nie ma nic gorszego niż widok grubej baby w ciąży. Byłabyś niezłym wizerunkiem firmy. - Wyobraził ją sobie z wystającym i obwisłym brzuchem i bardzo go to rozbawiło. Powłóczącą nogami i zgarbioną. - Figura ci się pogorszy - stwierdził. - Być może już nigdy jej nie odzyskasz. Nawet po urodzeniu dziecka.

- Jak możesz tak mówić? - wyszeptała z poszarzałą twarzą. - To oburzające, żeby mąż tak mówił do żony.

- To za wszystkie okropne rzeczy, które mi powiedziałaś w przeszłości.

- Nigdy nie atakowałam cię tak brutalnie jak ty mnie - rzuciła z ożywieniem. - Nie kochasz mnie. Nigdy mnie nie kochałeś. Udawałeś tylko.

- Kocham cię.

- Kochasz mnie tylko dlatego, że dzięki temu możesz mnie krzywdzić - powiedziała ze łzami w oczach łamiącym się głosem.

- Nieprawda.

- Pomagasz mi tylko wtedy, gdy musisz. Byłbyś szczęśliwy, gdybym położyła się i umarła. - Spojrzała na niego.

- Wcale nie.

- Dobrze mi tak. Jestem podłą egoistką i mam to, na co sobie zasłużyłam. Ty nie twoja wina. Nie wiem, jak mogłeś ze mną wytrzymać. Nie wiem, jak ktokolwiek mógł ze mną wytrzymać lub kochać mnie. - Wyjęła chusteczkę z torebki i przycisnęła ją do ust, tłumiąc słowa.

- Jestem złą kobietą - oświadczyła. - Wszystko, co robisz, jest reakcją na moje postępowanie. Odpłacasz mi pięknym za nadobne. Kiedy mnie zgwałciłeś tamtego dnia... odegrałeś się na mnie. Na chwilę opuściłam gardę, a ty mnie zaatakowałeś, jak jakieś zwierzę. Jak ko-cur, który skrada się za kotką i gdy tylko ona na chwilę odwróci wzrok, skacze na nią.

- Ładne masz poglądy na życie. Na stosunki między mężczyznami a kobietami.

- Ale to prawda. W ten sposób się na mnie zemściłeś.

- Skoro wiesz, że to zemsta, to nie narzekaj.

- Dlaczego? Czyżby zemsta była cnotą?

- Oko za oko - rzucił. Dojechali do domu i Dombrosio zaparkował samochód na poboczu. Zgasił silnik i otworzył swoje drzwiczki.

- Ja nie wychodzę - oświadczyła Sherry. Chwycił ją za ramię i wyciągnął z samochodu.

- Niech wszyscy zobaczą, jak mnie traktujesz. Wszystko mi jedno. Zachowujesz się jak jakiś pijany prostak, którym zresztą jesteś. - Gdy ciągnął ją do domu, zaczęła mówić podniesionym głosem: - Jesteś prostakiem, który bije żonę. Masz zły gust. W telewizji oglądasz tylko programy dla prostaków, jak Fibber McGee i Molly. Puszczaj mnie! - Na werandzie zdołała mu się wyrwać. Stanęła naprzeciwko niego i obrzuciła go buntowniczym,

pełnym złości spojrzeniem. - Ty mięczakowaty makaro-niarau. - Usta jej drżały. - Ty i ten twój czarny przyjaciel.

Zauważył, że zawahała się przy słowie „czarny”. Nawet w takim stanie nie potrafiła się zmusić do powiedzenia „czarnuch”. Chciała tak powiedzieć, ale było to ponad jej siły.

- Chciałaś powiedzieć „czarnuch” - rzucił.

- Nigdy bym tak nie powiedziała! - krzyknęła z wściekłością. - Ale ty owszem.

Otworzył drzwi, wepchnął ją do środka, po czym zatrzęsął je za sobą.

- Nie potrafiłeś pobić Lauscha, więc zamiast tego bijesz swoją żonę. Bijesz bezradną kobietę, która na dodatek jest w ciąży.

- Byliśmy z Lauschem dobrymi przyjaciółmi, dopóki ty się nie pojawiłaś.

- W porządku, nienawidzisz mnie. - Odsunęła się od niego i podeszła do stolika znajdującego się obok lampy, na którym stały modele statków, które Dombrosio zbudował w szkole średniej. Przez te wszystkie lata skrzętnie je przechowywał. Zauważył, że skupiła na nich wzrok i opuściła rękę. Wiedział, co zamierza zrobić. - Myślisz, że przejmuję się uczuciami chłopca, który nigdy nie wydorósł?- zapytała, sięgając po jeden z modeli.- Co robisz, kiedy się zamykasz w warsztacie? Założę się, że zabawiasz się sam ze sobą. Myślę, że wciąż to robisz - powiedziała i rzuciła modelem, który poszybował w jego kierunku.

Nie próbował go złapać. Zamiast tego sięgnął po stojące obok krzesło, białe nowoczesne krzesło z prostym oparciem, i rzucił nim w żonę, celując w głowę. Sherry wpatrywała się w lecący mebel, który cicho zmierzał w jej kierunku. Krzesło uderzyło ją nogami w klatkę piersiową. Dombrosio nie widział dokładnie, co się stało... Jeszcze zanim ją trafiło, biegł przez salon w

jej kierunku,

wyciągając ręce, by złapać ją w ramiona. By ją ochronić, by wynagrodzić jej krzywdę.

- Kochanie! - zawołał, próbując przytulić żonę, która stała jak oniemiała z pobladłą twarzą. Krzesło leżało u jej stóp. - Przepraszam - wyszeptał. - Kocham cię. Przestańmy się kłócić.

- Najlepiej, gdyby któreś z nas umarło - stwierdziła. Twarz miała wykrzywioną z bólu. - Mogłeś mnie zabić - powiedziała śpiewnym, zbolalym głosem.

- Wiem - przyznał. Wciąż próbował ją chwycić w ramiona, ale mu się wymknęła. Sprawiając wrażenie, jakby w ogóle go nie zauważyła, zrobiła krok do tyłu, poza zasięg jego rąk, - Pozwól się przytulić.

- Po co? Żebyś znowu zrobił mi krzywdę?

- Nie. Przepraszam.

- Nigdy ci nie wybaczę, że tak się nade mną znęcasz. Pożałujesz tego. Lepiej odejdz, bo mam zamiar zamienić twoje życie w piekło.

- Możliwe.

- Mówię poważnie - powiedziała trochę ciszej. Uspokoila się. Przyłożyła rękę do piersi, - Tu we mnie tkwi zło. Zła strona mojej natury. Pragnę ci po dwakroć odplacić za wszystkie krzywdy, jakich od ciebie doznałam. Nie powinienes ze mną zostawać. Jestem chora. Wiem to. Jestem chorą osobą. Wszystko to moja wina, cała ta okropna kłótnia. Sprowokowałam cię tym mówieniem o aborcji. Miałeś prawo zbić mnie za to. To, co chciałam zrobić, jest grzechem. Przestępstwem. To twoje dziecko. - Mówiła coraz ciszej, tak że z trudem ją słyszał. -Masz rację. Trudno inaczej zareagować, gdy ktoś ci mówi, że zabije twoje dziecko. Gdybym była prawdziwą matką, w ogóle nie rozważałabym kwestii aborcji. Wszystko przez tę okropną Dolly Fergesson... Jakie puste życie prowadzi ta kobieta. Nie ma dzieci, wychodzi jedynie na lunch i do fryzjera. I kupuje sobie ciuchy. Nic właściwie nie robi. Żal mi jej męża.

Oboje umilkli. Dombrosio nie próbował dotknąć żony, która stała zamyślona, masując sobie klatkę piersiową.

- Myślę, że mnie jednak kochasz - odezwała się.

- Tak. Kocham cię.

- Nienawiść, którą czujesz, nie jest tak naprawdę skierowana przeciwko mnie. A wiesz przeciwko komu? To tłumiona nienawiść, którą czujesz do Runcible'a, a ponieważ nie możesz się

do niego dobrać, wyładowujesz się na mnie, bo jestem tutaj... bo jestem pod ręką. Powinnam ci do tego służyć. Do tego służy dobra żona. Pozwala mężowi, żeby wyładował na niej swoje lęki i złość. W ten sposób chroni go przed światem.

Nie odpowiedział.

- Nie mam racji?- zapytała, zacinając się.

- Nie. Ja naprawdę cię nienawidzę.

- Nie wierzę ci. Ty mnie kochasz. Sam przed chwilą mi to powiedziałeś.

- Czuję i miłość, i nienawiść.

- To niemożliwe. To są wykluczające się uczucia. Mężczyzna, który kocha swoją żonę - naprawdę kocha - nie powiedziałby czegoś takiego. - Obrzuciła go bezradnym, zrezygnowanym spojrzeniem. - Nie pozwolisz mi usunąć ciąży? - zapytała.

- Nie.

- Nie możesz mnie powstrzymać. Mogę zrobić wiele rzeczy, na przykład skakać ze schodów. To wywoła poronienie. A potem znowu wrócę do pracy. Nie zrezygnuję z niej. Przepraszam, wiem, że źle postępuję, ale zrobię to. Nie dam się tu uwiązać, by wmuszać szpinak twoim zasmarkanym bachorom, jak jakaś gruba, rozmamłana kuchta.

- To wiesz, co zrobię? Sprzedam samochód.

- Alfę?

- Tak - odparł. Wziął telefon i usiadł z nim na kanapie.

- Potrzebujesz na to mojej zgody.

- Na dowodzie rejestracyjnym jest napisane, że może to zrobić albo Sherry Dombrosio, albo Walter Dombrosio.

- Jeśli go sprzedasz, to kupię nowy samochód.

- Za co?

- Za pieniądze, które dostaniemy ze sprzedaży alfy.

- Dostaniemy za mało, żeby kupić nowy samochód. Już ja się o to postaram.

- Kiedy dostaniesz z powrotem prawo jazdy, będziesz chciał znowu jeździć. Pożałujesz, że sprzedałeś samochód. Nie poradzimy sobie bez auta. Nie będziemy mogli zarabiać ani jeździć do miasta. A co się stanie, kiedy nadejdzie czas porodu? Jak dostaniemy się do szpitala?

- Pojedziesz autobusem.

- Zabijesz mnie i doprowadzisz nas do ruiny... Będziemy pewnie musieli sprzedać dom.

- Wszystko mi jedno.
- Dlaczego?
- Po prostu jest mi to obojętne.
- Tyle zachodu, żebym nie pracowała?
- Nie tylko.
- Zgodzisz się, żebym wróciła do pracy po urodzeniu dziecka?
- Zobaczymy.
- Nie obiecasz mi tego? Pokręcił głową.
- Obiecay mi, a ja urodzę to dziecko.
- I tak je urodzisz.
- Proszę.

Nie odpowiedział.

- Powiedz mi w takim razie, że mnie kochasz, a to całe gadanie o nienawiści wzięło się stąd, że byłeś na mnie wściekły.

- Kocham cię.
- Pocałujesz mnie?
- Oczywiście.
- Mówisz poważnie? - Wpatrywała się w niego zachłannie.
- Tak - odparł i pocałował ją. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.
- Boli mnie - poskarżyła się. - Trafiłeś mnie prosto w żebro. Chcesz zobaczyć siniaka?
- Tak.

- Pewnie się jeszcze nie pokazał - odparła cichym, dziecięcym głosem. - Dlaczego jesteś taki brutalny. Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej siły. Jesteś bardzo silny. Mogłeś mnie zabić, wiesz? Zabiłbyś mnie. Myślę, że przez chwilę chciałeś to zrobić.

- Dobrze, że mnie uspokoiłaś.

- Tak. Powstrzymałam cię przed zrobieniem czegoś, czego byś potem okropnie żałował. Nie cieszysz się? - Popatrzyła na niego z nadzieją. - Zapobiegłam naprawdę strasznej kłótni, prawda? Czyli jestem dobrą żoną, nie sądzisz?

- Tak - zgodził się, obejmując ją. - Jesteś bardzo dobrą żoną. - Pogłaskał ją po ramieniu. - Nie martw się tym.

- Wiedziałam - powiedziała, patrząc ponad jego głową na ścianę i tuląc się do niego - ale



chciałam to usłyszeć od ciebie.

## Rozdział siedemnasty

Radiowozem szeryfa Christena jechali do starego miasta nad estero. Zapadały ciemności, kiedy dotarli nad wodę. W oddali widać było dwa przymglone, żółte światła. Znajdowały się tak blisko wody, że Runcible miał wrażenie, iż wystarczy niewielki przybór wody, aby je zgasić. Christen prowadził, a on obserwował światła, zastanawiając się, czy nazajutrz wciąż tam będą.

- Jak oni mogą tu wytrzymać? - zastanawiał się Faulk. - Ja bym dostał szału, gdybym mieszkał na tym pustkowiu.

- Myśli pan, że tutejsi mieszkańcy zgodzą się nam pomóc? - zapytał Sharp.

- Trudno powiedzieć- odrzekł weterynarz.- To zależy od tego, jak im to przedstawimy. Nie rozumiem, czemu chcemy oglądać stare zdjęcia ich dziadków i pradiadków. Musimy wymyślić jakąś historyjkę.

Zajęli się tym podczas dalszej jazdy. Nim dotarli do nabrzeża, ustalili, że powiedzą, iż wpłynęła pewna suma pieniędzy, niezbyt duża, przeznaczona dla któregoś z tutejszych mieszkańców. Nie znają nazwiska tego człowieka, ale rozpoznają go na zdjęciu.

Żadnemu z nich nie wydawało się to przekonujące, ale sądzili, że powinno wystarczyć. Tutejsi ludzie znali szeryfa i weterynarza, toteż powinni uwierzyć, że przyjeżdżają z oficjalną wizytą. To było zapewne ważniejsze

od samej historyjki. Runcible wpatrywał się w ciemność, próbując dojrzeć walące się budynki, chałupy i opuszczone sklepy. Pomyślał, że to jeden z tych terenów, o których chciał zapomnieć. Nigdy tu nikogo nie zawiózł; nie pamiętał nawet, czy sam kiedykolwiek wcześniej tu był. A jednak, pomyślał, musiałem tu być przynajmniej raz.

Po co tu jedziemy? Co mamy nadzieję znaleźć? Chcemy obejrzeć stare zdjęcia, licząc na to, że odkryjemy na nich osobników ze zdeformowaną szczęką. W każdym razie Dudley Sharp tego pragnie. A co reszta z nas będzie z tego miała? - zadał sobie pytanie. Co ja z tego będę miał?

Wiemy już, że kiedyś mieszkali tutaj ludzie o zdeformowanych ciałach, pomyślał. Znaleźliśmy ich kości. Teraz możemy jedynie się dowiedzieć, jak wyglądali za życia. Ale antropolodzy potrafią zrekonstruować ciało na podstawie kości. Prędzej czy później dowiemy się, kto był pochowany w miejscu, w którym wykopaliśmy zdeformowane szkielety. Kim był na przykład człowiek, którego kości Walter Dombrosio podrzucił w moim eukaliptusowym gaju.

Tak, pomyślał, mógłbym poznać nazwisko człowieka, którego czaszkę znalazłem. Mógł to być nawet któryś z Bastionich. Być może sam Angelo Bastioni urodzony w 1835, zmarły w 1895 roku. Zapewne hodowca owiec, mimo swojej niezwyklej szczęki.

Rodzina z wrodzoną deformacją. Przekazywaną z Angela na Gia, z Gia na Rudolfa, z Rudolfa na Petriego. Cóż, pomyślał, obejrzymy kilka starych zdjęć i na tym cała sprawa się zakończy. Potem będę mógł wrócić do swojego biura nieruchomości, a Sharp do Berkeley.

A może, pomyślał, Angelo Bastioni był neandertalczykiem? Albo miał domieszkę krwi mustierskiej odziedziczoną z dawnych, mroźnych wieków. Angelo Bastioni: niegdyś wytwórca krzemiennych toporów, później producent mleka. Obecnie nieboszczyk.

- Może powinniśmy dać sobie z tym spokój - powiedział. - Nie wiem, co możemy na tym zyskać.

- Popieram - odparł weterynarz.

- Zdecydujcie się - odezwał się szeryf. - Robię to dla was, a nie dla siebie. - Zdjął nogę z gazu i samochód zwolnił. - Mam wiele innych spraw na głowie.

- Musimy wyjaśnić tę sprawę do końca. To niezwykle ważne - oświadczył Wharton.

- Do jakiego końca? - zapytał Runcible. - Wiemy, że czaszka była zniekształcona od samego początku. Prawdopodobnie znajdziemy ślad jakiejś dziedzicznej skazy. - Był zmęczony i poirytowany. Rozkopywanie grobów na cmentarzu wyraźnie go zdenerwowało. - Jaki sens ma wywelekanie na wierzch starych tajemnic, że w żyłach mieszkającej tu kiedyś rodziny płynęła zła krew... - Machnął ręką. - Rodziny, której dzisiejsi przedstawiciele mieszkają w okolicy, płacąc podatki w naturze, jak jakieś ćwoki z Oklahomy. Albo gorzej. Jak coś rodem ze Steinbecka.

- Wykluczone, żebyśmy teraz zrezygnowali - powiedział Sharp.

- Dlaczego? - zapytał Runcible.

- Kiedy wiele lat temu znaleziono pierwszą czaszkę neandertalczyka, też początkowo uważano ją za zdeformowaną - oświadczył Sharp.

Szeryf dodał gazu. Runcible opadł na siedzenie. Co mam zrobić? - zadał sobie pytanie. Sprawa wymyka mi się z rąk. Nie mogę powstrzymać tego świra z uniwersytetu od drażenia sprawy. Od kopania i wyciągania starego gówna na światło dzienne.

Nic dobrego nie wyniknie z pętania się po tej obskurnej okolicy. Z zagładania do lichych kurników i rozwalających się nieczynnych sklepów, które od czterdziestu lat nie były naprawiane i odnawiane.

Władze lokalne powinny obłożyć jakimiś restrykcjami tę kupę gnoju, pomyślał. Z przyczyn sanitarnych. Zdrowotnych. Dlatego, że zanieczyszcza nasze środowisko... stanowi zagrożenie dla naszych wypielęgnowanych domów i farm. Przynajmniej powinni ją odizolować. .f

- Gdzie mam się zatrzymać? - zapytał szeryf Christen.

- Przy tamtym domu, w którym palą się światła - odrzekł Sharp.

Nie wejdę tam, postanowił Runcible.

- Ja nie wysiadam - powiedział, kiedy szeryf zatrzymał samochód i wyłączył silnik. - Nie mam zamiaru wchodzić do tego chlewu i zadawać się z typami, których człowiek pierwotny za próg by nie wpuścił. - Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że prawie nie może mówić z wściekłości. Ogarnęła go furia na nich wszystkich.

- Co z tobą, Runcible? - przerwał milczenie Seth Faulk. - Teraz, kiedy sprawa zawiodła nas do tej niezbyt ponętnej, z punktu widzenia handlarza nieruchomości, okolicy, przestała cię ona interesować? Obawiasz się, że może cię to będzie trochę kosztować?

- Kosztować- powtórzył Runcible.- Słuchajcie, to duma powstrzymuje mnie przed postawieniem tutaj stopy. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi handlarzami ostryg. Ktoś powinien spalić te rudery. Boli mnie cała ta sprawa. Naprawdę boli. Zaczęło się od czegoś, co wydawało się ważną kwestią naukową. A co z tego wynikło? Powiem wam. Zadajemy sobie mnóstwo trudu, by udowodnić, że w tej okolicy mieszkają zdegenerowani przodkowie bandy degeneratów. Tylko tyle wyniknie z naszych działań dla ludzkości. Wiecie, jak nazwę takie działanie? Głupotą. Kretynstwem. A nikogo nie interesują kre-tyństwa. Myślicie, że po co wysłałem te wszystkie telegramy, odbywałem rozmowy telefoniczne, spotykałem się z ważnymi w kręgach uniwersyteckich osobami, jak Bowman i Freitas, który - o ile wiem -jest najwybitniejszym w swojej dziedzinie autorytetem naukowym w kraju? Na pewno nie po to, żeby tu przyjechać i stwierdzić, iż czyjś gamoniowaty pradziadek miał szpotawą stopę i z powodu braku podniebienia gadał tak, jakby mu ktoś łokieć wepchnął do gardła.

Jego podniesiony głos został usłyszany przez mieszkańców chaty. Otworzyły się drzwi rudery i na werandzie pojawił się mężczyzna z lampą w dłoni.

- Kto tam? - zwołał surowym, podenerwowanym głosem.

- Szeryf Christen i doktor Heyes, weterynarz - odparł szeryf.

Mężczyzna ostrożnie zbliżył się do nich.

- Co to za hałas? Macie ze sobą jakiegoś pijaka?

- Powinniśmy się zająć istotnymi sprawami - stwierdził Runcible, nie zwracając na niego uwagi.

- Nie można z góry przewidzieć, co okaże się istotne - odpowiedział mu Sharp.

- Musisz się uzbroić w cierpliwość - odezwał się Wharton. - Nie wiemy, jakie rezultaty przyniesie ta wizyta.

- Tak wygląda współczesna nauka - dodał Sharp, wysiadając z samochodu. - Przepraszamy, że pana niepokoiimy - zwrócił się do mężczyzny. - Szukamy pewnego człowieka, ale nie znamy jego nazwiska.

W świetle lampy Runcible zobaczył, że Sharp wita się z mężczyzną. Wharton, a potem Faulk również wysiedli z samochodu. Szeryf pozostał za kierownicą. Weterynarz zawahał się, lecz w końcu też wysiadł z auta i ruszył za Whartonem, Faulkiem i nie znanym mu mężczyzną.

- Chyba pójde z nimi- powiedział szeryf do Runci-ble'a. - Muszę dopilnować tego bubka z uniwersytetu, żeby zanadto nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Ci ludzie mają swoje prawa; też tutaj mieszkają. Mam obowiązek się nimi opiekować. - Wysiadając z samochodu, nachylił się do Runcible'a i szepnął schrypniętym głosem: - Nie podoba mi się ten Sharp. Cały czas szczyrzy zęby. Rozumiesz? - Klepnął po przyjacielsku Runcible'a w ramię, lecz pośrednik nie drgnął, zignorował szeryfa.

Drzwi trzasnęły. Runcible został sam w samochodzie. Sześciu mężczyzn poszło ścieżką w kierunku drucianego ogrodzenia i krytej papą chaty. Światło lampy podrygiwało w ciemnościach.

W sumie odwiedzili trzy małe stare domy. Michael Wharton był zauroczony tą wyludnioną miejscowością. Jego zdaniem otaczała ją aura wieków. Była skansenem ocalałym z przeszłości, a przeszłość zawsze go fascynowała. Ta wyprawa była dla niego czystą przyjemnością.

Ale z pewnością nie jest przyjemnością dla Runcible'a, pomyślał, kiedy usiadł na kanapie w trzecim maleńkim saloniku z takimi samymi lampami, dywanami, matami z frędzlami i kilimami. Za każdym razem pośrednik z obrażoną miną zostawał w samochodzie.

Dopiero tutaj ujrzeli stare zdjęcia. Hodowcy ostryg cieszyli się, że mogą pokazać im wyblakłe, zniszczone albumy przewiązane sznurkami. Rozkładali poźółkłe fotografie, dokładnie opisując wszystkie osoby widoczne na zdjęciu. Cieszyli się jak dzieci, że ktoś się nimi zainteresował. Muszą się tu czuć strasznie samotni, uświadomił sobie Wharton. Tak niewiele im

pozostało w życiu. Tylko kury i owce, barka do połowu ostryg i telewizja. W każdym zagraconym saloniku na stoliczku stał odbiornik telewizyjny, dookoła którego siedzieli członkowie rodziny. Dlatego widzieli tak mało zapalonych świateł. Odbiór pozostawiał wiele do życzenia: obraz był rozdwojony i ziarnisty. Ale tutejsi mieszkańcy cieszyli się, że w ogóle coś widać. Kiedy staruszka opowiadała im o kolejnej ciotecznej babci, raz po raz pokazując palcem na portretowe zdjęcie, stale zerkała na ekran włączonego telewizora. Nie mógł mieć o to do nich pretensji. Sam mimowolnie zaczął patrzeć na Reda Skeltona, który robił coś z wanną.

Odczarował go głos Sharpa.

- Spójrzcie - zwrócił się do niego, weterynarza, Se-tha Faulka i szeryfa. Wharton spojrział na zdjęcie leżące na sofie.

Przedstawiało czterech mężczyzn. Trzej z nich byli zupełnie zwyczajni; przypuszczał, że zdjęcie zrobiono około 1890 roku. Wskazywały na to wąsy mężczyzn. Sfotografowano ich w górskiej chacie: Wharton zobaczył pień, siekiere, deski pokrywające ściany, psa. Wszyscy mężczyźni ubrani byli w kombinezony robocze i mieli surowe, poważne twarze. Czwarty mężczyzna miał gigantyczną szczękę, która rzucała się w oczy nawet na tym starym zdjęciu. Poza tym, pomyślał Wharton, wygląda na zgarbionego i niższego od pozostałych.

Głos staruszki szemrał w tle. Sharp wskazał czwartego mężczyznę i kobieta momentalnie zmieniła temat.

- A, to upiąca bużka - powiedziała.

- To nazwisko? - zapytał Sharp.

Staruszka, która ubrana była w ciemną jedwabną suknię i czarne pończochy, a włosy miała schowane pod chustą, uśmiechnęła się i rzekła:

- Ależ nie. - Można było odnieść wrażenie, że ubawiło ją to przypuszczenie.

- To skąd to przezwisko? Nie znam takiego słowa - zaciekawił się Sharp.

Myślę, że wiem, pomyślał Wharton.

- Łupiąca albo łypiąca - powiedział na głos.

- Upiąca- powtórzyła staruszka.

- Przecież nie ma takiego słowa-zaoponował Wharton

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił inaczej niż „upiąca” - stwierdziła staruszka.

- Gdzie zrobiono to zdjęcie? - spytał Sharp.

- W górach - odparła. Na początku rozmowy staruszka podała im swoje nazwisko, ale

Wharton go nie dosłyszał. - Po przeciwnej, wschodniej stronie pasma. W tamtych czasach to była zupełna dzicz. Prawie nikt tam nie mieszkał.

- Ci ludzie nie byli farmerami, prawda?- zapytał Wharton.

- Nie - odrzekła kobieta. - Łupali kamienie w kamieniołomach. Stąd ich przezwisko. Wszystkich, którzy pracowali w kamieniołomach, tak nazywaliśmy, ale oni nie lubili tego przezwiska. Dostawali szału, kiedy ktoś tak do nich mówił.

- Ale czemu buźka? - dopytywał się Sharp.

- Bo każdy, kto pracował w kamieniołomach, prawie zawsze miał taką szczękę. - Staruszka chciała przejść do następnych zdjęć - najwyraźniej miała jeszcze wielu krewnych do pokazania - ale Sharp nie dopuścił do tego.

- Czy tylko mężczyźni cierpieli na tę przypadłość? -zapytał.

- Nie, kobiety również.

- Czyżby kobiety też pracowały w kamieniołomach? Popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Oczywiście, że nie.

- Czy ma pani więcej zdjęć upiającej buźki? - zapytał Wharton. - Chciałbym je obejrzeć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Myślę, że wygrzebię jeszcze jedno zdjęcie - odpowiedziała staruszka po dłuższym namyśle. - Precisnęła się między nimi i wyszła z salonu. Usłyszeli, jak szpera gdzieś w szufladzie.

Wróciła z plikiem starych zdjęć przewiązanych czerwoną nitką. Usiadła, rozwiązała nitkę i rozłożyła fotografie na kolanach. Wybrała jedną z nich i podała im.

Zdjęcie przedstawiało młodą kobietę. Znów zobaczyli gigantyczną szczękę i gęste brwi. Kobieta miała cieleńce spojrzenie, ponure i obojętne, jakby przytłaczał ją jakiś ciężar. Wpatrywała się w obiektyw aparatu apatycznie i bez zainteresowania. Straszne, pomyślał Wharton. Jakież straszny los ich spotkał.

A teraz, pomyślał, kości tych ludzi spoczywają na cmentarzu pod drewnianymi krzyżami. Tam, gdzie grzebał Walt Dombrosio z Jackiem Veppem; wykopali oni szczątki tych ludzi i unaocznili nam ich istnienie.

- Ta kobieta wygląda jeszcze gorzej - powiedział do

staruszki. W tym momencie przypomniał sobie nazwisko, jakim się przedstawiła i dodał: -

Pani Neeldo.

- To prawda - potwierdziła pani Neeldo. - To zdjęcie zrobiono... - Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, a potem przeniosła wzrok na fotografię przedstawiającą czterech mężczyzn. - Zrobiono je dwadzieścia lat później.

- Czy deformacja powiększała się u nich z wiekiem? - zapytał natychmiast Sharp.

- Tak - odparła staruszka. - Z czasem nie mogli ani jeść, ani mówić.

- Czym się wtedy żywili?

- Och, jedli całe mnóstwo owsianki. Miękkiego jedzenia. Niektórzy z nich nie mieli zębów. Wrywali je sobie.

- Dlaczego? - zapytał Sharp.

- Bo wyraźniej bez nich mówili.

- Co się w końcu z nimi stało? Zdaje się, że nikt z tych ludzi już tu nie mieszka, prawda? Czy wszyscy umarli?

- O ile pamiętam, ostatnia upiająca buźka zmarła w 1923 roku - odparła pani Neeldo po chwili namysłu. - Chwileczkę. Arthur, pamiętasz może, kiedy umarła ostatnia upiająca buźka?! - zawołała w stronę sąsiedniego pokoju.

- Pamiętam. W 1923 roku - odpowiedział męski głos.

- Ale większość z nich już wcześniej się stąd wyniosła - rzekła staruszka.

- Dlaczego? - zapytał Sharp.

- Cóż, to było okropne. I stale się pogarszało. Chorowali wszyscy, którzy mieszkali po tamtej stronie gór. U nas nikt tego nie miał. - Wskazała na jednego z mężczyzn na grupowym zdjęciu, siedzącego obok upiającej buźki. - To mój cioteczny pradziadek. Wszyscy czterej pracowali przy wyrębie lasu. Ten ze szczęką nazywał się Ben Taber. Kiedy zrobiono to zdjęcie, już nie pracował w kamieniołomach. Zamieszkał po drugiej stronie gór, tu w Carquinez.

- Myśleli, że jeśli wyniosą się z kamieniołomów... - zaczął Wharton.

- Tak - przerwała mu pani Neeldo. - Mieli tam małą osadę. Ale drogi były wtedy bardzo złe. Samo błoto.

- Co powodowało deformację szczęki? - spytał Wharton.

- Woda z tamtej strony gór - odparła pani Neeldo.

- Woda - odezwał się po chwili weterynarz.

- Tak - potwierdziła. - Była w niej jakaś sól, która ich zatrutowała. Tę wodę czerpali ze



studni.

- Kamieniołomy są niedaleko Zakątka Biedoty - zauważył weterynarz. Popatrzył na Whartona. - Właściwie obok samego Carquinez.

- Tutaj jest Carquinez - stwierdziła pani Neeldo. -Ach, myśli pan o nowym mieście. Rzadko tam bywamy.

- Dokąd się przeprowadzili? - zapytał Sharp.

- Na północ w stronę Oregonu. Zamieszkali gdzieś na wybrzeżu. Jeśli pan chce, znajdę dla pana nazwę tej miejscowości. O ile wiem, ci ludzie wciąż tam mieszkają.

- Kamieniołomy, woda - odezwał się Seth Faulk. -Zawsze podejrzewaliśmy, że nasza woda jest skażona.

- Mogę zapalić?- zapytał Christen, sięgając do kieszonki na piersi. Wharton nie potrafił powiedzieć, czy szeryf zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Z jego twarzy nic nie można było wyczytać.

- Oczywiście, szeryfie - powiedziała pani Neeldo. -Przyniosę panu popielniczkę. - Wstała i szybko rozejrzała się po pokoju.

Kiedy szeryf, Wharton, Faulk i weterynarz wsiadali z powrotem do samochodu, Runcible popatrzył na nich bez słowa. Odezwał się, dopiero gdy szeryf uruchomił silnik i ruszył w stronę gór.

- I skąd to się wzięło? - zapytał.

- Z wody - odparł Wharton.

- Wiedziałem, że kiedyś przez tę cholerną wodę spuchną nam oczy - stwierdził Runcible.

- Właściciel

przedsiębiorstwa wodociągowego powinien trafić za kratki. Ten jego technik... sam wygląda jak jakiś pokręcony jaskiniowiec. Gorzej niż neandertalczyk: jak ktoś na poziomie sinantropa. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, od razu wiedziałem, że z tą wodą jest coś nie w porządku. Rury, którymi płynie, są czarne jak owcze gówno. Nalejcie jej do szklanki, a zobaczycie, że to pomyje, a nie woda. Nie nadaje się nawet dla zwierząt. Pływa w niej pełno robaków.

- To są jakieś minerały z gleby - powiedział Wharton. Żaden z nich nie miał ochoty na rozmowę.

Wy kretyni, rozmyślał Runcible, wpatrując się w okno. Jesteście bandą kretynów.

Mówiłem warn.

- Powiem warn, co o tym myślę - odezwał się Runcible, przerywając milczenie. Siedząc samotnie w samochodzie, miał dużo czasu na rozmyślenia. - Teraz chyba widzicie, jaki to był kretyński pomysł, żeby pojechać do tej przeklętej dziury i wypytywać tych ostrygowców, którzy nie mają nic do roboty i całymi dniami siedzą na pomoście, narzekając. Nie mam racji? Bądźmy rozsądni. Chyba widzicie, że nie ma sensu dalej dążyć tej sprawy. Wszyscy jesteśmy świadomi, jaki idiotyczny obrót ona przybrała. Mój Boże, nikt sobie tego nie życzy. Nie widzę sensu, by to kontynuować. A wy?

Nikt mu nie odpowiedział.

- Mówię warn, zapomnijmy o całej sprawie - ciągnął Runcible. - Lepiej nie budzić licha. Nie mam racji? Widzicie jakiś sens w tej całej cholernej głupocie? Mówię warn, jeśli mamy trochę rozumu, a wiem, że mamy, powinniśmy czym prędzej zabrać się stąd w diabły. Zgadzać się ze mną? Wracacie za mną? Przestańmy biegać z wywieszonymi językami jak banda wygłodniałych wilków. - A ta twoja gazeta - zwrócił się do Setha Faul-ka - nie stanie się przez to ani większa, ani lepsza. Ani trochę nie przysłużysz się miejscowej społeczności, drukując mnóstwo sensacyjnego gówna o wodociągach i smo-luchu, który chce nas wytruć. Komu to potrzebne? Są sposoby i sposoby. Mówię warn, takie rzeczy najlepiej załatwia się po cichu.

- Na razie mamy tylko opinię jednej starej kobiety - zauważył spokojnie Wharton. - Nie dysponujemy żadnymi dowodami, że to ma, lub miało, coś wspólnego z wodą.

- A widzisz - stwierdził Runcible, rozkładając w ciemności ręce. - Jakaś stara jędza wciska warn kit... Mój Boże, założę się, że przez trzydzieści pięć lat wkuwała te bujdy. Uważacie, że to nauka? Powiem warn, co to jest: bujdy na resorach. Nie sądzicie? - zwrócił się do pozostałych pięciu pasażerów samochodu.

- Dla dobra ogółu lepiej pewnych rzeczy nie nagłaśniać - zgodził się weterynarz.

- O to właśnie mi chodzi- potwierdził Runcible.- Spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, dorosłymi mężczyznami, czy nie? Nie zachowujmy się jak te dupy wołowe z Donkey Hall, które robią gówniar-skie kawały, wkładając kobietom pod spódnicę elektryczne patki. Wszyscy wiemy, że od wielu lat w Kalifornii panuje epidemia dżumy. Ale władze to zatuszowały. Wy też musicie zatuszować tę sprawę. Mieszkamy w tej okolicy. Mamy tu swoje domy. Nasze dzieci chodzą tutaj do szkoły. Nie mam racji?

Wcześniej, gdy siedział sam w samochodzie, miał wrażenie, że te argumenty brzmią

bardzo rozsądnie. Mamy tu swoje rodziny i firmy, powiedział im. Mówił to swoim najbardziej dojrzałym, przekonującym tonem, którego używał w krytycznych chwilach w swojej pracy, gdy klienci zaczynali się wahać i transakcja wisiała na włosku. Gdy się zastanawiali, czy podpisać umowę, czy nie.

- Mamy obowiązki wobec tutejszych kupców, mieszkańców i farmerów - powiedział. - Wobec tego miejsca. - Wtedy zobaczył w ciemności Sharpa, jego sylwetkę rysującą się na tle okna, i pomyślał: Mój Boże, racja. Ten sukinsyn tutaj nie mieszka. Jest spoza hrabstwa.

- Co pan na to, Sharp? - zwrócił się do niego z pytaniem.

Antropolog nie odpowiedział.

- No, mów pan - drążył Runcible. - Czy chce pan rozgrywać jakąś swoją wielką grę, czy też weźmie pan pod uwagę żywych ludzi, którzy tu pracują i mieszkają?

- Ta sprawa winna być zbadana - odparł Sharp.

- Dlaczego? - zapytał Runcible.

- Bo może dostarczyć cennych naukowych informacji.

- Chce pan powiedzieć, że może pan na niej zbudować swój śmierdzący autorytet, czy tak?

Mężczyzna milczał.

- Dobra. Rób pan, jak chcesz. Sprowadź pan tutaj podobnych sobie durniów i razem szwendajcie się po okolicy i grzebcie w ziemi. Kto wie, może nawet coś wykopiecie? Może w końcu udowodnicie, że na przełomie stuleci mieszkała tutaj banda degeneratów, którzy cierpieli na jakąś chorobę kości, bo pracowali w kamieniołomach. Górnicy chorują. A także robotnicy w fabrykach. Może zdoła pan nawet udowodnić, że to gównno, które wywołało tę chorobę, wciąż jest obecne w naszej wodzie, z tym że w mniejszej ilości, gdyż mamy teraz wodociąg zamiast studni. I może nawet powstrzyma pan ludzi od przeprowadzenia się tutaj, bo przecież nikt nie będzie chciał obudzić się pewnego ranka i odkryć, że ma opuchniętą i zniekształconą twarz, że nie może jeść i mówić i że wygląda jak jakiś stwór z Britanniki, który chodził po ziemi przed czterdziestoma milionami albo tysiącami lat, czy ile ich tam było.

- Runcible ma wiele racji w tym, co mówi - stwierdził szeryf.

- Prawda - zgodził się Sharp. - Możemy przeprowadzić ciche dochodzenie. Nie musimy go nagłaśniać.

- Myśli pan, że te śmierdzące gazety, te żółte brukowce z San Francisco goniące za

sensacją pozwolą na to? - zapytał Runcible.

- Przekonamy się - stwierdził Sharp.

- Ty gnoju.

- Spokojnie - wtrącił się weterynarz. - Uspokójcie się.

Wszyscy jesteście gnojami, pomyślał Runcible. Wszyscy jesteście na mojej liście gnojków i przysięgam, na Boga, że musi upłynąć następnych czterdzieści milionów lat, zanim was z niej skreślę. Każdego z was to dotyczy. Całej piątki. Pies was drapał.

Kiedy przejechali przez góry i zbliżali się do autostrady, Runcible przerwał milczenie i powiedział:

- Nie zmartwię się, jeśli będę się musiał stąd wyprowadzić. Zrobiłem cholernie dużo dobrego dla tego miejsca, ale jestem zmęczony. Do diabła z tym, mam już powyżej uszu tych wiejskich ówoków nurzających się po pas w owczym gównie.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał i dopiero Seth Faulk przerwał milczenie:

- Pewnie, co ci szkodzi. Zawsze możesz się stąd wyprowadzić i założyć biuro nieruchomości gdzie indziej.

- Co to ma znaczyć?

- Nie urodziłeś się tutaj - stwierdził Faulk. - Nie łączą cię z tym miejscem żadne prawdziwe związki. Przyjechałeś tu tylko dla pieniędzy. Żeby się szybko dorobić. Wszyscy w mieście to wiedzą.

- To nieprawda - zaprzeczył Wharton. - Nie ma w tym ani krzty prawdy.

- Bądź cicho, Faulk - rzucił szeryf znad kierownicy.

- Nie - zaprotestował Runcible. - Chcę usłyszeć, co ten palant ma do powiedzenia. Posłuchaj, Faulk. Wiesz, co zrobić? Przeszanę zamieszczać ogłoszenia w twoim nudnym, kretyńskim, cotygodniowym brukowcu i wiesz, co się wtedy stanie? Zbankrutujesz.

- Marzenie ściętej głowy - odparł Faulk.

- Jakie mogą być najgorsze konsekwencje tej sprawy? - zapytał Wharton.

- Wszyscy się stąd wyprowadzą i okolica popadnie w ruinę - odparł Runcible.

- Wątpię, żeby doszło aż do tego - stwierdził Christen. - Ludzie przez jakiś czas będą się trochę bali, ale może dzięki temu dorobimy się nowego ujęcia wody.

- Jesteście świrami - rzeki Runcible. - Świrami pierwszej klasy.

Kiedy dotarli do biura Runcible'a, pośrednik otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu,

nie zaszczycając nikogo spojrzeniem. Samochód odjechał, a on poszedł do swego auta. Kiedy do niego wsiadł, uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie stare, robocze ubranie, które nosił podczas kopania. Spodnie miał uwalane ziemią.

Otworzył więc drzwi biura i wszedł do środka. Na zapleczu miał kilka garniturów wiszących w szafie. Zdjął pobrudzone ubranie i włożył czystą koszulę, krawat oraz swój ulubiony, świeżo wyprasowany garnitur. Następnie zamknął biuro i podszedł do samochodu.

Nie chcę tak wyglądać, powiedział do siebie. Jak jakiś włóczęga. Jak jeden z tych zbieraczy owoców lub hodowców ostryg.

Garnitur sprawił, że poczuł się trochę lepiej.

To doprawdy wstrętne, powiedział do siebie. Ta sprawa naprawdę przybrała zły obrót. Wszystko przez tego kretyna Dombrosia. Tego koncertowego kretyna.

Zaraz gdy wszedł do domu, ruszył do gabinetu i wziął książkę telefoniczną.

- Posłuchaj! - zawołał do żony. - Nie pamiętasz czasem nazwiska tego faceta, który jest właścicielem przedsiębiorstwa wodociągowego?!

- Zapomniałam - odparła Janet, wychodząc z kuchni.

Udało mu się zastać w domu technika firmy. Od niego dowiedział się numeru telefonu właściciela. Był to starszy człowiek, obecnie na emeryturze, który mieszkał w Fountain Grove w hrabstwie Sonoma. Nie mieszka nawet w hrabstwie Marin, powiedział w duchu Runcible, kiedy czekał przy telefonie na połączenie.

Nagle w słuchawce odezwał się szorstki męski głos.

- Halo.

- Pan Neroni? - zapytał Runcible. - Przepraszam, że panu przeszkadzam podczas kolacji.

- Proszę się przedstawić - zażądał mężczyzna.

- Nazywam się Leo Runcible. Proszę mnie posłuchać. Chcę panu zaproponować pewien interes. Sprawa jest bardzo pilna - powiedział, wpatrując się w ścianę naprzeciwko biurka - dlatego chciałbym się z panem spotkać jeszcze dzisiaj wieczorem. - Sprawdziwszy godzinę na zegarku, dodał: - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wpadnę do pana o ósmej. Odpowiada to panu?

- Wychodzę z żoną do kina - odparł mężczyzna.

- Ta sprawa nie może czekać - rzekł Runcible. - Chodzi mi o wartość pańskiej firmy wodociągowej w Carqu-inez. West Marin Water Company - odczytał z rachunku za wodę.

- Rozumiem - odparł Neroni. - Coś panu powiem na temat tej przeklętej firmy. Mam mówić szczerze?

- Bardzo proszę.

- Już dziesięć lat z rządu przynosi mi ona same straty. Nigdy zresztą tego nie ukrywałem.

- Tak, wiem.

- Chciałbym, żeby ktoś ją ode mnie przejął. Jej wartość sprowadza się do rocznego odpisu podatkowego. Czy o to panu chodzi? Chce mi pan złożyć ofertę kupna? Nie ma sprawy, sprzedam ją panu. Nie musi pan tu przyjeżdżać, jeśli chce się tego pan dowiedzieć. Możemy od razu ustalić warunki przez telefon albo dam panu adres mojego prawnika i z nim może pan wynegocjować porozumienie.

Odchylając się w fotelu, Runcible powiedział;

- Mówiąc szczerze, nie sędzę, żeby pańska firma wodociągowa była warta kupna.

- Skoro nie chce pan jej kupić, to o co panu chodzi? Po co ta cała rozmowa?

- Przyjadę do pana o ósmej. Być może zawrzemy pewna transakcję. Jestem właścicielem bardzo cennego, nie zagospodarowanego gruntu w okolicy Bolinas. Mogę go panu zaoferować. Jeśli pobuduje się drogi, można go rozparcelować na działki budowlane. Oczywiście jest to zadanie dla biznesmena z żyłką do robienia interesów, który potrafi patrzeć daleko w przyszłość.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, a potem Run-cible się rozłączył. Mężczyzna był wyraźnie zainteresowany propozycją. To nie ulegało wątpliwości. Może się okazać, że dobrze na tym wyjdzie.

Runcible przeszedł z gabinetu do kuchni.

- Kto twoim zdaniem jest najbardziej wpływowym farmerem w okolicy? - zapytał żony.

- Trudno mi powiedzieć - odparła Janet drżącym głosem. - Może Enrico z laguny. Albo Reilly.

- Będą się musieli dołożyć.

- Do czego?

- Do Towarzystwa Uzdatniania Wody w Carquinez -oświadczył. Wrócił do gabinetu i zamknął się w nim. Najpierw wykręcił numer Billa Barona, dziennikarza z „San Rafael Journal”, którego znał od wielu lat i który pisał w przyjaznym tonie o jego neandertalskim znalezisku.

- Posłuchaj, Bili- oświadczył, kiedy go z nim połączono. - Chcesz dobry materiał na artykuł? Naprawdę dobry materiał? Dam ci go. Usiądź wygodniej. Chodzi o wodę.

- Jaką wodę? - powtórzył Baron.

- Ta czaszka, ta tak zwana czaszka neandertalczyka. Gdybym cię tak nie szanował, nie rozmawiałbym teraz z tobą. Siedziałbym sobie gdzieś wygodnie i zażywał dobrze zasłużonego wypoczynku. Pamiętaj o tym. Dobrze? - Umilkł. Wziął głęboki oddech i głośno westchnął. - To ani nie oszustwo, ani naukowe odkrycie. To problem medyczny, który trzeba zdecydowanie i szybko rozwiązać. W glebie jest jakaś toksyczna substancja, która odkłada się w kościach.

- Rozumiem - zainteresował się dziennikarz.

- Chodzi o to, rozumiesz, że trzeba długiego czasu, żeby ta choroba kości się objawiła. Ale musimy postępować ostrożnie. To jest wieś. Trzeba to wziąć pod uwagę. W przeciwnym razie ci rozhisteryzowani idioci podniosą wrzask. - Popatrzył w sufit. - Stworzyliśmy konsorcjum złożone z odpowiedzialnych ludzi, którym leży na sercu dobro naszej społeczności. Mają oni kupić przedsiębiorstwo wodociągowe, które - tak się złożyło - znajduje się w obcych rękach. Trzeba je zmodernizować kosztem dużego nakładu pracy. Chcemy kupić nowe rury, nowe pompy i nowy, absolutnie najlepszy na świecie, system uzdatniania wody. Będziemy regularnie przeprowadzać kontrole.

- Kto za to zapłaci?

- Najbardziej prominentni przedstawiciele naszej społeczności. Ludzie, którzy coś znaczą. Ludzie, którzy myślą o przyszłości. Tym się nie musisz martwić.

- Czy wyrazili zgodę?

- Nie potrzebuję ich zgody. Znam ich. - Opowiedział dziennikarzowi całą historię, podając wszystkie szczegóły, jakie przyszły mu do głowy. Potem zakończył rozmowę i przez chwilę siedział w milczeniu.

Teraz albo nigdy, postanowił. Sięgając po numer z listy, która leżała na biurku, zatelefonował do George'a Enrico z rancza Red Dam.

- Mówi Leo Runcible - przedstawił się, kiedy w słuchawce rozległ się głos Enrico. - Będiesz żałował, że do ciebie zatelefonowałem, ale trudno. Powiem ci dlaczego. Masz chwilę? Lepiej, żebyś miał, George. Chodzi o życie twoich krów, oto dlaczego dzwonię. Powiedz mi, skąd bierzesz wodę: ze studni czy z wodociągu? - Rozparł się wygodnie w fotelu. - Wszystko wskazuje na to, że woda w naszej okolicy jest skażona.

- Wszyscy to wiedzą - odparł Enrico.

- Musimy kupić i zmodernizować te cholerne przedsiębiorstwo wodociągowe -

oświadczył Runcible. - Nie mamy wyboru. Powiem ci, dlaczego. Słuchasz mnie? Ta wiadomość warta jest twojego cennego czasu.

Po rozmowie z Enrico zadzwonił do Reilly'ego, a potem kolejno do następnych najbogatszych farmerów w okolicy. Kiedy skończył, musiał szybko wyjść z domu, żeby zdążyć na spotkanie w Fountain Grove.

Kiedy uruchamiał silnik samochodu, z domu wyszła Janet.

- Co z obiadem? - zapytała lękliwie. - Nie będziesz teraz jadł?

- Nie - odparł. - Nie mam czasu.

Wiedziałem, że na to pójdą, mówił do siebie podczas jazdy samochodem. Dorzucą się. Muszą. To leży w ich interesie. Zdrowy rozsądek, względy czysto praktyczne ich do tego zmuszą.

A co, jeśli się nie dorzucą? - pomyślał. Wtedy sam będę musiał wszystko sfinansować. Czy mnie na to stać? - zastanowił się. Ciekawe, ile będzie kosztowało kompleksowe zmodernizowanie firmy wodociągowej? Czterdzieści tysięcy dolarów? Sto tysięcy? Pięćset tysięcy?

Jezu Chryste, pomyślał. Muszą się dołożyć.

Wiem, że to zrobią. Intuicja mi to mówi.



## Rozdział osiemnasty

Podczas przyjęcia wigilijnego Janet Runcible upiła się i opowiadała wszystkim o swoich kłopotach osobistych. Małżeństwu, które niedawno zamieszkało w okolicy, zdradziła wiadomość, że ona i Leo są zadłużeni w banku Novato na trzy tysiące dolarów.

- Upłynęło już trzydzieści dni - powiedziała, wychylając się przed dwóch rozmawiających mężczyzn. Usilnie starając się skupić na sobie uwagę małżeństwa, mówiła dalej: -Ale Harry, nasz bankier, zadzwonił i powiedział, że dużo o nas myślał i jeśli chcemy, odroczy nam spłatę o następne sześćdziesiąt dni. To taka forma pożyczki. On bardzo szanuje Leo i ma do niego pełne zaufanie.

Małżeństwo kiwało głową i słuchało, lecz Janet miała wrażenie, że nie bardzo ich to interesuje.

- Przepraszam - powiedziała i zerwawszy się na nogi, przeszła obok nich i z pustą szklaneczką w ręku udała się do kuchni.

Kobieta podążyła za nią. Chwilę później stanęła w progu i zapytała, czy może jej pomóc. Była niska, dobrze zbudowana i miała ładną, lecz zeszpeconą makijażem twarz. Jej mąż, pracownik federalny, został służbowo przeniesiony do Kalifornii. Jego praca miała związek z badaniami oceanu.

- Martho - rzekła Janet - gdybyś znała lepiej mojego męża, zrozumiałabyś, jaki to wspaniały i cudowny człowiek. - Uśmiechnęła się do dziewczyny, oczekując, że odpowie jej tym samym: uśmiechem sympatii i zrozumienia.

Nigdy dotąd nie gościli tylu osób na przyjęciu wigilijnym. Dom Runcible'ow pełen był rozmów, ludzi i ruchu. Drzwi frontowe co chwila otwierały się i zamykały; z kuchni Janet jednak nie widziała, czy ktoś wchodzi, czy wychodzi.

- Bardzo lubię twojego męża - oświadczyła Martha Leghorn.

- Mało go znasz - stwierdziła Janet. Ogarnął ją głęboki smutek, gdy tak stała przy kredensie, nalewając sobie do szklaneczki drinka z półgalonowego dzbanka zawierającego: gin z angosturą -jej drink-ostoją w ostatnim czasie.

- Twój mąż zna się na tylu rzeczach - rzekła Martha, siadając przy stole.- Czuję się przy nim głupia. Potrafię tylko rozmawiać... cóż, właściwie nie wiem. Kiedy ktoś wspomniał o

Szekspirze, przypomniało mi się, że w college'u czytałam Makbeta.

- Nalać ci następnego drinka? - zapytała Janet.

- Nie, dziękuję. Bob nie lubi, gdy za dużo piję. - Zniżyła głos. - Mówi, że na przyjęciach zawsze przesadzam z piciem. Jest bardzo surowy. Pochodzi z Południa, z Atlanty. Oni mają do tego bardzo purytańskie podejście.

- A ty gdzie się urodziłaś?

- W Modesto.

- Podoba ci się tutaj? Prawda, że tu jest pięknie? - Stanął jej przed oczami piękny krajobraz: wzgórze, lasy jodłowe i ocean. - Istny raj. Macie szczęście, że się tu przeprowadziliście. A kiedy lepiej poznacie tutejszych ludzi, przekonacie się, jacy są wspaniali. Jacy przyjacielscy. Jacy uczynni. Nie ma takiej rzeczy, której by dla was nie zrobili.

- Jesteśmy zadowoleni z domu. Twój mąż zadbał, żebyśmy dokonali dobrego zakupu. Osobiście sprawdził stan fundamentów.

- Dla Leo nie ma nic ważniejszego niż zadowolenie ludzi, którzy do niego przyszli i mu zaufali. - Odstawiwszy szklaneczkę, podeszła do dziewczyny i ujęła ją za rękę. - Musicie być tu szczęśliwi. Chcę, żebyś mi to obiecała. Dla nas jest to najważniejsze na świecie. - Tak jak wiele razy wcześniej przy takich okazjach, w jej oczach pojawiły się łzy.

Stojąc w salonie przy oknie, Sherry Dombrosio zerkała do góry na światła domu Runcible'ów. Widziała zaparkowane samochody i słyszała dobiegający z góry gwar.

- Nieźle się bawią w tym roku - powiedziała.

- Co w tym dziwnego? - zapytał Walt. - Runcible podaje dobry alkohol. Wie, jak skusić ludzi do przyjścia. Ale mnie nie interesuje taki sposób zdobywania popularności. Za pomocą przekupstwa.

- Nie rozumiem, jak sobie może na to pozwolić. Podobno ma nóż na gardle. Ekspedientka ze sklepu spożywczego powiedziała mi, że od trzech miesięcy zalega z rachunkiem. Od października nie zapłacił im ani centa.

- Oczywiście, że ma nóż na gardle, ale się z tego wykaraska. Całe jego życie tak wygląda. Pożyczy od kogoś pieniądze albo kupi tanio i sprzeda drogo jakiś kawałek ziemi. Tacy ludzie nigdy się nie poddają.

- Kto by mu pożyczył? Nie ma nic na zastaw, odkąd sprzedał tę ziemię na wzgórze. W każdym razie tak słyszałam. Choć oczywiście większość z tego, co mówi się na jego temat, to

plotki. Od niego nie sposób się niczego dowiedzieć. Nie wiadomo, jak jest naprawdę.

- Namówi jakiegoś swojego kumpla bankiera, żeby mu pomógł. Oni wszyscy ze sobą współpracują: wykupują się nawzajem.

- Nie może użyć przedsiębiorstwa wodociągowego jako zastawu, prawda?

- Nie. Jest zbyt zadłużone. Widziałaś ten artykuł w „News”.

Odwróciwszy się od okna, Sherry zaczęła chodzić bez celu po pokoju. Jej ogromny brzuch - była w piątym miesiącu ciąży - ciężko kołysał się przed nią, toteż w końcu zmęczona opadła na krzesło. Wyraz niepokoju, który ostatnio często u niej widział, znów zagościł na jej twarzy. Ciężko przeżyła rozstanie z pracą. Lecz ciężarna kobieta nie mogła codziennie jeździć samochodem do San Francisco, nie mówiąc już o pracy na stanowisku wymagającym dbania o wizerunek firmy, na którym zatrudnił ją Lausch. Ostatniego dnia pracy, kiedy wróciła do domu, urządziła mu taki pokaz hysterii, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Przez tydzień unikała go jak ognia, wylegując się do południa w łóżku, rzucając mu talerze z posiłkami i zamykając się w sypialni zaraz po obiedzie.

Niedobrze, pomyślał, patrząc na nią. Ciężka sprawa. Została zdradzona przez biologiczne dziedzictwo. Kobięcą słabość. Podobno inteligentni pracodawcy unikają zatrudniania kobiet z tego powodu.

Trudno im się dziwić,

- O Boże, ale mi niedobrze - powiedziała Sherry. - W szóstym miesiącu mdłości już mi powinny przejść. Jestem taka wzdęta... czuję się jak wielki worek gazu.

- Przynieść ci coś? - zapytał.

- Nie - odparła krótko.

- Może trochę piwa imbirowego? - Wstał i otworzył lodówkę. - A może kawałek placka? - zapytał.

- Nie mogę jeść mącznych potraw. Do końca miesiąca mam schudnąć o dwa kilogramy, tymczasem jest już dwudziesty czwarty, a ja wciąż ważę siedemdziesiąt dwa kilo. - Obrzuciła go ponurym spojrzeniem, gdy przechodził obok niej niosąc talerz z ciastem. - Musisz to jeść tutaj? Proszę cię, idź z tym gdzieś indziej - zażądała. - Wiesz, że skręca mnie z głodu, kiedy patrzę, jak jesz. To nie fair.

- Chciałaś zajść w ciążę, to masz - zauważył.

- Wcale nie chciałam. Tb był twój pomysł- rzuciła z furją. - Nigdy nie chciałam mieć

dzieci.

- Teraz już przepadło - rzekł.

Przepadło, pomyślał. Przepadła ładna figura, przepadła praca. Tak czy owak to nienaturalne, żeby kobieta pracowała. Naturalny jest ten gigantyczny brzuch i ciąża. Szkoda, że to się nie stało wcześniej, może nie doszłoby wówczas między nami do niesnasek.

Teraz oboje zajmujemy takie miejsca, jakie przeznaczyła dla nas natura, powiedział do siebie. Ja pracuję, a ty jesteś w ciąży. Ja wychodzę z domu o szóstej rano i wracam o siódmej wieczorem, a ty spędzasz dzień, obierając ziemniaki i ścierając kurze. Jeśli ci się to nie podoba, tym gorzej dla ciebie, bo tak już ten świat jest urządony. Nie miej o to do mnie pretensji,

- Czy oni muszą tak hałasować? - zapytała Sherry z nagłą irytacją w głosie. - Jaki sens ma życie na wsi? Równie dobrze moglibyśmy mieszkać w kamienicy w Oakland.

- Myślę, że wielu ludzi doszło do wniosku, iż powinni się u niego zjawić. Z wdzięczności za to, że naprawił wodociąg.

- Cóż, ja nie jestem mu wdzięczna. Chcesz wiedzieć, co czuję? Myślę, że Runcible wystawił na niebezpieczeństwo nasze życie, zdrowie i przyszłość.

- O co ci chodzi? - zapytał Dombrosio. Wskazała na swój wydęty brzuch.

- Żyję przez to w ciągłym strachu. Oboje żyjemy w strachu.

- Przecież ta cała gadanina o upiającej buźce to jedna wielka bzdura - rzekł Dombrosio i roześmiał się. Zawsze go zdumiewało, gdy słyszał jej opinię na ten temat. Trudno mu było przyjąć do wiadomości, że wykształcona i inteligentna kobieta może poważnie traktować takie bzdury.

- Skoro zdarzyło się raz, to może się powtórzyć. Każde dziecko tu urodzone jest zagrożone. Wiesz o tym. Oboje przez lata piliśmy tę skażoną wodę, nieprawdaż? - Zaczęła chodzić po pokoju. - A najgorsze jest to, że dowiemy się dopiero wtedy, kiedy się urodzi. Nie mamy pojęcia, co spłodziliśmy. Mój Boże, może hoduję jakiegoś straszego dziwoląga, który teraz rośnie w moim brzuchu. - Zadrzała.

- I wszystko to jest winą Runcible'a - powiedział Dombrosio.

- Tak - odparła.

- Dlaczego?

- Ponieważ nikt się tym nie martwił, zanim on nie zrobił z tego wielkiej sprawy - stwierdziła z absolutnym przekonaniem.

Owszem, pomyślał Dombrosio. To prawda. Runcible zrobił z tego wielką sprawę. Ma rację. Nikt wcześniej nie martwił się taką ewentualnością,

A zatem ona uważa, że to Runcible jest za to odpowiedzialny... a może nawet za to, że zaszła w ciążę. Lecz w takim razie zgodnie z jej pokrętną logiką Runcible byłby także odpowiedzialny za to, że musiała zrezygnować z pracy.

- Czy to przez niego straciłaś pracę?- zapytał ją Dombrosio.

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

- Odpowiedz mi - zażądał.

- Twoje pytanie jest idiotyczne- powiedziała, lecz sądząc po głosie i po wyrazie jej twarzy, zorientował się, że w głębi duszy właśnie Runcible'a obarcza winą ze swój upadek i utratę pozycji zawodowej.

- Byłoby ironią losu, gdybyś rzeczywiście urodziła dziecko z upięcą bużką. - A to dlatego, pomyślał, że to ja wykopałem i spreparowałem tę czaszkę. To ja, po wielu latach, przypominałem ludziom o upięcej bużce. Odegrałem historyczną rolę.

- Dlaczego ironią? - zapytała Sherry.

Miałem rację, pomyślał. Nawet teraz nic nie wiesz. Nigdy się nie domyśliłaś, jaki był mój udział w tej sprawie. Kto zna prawdę? - zadał sobie pytanie. Wharton i ten antropolog, a więc prawdopodobnie także Leo Runcible.

- Może wpadniemy na to jego przyjęcie - zaproponował.

- Po co? - zapytała Sherry.

- Przywitać się z nim. Złożyć mu życzenia. Co było, minęło. - Niedawno widział samochód Whartona jadący pod górę. Nauczyciel również od wielu miesięcy nie rozmawiał z Runcible'em. - Jest Boże Narodzenie. Czy świąteczny nastrój nie skłania cię do przebaczenia?

- Nie - odparła Sherry. - Ja nie pójdę.

Dombrosio podszedł do okna. Zerknął na rozświetlony dom Runcible'ow. Przez chwilę nasłuchiwał gwaru dobiegającego z góry i patrzył na parkujące samochody oraz otwarte drzwi wejściowe. Zauważył, że większość gości stanowią przyjezdni. Przeważająca część samochodów miała obce rejestracje. Nie będziemy jedynymi mieszkańcami okolicy, którzy pójda tam na piechotę, uświadomił sobie.

- Myślę, że powinienem pójść - rzekł do żony. - Wypić z nim drinka i dać mu do zrozumienia, że nie żywię do niego urazy za to, że napuścił na mnie policję. -W przeciwieństwie

do Sherry, która miała serce twarde jak kamień, jemu udzielił się nastrój Bożego Narodzenia. - Tyle już czasu upłynęło od tamtego wydarzenia. Wiesz, że nie należę do ludzi, którzy długo chowają urazę. - Nagle pomyślał, że jej też wszystko wybaczył. Podstępny, jakich się chwyciła, by dostać pracę w Lausch Company, skłócenie go z Lauschem, zarzucenie mu daltonizmu- słowem, wszystkie okrutne krzywdy, które mu wyrządziła.

Sherry zwięzły się oczy.

- Jak możesz przebaczyć komuś takiemu? Po tym,

co nam zrobił? Jeśli mu wybaczysz, uznam to za osobisty afront. - Pogłaskała się po brzuchu. Zrobiła to machinalnie: nowy gest, który pojawił się u niej wraz z ciążą. Cały czas, w każdej sytuacji była świadoma swojego wielkiego brzucha. - Walt- powiedziała. - Co zrobimy, jeśli z naszym dzieckiem jest coś nie w porządku? Jeśli ma zdeformowaną twarz? Wczoraj myślałam o tym przez całą noc. Czy damy sobie radę? Co będzie, jeśli nasze pierwsze dziecko naprawdę okaże się jakimś dziwolągiem? Czy będziemy je sami wychowywać? Czy powinniśmy je zatrzymać? Naprawdę nie wiem. - Popatrzyła na niego ze strachem. - W nocy, kiedy śpisz... mój Boże, ty natychmiast zasypiasz... wydaje się to takie realne. Oczywiście teraz ten strach jest mniej wyrazisty. Wiesz, jak paraliżujące potrafią być nocne lęki.

- Dziecko będzie zdrowe. Nie myślisz racjonalnie.

- Każdy, kto mnie widzi, kto tu mieszka i wie, że jestem w ciąży, myśli o dziecku i zastanawia się, czy będzie normalne. Mówię ci: to prawda. Każdy czeka, żeby się o tym przekonać.

Owszem, czekają, pomyślał. To prawda. To nie są tylko urojenia jego żony. To kara, pomyślał. Za życie na wsi, za odwieczne przesady. Może powinniśmy się stąd wyprowadzić, zastanowił się. Nie, wrośliśmy w to miejsce. Chcemy, żeby nasze dziecko się tu urodziło.

- Chyba nie pójde- oświadczył.- Byłby to przejaw sentymentalizmu. Potem bym tego żałował. - Zamiast wyjść, usiadł i zaczął czytać wieczorną gazetę. Wkrótce, pochłonięty lekturą, zapomniał o bożym świecie.

Nie na długo jednak. Coraz częściej łapał się na tym, że zamiast czytać, rozmyśla. Skoro można oskarżyć Leo Runcible'a, że jest odpowiedzialny za stan naszego dziecka, pomyślał, to czemu na tym poprzestać? Czemu nie doprowadzić takiego rozumowania do logicznej konkluzji? W pewnym sensie Runcible jest odpowiedzialny za

to, że w ogóle jest jakieś dziecko, za to, że Sherry jest w ciąży.

Przyszło mu na myśl, że gdyby się tak nie zezłościł, kiedy w tamtą sobotę wrócił do domu z zawiadomieniem z banku, nie poszliby tak nagle do łóżka bez zabezpieczenia. Ten sukinsyn Runcible spowodował ciężę u mojej żony, pomyślał i uśmiechnął się.

- Czemu się śmiejesz? - zapytała Sherry.

Widzę, jakim torem biegnie jej rozumowanie, pomyślał. Jak pracuje jej umysł. Niesamowite. W ten sposób można dowolnie manipulować ludźmi i naginać fakty. Można kształtować rzeczywistość, tak jak się modeluje glinę. Na siłę wciskać ją w przygotowaną formę.

Kto właściwie spowodował u niej ciężę i dlaczego? - zadał sobie pytanie. I co to oznacza? - zastanowił się. Ano to, że kompletnie straciła grunt pod nogami i już nie może postawić na swoim. Przestała być dla mnie zagrożeniem, pomyślał. Koniec z męczącą presją. Mogę się odprężyć. Na przykład mogę stać spokojnie przy oknie i bez wpadania w złość patrzeć na rozpasane przyjęcie u Runcible'a. Mogę w spokoju czytać gazetę. Mogę przychodzić i wychodzić, kiedy chcę, a ona nie może mi w tym przeszkodzić.

Dokonałem tego, przyprowadzając tamtego wieczoru do domu Chucka Halpina, pomyślał. Do tego stopnia rozwścieczyło to Runcible'a, że doniósł na mnie na policję, kiedy wpadłem do rowu. Zaproszenie Chucka kosztowało mnie utratę pracy w Lausch Company i spowodowało, że Sherry zaczęła tam pracować. Skłoniło mnie, żebym zaczął kombinować z tą czaszka - rozpoczęło całą -tę aferę. Runcible tak się tym podniecił, że wyszedł na głupca. Jak zwykle. Tak mocno się w to zaangażował, że zrujnował się finansowo, kupując przedsiębiorstwo wodociągowe, które do końca życia będzie mu kulą u nogi. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: to ja go zrujnowałem. I to ja zrobiłem Sherry dziecko. Ja dokonałem tego

wszystkiego... Wszyscy inni tylko pyskowali, ale nie kiwnęli palcem, żeby coś zrobić. Oni gadali, a ja działałem, zamiast stać bezczynnie i mleć jęzorem - uznał.

A może jednak ostatnie słowo będzie należało do Runcible'a, pomyślał. Przeszedł go dreszcz niepokoju, kiedy wspomniał o dziecku.

- Boisz się o dziecko tak samo jak ja - powiedziała Sherry, która stanęła obok niego. - Widzę to na twojej twarzy i po tym, jak siedzisz. Ale się do tego nie przyznasz. Nawet przed sobą.

Czy rzeczywiście? - zastanowił się. Chyba tak. Ponownie odłożył gazetę.

Zemsta Runcible'a, pomyślał. Za pośrednictwem dziecka chce nam odpłacić za swoje krzywdy.

Oczyrna wyobraźni wyraźnie ujrzał wizję przyszłości. Było to niemal jak halucynacja. Widział wszystko ze szczegółami; obrazy jeden po drugim napływały do jego umysłu. Precz, na Boga! - pomyślał.

Zobaczył siebie i Sherry.

Jechali razem samochodem. On miał na sobie elegancki wełniany garnitur, krawat i czarne buty, które dostał na Gwiazdkę. Sherry również była ubrana elegancko: w jasnobrązową garsonkę i futro. Przyciemniła brwi i rzęsy, przypudrowała twarz i pomalowała usta szminką. W uszach miała kolczyki, na głowie kapelusik z woalką, a na nogach szpilki, które ocierały ją w kostkach. Na kolanach trzymała błyszczącą czarną torebkę, której jeszcze ani razu nie używała i dopiero dziś wyjęła z pudełka. Podczas jazdy w milczeniu wpatrywała się w staromodne budynki. On szukał właściwego numeru i miejsca do zaparkowania.

Między nimi, trzymając ręce na kolanach, siedział ich synek. On również był elegancki. Wyszorowanego i uczesanego ubrali w odprasowane spodnie, wypastowane buty, białą koszulę i sweter. W ręczce trzymał latawiec z balsy, który za pięć centów kupili mu sklepie. Oczywiście zanim polecą, trzeba go będzie wpierw złożyć. Obiecali mu, że zrobią to, gdy tylko zajadą na miejsce. Będzie go mógł puszczać w szkole, pod warunkiem oczywiście, że znajdzie się tam dość miejsca. Ale byli pewni, że tak...

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Dombrosio.

- Owszem - mruknęła Sherry. Zmieniła pozycję, założyła nogę na nogę i obciągnęła spódnice, zeskubując białe nitki.

- Zapal mi papierosa - poprosił. Otworzyła schowek i pogrzebała w nim.

- Nie mogę żadnego znaleźć, a swoich nie zabrałam - odparła. - Musisz palić?

- Nie.- W tym momencie zobaczył stary, odrapany, trzypiętrowy budynek, który kilka lat temu zamieniono w przedszkole dla dzieci specjalnej troski. W przeciwieństwie do sąsiednich domów, przed którymi rosło dużo krzaków, drzew i kwiatów, podwórze tego domu zostało wyasfaltowane. Poustawiano na nim drabinki, karuzelę, zjeżdżalnię i popularne wśród przedszkolaków huśtawki z ławeczką. Podwórze i boidynek otaczał wysoki metalowy płot.

- Nie cierpię tych metalowych płotów - stwierdziła Sherry.

- Zgadza się. Upodobniają miejsce do więzienia.

- Wszystkie szkolne podwórza tak wyglądają. Nawet jeśli rosną na nich róże. Widziałeś kiedyś róże na szkolnym podwórku? Wyglądają jak krew. Czerwone róże, odmiana Paul Scarlets.



Zaparkował po drugiej stronie ulicy naprzeciwko budynku.

- Jak wyglądamy z czasem? Musimy iść od razu?

- Jesteśmy punktualnie - odparł. - Nie denerwuj się.

- Szkoły zawsze mnie denerwowały. Nawet w liceum mdliło mnie i chciało mi się sikać ze strachu. Najchętniej wzięłabym nogi za pas i uciekła. - Wyprostowawszy się, obróciła lusterko wsteczne, żeby się w nim przejrzeć. - Przypuszczam, że to oznaki tłumionego buntu. - Otworzyła torbę i wyjęła szminkę.

Dombrosio z synem czekali, aż się umaluje.

- Gotowa? - zapytał w końcu.

- Tak - odparła, uśmiechając się do niego przelotnie.

Trzymając chłopca za rękę, powoli, dostojnie i w milczeniu przeszli przez ulicę. Kilkoro dzieci bawiących się na podwórku spojrzęło na nich.

- Prawda, jak tu ładnie?- powiedziała Sherry, nachylając się do ucha chłopca. - Tyle tu zjeżdżalni i dzidziusiów, z którymi możesz się pobawić.

- Nie dzidziusiów - warknął Dombrosio. - Jezu Chryste, mówiłem ci, żebyś nie używała tego słowa. To są dzieci.- Nie wiadomo skąd nabrała zwyczaju nazywania dzieci w wieku przedszkolnym „dzidziusiami”, co go irytowało.

Idący między nimi chłopiec zaczął pociągać nosem.

- Taak - mruknął Walt. - Będzie ci tu dobrze. - Uścisnął rączkę chłopca. Kiedy dotarli do aut zaparkowanych po drugiej stronie ulicy, puścił syna, by Sherry mogła z nim przejść między dwoma samochodami i wejść na chodnik,

Na widok szerokich drewnianych schodów i wysokich poręczy chłopiec zaczął płakać. Lecz, jak zauważył Dombrosio, był też podekscytowany. Drżał na całym ciele, starając się jednocześnie patrzeć i schować za matkę.

Otworzyły się drzwi wejściowe i ukazała się w nich roześmiana kobieta. Wyciągała rękę na powitanie. To była nauczycielka, panna Thackman. Zeszła po schodach i pochyliła się, żeby przywitać się z chłopcem. W tej samej chwili zaczęła do niego mówić.

- Jimmy Dombrosio - powiedziała, obrzucając go przyjaznym spojrzeniem. - Cieszę się, że cię widzę. Wiesz, kim jestem, Jimmy? Jestem panna Thackman, twoja nauczycielka. Będziemy się dobrze bawić, zobaczysz rzekła i zabrała chłopca od rodziców. Walter Dombrosio poczuł, że syn puszcza jego rękę. Stojąca obok niego Sherry zbladła i rzuciła mu krótkie

spanikowane spojrzenie.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił ją, głaszcząc po plecach i popychając lekko za panią Thackman, która przytrzymała im drzwi. Zanurzyli się w ciemny korytarz, dostrzegając tu i ówdzie otwarte drzwi.

Wyjątkowa szkoła dla wyjątkowych dzieci, pomyślał. Tęga kobieta w średnim wieku o zasuszonej twarzy bez makijażu, ubrana w pogniecioną, poplamioną gliną i farbami sukienkę-nauczycielka, psycholog i pracownica opieki społecznej w jednej osobie - pochylała się nad ich synem i prowadziła go wyłożonym dywanem korytarzem do swojego gabinetu. Już teraz swym męskim, ale serdecznym głosem roztaczała przed nim wizję przyszłych zabaw i opowiadała mu o wspaniałych zabawkach, jakie mają, i fascynujących rzeczach, jakie robią. Słyszając to, Dombrosio trochę się odprężył. Kobieta znakomicie panowała nad sytuacją; widać było, że jest profesjonalistką w każdym calu.

- Będziesz miał własny stolik - mówiła. - Tylko dla siebie. Będziesz mógł na nim rozlewać farbę i bawić się, czym tylko zechcesz. Prawda, że fajnie?

Chłopczyk zadzierał głowę i spoglądał na kobietę. Opóźniona reakcja, tępy wyraz twarzy. Głupkowaty mały chłopiec, pomyślał Dombrosio. Próbujący zrozumieć, co się do niego mówi. Powinna mówić wolniej, stwierdził ze złością. Czyżby tego nie wiedziała? Przecież już opiekowała się takimi dziećmi. Dlatego przywieźli go tu, a nie gdzie indziej. To przypuszczalnie było najlepsze dla mego miejsce.

- Czy wśród dzieci na podwórzu zauważyłeś... - odezwała się stojąca obok niego Sherry ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie widziałem - odparł. - Prawdopodobnie znajdują się pod ścisłą opieką ze względu na to, że mogą się przewrócić i zrobić sobie krzywdę. Mówiono nam o tym, pamiętasz?

- Tak, pamiętam - stwierdziła jego żona, wchodząc do gabinetu. Mówiła płaskim, martwym głosem i mimo wo-alki widać było, że jest blada jak ściana. Dombrosio przysunął jej krzesło, z czego skwapliwie skorzystała. Usiadła naprzeciwko biurka panny Thackman, poprawiając spódnicę i kładąc ostrożnie torebkę na ziemi, żeby mieć ją pod ręką. Kiedy Dombrosio przysunął krzesło dla siebie, zauważył, że otworzyła torebkę, by sprawdzić, czy ma książeczkę czekową i pióro. Następnie zdjęła rękawiczki i schowała je do torebki, wysuwając nieco książeczkę czekową. Odwracając się do niego, powiedziała: - Łamią sobie ręce lub co innego. No wiesz, łatwo się potykają.

- Cóż - rzekła panna Thackman, siadając za biurkiem w staromodnym, dębowym, obracanym krześle. Przyciągnęła do siebie Jimmy'ego. - Co my tu mamy? - powiedziała z uśmiechem. Ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać, podobnie jak wpatrywać w chłopca. Skłoniła go, żeby odpowiedział jej uśmiechem, równie przylepionym uśmiechem jak jej, pomyślał Dombrosio. Już panowała nad sytuacją. Tak być powinno. Było to bardzo ważne.

Kobieta oddana swojej pracy, pomyślał. Przygotowana do pracy z dziećmi opóźnionymi w rozwoju, dziećmi specjalnej troski, dziećmi ze zniekształconymi ciałami. Nie krzywi się, nie okazuje żadnej reakcji na widok masywnych szczęk, wydatnych brwi, zgarbionej sylwetki, tępego wyrazu twarzy, oczu patrzących z nieśmiałą ufnością i bojaźliwością... Oczywiście to dla niej nie pierwszyzna. Miała już tutaj... Ile? Siedmioro takich dzieci.

- Pokaż język i powiedz: „Aaa” - rzekła pani Thackman do ich syna, który posłusznie otworzył buzię. Mruczając pod nosem, włożyła mu do ust łyżkę i zajrzała do gardła. Prawą ręką robiła notatki w księdze leżącej na biurku. Co chce zobaczyć? - zadał sobie pytanie Dombro-

sio. Przecież chyba nie to, czy ma zaczerwienione gardło i obłożony język. To część rytuału, przez który już przechodziliśmy, choć tym razem wygląda on trochę inaczej. Tym razem chodzi o zęby, o szczękę, o podniebienie. To je właśnie bada, gdyż chce się przekonać, czy są szansę, że chłopca można nauczyć mówić.

- Kto z nim pracował? Calder? - zwróciła się do niego panna Thackman.

- Tak - odparła Sherry. - Jeździliśmy do niego trzy razy w tygodniu. Przez dwa lata. - Zapaliła papierosa, lecz zauważywszy, że okropnie drży jej ręka, zgasiła go. -Do San Rafael. Calder ma tam swoją klinikę.

- Tak - mruknęła panna Thackman. Wyrzuciła łyżkę do kosza, a następnie, zakładając ręce na piersi, odwróciła się do chłopca i tubalnym głosem rzekła: - No James, powiedz mi coś. Powiedz, jak się czujesz- powiedziała bardzo powoli i wyraźnie.

Masywna szczeka poruszyła się. Dombrosio wcisnął się głębiej w krzesło. Zamknął oczy i wstrzymał oddech. Siedząca obok niego żona zrobiła to samo.

- Cz-cz-cz...- powiedział chłopiec i urwał.- Uj--uj-ę... - prychnął i po brodzie pociekła mu ślina. Nie zdradzając emocji, panna Thackman natychmiast wyjęła chusteczkę i wytarła chłopcu twarz.

- Idzie mu lepiej, kiedy jest sam z nami - powiedziała Sherry.

- W porządku- zahuczła pani Thackman.- No, Jimmy- rzekła, klepiąc go w ramię i

wstając z krzesła. - Chcesz się pobawić z innymi dziećmi?

Chłopcu rozbłyły oczy. Otworzył usta, lecz zamiast słów, wydobył się z nich tylko stłumiony, charczący dźwięk. Ale widać było, że się stara. Panna Thackman, uśmiechając się, wzięła go za rękę i ostrożnie poprowadziła do drzwi. Nie poganiała go, lecz pozwoliła mu iść własnym tempem.

Kiedy chłopiec przechodził obok niego, Dombrosio pomyślał: będzie pod fachową opieką. Profesjonalną opieką kompetentnych i życzliwych ludzi. Prawdopodobnie będzie trzeba się nim opiekować przez całe życie, ale na razie za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Przekonamy się o tym za kilka lat.

Ten profil wygląda zupełnie tak samo, jak w spreparowanej przeze mnie czaszce, pomyślał, kiedy zobaczył, jak jego syn porusza szczęką, wciąż próbując coś powiedzieć. Jak w czaszce, którą wymodelowałem w piwnicy Donkey Hall. Tyle pracy, tyle przeglądania książek, ale uzyskałem to, co chciałem. Efekt okazał się doskonały, wierny, autentyczny.

Gdy panna Thackman i ich syn opuścili pokój, oboje z Sherry siedzieli w milczeniu.

- Ciekawe, co mamy robić? - zapytała w końcu urywanym, napiętym głosem. - Siedzieć? Czekać?

- Chyba tak - odparł.

- Mam już tego dość.

- Za kilka minut pojedziemy do domu.

- Zabierają go nam.

- Tak, wiem- powiedział na głos.

- Co wiesz? - zapytała stojąca przy oknie Sherry.

Jej pytanie wyrwało go z zamyślenia, kończąc grę wyobraźni. Zobaczył, że jego żona stoi z rękoma na swoim ogromnym brzuchu i ma uniesione brwi ze zdziwienia.

- Co, wiesz? - zapytała. - Boję się, kiedy tak siedzisz w fotelu. Wiem, że w ogóle mnie nie widzisz, że nie jesteś świadom mojej obecności. Co mam robić, gdy czytasz gazetę albo piszesz list do redakcji, albo robisz inne rzeczy? - Podeszła do niego. - Mój Boże, zachowujesz się jak stetryczały osiemdziesięcioletni dziadek, który zaraz po obiedzie zasypia i chrapie.

Słyszał jej głos, lecz nie zwracał na niego uwagi: ani ton, ani słowa, jakie wypowiadała, nie miały dla niego żadnego znaczenia.

- Przestań się gapić na mój wielki brzuch - zażądała. - Czuję się nieswojo. Chciałabym z

powrotem mieć dawną figurę. Mój Boże, będę szczęśliwa, gdy to się wszystko skończy i znów będę mogła włożyć swoje ubrania.

Czy prawidłowo wyobraziłem sobie przyszłość? - zadał sobie pytanie. Czy za cztery miesiące rzeczywiście spotka nas taka kara za grzechy? Czy też są to tylko lęki wynikające z naszego poczucia winy? Może żadna panna Thackman nie istnieje, pomyślał. Nie będzie szkoły specjalnej, metalowego płotu ani dębowego biurka - żadnej z tych rzeczy. Nasz chłopiec będzie biegał, nie przewracając się, krzyczał jak wszystkie inne dzieci i potrafił składać i puszczać latawiec za pięć centów. Do diabła, będzie go puszczał przez cały dzień, dopóki nie zaciągniemy go do domu na obiad.

Zobaczymy, pomyślał. Poczekamy, zobaczymy.

W kącie salonu, z dala od gości i gwaru, Bob Leghorn rozmawiał o ważnych sprawach ze swoim pośrednikiem w handlu nieruchomościami, Leo Runcible'em.

- Myślę, że brakuje tutaj źródła taniej energii- powiedział, trzymając w ręku drinka, ale nie pijąc go. -Spójrz na te stawki za prąd: żadna firma nie zbuduje tu fabryki. To są ceny zaporowe. A poza tym nie ma mowy, żeby wywozić stąd gotowe produkty. Przez tę górę? Musieliby ją zrównać z ziemią.

- Jesteś tu nowy- rzekł Runcible, przypatrując się młodemu mężczyźnie. - Pozwól, że ci coś wyjaśnię. To nieprawda, że nie ma tu źródła taniej energii. - Wyciągnął palec w kierunku Leghorna. - Odkręciłeś już kran w swoim domu? Zauważyłeś, co się z niego leje?

- Oczywiście. Dobra czysta woda.

- Tu jest mnóstwo czystej wody. Podstawowego źródła taniej energii, z którego przez stulecia korzystał cały cywilizowany świat. Niech cię głowa nie boli o energię.

- Ktoś mi mówił, że jesteś właścicielem przedsiębiorstwa wodociągowego - powiedział Leghorn.

- To prawda - odparł Runcible.

- Jak to się stało, że je kupiłeś? Czy to opłacalny interes?

Runcible nie odpowiedział.

- Przypuszczam, że latem się opłaca - ciągnął Leghorn - lecz zimą, kiedy pada, przynosi straty. Myślę jednak, że się mylisz, mówiąc o wodzie jako źródle energii. Oczywiście mało się znam na tych sprawach, ale sądzę, że na twoją opinię wpływa to, iż posiadasz przedsiębiorstwo wodociągowe. Jeśli woda ma być źródłem energii, to tylko wtedy, gdy jest użyta do wytwarzania

elektryczności. Dzisiaj już nikt nie korzysta z niej bezpośrednio, tak jak w dawnych czasach, kiedy ludzie mieli przy domach koła wodne. Takie jak w młynach napędzanych wodą. - Wybuchnął śmiechem. - Nie, nic z tego nie wyjdzie, chyba że ktoś zbuduje tutaj tamę i elektrownię wodną. Ale to mało prawdopodobne.

- Przepraszam - rzekł Runcible i wstał. Podeszedł do innej grupy ludzi, zostawiając Leghorna samego.

- Co to jest, Leo? - zapytał jeden z gości, wskazując na czarny metalowy przedmiot w kształcie talerza wiszący na ścianie. - Czy to francuski hełm z pierwszej wojny światowej?

- Nie - odparł Runcible, podchodząc do ściany i zdejmując z niej ów czarny przedmiot. - To hełm z czasów Olivera Cromwella - powiedział. - Nie widzisz miejsca na okrągłą głowę? Przymierz. - Wręczył go mężczyźnie, który ochoczo włożył go na głowę. Wokół nich zebrali się inni goście, wymieniając uwagi.

- Ile coś takiego może być warte? - zapytała jedna z kobiet.

- Niewiele. Jakies dwieście dolców - odparł Runcible.

- Wiesz co, Leo? Sprzedaj go i włoż szmal w swoją firmę wodociągową - zażartował inny gość.

Wszyscy się roześmieli, a szczególnie głośno śmiał się

Runcible. Stał z rękami w kieszeniach, szczerząc zęby i kiwając głową.

- Nie ma się co śmiać - powiedział, lecz przeczył temu wesoły ton jego głosu. - Wiedziecie, co zamierzam zrobić? Myślę, żeby każdemu, kto kupi dom za pośrednictwem mojego biura, dawać za darmo akcje stacji uzdatniania wody w Carquinez.

- Lepiej dawaj dom za darmo każdemu, kto kupi od ciebie akcje firmy wodociągowej - rzucił gość.

Usłyszawszy ten dowcip, Runcible zaczął się tak mocno śmiać, że musiał przeprosić towarzystwo i wyjść do kuchni.

Tutaj spotkał swoją żonę i panią Leghorn.

Na jego widok Martha Leghorn wstała i rzekła:

- Pańska żona właśnie mi opowiedziała, jak pan wydał wszystkie swoje oszczędności i zadłużył się po uszy, żeby poprawić jakość tutejszej wody. Podobno przez lata będzie pan musiał spłacać długi.

- Napije się pani? - zapytał Runcible.

- Nie, dziękuję - odparła pani Leghorn. - Mój mąż bardzo nie lubi, kiedy piję.

- Ty, jak widzę, już sobie nalewasz - powiedział, zwracając się do żony. Przyglądał się, jak z wielkiego dzbanka nalewa sobie alkoholu do szklanki. - Uważaj - upomniął ją, kiedy szklanka wysknęła się jej z rąk i bezbarwny płyn oblał jej suknię i stół.

- Leo, skoro ludzie wiedzą, że postępujesz wspaniałomyślnie, że ratujesz im zdrowie, to czemu tego głośno nie powiedzą? - Wpatrywała się w niego bezradnie, z trudem utrzymując w ręku szklankę z drinkiem. Miał wrażenie, że lada chwila chluśnie nim sobie w twarz, toteż zrobił krok w jej kierunku. Pani Leghorn usiadła przy stole i uważnie obserwowała całą scenę.

- To mi przypomina pewien dowcip - rzekł, chwytając żonę za rękę i odrywając jej palce od szklanki, którą odłożył na środek stołu. - Mam nadzieję, że pani przyjaciele

znad zatoki nie narzekają, iż muszą długo do was jechać w odwiedziny - powiedział, zwracając się do pani Leghorn.

- Niektórzy nas odwiedzają - odparła.

- Dla tych, którzy są tu po raz pierwszy, musi to być nie lada przeżycie zobaczyć nasz ocean, plażę i góry. Dzikie zwierzęta i nie skażony przez człowieka krajobraz.

- Owszem - przyznała pani Leghorn. - Są pod wielkim wrażeniem. Tutaj jest naprawdę pięknie. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy mój mąż został tu przeniesiony z Haywardu.

- W tych przeludnionych miastach ludzie dosłownie umierają od smogu - stwierdził Runcible. - Od spalin samochodowych i dymów z kominów. Tutaj choćby pod tym jednym względem jest jak w raj.

Przyrządził sobie nowego drinka. Żona wciąż wpatrywała się w niego tym swoim tępym, kretyńskim spojrzeniem. Zdążył się już do tego przyzwyczaić i przestał się martwić. Dobrze, że przynajmniej trzymała się na nogach. W Boże Narodzenie zawsze odyskiwała pogodę ducha. Powiedziała mu, że w dzieciństwie było to dla niej wielkie święto.

- Szczęśliwej Chanuki - powiedział, wznosząc szklaneczkę.

- Co to takiego? - zapytała pani Leghorn.

- Nie wiedziała pani, że dziś mamy Chanukę? To żydowskie święto, które po raz pierwszy w tym stuleciu wypada w dniu Bożego Narodzenia.

- Och, rozumiem. Pan i pańska żona jesteście żydami.

- Tylko ja - odparł Runcible.

- Wielu żydów mieszka w tej okolicy? - zapytała pani Leghorn.

- Nie. Większość ziemi zajmują mleczne farmy, których właściciele, poza dwoma czy trzema, w większości nie są ludźmi religijnymi. Interesuje ich jedynie, żeby podatki były niskie i żeby jak najmniej inwestować w infrastrukturę okolicy.

Przesunął krzesło, by usiąść twarzą do niej i opowiedzieć o farmerach. Chciał jej powiedzieć całą prawdę. Nie dość, że w przeciwieństwie do reszty gości była trzeźwa, to na dodatek sprawiała wrażenie osoby inteligentnej i zainteresowanej tematem. Poza tym była nowa w tej okolicy, a wszystkim przybyszom naświetlał tutejszą sytuację. Stanowiło to część jego pracy.

- Czy to naprawdę takie ważne? - przerwała mu niemal natychmiast. Załedwie zaczął mówić. - Chodzi mi

o to, czy dla tutejszych ludzi szkolne obligacje i rozbudowa dróg są najważniejsze? - Machnęła ręką. - Nie ma tu niczego naprawdę godnego uwagi?

- Na przykład czego?

- Kółek teatralnych, zespołów tanecznych - odparła pani Leghorn. - Powiedział pan, że okolica ta przeżywa bujny rozwój. Miałam nadzieję na jakąś rozrywkę kulturalną. Chodzi mi o to, że tkwię tu przez cały dzień. - Posłała im żalosne spojrzenie. - Czy nikt tu nie gra nawet w brydża?

- Oczywiście, że grają - odparła Janet z uśmiechem. - Na północ stąd przy szosie znajduje się Point Reyes Station, w której jest zespół tańca nowoczesnego - stwierdziła i zaczęła coś mętnie opowiadać.

Runcible przeprosił i opuścił kuchnię.

Poszedł do łazienki, postawił szklankę na brzegu umywalki i załatwił się. Dziwne, pomyślał. Co kilka godzin mężczyzna musi iść do łazienki, rozpiąć rozporek

i wylać z siebie strumień płynu, który zebrał się w jego ciele. Ktoś, kto tego nie widział, nigdy by w to nie uwierzył. Zapiął rozporek, umył ręce, po czym wziął szklaneczkę i wyszedł z łazienki.

Być może człowiek dla Boga jest tym, czym ten strumień moczu dla mnie, pomyślał. Choćbyśmy nie wiem co zrobili... I tak nic nie jest ważne.

Poszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Przez jakiś czas siedział przy biurku, paląc cygaro, które ktoś

przyniósł mu w prezencie. Raptem zauważył wkręcony w maszynę rozpoczęty list do



banku w Petaulumie, w którym prosił o pożyczkę na spłatę rat za dom. Starał się z nimi skontaktować przez telefon, ale bez powodzenia. Stąd ten Ust. Prosił w nim przynajmniej o spotkanie dla przedyskutowania tej sprawy. Szczerze im wyjaśnił, że nie zdoła spłacić w terminie najbliższych rat. List nosił datę dwunastego grudnia, lecz wciąż był nie skończony.

Sukinsyny powiedzą nie, mruknął pod nosem. Wstał od biurka, żeby nie widzieć listu do banku. Oto cały kłopot z życiem na wsi: wszyscy znają stan twoich finansów. Trudno go zachować w tajemnicy przed ludźmi, a nie ma nic bardziej zabójczego dla zdolności kredytowej niż ujawnienie stanu finansów.

Te cholerne banki, pomyślał. Kiedy kończą ci się pieniądze, zrobisz debet na koncie albo chcesz odroczyć termin spłaty pożyczki, trąbią o tym na prawo i lewo. W ciągu pół godziny wiedzą o tym wszystkie liczące się osoby w okolicy, z którymi próbujesz robić interesy. Idziesz na negocjacje w sprawie kupna lub sprzedaży ziemi, a twój klient dokładnie wie, o ile możesz opuścić cenę. Co można zrobić z takimi kartami? Jak grać w takiej sytuacji? A do tego wszystkiego jeszcze moja cholerna żona.

Kiedy tak rozmyślał, otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Michael Wharton.

- Najlepsze życzenia z okazji Bożego Narodzenia, Leo - powiedział szybko. - Nie przeszkadzam ci? Janet mówiła, że cię tu znaję.

- Czy ona was wszystkich wpisała na listę gości? -zapytał Runcible, nie zwracając się bezpośrednio do nauczyciela.

- Jeszcze ci nie przeszło? - zapytał Wharton. - Chyba nie będziesz obrażony do końca życia, co? - Nauczyciel wyglądał na zakłopotanego i zdenerwowanego.

- Oczywiście, że będę - odparł Runcible. - Przestałem się ogłaszać w tej marnej gazecie, chore zwierzęta

wożę do Point Reyes, a gdyby tu była inna szkoła, posłałbym do niej syna.

Wharton odezwał się dopiero po chwili.

- Boże Narodzenie to dobra pora, żeby zapomnieć o urazach - zauważył z lekkim skrepowaniem.

- Diabła tam. Wiesz, po co jest Boże Narodzenie? Po to, żeby banda nędznych sklepikarzy zarobiła więcej szmalu.

- Ktoś mi powiedział, że sprzedałeś całą swoją ziemię, którą miałeś na wzgórzu.

- To prawda.

- O ile wiem, trzymałeś ją z myślą o późniejszym rozparcelowaniu, prawda?

Runcible wzruszył ramionami.

- Ile cię to kosztowało?- zapytał Wharton.

- Ile co mnie kosztowało?

- To wszystko. Firma wodociągowa. Jej modernizacja.

- Nie mam pojęcia.

- I ty mówisz „diabła tam” o Bożym Narodzeniu.

- Oczywiście- odparł Runcible.- Posłuchaj, Jezus był dobrym żydowskim chłopcem, ale nie wiedział, kiedy się wycofać. - Nie wiedział, w którym momencie byłoby to dla niego najkorzystniejsze, powiedział do siebie. Przeciągnął sprawę i proszę, co go spotkało. - Posłuchaj, myślisz, że Bóg interesuje się nami i tym, co się z nami dzieje?

- Cóż, wiesz, że uważam religię za martwą kwestię.

- Właśnie czegoś takiego spodziewałbym się po goju. Bezbożniku. Powinieneś przeczytać najnowszą książkę Hermana Wouka, w której pisze o swoim stosunku do Boga. Dobrze by ci to zrobiło. Masz. - Podszedł do półki z książkami i zdjął z niej opasły tom. - Jeszcze jej nie skończyłem- oświadczył, wyjmując zakładkę- ale tobie jest ona bardziej potrzebna. Jeśli chcesz przemeblować swój umysł, powinieneś mieć jakieś pryncypia, na których mógłbyś się oprzeć. Coś, co by ci pokazywało,

jak żyć. - Wręczył książkę Whartonowi, który wziął ją od niego po krótkim wahaniu.

- Czy któryś z bogatych farmerów wszedł w końcu do interesu? - zapytał Wharton.

- Oczywiście.

- Który?

- Nie pamiętam - odparł Runcible z ociąganiem. -Kilku, ale zapomniałem którzy.

Zapadła cisza.

- Ciekawe, jak by wyglądała teraz twoja sytuacja, gdybyś uzyskał ich wsparcie - odezwał się w końcu nauczyciel.

- Posłuchaj, obejdę się bez nich.

- Od początku wiedziałeś, że ci nie pomogą. Wiesz, jak pracują ich umysły. Jedyne, co ich obchodzi, to niskie podatki i drobne oszczędności.

- To dobrzy ludzie.

- Mogli chociaż poręczyć kredyt na kupno firmy wodociągowej. Nic by ich to nie

kosztowało. W ogóle by tego nie odczuli.

- Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał ostrożnie Wharton.

- Masz trzydzieści pięć tysięcy w gotówce?

- Nie.

- No to miłych świąt.

- Dokonałeś; naprawdę wielkiej rzeczy, odbudowując wodociąg- oświadczył Wharton. -

Nawet gdyby cała ta sprawa z upiającą bużką była w dziewięćdziesięciu procentach przesądem ciemnych wieśniaków, to pozostają infekcje wirusowe, grypa, które...

- Posłuchaj - przerwał mu Runcible. - Jeśli nie masz pieniędzy, to idź do domu. Dobrze?

Wharton ociągał się jednak z odejściem.

- Dziwne - powiedział. - Wpakowałeś wszystko, co miałeś, w tę firmę wodociagową. Poświęciłeś cały majątek, praktycznie zbankrutowałeś, dla dobra tutejszej społeczności... a mimo to wciąż jesteś obrażony na mnie, na szeryfa Christena, Faulka i Bóg wie kogo jeszcze. Nie rozmawiasz chyba z połową mieszkańców miasta. Nie mogę cię zrozumieć, Leo.

- Jestem człowiekiem z zasadami. - Podeszedł do drzwi gabinetu i otworzył je. - I jedną z nich jest to, że zapraszam do swojego domu tylko te osoby, które lubię. - Dopóty, dopóki jest to mój dom, dodał w myśli. Dopóki uda mi się go utrzymać. Potem będziecie mogli tu przyjść. - Zaczekaj, aż przejmie go bank w Petaulumie. Wtedy będziecie mogli tu przyjść i usiąść na kanapie. Tymczasem jednak - rzekł, wypychając Whartona z gabinetu - jak mawiał Sam Goldwyn: „Uwzględnij mnie, a nawet skreśl”.

Podeszła do nich Janet.

- Wiedziałam, że się dogadacie -powiedziała, uśmiechając się do męża.

- Nalej temu osobnikowi szklaneczkę grzanej sherry i wyślij go do domu - oświadczył, po czym dodał: - Małą szklaneczkę.

Wyraz jej twarzy mówił, że bierze jego słowa za przyjacielski żart.

- Mówię poważnie - rzekł do niej.

Kiedy sobie uświadomiła, że nie żartuje, przestała się uśmiechać i spojrzała skonfundowana na Whartona, a potem na męża.

- Wychodzę - oświadczył Wharton. - Do widzenia.

Runcible nie odpowiedział. Wharton zaczął się przeciskać między ludźmi, zmierzając do

drzwi. Otworzył je i wyszedł.

- Kogo jeszcze zaprosiłaś? - zapytał Runcible żonę. -Może Walta Dombrosio?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł z wahaniem. - Nie zaprosiłam ich, Leo. To znaczy ani Whartona, ani Dom-brosia.

- Dobrze - rzekł i ruszył ku miejscu, gdzie siedział

Leghorn. Usiadł naprzeciwko niego i zagadnął: - Co słychać, Leghorn?

- W porządku, dzięki.

Siadając głębiej w fotelu, Runcible zapytał:

- Może coś ci podać? - Wskazał na stojący w kącie pokoju stół z zakąskami: serem, szynką, kurczakiem, sosami i różnymi rodzajami krakersów. - Nie zapomnij się najeść. Czuj się jak u siebie w domu. Nie krępuj się.

Wstał i podszedł do stołu, żeby zobaczyć, na co sam miałby ochotę. Zaczął nakładać po trochu każdej przekąski. Wciąż był to jego dom i miał się prawo czuć w nim jak u siebie. Postąpił zgodnie z własną radą i nie krępował się.